

Andre Norton

Cesarska córka

Przełożyła Anna Wojtaszczyk

Tytuł oryginału Imperial Lady

SCAN-dal

Wiersze do tej książki wybrałyśmy z ponadtysiącletniego okresu poezji chińskiej. Pochodzą one zasadniczo z dwóch źródeł:

„Łódka orchidei: Poetki Chin” („The Orchid Boat: Woman Poets of China”) zredagował i przetłumaczył Kenneth Rexroth i Ling Chung. New York, McGraw–Hill, 1972. Wybór obejmuje część „Lamentu Hsi–chun” (110 r. p.n.e) i „Wiersz pisany na unoszącym się czerwonym liściu” (dziewiąty wiek n.e.) Ts’–ui–p’in. Wszystkie prawa zastrzeżone. Wykorzystano za zgodą. Copyright Harcourt Brace Jovanovich.

„Tłumaczenia z chińskiego” („Translations From the Chinese”) Arthura Waley. New York, Alfred A. Knopf, 1941. Fragmenty pochodzą z wiersza z okresu dynastii T’ang; wierszy Wu–ti o Li Fu–jen; oraz z „Jeńca”. Wszystkie prawa zastrzeżone. Wykorzystano za zgodą.

Rozdział pierwszy

Mieniając się żywym złotem i zielenią w ukośnych promieniach zimowego słońca, bażant poderwał się w śnieżnej chmurze z ukrycia. Jednocześnie pani Srebrzysty Śnieg uniosła swój łuk z drewna i rogu, wypuściła strzałę. Ciężki ptak opadł w poszycie. Skinęła głową i jeden z eskortujących ją ludzi ruszył, by go odszukać.

— Wspaniały strzał, o najczcigodniejsza pani! — zawołał stary kawalerzysta Ao Li głosem tak rubasznym, jak gdyby zwracał się do rekruta. — Nawet kobiety z plemienia Hiung–nu... pokornie błagam panią o wybaczenie. Kobiety Hiung–nu są opryskliwe, mowa ich niepiękna, lecz po trzykroć czcigodna pani... — Słowa zamarły mu na ustach, a jego ogorzała twarz poczerwieniała od wstydu.

Nikt z pozostałych nie wiwatował na jej cześć, jak zrobiliby to dla któregoś ze swoich towarzyszy. Wszyscy byli starymi żołnierzami, walczyli jeszcze pod dowództwem jej ojca, a teraz, w pobliżu granic odwiecznych wrogów, Hiung–nu, strzegli jego córkę.

W momencie gdy Srebrzysty Śnieg podniosła władczą dłoń, Ao Li rzucił się z siodła do jej stóp z poczuciem palącego wstydu i lęku przed swoim generałem, który mógł być pohańbiony i osłabły, ale mimo to wciąż jeszcze był panem w swoim domu.

Pani Srebrzysty Śnieg odwróciła się, a jej okryte rękawicami dłonie tak gwałtownie ściągnęły cugle, że kudłaty kucyk z północy niemal stanął dęba. Śnieg posypał się z jego szorstkiej grzywy i sierści.

— Wstań, proszę — rozkazała, uśmiechem wybacząc mu przewinienie. — Jakżebym mogła się obrazić? Twoje słowa oddają cześć mojemu panu i ojcu, który mnie uczył. Czy nie mówiono mi zawsze, że kobiety spoza Purpurowego Muru słyszą, co mówią ptaki, i potrafią zrozumieć znaczenie poskrzypywania kamieni i drewna, a najpotężniejsze spośród nich słyszą nawet głosy cieni przedwcześnie zmarłych, wołających ze swych grobów?

Jej oddech parował, blada mgiełka na białym jadeitowym niebie, a stopy w haftowanych butach z grubego filcu drętwiały z zimna. Rumieniec płonący na policzkach był równie szkarłatny jak krew ptaka, którego Ao Li podniósł i przytroczył do siodła, wykonanego na modłę Hiung–nu, którzy, aczkolwiek barbarzyńcy, byli również bez wątpienia niezrównanymi konnymi wojownikami.

Podczas gdy uroczyście chwaliła starego strażnika za zręczność, z jaką tropił zwierzyne, i oceniała pulchność bażanta, którego zestrzelił jej łuk, lżejszy i bardziej giętki niż te ze stepów, równocześnie mrugała oczami, by powstrzymać łzy żalu i gniewu na samą siebie. Była niewdzięcznicą. Syn Niebios mógł z łatwością skazać na śmierć za zdradę całą rodzinę jej ojca; bo jeżeli głowa domu zwróciła się ku złu, czyż ktokolwiek kiedykolwiek mógł zaufać reszcie ciała? Jak dotąd jednak żyli — ona i jej ojciec; żyli i nawet, na swój sposób, byli zadowoleni. Czasami zresztą udawało jej się zapomnieć, że egzystencję swą zawdzięczają jedynie kaprysowi, który nawet kielich grzanego wina mógł zmienić w śmierć.

Zabrzmiął głos rogu, a po nim krzyk, tak szokująco głośny, że Srebrzysty Śnieg spodziewała się usłyszeć, jak z krystalicznym trzaskiem pękają spadające z drzew sople. Ao Li oprzytomniał, jedną ręką chwytając rękojeść miecza, a drugą ściągając wodze swego kuca. Jego wierzchowiec zarżał w proteście, kiedy jeździec zmuszał go do wejścia pomiędzy córkę swego generała, której przysiągł bronić własnym życiem, a intruza.

Zobaczyła, jeszcze zanim poczuła, że Ao Li pokornie dotyka rzędu jej kuca. — Pani — odważył się szepnąć. Stojący za nią mężczyźni napinali łuki i wyciągali miecze. Srebrzysty Śnieg zdrząła, mimo okrywających ją ciepłych skór owczych. Wyjechali dzisiaj daleko — czy Hiung–nu dojrzeli ich i zdecydowali się na atak?

Odwróciła się, by popatrzeć w kierunku, który palcem wskazywał Ao Li. Zawsze uważała go za człowieka bez trwogi, jednak teraz jego pokryta bliznami dłoń drżała.

Srebrzysty Śnieg nasadziła strzałę na cięciwę z większą nawet szybkością niż przy zestrzeleniu bażanta. Jęknęła w duchu i ukradkiem rzuciła pełne tęsknoty spojrzenie na błyszczący, wygięty grzbiet Wielkiego Muru. Mogła to być — pomyślała — ostatnia rzecz, jaką kiedykolwiek zobaczy. Poza nim znajdowały się równiny i pewien rodzaj wolności, co niewątpliwie odkrył jej ojciec podczas lat swego wygnania. Może powinien był tam zostać, mimo że była niegodną imienia córki niewdzięcznicą ośmielając się nawet tak pomyśleć. Bo chociaż został pokonany i pohańbiony, to kapitulacja spowodowała upadek ministrów w lśniącym Chang’an. Przez dziesięć lat pozostał z tymi, którzy go pojмали, jak żaloszny Li Ling, generał i zdrajca. Podobnie jak generał Chang Chien, który mieszkał wśród Hiung–nu, żenił się, a nawet płodził potomstwo, a jednak i on kiedyś pierzchnął z powrotem do krainy Han. A teraz na zgrzanym, spienionym koniu zbliżał się ku niej posłaniec, jakiego

obawiała się od dziesięciu lat. A jeżeli przybywał on z Chang'an, ze stolicy, gdzie Słońce Niebios zasiadał w chwale na Smoczym Tronie i ogłaszał edykty przeciwko tym domom, które uznał za zdradzieckie? Może ten goniec doręczył już szkarłatny sznur jej ojcu i jechał teraz rozkazać, by również i ona pozbawiła się życia? Czy ciało Chao Kuanga zwisało teraz, stygnąc, z gałęzi drzewa, leżało porażone trucizną lub krwawiło od ciosu mieczem? Przysięgła sobie, że długo go nie przeżyje; a wyboru tego wcale nie podyktowała wola Syna Niebios.

Pomimo żelaznego opanowania, którego wcześniej się nauczyła — najpierw jako dziecko, potem jako dziewczyna wychowywana przez ponurego, zranionego ojca — po policzku jej ściekła jedna gorąca łza. Zmusiła się do bezruchu, wpatrując się w step. Wielki Mur, strażnik Ch'in od czasu rządów Pierwszego Cesarza, zwinął się wokół tej krainy jak śpiący smok. Ten grzbiet z kamienia i ubitej ziemi, wznoszący się ponuro ponad równiną, wydawał się teraz blady, posrebrzony świeżymi zaspami i kurzawą przezroczystego śniegu, od którego matka pani Srebrzysty Śnieg — zanim umarła z żalu i samotności — nadała imię swojemu dziecku. Nie miała też żadnych żyjących braci. Wszyscy zginęli na granicy, mając nadzieję, że zmażą grzech ojca. Był markizem i generałem, który zawiódł zaufanie Syna Niebios. Nie tylko poddał krwawiące resztki armii wojowników Han barbarzyńcom, ale kiedy to uczynił, ośmielił się pozostać przy życiu.

Ao Li wykonał ostry gest, na który pozostali bezzwłocznie zaszli ją z boków. Srebrzysty Śnieg rzuciła szybkie spojrzenie na starego, potem prędko odwróciła wzrok. Całe jego życie podporządkowane było kodowi wojskowego posłuchu. Czy naprawdę ośmieliłby się wydać rozkaz, by zaatakować posłańca Syna Niebios? Czy ona, córka swego ojca, potrafiłaby napiąć łuk przeciw takiemu człowiekowi? Zbierała się na odwagę, by rozkazać Ao Li, żeby się powstrzymał. Następnie wydała cichy okrzyk. Jej oczy były młodsze, bystrzejsze od oczu starego dowódcy oddziału, chociaż teraz zaćmiły je łzy wdzięczności, kiedy spostrzegła, że jeździec, którego parujący koń ślizgał się i potykał podchodząc po ścieżce, nosił sfatygowaną liberię ludzi jej ojca. Wyciągnęła dłoń i dotknęła ręki Ao Li. Stary człowiek szarpnął się w tył, jak gdyby dotknął rozżarzonego węgielka. — Przyjaciół — powiedziała półgłosem i ściągnęła konia w tył, za swoją eskortę.

Jeździec już chciał zejść z siodła i uklęknąć, gdy zatrzymało go warknięcie Ao Li. Młodziutki jeszcze chłopiec ośmielił się tylko na moment podnieść na nią oczy. Następnie opuścił spojrzenie na ośnieżoną ziemię, składając jej hołd stosowny

bardziej dla Cesarzowej czy pierwszej żony markiza niż córki żołnierza w niełasce.

Zmęczony posłaniec ciężko łapał hausty rzadkiego, zimnego powietrza, a następnie rozkaszał się tak, że Srebrzysty Śnieg obiecała sobie, że jeszcze tego samego wieczora, razem ze służącą Wierzbą, sporządzą napar z ziół przeciwko gorączce płucnej.

— Pro... proklamacja... edykt Syna Niebios... — Srebrzysty Śnieg z trudem rozróżniała wyrzucane pomiędzy kasznięciami słowa. — Twój najczcigodniejszy ojciec generał wzywa...

— Jedziemy! — Srebrzysty Śnieg zaszokowało to, jak niósł się w powietrzu jej czysty głos, kiedy odwróciła się plecami do Muru, pozostawiając za sobą pokrzwawiony śnieg, na którym tak krótko spoczywały trofea jej polowania.

Tego dnia Srebrzysty Śnieg i jej strażnicy zajechali daleko w poszukiwaniu zwierzyny. Ściskając boki konia, by jechał szybciej, robiła sobie wyrzuty. Jeżeli gościł w jej domu posłaniec Syna Niebios, ona jako pani tego domu powinna być tam obecna i dopilnować, żeby wszystko zostało zrobione najlepiej jak można, by uczcić człowieka Cesarza oraz by pokazać, że chociaż byli ludźmi Północy, służyli Smoczemu Tronowi wiernym sercem.

Gdyby jednak obowiązkowo siedziała zawsze w domu, urzędnik z Chang'an musiałby jeść na obiad jakieś resztki. Dobrze, że polowanie uwieńczone zostało sukcesem; tych kilka starzejących się kobiet, które pozostały jeszcze na wewnętrznych dziedzińcach, będzie mogło przygotować ucztę.

Kto wie — pomyślała, nagle znowu wstrząśnięta trwogą — jakich strażników taki południowy pan rozesłał własnym rozkazem? Tacy ludzie nawet w tej chwili mogli ją obserwować. Dotąd pilnie wypatrywała w okolicy nieprzyjaciół, ale teraz spuściła oczy. Jeżeli w majątku jej ojca jest gość ze stolicy, to ona musi przestrzegać wszystkich zasad i reguł postępowania.

Obserwator — jak wiedziała — mógł przypisać jej nieobecność stosownej skromności, właściwej niezamężnej dziewczynie. Jakich słów użyliby jej Przodkowie czy Księga Rytuałów, by opisać dziewczę, które szydziło z odpowiedniego zachowania, a nawet narażało na szwank samo dziewictwo, by jeździć z łukiem i polować jak nieokrzesany chłopiec? Mimo że trudy życia zmusiły ją do zerwania z tradycją, wiedziała, że za wiele spraw sama jest odpowiedzialna. Mimo to Przodkowie mogliby krzywo patrzeć na jej zachowanie.

Ten nie znany jeszcze urzędnik mógł mieć czelność poddać ją krytyce; jednak to dzięki niej tego wieczora będzie jadł, a z nim wszyscy inni. Przodkowie nadal będą czczeni.

Nie mogła im tak służyć sama. Jako córce, nie wolno jej było palić kadzidła i papierowych wizerunków u ołtarzy, by zwrócić ich dostojną uwagę. Obsługiwać mógł ich tylko sam jej ojciec, zbyt okaleczały po latach spędzonych w siodle i od starych ran, by teraz jeździć na polowania; ale wystarczająco czerstwy, by nauczyć swe jedyne pozostałe przy życiu dziecko noszenia łuku, gry w szachy i myślenia oraz chęci działania w sposób, którego Mistrz Konfucjusz wcale by nie pochwalał.

Pierwsza Żona Chao Kuanga wołała się powiesić, niż żyć we wstydzie i hańbie, kiedy postanowiono, że generał nie będzie już generałem ani markizem. Jej synowie, po trzykroć czcigodni bracia, wyjechali, żeby umrzeć, walcząc przeciw Khujandze. Jesienny Dym, druga żona, brzemienna w chwili pojmania jej pana, pozostała przy życiu w nadziei, że urodzi syna, którego pobożność pewnego dnia może odkupi to, co utracił jego ojciec. Jednak urodziwszy Srebrzysty Śnieg, straciła nadzieję i życie. Pozostawiła swoją córkę z imieniem tak melancholijnym jak jej własne. Takie dziecko bez trudu mogło zostać porzucone, ale dzięki miłości starej niańki matki zostało uratowane i wychowane.

Kiedy miała dziesięć lat — to więcej niż wiek, w którym szlachetnie urodzona panienka powinna zostać zamknięta w pomieszczeniach niewieścich i nie opuszczać ich, aż zostanie zaniesiona na swój ślub — jej ojciec uciekł od Hiung–nu. Plotki, które podróżowały szybciej niż on sam, przypisywały mu opuszczenie żony (jeżeli tacy jak Hiung–nu uznawali ten podstawowy związek ludzki) oraz maleńkiego syna, wywołując w pomieszczeniach niewieścich strach o Srebrzysty Śnieg. Jak zareaguje najszlachetniejszy (choć dekretem Cesarza już nim nie był) markiz i generał Chao Kuang na wieść, że ma jedną jedyną córkę i że nie ma żadnych żyjących synów? Jej niania potrząsała głową, przestrzegała, wreszcie przedstawiła mu Srebrzysty Śnieg. Jeszcze teraz pamięta, że nie wybuchnęła wtedy łkaniem chyba tylko cudem, zesłanym przez niebo: jej ojciec bardziej przypominał Przodka przywróconego do niepewnego życia niż człowieka. Opadł z niego cały pełen mocy pozór, właściwy dla mężczyzny. Jego broda i włosy przybrały srebrny kolor, a sute fałdy starożytnej, wystrzępionej jedwabnej szaty, z ciężkim futrzanym kołnierzem i podpinką, pozapadały się — tak wychudły był ten, który je nosił.

O większy nawet ból niż utrata ciała i żywotności przyprawiała go okulała

noga, przez którą ta szalona ucieczka z Zachodu musiała stać się torturą. Blisko, pod ręką, miał hebanową laskę, a obok jedwabny zwój z pismami Mistrza Konfucjusza i misę z żarem, z brązu misternie kutą w kształt dwunastu górskich szczytów, wykładaną cennymi metalami i karneolami — domowy skarb. Z misy unosiły się delikatne smugi sosnowego zapachu bylicy; na zawsze już w umyśle Pani Srebrzysty Śnieg sprzęgły się te sękaty i wytrzymałe sosny z ojcem i jego ciężkimi przejściami.

Nawet teraz, kiedy Srebrzysty Śnieg podniosła jedną zziębniętą dłoń i chuchnęła na nią, przypomniała sobie ciepło i aromat misy z żarem. Wtedy była ona jedyną jej pociechą, kiedy podchodziła drobiąc ostrożnie stopami, jeden króciutki krok za drugim, ze spuszczonej oczami, ku człowiekowi, który siedział wyprostowany pomimo wyściełanych poduszek za plecami, jakby nieufny wobec ich miękkości. W tym momencie, jak gdyby zrzędzeniem dobrych bogów, z misy wyleciały iskry, a Srebrzysty Śnieg, zapomniawszy o swojej starannie wystudiowanej pokorze, podniosła wzrok, by napotkać oczy, które natychmiast dały jej miłość i zaufanie, tak jak miały prawo narzucić posłuszeństwo. Ojciec wyciągnął rękę — chudą, ogorzałą, bez jednego palca — a ona pobiegła do niego.

Nie dbano odtąd o należyta powściągliwość i dystans: dziesięcioletnia Srebrzysty Śnieg miała być wychowywana jak syn, którego ojcu brakowało. Miała się uczyć polowania, gry w szachy, śpiewu i — co było największym zuchwalstwem — czytania oraz pisania wierszy.

Tak więc nadal mieszkała na Północy, blisko Wielkiego Muru. Leżały tam ich rodzinne majątki, od czasów we mgłach ginących rządów Pięciu Cesarzy; ale również, zgodnie z tradycją, tam także usychali teraz z tęsknoty inni banicy.

Północ można było uważać za wygnanie, ale Srebrzysty Śnieg kochała zawsze surową urodę rodzinnego kraju, bezkresny obszar równin, który naruszały tylko opiekuńczy Wielki Mur i mniej starożytny, ale równie zniszczony dom jej przodków. Teraz wątłe promienie popołudniowego słońca ukosem prześlizgiwały się po Murze, wzbudzając refleksy w śniegu i lodzie.

Myślała o rozkazach, jakie po dziesięciu latach milczenia przesłał im Syn Niebios. To, co ojciec opowiadał jej o Hiung–nu, spowodowało, że Srebrzysty Śnieg spoglądała poza ogromną barierę bardziej z ciekawością niż z lękiem. Wiedziała, że poza nią znajduje się coś więcej niż tylko pustkowie bez końca, opanowane przez bezbożnych dzikusów, jedzących mięso na surowo, nie kąpiących się nigdy i torturujących cywilizowanych ludzi. Tak, poza tym Murem znajdowały się bezkresne

obszary i otwarte przestrzenie — a także wolność i utracony honor jej ojca.

Zanim pani Srebrzysty Śnieg dotarła do starożytnego zamku (jego strażnicy podstarzali łucznicy, podrzemywali, kiedy jej grupa przejeżdżała obok w obłoku śniegu i pary z oddechów), do maksymalnego wysiłku w równym stopniu zmuszały ją chłód i pragnienie, by być posłuszną ojcu i dowiedzieć się, co to za wieści spowodowały, że ten najmłodszy z członków świty ryzykował śmierć, by w takim pośpiechu wezwać ją z powrotem. Dygocąc z zimna i podniecenia skręciła za ostatni róg — obok pustego miejsca, z którego tajemniczo ostatniej zimy zginął nefrytowy posąg, obok muru, na którym malowidła płowiąły od co najmniej dwóch pokoleń — by dotrzeć nareszcie do swego własnego maleńkiego podwórca.

Niania Srebrzystego Śniegu skwapliwie pochwyciła ją rękami, które wyglądały jak ptasie łapy, by pociągnąć ją w kierunku najgłębiej położonego pokoju, gdzie oczekiwały na nią ogień, parująca woda oraz szaty, być może znoszone, ale z pewnością ciepłe i pedantycznie czyste.

Kiedy jednak stara kobieta chciała ją rozebrać, Srebrzysty Śnieg ubiegła ją.

— Stara matko, ta usługa — i taka szybkość, pomyślała — to dla ciebie za wiele. Gdzie moja dziewczyna, Wierzba?

— Jest tam, na zewnątrz. — Staruszka wskazała w kierunku podwórca.

Pomimo starannego ustawienia wyblakłych parawanów, otwarte drzwi wpuszczały lodowaty przeciąg i widok wieczornego nieba, które stało się tak fioletowe jak wiosenne szaty pierwszej konkubiny.

Niania wykonała gest chroniący przed złym urokiem. Gdyby staruszka nie była aż tak wiekowa, prawie jak babcia dla Srebrzystego Śniegu, mogłaby jej dać klapsa.

— Twój brak zaufania to głupota — znalazła sposób na łagodną wymówkę. — Od dziesięciu lat, odkąd tylko mój ojciec ją kupił, Wierzba obdarza mnie pełną oddania lojalnością i doskonałą obsługą.

Staruszka ukloniła się — ręce miała wyładowane ciężkim, podbitym i obszytym futrem płaszczem Srebrzystego Śniegu — i wymamrotała coś, bez wątplenia zwykle plotki o Wierzbie.

— Znowu jakieś głupoty — powiedziała Srebrzysty Śnieg. — Babskie gadanie. Dlaczego ta dziewczyna miałaby się zwrócić przeciw domowi, który uratował jej życie? — Sprawdziła palcem kąpiel. — Ta woda jest chyba za zimna. Przynieś jeszcze kociołek wrzątku, a potem zostaw mnie samą. Nienawykła do

maniery wielkiej damy, jaką ostatnio przybrała jej wychowanka, kobieta ukłoniła się i umknęła. Srebrzysty Śnieg, kierując się ku swej służącej, niezręcznie grzebała przy zapięciach swej sukni odrętwiałymi palcami, w których napływające do nich ciepło i krew powodowały mrowienie. Tuż za parawanem klęczała Wierzba, niepomna, jak się zdawało, na zimno. Nawet skąpe światło od ognia pozwalało dostrzec rudy przepych długich włosów Wierzby, które miały ten sam kolor co lisica, z którą wydawała się teraz trajkotać cichym skomleniem i krótkim poszczekiwaniami. Tak stajenni porozumiewają się ze swoimi końmi, a dzieci ze wszelkiego rodzaju zwierzakami. Na ziemi leżał okrawek mięsa zaoszczędzony z obiadu Wierzby.

Srebrzysty Śnieg, wyćwiczona w sztuce łowieckiej, umiała podkładać się bezszelestnie w swoich ciężkich filcowych butach. Lis i służąca oboje usłyszeli ją jednak i zamarli, jakby byli gonioną zwierzyną. Wierzba odwróciła się ku niej twarzą. Na twarzy jej błysnął lęk. Zalśnił w niesamowitych zielonych oczach, które na równi z rudymi włosami powodowały, że ciemnowłosi, ciemnoocy Hanowie osądzali ją jako nieprawdopodobnie brzydką, jako prawdziwy wizerunek jednego z przejmujących grozą lisoduchów — uprzedzenie, które Srebrzysty Śnieg zawsze surowo potępiała.

— Młodsza siostrze, zbierz wieści, jakie będziesz mogła, ale skończ szybko. Potrzebuję cię. — Srebrzysty Śnieg mówiła cicho i z uśmiechem, ale głos jej brzmiał stanowczo.

Zupełnie jakby mogły się nawzajem zrozumieć, Wierzba i lisica wymieniły między sobą skomlenie. Lisica zaszczekała, powęszyła w powietrzu, chwyciła zębami mięso i uciekła. Powoli, niezgrabnie Wierzba podniosła się, nie spuszczając swoich zielonych oczu z miejsca, gdzie zniknęło zwierze. Następnie kulejąc podeszła obsłużyć swoją panią.

— Gdybyś nie urodziła się ze zniekształconą stopą — zamruczała Srebrzysty Śnieg bardziej do siebie niż do dziewczyny — to czy zostałabyś ze mną, czy też chciałabyś, jak mówią plotki, zmienić własną skórę i odbiec ze swoją siostrą lisicą?

Myślała, że mówi zbyt cicho, by ktokolwiek ją usłyszał, ale nie wzięła pod uwagę zdradliwego nocnego wiatru i nadnaturalnej ostrości słuchu Wierzby. Dziewczyna delikatnie rozluźniła palce Srebrzystego Śniegu na zapięciach sukni. Jej własne dłonie były ciepłe, a nawet gorące. Była to następna przywara, jaką zarzucała jej służba, bo przecież wszystkim było wiadomo, że krew u lisów — i lisoduchów — jest rozpalona w wyższym stopniu niż u zwykłych kobiet. Taka bzdura, w połączeniu z rudymi włosami Wierzby i jej zręcznością w postępowaniu z małymi dzikimi

stworzeniami, spowodowała, że niemal ją zabito, zanim nabył ją ojciec Srebrzystego Śniegu. Od tego czasu z oddaniem służyła domowi. Jak zawsze, Srebrzysty Śnieg odprężyła się pod zwinnym, ciepłym dotknięciem rąk swojej służącej.

Łzy splamiły futro Srebrzystego Śniegu.

— Kiedy twój ojciec kupił mnie, żebym była twoją służącą, uratował mnie przed śmiercią, jako lisa lub jako wybrakowaną niewolnicę jakiegoś handlarza zabiliby mnie od ręki albo nieco później. Jakżebym miała ciebie kiedykolwiek opuścić... nawet gdybym była bez skazy i mogła biegać z moimi siostrami „po futrze” ... kiedy winna ci jestem moje własne życie? — zapytała Wierzba. — Chociaż — dodała, a oczy jej błyszczały niewypowiedzianą emocją — być może, to ty mnie opuścisz.

Jej łzy obeschły równie szybko, jak popłynęły. Kulejąc, Wierzba przynagliła swoją panią do przejścia przez pokój. Mogły spokojnie być bliskimi siostrami, a nie panią i służącą. Wierzba — pomyślała Srebrzysty Śnieg — po prostu nie mogła być lisoduchem, ponieważ, jak wszyscy wiedzą, lisoduchy nie potrafią kochać.

— Ja, opuścić ciebie? — zapytała Srebrzysty Śnieg. Odetchnęła głęboko, by zdławić budzące się podniecenie. Trzeba przywołać *li i chih* — atrybuty zasad postępowania i mądrości, które, jak zalecał Mistrz Konfucjusz, były konieczne, jeżeli miało się osiągnąć *chung yung*, to zachowanie pogodne i niezmienne, do którego każda przyzwoita osoba musi dążyć, by w końcu stało się jej własnym sposobem bycia. Musi się pośpieszyć, by posłuchać wezwania swojego ojca, to prawda; ale nie może pośpieszenie pojawić się w jego obecności, jak ktoś niewłaściwie wyszkolony w dostojnej metodzie *li*.

— Być może — powiedziała Wierzba, długimi rękami zasłaniając te zielone oczy, w głębi których zawsze roily się psotne iskierki. Rzeczywiście, gdyby była zwykłą mieszkanką wewnętrznych podwórców, źle czułaby się w obecności Wierzby. Tak, od momentu kiedy jedna zobaczyła drugą, były jak siostry.

— Twój najczciodszy ojciec przyjął dziś posłańców z Chang’an. — Wierzba rozwiązała ciężką, podzieloną spódnicę do konnej jazdy i zdjęła ją ze szczupłego ciała swojej pani.

Srebrzysty Śnieg skinęła głową, potem weszła do nasyconej ziołami wody w kąpieli. Dzięki polowaniu zapewniła przysmaki na spodziewaną ucztę. Musi się wykąpać i ubrać szybko, następnie pośpieszyć do kuchni i sali bankietowej, zobaczyć, czy wszystko zostało przygotowane jak wypada, godnie markiza — nawet jeżeli

został zdegradowany.

— Przywieźli proklamację — ciągnęła dalej Wierzba.

— Tyle się domyśliłam — powiedziała Srebrzysty Śnieg. Wklepywała gorącą wodą w swoją wysuszoną od wiatru twarz, podczas gdy Wierzba podawała wonne olejki. Zaprawdę musi to być niezwykła okazja, jeżeli Wierzba i jej stara niania porozumiały się, by uszczknąć nieco ze starannie przechowywanych perfum z czasów jej matki. Odświeżona i odprężona zapytała: — Skąd wiesz więcej?

— Od mojej siostry — wyszeptała Wierzba. W uśmiechu ukazała białe zęby i wykonała szybki ruch głową. Przez moment bardzo przypominała zwierzaka, z którym wcześniej zabawiała się przed drzwiami pokoju. Srebrzysty Śnieg wstała i Wierzba owinęła ją ciepłą szatą. Nie było potrzeby obawiać się Wierzby. Jeżeli ta dziewczyna potrafiła obrócić plotkę w żart, żeby wywołać uśmiech swojej pani, to tylko podwyższało jej wartość. Jeżeli była niezwykle zręczna w nawiązywaniu przyjaźni ze zwierzętami, no to co? Taki talent to dar. Sama Srebrzysty Śnieg, kiedy wyjeżdżała konno, świadoma była obecności małych stworzonek, które zdawały się ją obserwować z ciekawością.

— Co powiedziała ci twoja siostra? — Srebrzysty Śnieg odwróciła się znowu, dostosowując się do Wierzby, podczas gdy ta rozczesywała jej długie czarne włosy, tak proste i delikatne w świetle lampy, jak włosy Wierzby były rude i falujące. Spojrzała w lusterko, które służąca dla niej trzymała, w wygładzony do połysku krążek ze srebra, z wrytymi na brzegach życzeniami szczęścia. Była to jedyna rzecz pozostała z dawnego życia Wierzby, jaką przyniosła ze sobą do domu Srebrzystego Śniegu. Uważała ją za skarb.

Przez moment pokój za jej plecami — mały, sfatygowany, ale znajomy i bardzo kochany — falował, napłynął podmuch wiatru, który zagłuszył ciche, codzienne odgłosy kobiet pracujących wśród kobiet; zamrugła oczami i zobaczyła ponownie damę cesarstwa Han o śmietankowej cerze, dużych, głęboko osadzonych oczach kształtu migdałów, brwi, którym nie trzeba było depilacji, by ukształtować je w skrzydła ćmy, maleńkie usta. Potrząsnęła głową, niemile zaskoczona tą niestosowną próżnością.

— Słyszałyśmy — Wierzba ponownie wsunęła lusterko do jego ochronnego woreczka z jedwabiu — że ukochana Pierwsza Konkubina Syna Niebios umarła w połogu.

Srebrzysty Śnieg skinęła głową, ubierając się ostrożnie, pełna obaw za każdym

razem, kiedy nosiła ten cienki, starożytny strój, że podrze go i nie da się go już naprawić. Nawet tak daleko na Północy ludzie oplakiwali tę wielce czcigodną damę, która była tak odważna, że raz, kiedy tygrys zerwał się z uwięzi, wyszła przed Cesarza i stała przed nim, dopóki nie dało się z powrotem bestii zwabić do klatki.

— Czy ten kupiec futer, który przybył przy ostatnim księżycu — ciągnęła dalej Wierzba — nie mówił, że podczas żałoby Syn Niebios odesłał wszystkie inne swoje damy do ich domów? Chociaż wszyscy jego ministrowie i poeci wychwalali głębię jego żałoby, nastąpiła bieda dla kupców, kiedy nie było już komu oferować jedwabi ani futer za Feniksowymi parawanami.

To prawda — pomyślała Srebrzysty Śnieg — że gdy zabrakło dam, które kupowały jedwabie, żądały klejnotów, haftów i delikatnych potraw, ucierpieli ci, którzy ich dostarczali. A jakżeby nie? Ale ja sama jestem biedna. Cóż takiego dziwnego jest w biedzie? Przecież serce słusznie postępującego człowieka nie musi cierpieć, nawet jeśli jego miseczka na ryż jest niemal pusta. Konfucjusz miał wiele do powiedzenia na ten temat, to wiedziała. Czyż pogoda jej ojca, mimo ran i niewoli, nawet w biedzie i niełasce, nie dowodziła słuszności takiego pogodzenia się z faktami?

— Czy wiedziałaś — szeptała Wierzba chytrze w ucho, które, jak upewniało Srebrzysty Śnieg jej lusterko, było tak różowe i delikatne jak rzadkie muszle z dalekich mórz — że Syn Niebios napisał wiersz o swojej pani, zanim wezwał czarodziejów?

Pojedyncza bransoletka ze starego białego jadeitu brzęknęła o kuferek z laki, przed którym siedziała Srebrzysty Śnieg. Na tę myśl przeszedł ją silniejszy dreszcz niż od zimowego wiatru.

— Cesarz wezwał czarodziejów? — wyszeptała. — Szybciej! Już zbyt długo ociągamy się z wypełnieniem woli ojca.

— Wybacz mi, Starsza Siostrze — powiedziała Wierzba — ale wolę zbłądzić przez to, że cię opóźnię, niż żebyś zasłabła na płuca. Daleka kuzynka mojej siostry „po futrze” — tu znowu Wierzba uśmiechnęła się i błysnęła ku swojej pani tym niesamowitym podobieństwem do lisicy — siedziała na zewnątrz dziedzińca Cesarza w Chang’an i stąd słyszała, jak mówił:

Umilkł szelest jej jedwabnej spódnicy.

Na marmurowym chodniku rośnie pył.

*Jej pusty pokój jest zimny i cichy.
Opadłe liście gromadzą się pod drzwiami.
Gdy tęsknię za tą uroczą damą,
Jak mi ukoić udręczone serce?*

Srebrzysty Śnieg dołączyła do Wierzby w westchnieniu z głębi serca.

— Przepiękne — szepnęła — i takie melancholijne. Ale dlaczego on wezwał czarodziejów?

— Żeby ją przywołali z powrotem. — Jedna z rudych, poziomych brwi Wierzby wygięła się, jak gdyby miała swoją własną opinię o takich czarodziejach i podobnych sprawach. — To, co oni mamroczą, to najczęściej same głupoty. Tao dzieje się tak, jak się dzieje; a my, ludzie i zwierzęta, rodzimy się i umieramy. Ale przecież Syn Niebios jest wszechmądry; tak więc zawezwał swoich czarodziejów, którzy dołożyli wszelkich starań — jak ludzie, którzy parają się takimi rzeczami. W końcu tylko jeden czarodziej wywołał cień... zaledwie migotanie... na tle jedwabnej kotary.

Wtedy Syn Niebios zapłakał i wykrzyknął:

*Jest czy nie?
Stoję i patrzę.
Szmer, szelest jedwabnej spódnicy.
Jakże wolno nadchodzi!*

— Jeżeli nadal będę zwlekać, mój czcigodny ojciec powie o mnie coś gorszego niż to! — zawołała Srebrzysty Śnieg. — Czy skończyłaś już z moimi włosami, czy nie? I czy będziesz mnie tu dalej zatrzymywać, ty leniwa dziewczyno, żebym słuchała niemądrych wieści, które wyrывasz lisom z pyska?

Wierzba roześmiała się, odsłaniając białe zęby, a kiedy odrzuciła w tył głowę, pokazała swoje silne gardło, tak białe jak futrzana gwiazdka na piersi u lisa.

— Oto, Starsza Siostrze, moja najważniejsza nowina. Po licznych łzach, jeszcze liczniejszych wierszach i większej ilości pomników, niżby się komukolwiek chciało zliczyć, Syn Niebios zgodził się wybrać następną Znamienitą Konkubinę, a może nawet więcej niż jedną.

Dłoń Srebrzystego Śniegu powędrowała do gardła.

— Ależ ja jestem dzieckiem zhańbionego... — Potem wzięła głęboki, drżący oddech. — Och, ale czegoż bym nie mogła dokonać, gdybym została faworytą! Czegoż bym nie zrobiła dla mojego ojca? Obdarzenie łaską, przywrócenie jego tytułów i honoru, może... — Jej myśli uniosły się tak wysoko jak księżyc nad głowami, gdzie mieszkająca na tej planecie pani z pewnością zobaczyła je i uśmiechnęła się — Czy myślisz...

— Myślę — przerwała Wierzba — że wielu innym damom marzy się ten sam sen tej nocy. Jednak to, co ci pokazuje lustro, zwłaszcza moje, to prawda. Jesteś bardzo piękna, Starsza Siostró. Jednak Komnata Świetności pełna będzie najpiękniejszych dam z Państwa Środka. A wiele z nich będzie miało klejnoty i stroje, które przewyższą blaskiem twoje, tak jak twoje oczy przewyższają moje... Pani — podjęła Wierzba poważniej — posłaniec przybył, rozmawiał z twoim ojcem i zostałeś wezwana. To wszystko. Mówię ci z całego serca, co wiem na pewno. Idź, dowiedz się reszty.

Nagle oczy Srebrzystego Śniegu zabłyśły i chociaż ogarnęła ją trwoga, zmusiła się do śmiechu.

— Słyszę i natychmiast jestem posłuszna, o Starsza Siostró — powiedział Wierzbie, kierując się do gabinetu swojego ojca.

Rozdział drugi

Śpiesząc poprzez mroźny podwórzec, Srebrzysty Śnieg zadowolona była ze swego stroju: jedwabna spodnia szata z wysokim, skromnym atłasowym kołnierzem, spływająca do obrąbka, który ukrywał nawet czubeczki jej pantofli, i zwierzchnia, o długich rękawach opadających na dłonie. W nocnym powietrzu niosła się wrzawa uczty. Chociaż sama może nie zobaczy urzędników, którzy przywieźli edykty Cesarza jej ojcu, będzie musiała później nadzorować zza parawanów bankiet.

Strumyk, zaprojektowany tak, by wpływał do sadzawki w obrębie ojcowskiego podwórca, ucichł i zamarł. Pochylały się nad nim sękaty sosny, sypiąc ciemnymi, wonnymi igłami na śnieg, który srebrzyście błyszczał w świetle lampy z pokoju ojca. Wspinając się na śliskie, drewniane stopnie zwolniła tyle, żeby ustrzec się od potknięcia o długie, powłóczyste szaty, a także by osiągnąć ten aż do przesady skromny, płynny krok, jaki Księga Rytuałów zalecała dla dziewic. Przy rzeźbionych ościeżnicach gabinetu ojca zatrzymała się zdumiona.

Znajomy i bardzo jej bliski aromat sosny i kadzidła unosił się ze wspaniałej, świeżo wypolerowanej misy na żar.

Jej ojciec, zwykle tak zapobiegliwy, musiał rozkazać, by zapalono wszystkie dwanaście świec w kręconych ramionach największej lampy w domu. W mgiełce kadzidła i aureoli światła siedział sam Chao Kuang. Srebrzysty Śnieg skłoniła się głęboko, tyleż z miłości, co z dobrego wychowania, zanim spojrzała w górę.

Chao Kuang ubrany był w swoją najwspanialszą tunikę, utkaną z czerwieni i błękitu, ze znakami szczęścia, przytwierdzonymi po prawej stronie za pomocą pięciu złotych guzików. Na wierzch miał naciągnięty szeroki cynobrowy pas (przywilej, jaki kiedyś nadał mu — z niewyjaśnionych powodów nigdy nie odebrał — Syn Niebios). Długie rękawy szaty ojca opadały na jego dłonie, kryjąc blizny i brakujący palec. Mimo że pokój był dobrze ogrzany, szyję otulał szeroki sobolowy szal, a płaszcz miał podbity błamami tego samego cennego futra. Nie było wątpliwości, że Chao Kuang starannie odział się z takim przepychem na przyjęcie urzędnika, przed którym nie chciał ujawnić ubóstwa swego domu.

Opierał się teraz o wypchane poduszki, trzymając długą na dwie stopy wiązkę cienkich drewnianych pasków, na które tuszem naniesiono delikatne znaki. To musi być edykt Cesarza! Zwiślały z niego rozłamane pieczęcie, ta najważniejsza nosiła

signum samego Cesarza.

Srebrzysty Śnieg wzięła głęboki oddech i niespokojnie czekała, aż ojciec przemówi.

— Siadaj, córko. — Chao Kuang wskazał na poduszkę. Srebrzysty Śnieg opuściła się, układając szatę w stosowne fałdy. Ponownie ośmieliła się podnieść wzrok.

— Nie wątpię, że w niewieścich pomieszczeniach przysłuchiwałaś się pogłoskom — zauważył ojciec, ale nie marszczył brwi z niezadowolenia. — Najwięcej trajkotaniu Lisiczki; ale nawet lis, jeżeli będzie szczekał wystarczająco długo, może raz w życiu wyrzec słowa prawdy.

Czy Chao Kuang słyszał, jak kobiety plotkują o Wierzbie? Srebrzysty Śnieg tak często zadawała sobie pytanie, czy zwracał uwagę na takie złośliwe opowieści, że strzała lęku, która kiedyś takim myśłom towarzyszyła, dawno już utraciła swe ostrze. Czy chciał ją teraz o to zapytać? Ale czemu miałby to robić w tak ważnej chwili? Kiedy nabył tę dziewczynę, zaznaczył, że człowiek mający dobre intencje próbuje pomagać ludziom w potrzebie i że słyszał kiedyś o odległej prowincji, gdzie rude włosy — mimo że trudno w to uwierzyć — uznawano za dowód wielkiej urody. I przecież, odkąd Wierzba zamieszkała na ich podwórcach, zabronił polować na lisy na swoich ziemiach. Sam nosił tylko sobole lub skóry owcze.

Chao Kuang podniósł drewniane paseczki edyktu Cesarza, a Srebrzysty Śnieg, tak jak siedziała, skłoniła się przed tymi dostojnymi słowami, aż czoło jej dotknęło filcowych mat pokrywających podłogę.

— Jak już słyszałaś, ponieważ Wewnętrzne Dziedzińce Cesarza od dawna już są puste, Cenzorzy donieśli mu teraz o krzykach oburzenia wśród ludzi, którzy w utrzymaniu swoim zdają się na te dziedzińce.

Srebrzysty Śnieg przytaknęła i nadal siedziała z opuszczoną głową. Spod oka rzucała jednak spojrzenia na ten znajomy, przytulny pokój i w jednym rogu zauważyła nie znaną, starożytnie wyglądającą skrzynię. Dziwna fala podniecenia powodowała, że było jej trudno usiedzieć i przysłuchiwać się zgodnie z surowymi zasadami i regułami postępowania. Ale między nią i jej ojcem istniało zawsze coś więcej niż tylko surowe zasady i reguły; ponad właściwym zachowaniem leżała *hsin*, czyli szczerłość, i *jen*, życzliwość; a ponad tymi przymiotami — miłość, chociaż oczywiście obyczaj na powściągliwość nie dopuszczała, by kiedykolwiek któreś z nich miało dać wyraz takiemu uczuciu.

— Co więcej — a o tym też trajkoczą lisy — mówi się, że pewnej nocy Cesarz śnił o kobiecie równie ślicznej jak dama, która umarła, i zaprzysiągł, że odkryje, czy taka piękność istnieje gdzieś w obrębie Państwa Środka. W konsekwencji zarządził, że ma zostać wybranych pięćset konkubin i powierzył to zadanie Mao Yen-shou, Administratorowi Wewnętrznych Dziedzińców. — Ojciec przerwał, a Srebrzysty Śnieg ośmieliła się znowu spojrzeć mu w twarz. Oczy miał głęboko osadzone, wspomnienia kładły się na nie cieniem, a zmarszczka między nimi wydawała się przez to jeszcze głębsza.

— Mao Yen-shou jest zręcznym artystą malarzem, dobrze potrafi ocenić piękno. Potrafi je jednak tylko ocenić, nic więcej; jest bowiem eunuchem i bez wątpienia pragnie władzy, jak to eunuch. Wszystko to zaprawdę może mieć swoje znaczenie podczas wybierania i oceniania.

„Ale co to ma wspólnego ze mną?” — chciała zapytać Srebrzysty Śnieg. Po raz pierwszy w życiu niecierpliwił ją ten wyważony sposób, w jaki ojciec dzielił się wiadomościami.

Chao Kuang pochylił się do przodu i ujął Srebrzysty Śnieg pod brodę pokrytymi odciskami palcami, podnosząc jej twarz tak, że znowu spojrzeli sobie prosto w oczy.

— Moja córko, ten oto starzec może być w niełasce i zdegradowany, a jednak wieść o jego młodej, pięknej córce dotarła do Administratora Wewnętrznych Dziedzińców i zostałaś wezwana.

Pani Srebrzysty Śnieg zaparło dech w piersiach. W oczach zapiekły łzy, zrodzone czy to z lęku, czy z podniecenia, tego nie wiedziała. Żeby ze wszystkich dziewcząt Państwa Środka wybrano na Wewnętrzne Dziedzińce ją, jako jedną z pięciuset piękności, może po to, by stała się następną Prześwietną Towarzystką, która uleczy serce bolejącego Cesarza... to przekraczało wszelkie marzenia.

— Tak, dobrze czynisz, że płaczesz, dziecię moje. To bowiem oznacza nasze pożegnanie. Damy, które przestąpią bramy Wewnętrznego Dziedzińca... chyba że spodoba się Synowi Niebios je odesłać... nigdy już nie oglądają swoich domów. Miej się też na baczności, bo życie ich nie jest jednym pasmem utkanym ze wspaniałych szat, słodkiego jedzenia, Sali Przepychu i przychylności Cesarza. Zaprawdę wiele z nich nigdy nie zobaczy nawet Syna Niebios, a co dopiero żeby urodziły mu syna. Ale takie jak one są równie silnie związane z Wewnętrznymi Dziedzińcami jak najpodlejszy z niewolników.

— Ale oto ta nic nie znacząca marność została wezwana — wyszeptła Srebrzysty Śnieg. Serce jej waliło. Była piękna. Powiedział tak nawet jej ojciec, który ze wszystkich ludzi na całym świecie najwięcej miał powodów, by życzyć sobie, żeby była pokorna i skromna. Była odważna; to prawda. Musi tylko zdobyć przychyłość Cesarza, a wszystko, co jej ojciec utracił, zostanie mu zwrócone. Przecież dobrze wiadomo, że ulubionej konkubinie wolno popierać każdego ze swego domu.

— Idziesz na wygnanie i chociaż nie będzie to otwarta walka, poniesiesz inne ryzyko, moja córko — powiedział Chao Kuang. — Panie z Wewnętrznych Dziedzińców wdają się, jak słyszałem, w inne wojny. Ich broń to w najlepszym przypadku podstęp, w najgorszym snują intrygi, zastawiają pułapki, a w końcu nawet parają się trucizną. Wychowana zostałam w wielkiej... może nawet zbyt wielkiej... swobodzie; dla ciebie życie za murami takiego dziedzińca może okazać się równie ciężkie, jak dla mnie okazało się życie w niewoli. Ale mimo to... — Ojciec głęboko westchnął.

Srebrzysty Śnieg wstrzymała oddech. Nieczęsto zdarzało się, żeby ojciec mówił — żeby potrafił znieść mówienie, pomyślała — o swoich dziesięciu latach w niewoli.

— Od godziny, w której się poddałem, nieprzerwanie żyłem w nędzy, a gorzkość smutku przepęłniała mnie bólem jak nie zagojona rana. Wciąż jeszcze widzę w snach barbarzyńców wokół siebie. Ten cały daleki kraj sztywny był od czarnego lodu, a nie słyszałem niczego poza zawodzeniem przejmującego zimowego wichru, pod którego skrzydłami słabła moja nadzieja na powrót. A jednak, moja córko, a jednak, odkąd wróciłem, zdarzały się takie dni, kiedy wydawało mi się, że moje życie tam, wśród Hiung–nu, nie w pełni było złe. Co mówi poeta? „Kiedy dostałem się między Hiung–nu, a oni mnie pojмали, usychałem z tęsknoty za krainą Han. A teraz, kiedy na powrót jestem w krainie Han, zmienili mnie w Hiung–nu... Han sercem i językiem, osadzony w ciele Hiung–nu”. Myślę teraz, że moje lata na obczyźnie nie wszystkie były złe.

— Kiedy człowiek znajdzie się w obcej cywilizacji, przystosowuje się do obcych zwyczajów. — Srebrzysty Śnieg zaadaptowała maksymę z Analektów. Miasto Chang’an będzie dla niej tak obce, jak krainy i jurty Hiung–nu były obce jej ojcu, ale zachowa się nie mniej honorowo. Chociaż była kobietą, była jego dziedzicem.

Chao Kuang przytaknął z ciepłą aprobatą. Światło lampy krzesła iskierki światła z jego futrzanego kołnierza, płonęło na cynobrowej szarfie, odbijając się w górę. Szeroka, bliska jej twarz wydawała się skąpana w świetle.

— Może tak się stać, że również i ty na tyle „przyjmiesz obce zwyczaje”, że docenisz swoje wygnanie. Pewne jest, że będę się modlił do Przodków, by tak się stało. Moja hańba oznaczała, że mógłbym nie zaręczyć cię stosownie do twojej pozycji. Niemniej zawsze było moim zamiarem, na tyle na ile dopuszczają zasady i reguły postępowania, a może nawet w nieco większym stopniu, pozwolić ci na tyle swobody przy wyborze męża, ile tylko będzie można. Ale niestety, moje dziecko, przy tym wezwaniu nie mogę okazać żadnego pobłażania.

Srebrzysty Śnieg skłoniła się aż do mat. Gdyby była zaręczona, nie oferowano by jej tego niebezpiecznego szczęścia, tej szansy na odzyskanie ojcowskiego honoru.

Ojciec uczynił gest w kierunku skrzyni stojącej niemal poza zasięgiem światła z kominka.

— Dwadzieścia zwojów jedwabiu hołdowniczego i dwieście uncji złota...

Aż tyle? To zrujnuje ich dom! Pani Srebrzysty Śnieg, która kontrolowała domowe księgi, jak gdyby była pierwszą żoną, wyrwał się cichy okrzyk, a potem spłonęła szkarłatnym rumieńcem wstydu. Ojciec ciągnął dalej, jak gdyby nie usłyszał jej wybuchu.

— ...jest przygotowane do przedłożenia Mao Yen-shou po twoim przybyciu. Masz również klejnoty i szaty, które należały do twojej matki i mojej Pierwszej Żony. Oto one. — Chao Kuang podniósł się mozolnie. Srebrzysty Śnieg, posłuszna jego życzeniu, by córka nie była świadkiem jego ułomności, odwracała oczy aż do momentu, kiedy postukiwanie laski o podłogę zasygnalizowało, że doszedł on już do tej drugiej, tajemniczej, rzeźbionej skrzyni, którą wcześniej zauważyła.

Na jego gest podniosła się i podeszła. Pokrywa była odchylona, a światło lamp odbijało się od płytek nefrytowych i złotego drutu, misternie połączonych w kształt ludzkiej postaci odzianej od osłony na twarz do obutych stóp w zbroję. Srebrzysty Śnieg pochyliła się, by przypatrzeć się nefrytowi. Miał barwę kosztownych klejnotów, jakie do serca krainy Han przez Nefrytową Bramę przywożono spoza Krainy Ognia. Zbroja stanowiła ekwipunek pogrzebowy godny Syna Niebios — albo i samego Nieba.

— Pod zwojami jedwabiu i złotem jest jeszcze taka jedna — powiedział jej ojciec. — Wyrzeźbiono je dawno temu, by służyły jako całuny, kiedy nasi Przodkowie byli książętami tego kraju. Biada nam, bo nisko upadliśmy; a ostatnim i najcięższym upadkiem był mój własny. Syn Niebios mógł kiedyś słyszeć o tym, że w naszym posiadaniu znajduje się taki skarb, a może i nie słyszał. Niemniej jednak,

gdybyś miała szczęście i gdyby spłynęła na ciebie jego łaska, nakładam na ciebie obowiązek, byś mu ofiarowała te pełne zbroje z nefrytu. Może zechce zachować jedną dla siebie, a drugą dla ciebie; lub może zechce rzucić je swoim niewolnikom — nie dbam o to.

Ale jednak zależało mu na tym — pomyślała Srebrzysty Śnieg. Zależało mu. Nefrytowa zbroja była ostatnim wielkim skarbem ich domu, a on powierzył ją jej, jak generał mógłby powierzyć sztandar najmłodszemu ze swych wojowników, by dodać mu ducha przed próbą.

— Może kiedy ofiarujesz mu to, przypomni sobie najbardziej pokornego, nieszczęsnego ze swych sług — powiedział Chao Kuang. Głos mu ochrypnął, odwrócił się gwałtownie.

Przez długi jeszcze czas zachowywali milczenie. Srebrzysty Śnieg słyszała brzęk naczyń i podnoszące się na innych podwórcach domu głosy. Bankiet na cześć urzędnika, który przywiózł edykt — ten bankiet musi właśnie trwać, a jej ojciec wyszedł, by pomówić z nią, mimo że była tylko dzieckiem, córką. Przekrzywiła głowę nad słuchując, a on przytaknął.

— Tak jest, powinienem wrócić do moich gości, ale ciężko mi na sercu. Bo to, córko, musi być nasze pożegnanie. Jutrzejszy brzask zobaczy odjazd urzędnika; a ty musisz jechać razem z nim. Weźmiesz ze sobą swoje dary, swoją dziewczynę i taką eskortę, jaką uda nam się zebrać. I odjedziesz z moim błogosławieństwem... — Srebrzysty Śnieg padła na kolana.

— Nie spodziewam się, by życie miało cię traktować zbyt szorstko — powiedział ojciec, kulejąc z powrotem na swoje poduszki. — Bo czyż nie zapisano w Analektach, że chęć do nauki bliska jest mądrości? Wiem, że lubisz się uczyć; a na Wewnętrznych Dziedzińcach możesz mieć okazję, by nauczyć się wiele z tego, czego tu brak.

Łzy Srebrzystego Śniegu spływały na rękawy, pozostawiając okrągłe ślady na haftowanym jedwabiu.

— Ale nie od ciebie, czcigodny ojcie — wyszeptała. Ku jej zdumieniu, ojciec wyciągnął do niej dłoń, tak samo jak to zrobił, kiedy zobaczyła go pierwszy raz. Drobnymi pośpiesznymi kroczkami podeszła i ujęła tę dłoń; przytulił ją w mocnym, ciepłym uścisku.

— Oby wszyscy Przodkowie sprzyjali ci, moja córko — powiedział. — Może jeszcze tak się stać, że urodzisz syna, by oddawał im cześć, a nasz ród nie będzie żył

w hańbie ani nie wymrze zupełnie.

Jeszcze przez chwilę przytulał ją, a ona czuła zapach kamfory, w której przez całe lato przechowywane były jego sobole.

— A teraz naprawdę muszę już wracać do moich gości. Gratuluję ci dzisiejszego udanego polowania; dobre były te twoje ostatnie łowy. — Z premedytacją, jak wypadało na zwolennika Konfucjusza, mówił spokojnym głosem, usiłując przywrócić im obojgu tę zdrową stateczność postępowania, której uczył Mistrz.

Srebrzysty Śnieg wysunęła się z objęć ojca, z pasją zamrugęła i nakazała wargom, by przestały drzeć.

— Będę jutro przy twoim odjeździe — powiedział ojciec. — Ale to jest nasze prawdziwe pożegnanie. Jeżeli będziesz miała czas i możliwości, polecam ci pisać do mnie.

Skłoniła się głęboko i przysłuchiwała się nierównym krokom ojca i miarowemu stukaniu jego hebanowej laski, kiedy powoli, z boleścią schodził ze schodów i przechodził przez podwórzec do komnaty, gdzie ucztowali urzędnik i jego oficerowie, którzy jutro mieli wyrwać ją z jedyne go życia, jakie dotąd znała. Powietrze w pokoju przepojone było wonią sosny, migdałów i bylicy; lampa rzucała na nią jasne światło. Wtuliła się w poduszki, na których siedział ojciec, i łkała, żegnając się ze swoim domem. Chociaż, jak dobrze wiedziała, mógł czekać ją splendor i wiele atrakcji, płakała tak, jak gdyby w całym jej świecie miało nie być końca łzom.

Rozdział trzeci

Pozostając córką szlachcica okrytego niesławą, Srebrzysty Śnieg nigdy nie rozmyślała zbyt o tym, jakie też będzie jej wesele. Wiedziała, że żaden związek, jaki uda się dla niej zaaranżować ojcu, na pewno nie będzie połączeniem osób równych sobie rangą. Nie mogła przeto uskarżać się na skromne pożegnanie, jakie zgotowano jej przy wyjeździe z ojcowskiego domu, ani też na to, że zamiast w szkarłatny strój panny młodej ubrana była w praktyczne skóry owcze i staroświeckie futra, wdziane na najcieplejsze szaty. Wsiadała nie do lektyki obwieszanej dzwoneczkami i jaskrawymi ozdobami, ale do mocnego, zamkniętego, dwukołowego wózka. Dobrze, że jej posąg — hołdowniczy jedwab i złoto — były załadowane na wózki i na juczne zwierzęta, by odbyć miesięczną drogę na zachód i południe, do stolicy.

Spakowały także wszelkie szaty i ozdoby, które udało im się z Wierzbą znaleźć w jej własnym dobytku i pozostałościach po matce i po Pierwszej Żonie. Pomiędzy zwojami jedwabiu ukryty był wielki skarb, który powierzył jej Chao Kuang w nadziei, że rozczuli serce Syna Niebios: pogrzebowa zbroja z nefrytu, zbyt wspaniała dla kogokolwiek poza Cesarzem i jego małżonką.

Pochodom ślubnym powinny towarzyszyć piszczałki i bębny. Dla niej jedyną muzyką było dobiegające od powozu urzędnika Syna Niebios granie dzwoneczków przy uprzęży.

Prawda, że wokół niej chwiały się i migotały światła latarń i pochodni, jakie powinny stanowić ozdobę pochodu z panną młodą, rzucając surowe odbłyski na topory i lance, niesione z taką dumą przy powozie posłańca. Ponad nosicieli latarń i żołnierzy wznosiła się para z ich oddechów, kiedy urzędnik, zakutany aż po uszy w lisiury, zajmował honorowe miejsce w swoim wspaniałym ekwipażu.

Gra światła i cieni narzucała zasłonę na ojca, którego wygląd był równie mizerny jak po ucieczce od Hiung–nu. Przez szparkę w zasłonach wózka Srebrzysty Śnieg wpatrywała się w niego z rozpaczliwym pragnieniem, by w tych kilku ostatnich chwilach zapisać sobie głęboko w pamięci każdy rys jego wyniszczonej twarzy. Wiedziała, że patrzy na niego już ostatni raz. Drogie było jej to, że okazał przychylność, wstając i ubierając się, by ją pożegnać przy odjeździe. Ostatnimi laty budził się kaszląc. Tego ranka jednak nie łapał ochryple powietrza, może dzięki

napojowi leczniczemu, jaki sporządziła wczoraj. Ośmieliła się teraz odchylić zasłonkę, a kiedy spojrział na nią, pożegnała go odpowiednim ukłonem.

Nie było oczywiście żadnego pana młodego, nie towarzyszył jej żaden prawdziwy pochod rodziny, chyba żeby Srebrzysty Śnieg zaliczyła do niego Wierzbę, która siedziała ze spuszczoneymi oczami obok niej w wózku zaprzężonym w woły, oraz swoją starą nianię. No i byli strażnicy domu, których połatane mundury i podstarzałe konie tak ubogo przedstawiały się na tle umundurowanego półoddziału dosiadającego lśniącego wierzchowce, wyginające dumnie szyje i buchające parą oddechów o zimowym brzasku.

Ale należało uczynić zadość zwyczajom, a w tym przypadku nie było to zbyt wiele. Poza Wierzbą i nianią Srebrzysty Śnieg była jedyną kobietą w tej grupie i bez wątpienia jedyną dobrze urodzoną. Nie miała grona dam ani starszej swatki, która towarzyszyłaby jej do stolicy i pouczyła o zwyczajach panujących na dworze. Pani Lilak, której wyznaczono stanowisko mentorki, zachorowała w podróży i trzeba ją było zostawić w jednym z majątków po drodze. Urzędnik niemalże raczył przeprosić jej ojca za taki brak odpowiedniego towarzystwa, co szlachcic nie będący w niełasce z pewnością poczytywałby sobie za afront. Jej ojciec oczywiście nie śmiał się obrazić. Srebrzysty Śnieg, chociaż smuciło ją lekceważenie okazane jej domowi, odczuwała ulgę. Dość będzie dziwów w samej podróży, żeby jeszcze trzeba było szybko przystosować się do zwyczajów wielkiej damy dworu.

Ponieważ Srebrzysty Śnieg jechała na wozie, a nie w lektyce, nie można było zamknąć jej na klucz przed ludzkim wzrokiem. Niemniej ojciec z namaszczeniem wręczył klucz towarzyszącemu jej urzędnikowi jako zobowiązanie do tego, by jej strzegł, i ukłonił się po raz ostatni. Urzędnik władczo skinął ręką swemu pacholcowi i Srebrzysty Śnieg zobaczyła, jak jej własny woźnica pogania woły.

Z drzeniem wciągnęła powietrze głęboko do płuc. Opuszczała swój dom, swój kraj, wszystko co kiedykolwiek znała, dla niewiadomego losu, który mógł oznaczać przebaczenie dla domu Chao, ale równie dobrze mógł oznaczać odosobnienie i izolację więźnia wysokiej rangi. To było przerażające! Mrugała szybko powiekami, a światła pochodni rozplływały się w tęczowej mgiele. Wierzba chwyciła swoją panią za rękę, by dodać jej otuchy.

Woły ociężale posuwały się do przodu, a wózek, podskakując i kolebiąc się w sposób przyprawiający o zawrót głowy, stoczył się ze znajomego pagórka, którego już nigdy nie miała zobaczyć. Poranny wiatr rzucał jej w twarz delikatny śnieżny pył,

przynosząc ze sobą ostatnie słowa, jakie wypowiedział ojciec, zanim opierając się ciężko na lasce wszedł do domu, gdzie nie było już córki.

Przechyl pagórka, zakręć na drodze i już cię tracę z oczu;

Wszystko co zostało to ślady na śniegu, gdzie stąpnął kopytami twój koń.

Po kilku nocach spędzonych w drodze orszak zatrzymał się na noc w mieście, gdzie mogli znaleźć bardziej komfortowe schronienie w domu sędziego.

Niania Srebrzystego Śniegu, która chorowała przez całą drogę, bezzwłocznie zemdląła, a jej pani odetchnęła z ulgą, kiedy staruszkę wniesiono do środka. Tutaj mogła znaleźć opiekę i odpocząć, dopóki nie znajdzie się kogoś, kto by dostarczył ją z powrotem do domu. Jej młoda pani spojrzała na Wierzbę. Jakże dziwnie wyglądała! Na ostatnim postoju energicznie natarła sobie włosy sadzą, żeby ich brzydki, złowieszczy kolor nie wywoływał komentarzy wśród dam na wewnętrznych podwórcach sędziego.

— To nie jest konieczne — protestowała Srebrzysty Śnieg, ale Wierzba milczała z uporem. Nawet stara niania ze swoich zawojów z owczych skór odzywała się (między jednym i drugim jękiem i kichnięciem) krótkimi słowami aprobaty i ulgi.

Czekały na nią teraz, sądząc po posykiwaniach i chichotach, jakie dochodziły spoza kręgu światła latarni i lamp. Tak daleko od stolicy muszą być spragnione wieści, a jeszcze bardziej pragnąć widoku damy, która pewnego dnia może być otaczana najwyższą czcią wśród wszystkich kobiet. Srebrzysty Śnieg wyszła z wozu, opierając na mgnienie oka dłoń na ramieniu strażnika. Następnie szybko udała się w stronę czegoś, co wyglądało na nęcący krąg światła i ciepła — w nowy świat.

Spodziewała się podwórców podobnych do swoich własnych, starych, podniszczonych, stosunkowo pustych, bez mebli i ludzi. Tutaj jednak czekała ją eksplozja światła, kolorów i zapachów. Przymrużyła oczy, rzucając spojrzenia to na wyszukane zasłony, to na malowane ściany i na istną armię wysoko urodzonych dam. Patrzyły na nią spod wysoko wygiętych brwi oczami pełnymi niedowierzania i z zaciśniętymi wargami. Każda z nich, od Pierwszej Żony do najmłodszej konkubiny, ubrana była w nowe, misternie tkane jedwabne suknie, których długie rękawy niemal dotykały wysłanej matami podłogi. Wszystkie te suknie haftowane były w kwiaty, a każda pachniała zapachem tych, które wyszyte były na jej szatach. Teraz ukłoniły się, zgodnie ze swą rangą, aż grą kolorów i zapachów zaczęły przypominać ogród w

podmuchach wiosennego wiatru.

Oszołomiona kolorami i zapachami, Srebrzysty Śnieg zrobiła krok w tył — w samą porę by przegapić ceremonialne pozdrowienie Pierwszej Żony. Doszła do siebie niemal natychmiast potem i skłoniła się tym głębiej, by powetować uchybienie, ale, jak się zorientowała, było już za późno. Plotki i szepty już się rozpoczęły, jak westchnienia ponurego wiatru.

— Czy widziałaś, ona wkroczyła do domu całkiem jakby przeszła z jednego podwórca na drugi? Ani nie łkała, ani nie omdlała. Ależ krzepka! Jakież to ordynarne.

— Tę staruchę, jej niańkę, przynajmniej trzeba było wnieść do środka. Ja byłabym skrajnie wyczerpana, gdyby zmuszono mnie do odbycia takiej podróży...

— I tak dziwacznie się pojawiła, bez odpowiedniej swatki i tylko z tą brzydką służącą...

— Trzymajcie ją z dala ode mnie! — zapiszczała jedna z młodszych konkubin. — Jestem brzemienna, oby syn mojego pana nie urodził się chromy.

„Co za bzdury!” — chciała zawołać Srebrzysty Śnieg, a Wierzba kuliła się w jej cieniu.

— Popatrz, jakie ta brzydka dziewczucha ma pełne nienawiści spojrzenie. Czy myślisz, że coś słyszała? — Po tym pytaniu nastąpił cichutki chichot, a konkubina i jej przyjaciółka odeszły pełne oburzenia.

— Nie myślę, żeby Cesarz na tę tutaj miał nawet spojrzeć — oznajmiła jedna ze starszych żon Pierwszej Żonie. — Wychowana na wsi, nieokrzesała i przerażająco zdrowa. Kto wie, czy naprawdę jest damą z rodu Han? Mówią przecież, że jej ojciec ożenił się wśród Hiung–nu...

— Tłumaczyłoby to jej budzącą odrazę wytrzymałość, gdyby była na wpół...

— Cśś! — rozkazała Pierwsza Żona, która zbliżała się do pani Srebrzysty Śnieg z uśmiechem, w którym dziewczynie nie udało się znaleźć ani krzty serdeczności.

Nie rozgrzała jej też ani nie odświeżyła kąpiel, bardziej wyszukana od wszelkich jakie dotąd znała. Nie sprawiły jej przyjemności szaty, w które ją owinięto z wieloma uwagami na temat jej zniszczonych od świeżego powietrza dłoni, poznaczonych odciskami od cięciwy i klingi, i opalonej twarzy. W lusterku Wierzy mogła wydawać się śliczna, kiedy siedziała samotnie w domu, tu jednak zobaczyła siebie taką, jaką była naprawdę: brakowało jej tej ckliwej piękności, dzięki której jedna dama przypominała drugą, jak śliwka przypomina swą sąsiadkę na gałęzi. Tam

gdzie one drobiły nóżkami i potykały się, ona szła; gdzie one trzepotały rzesami i rękawami, ona poruszała się szybko i zdecydowanie; jej brwi, chociaż delikatne, naturalnie wygięte, były za grube, a jej usta za duże. Ale nawet tu — pomyślała unosząc głowę w przebłysku gniewu — nie była nieurodziwa: była tylko inna.

Kiedy siedziała wśród innych dam z wewnętrznych podwórców, nabierając łyżką aromatyczną zupę bogatą w przyprawy, o jakiej jej własna uboga kuchnia mogła tylko marzyć, chwycił ją nagły spazm lęku, a zupa stała się mdła. To był prowincjonalny dom, jak mówił sam jego pan. Jeżeli uważano go za zacofany i prostacki, to jakie muszą być Cesarskie Dziedzińce?

Czy znajdzie się tam ktoś, kto przyjmie ją bardziej życzliwie?

Nie miało to żadnego znaczenia. Dokonała jedyne go wyboru, jaki był jej dostępny — być posłuszną z chętnym sercem.

Następnego ranka, kiedy znowu zaczęły się szepty, Srebrzysty Śnieg dowiedziała się, że pomimo błagań lokalnego sędziego posłaniec Syna Niebios zdecydował się nie zatrzymywać na jeszcze jeden dzień, tylko pędzić naprzód. Odczuła wyłącznie ulgę.

Ale nie wzięła w rachubę Pierwszej Żony sędziego.

— Siostró — rzekła dama, przyznając pani Srebrzysty Śnieg godność równości — po tysiącokroć proszę o wybaczenie, ale muszę ci się narzucić, by porozmawiać o twojej towarzysze.

Srebrny Śnieg czekała uprzejmie, udając uwagę i chęć słuchania.

— Ta dziewczyna jest brzydka — powiedziała Pierwsza Żona. — Wybacz tej oto nieszczęsnej jej niewybredną mowę, ale twoja służąca jest tak nieurodziwa i chroma. Nie przysporzy ci chluby w stolicy.

Srebrzysty Śnieg spuściła oczy i powiedziała półgłosem, że Wierzba służy jej już od dawna.

— Być może na Północy nie można znaleźć lepszych niż ona. — Pierwsza Żona wzruszyła pulchnym ramieniem, jak gdyby po barbarzyńskiej Północy wszystkiego można było się spodziewać. — Jesteś młoda i znalazłaś się daleko od swojego domu, młodsza siostró. Pozwól, że doradzę ci, jak to powinna uczynić twoja swatka... ale ty nie masz swatki, czyż nie?

— Zmogła ją choroba. — Srebrzysty Śnieg przyłapała się na tym, że jest dziwnie gotowa bronić i przepraszać za kobietę, której nie znała, a która pozwoliła na

to, by niemoc przeszkodziła jej w wykonaniu obowiązku.

— Dobrze wiec. Wiem, że radziłaby ci przyjąć moją propozycję, żeby do Chang'an towarzyszyły ci trzy śliczne dziewczęta. Ta może zaczekać tutaj, aż stara niańka będzie w stanie podróżować, a następnie może wrócić na Północ, czy też... — Następne obojętne wzruszenie pulchnych ramion wskazywało, że to bez znaczenia czy Wierzbie będzie to odpowiadało czy też nie.

— Dziękuję ci, Starsza Siostró — Srebrzysty Śnieg ukloniła się — i błagam, byś mi wybaczyła, ale po tym, ile cierpienia przysporzyły mnie samej trudy tej podróży, nie potrafię zmusić się do tego, by nakłaniać którąś z twoich dam... do towarzyszenia mi. Wierzba jest chętna i silna; nadaje się dla mnie.

— To prawda, nadaje się — powiedziała Pierwsza Żona, a głos jej zlodowaciał.

Zawierucha smagała zasłonki zaprzęzonego w woły wozu, ale Srebrzysty Śnieg gotowa była ją objąć jak siostrę. Była to nie tylko ulga, że wydostała się ze zbyt zatłoczonych, przegrzanych i zdradzieckich pomieszczeń niewieścich — była to radość. Srebrzysty Śnieg nie miała pojęcia, że z taką przyjemnością przystosuje się do podróżowania — albo że z taką trudnością przyjdzie jej ukrywać swoje zainteresowanie i zachwyty każdym nowym dniem przed tymi, którzy ją chronili, a którzy niepokoiili się nadmiernie, żeby trudy podróży nie zmogły wątłego ciała i ducha damy.

Dzień po dniu kraj robił się coraz mniej znajomy i coraz więcej satysfakcji sprawiało jej wyglądanie przez rozcięcie, jakie sobie zrobiła w ciężkich zasłonach wozu, przysłuchiwanie się gardłowym, ledwie że zrozumiałym słowom wieśniaków, aroganckim żądaniom i komentarzom urzędnika i czasami poborców podatkowych, którzy wydawali się plagą tego kraju. Żałowała jedynie, że nie może sama jechać konno wśród nich, jak się przyzwyczaiła w domu.

Nie chodziło nawet o to, że nie była w stanie znieść zatłoczonych miast czy towarzystwa pań domu, z ich bezustannym zatroskaniem i paplaniną o córkach, służących, konkubinach i kuchni. Nie wszystkie były tak lodowate i nieprzyjazne jak dama na pierwszym postoju. Niektóre były nawet miłe. Innym było jej żal. Znowu dobiegał do jej uszu szmer, szepty, skubanie rękawów.

— Biedne dziecko, ależ ona jest ogorziała.

— Jest tylko jedną z pięciuset. Jakąż może mieć nadzieję, bez bogactwa i z tą

brązową skórą, że ktoś na nią zwróci uwagę? Tak jej powiedziałam, a ona odparła, że jedzie na dwór na życzenie swojego ojca.

— Na Północy przestrzegają surowo posłuszeństwa, jeżeli nawet niczego innego nie przestrzegają. Jakiż niekobięcy jest jej krok!

— Niechby wróciła do domu. Przecież nikt by o niej nie pamiętał. Naprawdę myślę, że w Chang'an nikt jej nie zauważy. Kiedy ja widziałam to miasto...

— Raz je widziałas, kiedy byłaś dziesięcioletnią dziewczynką...

— Kiedy ja widziałam Chang'an, pozwól sobie powiedzieć, młodsza siostrze...

Srebrzysty Śnieg nauczyła się zręcznie symulować głuchotę. Nigdy przedtem nie zdawała sobie sprawy, że słowa mogą mieć krawędzie tak ostre jak kły czy noże. Słowa dam, które spotykała.

Czasami kiedy zamknięcie w pomieszczeniach niewieścich i kobieca paplanina zbyt ją przytłaczały lub raniły, przypominała sobie, jaki ma obowiązek względem swojego domu i jego honoru. Wierna była poczuciu dumy i temu, że jej, kobiecie, dane jest pośredniczyć w jego odrodzeniu.

Zdawała sobie sprawę, że w Chang'an wstąpi w taki właśnie obszar zamknięty, jak u tych pierwszych dam. Może, jeżeli los będzie łaskawy, odosobnienie to będzie bardziej luksusowe, niemniej będzie odosobnieniem. Chociaż nikt nie ośmieliłby się odmówić wezwaniu Syna Niebios, była całkiem pewna, że życzliwa dama z ostatniego domu miała rację — gdyby córka wielmoży w niełasce nie stawiała się, jako jedna z pięciuset, nikt by tego nie zauważył i nikt by się tym nie przejął. Co więcej, pozostałym czterystu dziewięćdziesięciu dziewięciu kobietom sprawiłaby radość.

Potem szykowano zaprzęg wołów i znowu ruszali w drogę. Srebrzysty Śnieg chciwie wyglądała przez rozdarcie w zasłonce, mając Wierzbę tuż obok siebie. Każdy dzień był przygodą. Najlepsze ze wszystkiego były jednak wieczory, kiedy karawana zatrzymywała się przy drodze; wieczory pełne światła od ognia i gwiazd, z bezkresną, wypełnioną wiatrem misą nieba nad głową.

Odkryła, że zaczyna z zadowoleniem witać takie noce, kiedy karawana jucznych zwierząt omijała jakieś miasto, przedkładając jeszcze kilka godzin podróży i nocleg w drodze.

Gdyby tylko wtedy mogła jechać konno! Przyzwyczajona do aktywnego trybu życia, nie ośmieliła się zaproponować tego zwierzchnikowi grupy. Mogły już dojść do niego pogardliwe pogłoski na jej temat, nie śmiała ryzykować jego dezaprobaty.

Nawet ten koń, którego zawsze uważała za swojego, stał w stajni w miejscu, które już na zawsze musi traktować jak dom ojca, a nie swój własny: już nie. Ból płynący z tej świadomości malał z dnia na dzień, kiedy nakładał się nań przelotny widok każdego dojrzanego w przelocie miasta czy wieśniaków ociekających potem przy pracy na polach czy drogach, mimo że panowała głęboka zima.

Pogodzona z nieróbstwem stosownym dla wielkiej damy, Srebrzysty Śnieg przyglądała się, jak rozbijano obozowisko, uśmiechając się gdy widziała sposób, w jaki jej własna straż rozkładała się obozem wokół wozu. Potem, kiedy już rozpalono ogień, jej wóz stawał się ozdobnym namiotem, wygodniejszym, niż to sobie wyobrażała. Miały we dwie z Wierzbą swoje własne ognisko i swój własny podwórzec, który nie miał żadnych murów poza nocą, otoczony w dyskretnej odległości pierścieniem starych żołnierzy jej ojca.

Kiedy wiatr wiał z dobrej strony, Srebrzysty Śnieg słyszała od czasu do czasu triumfalny śmiech z obozu mężczyzn; dochodziły do niej nawet pojedyncze słowa poważnej, chełpliwej mowy urzędnika, kiedy odzywał się do podwładnych i paru studentów, którzy dołączyli do orszaku w nadziei na stosunkowo szybką i dosyć bezpieczną drogę do stolicy na egzaminy.

Przysłuchiwała się z gorliwością, rozgrzewał ją szorstki śmiech mężczyzn, drwiny z tego czy innego urzędnika. Nazwiska tych ostatnich postanowiła sobie zapamiętać z tym samym zapałem, z jakim młody żołnierz poleruje swój miecz i zbroję. W pewnym momencie przywódca jej eskorty roześmiał się i lekceważąco powiedział coś o Mao Yen-shou, od którego mógł zależeć jej własny los. Za nic na świecie nie pogwałciłaby zwyczajów na tyle, by posłać po tego mężczyznę i zapytać, co wie; ale bardzo ją to kusilo.

Srebrzysty Śnieg, kuląc się w pikowanej szacie, rozcierała teraz dłonie przy swoim wieczornym ognisku, czekając na powrót Wierzby z jakiejś misji wywiadowczej, którą kulawa dziewczyna sama sobie wyznaczyła. W pobliżu płomieni parował mały brązowy garnek z zupą, a chociaż nie do niej należało pilnowanie go, niemniej robiła to. Gdyby tak była którymś z uczonych, nawet najniższej rangi albo kandydatem, jadącym do stolicy na ciężkie egzaminy państwowe, mogłaby teraz siedzieć tam, przy większym ognisku i ogrzewać nie tylko swoje ciało, ale i umysł.

Jej żywa inteligencja łaknęła takich właśnie spotkań, ale ponieważ znajdowała się w pułapce niewieściego ciała, sprowadzało ją to do pilnowania zupy, zmuszało do

oczekiwania, aż inni nowinami rozjaśnią jej dzień. Ojciec zawsze przemawiał do niej jak do syna i dziedzica. Ci mężczyźni, gdyby mieli odpowiednią rangę, by zauważyć taką towarzyszkę podróży, zwróciliby na nią nie większą uwagę niż na jakiś przypadkowy kwiat, który spadł ze swego stojaka na targu — chwilowo piękny, ale nie mający żadnej realnej wartości dla człowieka o poważnym nastawieniu, zajętego swoimi sprawami.

Dla nich Srebrzysty Śnieg, jako cnotliwa dama przeznaczona na Wewnętrzne Dziedzińce Cesarza, była jak jakiś towar — może zwój wspaniałego jedwabiu czy rzeźbiona waza z nefrytu — którego należy pilnować, by go bez szwanku dostarczyć do Pałacu. Kiedy urzędnik musiał z nią rozmawiać, używał tej skomplikowanej, pochlebnej mowy dworskiej, pełnej kwiecistych komplementów, które nic nie znaczyły ani dla niej, ani dla niego.

Czego się więcej mogła spodziewać? Nawet sama Pani Pan, która przez tyle lat żyła na dworze i za swoje prawe postępowanie i pracę nad sztukami historycznymi swego brata zyskała taką sławę, jaką mogła zdobyć kobieta, wyznaczała sobie w swoim podręczniku dla dam dworu rolę, z jakiej Srebrzysty Śnieg zrezygnowała już w domu. Kobiety, oznajmiała Pani Pan, stworzono ściśle dla skromności i poddaństwa, dyskrecji i spokoju. To, że Srebrzysty Śnieg tęskniła za jazdą na wolnym powietrzu, jej pragnienie, żeby przynajmniej przysłuchiwać się rozmowom urzędnika, było wysoce niewłaściwe, a nawet bezbożne. Zauważyła już, że niektóre z dam uważały ją za niekobiecą, ponieważ potrafiła wejść na ich dziedzińce, zamiast żeby ją tam wnoszono skrajnie wyczerpaną i chorą.

Wiedziała, co powiedziałyby jej ojciec, ponieważ kiedyś, przed laty, poruszyła z nim ten temat.

— To, co pisze Pani Pan, jest bez wątpienia dobre i słuszne. Ale ta dama jest również kobietą, a więc ma pewną skłonność do popełniania błędów. — Błysk humoru w oczach ojca usuwał wszelką przyganę z jego wypowiedzi.

Z obozu urzędnika doleciały strzępy słów. Znowu Konfucjusz: „Tego, kto postępuje wbrew naturze, spotka przeciwny naturze koniec”. Srebrzysty Śnieg zadygotała i wcisnęła się głębiej w szatę podróżną. Zauważyła, że przez kilka ostatnich nocy podwojono strażę wokół juczej karawany, a jej własna eskorta otaczała ją ciaśniejszym pierścieniem. Mogło to oznaczać zagrożenie ze strony bandytów, wieśniaków okrutnych w swej wściekłości, których zmuszono do wyniesienia się ze swojej ziemi za to, że nie zapłacili podatków.

Srebrzysty Śnieg zamieszła znowu zupę i zadrżała. Wierzba co wieczór starannie odświeżała farbę na swoich włosach, zawsze trzymała się w cieniu, a przecież w kilku domach, w których gościły, rozeszły się te szkaradne, barbarzyńskie pogłoski, że dziewczyna bardziej była zwierzęciem niż człowiekiem.

Mogło to być groźne. W poprzednim pokoleniu strach przed czarami pozbawił niektórych ministrów Cesarza stanowisk, a innych głów — lub innych części ciała. Nie byłoby litości dla takiej damy i jej ojca, którym udowodniono by, że tolerują i chronią czarownicę — nawet samo oskarżenie o czary mogło być śmiertelnie niebezpieczne, zwłaszcza dla rodziny, na której ciążył już wyrok zdrady.

Obcy widzieli w niej tylko rudowłosą kobietę powłóczącą jedną nogą i uważali Wierzbę za istotę przeciwną naturze. Nie wiedzieli, jaka była kochająca i lojalna. Będę musiała ją ostrzec, pomyślała Srebrzysty Śnieg i pożałowała tej myśli. Dziewczyna będzie znowu płakać — twarz jej jak zwykle cudacznie poczerwienieje i jej zielone oczy jeszcze bardziej zbrzydną i zacznie przysięgać, że samą swoją obecnością zagraża swojej ukochanej pani.

Na śniegu zaskrzypiały kroki i zatrzymały się w ciemności poza kręgiem światła, rzuconym przez ogień.

— Najczcigodniejsza pani?

Srebrzysty Śnieg powstrzymała się, żeby się nie zerwać i ze zdziwienia wydała cichy okrzyk.

— Młodszy bracie — pozdrowiła Ao Li, który był od niej starszy o co najmniej trzydzieści lat. Ao Li przestępował z nogi na nogę, ręce trzymał za plecami i wpatrywał się w ziemię, jak gdyby nie był pewien, jak ma zacząć. Po długiej chwili milczenia — czekała, aż on je przerwie — wyjął to, co podchodząc do niej schował za plecami.

— Ośmieliłem się pomyśleć, że Szanowna Pani mogłaby życzyć sobie zachować to na pamiątkę — powiedział.

Był to jej łuk, troskliwie zadbany, i kołczan strzał z wypieszczonymi bełtami.

Oczy jej wezbrały łzami i rozchyliła drżące wargi, by podziękować staremu żołnierzowi. Ao Li, zamiast pod ziemię się zapaść z czystego zażenowania, czego się na wpół spodziewała, znowu przestępował z nogi na nogę, zanim stanął na baczność, jakby szykował się do składania raportu.

— Najczcigodniejsza pani dobrze wie, jak się tym posługiwać — wskazał na łuk. I tak też było. Ao Li uczył ją niegdyś.

Uśmiechnęła się. Kiedy w odpowiedzi nie pojawił się uśmiech, jej własny zagasł, a zastąpiła go trwoga.

— Czy czcigodny żołnierz myśli, że będę musiała? — zapytała. —
Strażnicy...

Ao Li rzucił spojrzeniem dookoła. Pomimo chłodu jego szerokie czoło spocilo się pod szalem, który na nie naciągnął. Pochylił się do przodu pod wpływem dyskrecji, a nie zuchwalstwa.

— Wilki, pani — wyszeptał. — Ale nie...

Aż podskoczyli na trzask, taki jaki mogła spowodować omyłkowo nadepnięta gałązka.

— Szlachetna pani zaszczyca tego oto bezwartościowego żołnierza — powiedział Ao Li głosem, który zabrzmiał fałszywie. — Odejdzie on teraz, by lepiej jej strzec.

W to mogę bez wahania uwierzyć — pomyślała. Ale co wystraszyło tak bardzo tego starego człowieka? Przytuliła policzek do łuku, wspominając ostatnie polowanie pod Wielkim Murem, zanim posłaniec wezwał ją do Chang'an i tej dziwnej przyszłości, jaka być może teraz na nią czekała. Uchwyt był znajomy, cięciwa, kiedy ją wypróbowała — napięta i nowa.

Gdzie podziewała się Wierzba? Jeżeli wokół krążyły wilki? Przecież Wierzba była kulawa, nie potrafiła uciekać ani walczyć. Srebrzysty Śnieg niemalże już się podniosła, żeby przywołać z powrotem Ao Li i kazać mu poszukać Wierzby. Ale dziewczyna mogła nie chcieć, by w taki sposób zwracać na nią uwagę. Zmusiła się, by siedzieć spokojnie, lecz pięści jej zaciskały się w długich rękawach, aż paznokcie wbijały się w dłonie.

— Czerwone Brwi... grasowali gdzieś tu poprzedniej nocy... trzech wieśniaków...

Dobiegały ją słowa od ogniska urzędnika. A więc nie jakieś przeciwne naturze zwierzę. Nie musi obawiać się o Wierzbę, przynajmniej jeszcze nie. Ale co to były „Czerwone Brwi”? Może bandyci. Srebrzysty Śnieg w dwójnasób była wdzięczna za dar łuku... zakładając, że użycie broni nie będzie okropnym pogwałceniem dobrego wychowania.

Lepiej — pomyślała odważnie — żeby pogwałcone zostało dobre wychowanie niż jej własne ciało. Była córką generała, przyszłą konkubiną Cesarza; nie żadnym łupem dla bandytów.

Wiatr zmienił kierunek, zagłuszając resztę słów, jakie urzędnik kierował do swojej straży.

Niespodziewanie gwiazdy nad głową przestały być obietnicą wolności. Otwarte przestrzenie wokół niej wydawały się raczej grozić, niż obiecywać wyzwolenie. Kiedy podmuch wiatru rzucił iskry z jej ogniska wysoko w powietrze jak sygnał ogniowy, Srebrzysty Śnieg podniosła się i weszła do swego wozu, gdzie spodziewała się znaleźć oprawny w nefryt nóż, którym mogła odebrać życie jakiemuś bandycie lub sobie.

Drapanie w draperię na wozie sprawiło, że Srebrzysty Śnieg krzyknęła i odwróciła się gwałtownie. Paskudnie ostry nożyk, który wyciągnęła, żeby go mieć pod ręką, zabłysnął w świetle ogniska, gdy rozchyłały się zasłony.

Przed nią stała Wierzba, a jej zielone oczy stały się ostrożne jak u lisicy, kiedy zauważyła nóż swojej pani.

— O pani? — zaczęła, przezornie używając jednego z najbardziej formalnych tytułów, przysługujących pani Srebrzysty Śnieg.

Srebrzysty Śnieg zarumieniła się i odłożyła nóż. Ucieszyła się widząc, że dłoń jej nie drży ani ze strachu, ani z zimna.

— Wejdz, Wierzbo, zanim zaczniesz tu panować zimą, podobnie jak panuje na zewnątrz.

— Uratowałam zupę, pani — powiedziała Wierzba, podnosząc garnek jedną owiniętą w szmatę ręką, podczas gdy drugą zaciągała za sobą zasłony wozu, pozostawiając na zewnątrz wiatr i całą resztę świata. Kiedy Srebrzysty Śnieg czekała, z trudem zmuszając się do cierpliwości, Wierzba odgrywała zawiłą sztukę podawania zupy, układając miski i poduszki jak najdokładniej. To wszystko pozwoliło im siedzieć z głowami blisko siebie i wdychać wonną parę.

— Cieszę się, że bezpiecznie wróciłaś — wyszeptała Srebrzysty Śnieg.

Wierzba roześmiała się.

— Łatwo jest poruszać się po obozie, jeżeli uważają cię za brzydką, pani. Mężczyźni dotykają amuletów i pozwalają mi przejść, zakpiwszy raz czy dwa. Można usłyszeć i dowiedzieć się wiele, jeżeli nie zwraca się uwagi na twarde słowa. — Błysk w oku Wierzby przypomniał pani Srebrzysty Śnieg, że tę naukę ciężko było Wierzbie opanować.

— A czego można się dowiedzieć? — zapytała Srebrzysty Śnieg.

Dziewczyna wyciągnęła mały srebrny krążek poznaczony rytami i ideogramami, których mimo całego swego wykształcenia Srebrzysty Śnieg nie była w stanie odczytać.

— Jeźdźcy pytali mnie, po co takiej nieurodziwej kobiecie jak ja taka piękna rzecz. Powiedziałam im: by spoglądać za siebie, a oni się śmiali. Ale to prawda: używam tego, by patrzeć za siebie i przed siebie, i na boki, gdyby nie wszyscy ludzie byli tym, na co wyglądają.

— A znalazłaś takich? — zapytała Srebrzysty Śnieg. Wierzba skinęła głową.

— Tak, Starsza Siostró. Niektórzy są wilkami. Wilkami! To dokładnie przed tym chciał ją ostrzec Ao

Li, zanim przerwano im rozmowę.

— Co wiesz o Czerwonych Brwiach?

Miska Wierzy nie zadrżała jej w dłoni, ale dziewczyna bystro podniosła wzrok.

— Bardzo niewiele mogłam zebrać wiadomości z okolic obozu, Starsza Siostró — powiedziała. — Bracia i siostry „po futrze” lękają się łuków i włóczy żołnierzy. A jeszcze więcej lękają się wilków. Są w tym obozie ludzie, którzy pobierają srebro, lecz nie wypłacają się za najem, jak przystało uczciwym ludziom. Ale...

— Ale? — podchwyciła Srebrzysty Śnieg. — Gdyby się aż tak bali, nie ośmieliliby się podejść tak blisko, by z tobą porozmawiać.

— To prawda, pani — przyznała Wierzba. — Ale bardziej lękają się Czerwonych Brwi, którzy polują nie z głodu, ale z radości zabijania, którzy palą wioski, kiedy nie trzeba im ciepła, którzy zabijają niemowlęta, ludzkie i zwierzęce, jak gdyby nie myśleli o jutrze. Myślę, że żołnierze z eskorty też się boją. Kiedy ich mijałam, w powietrzu unosił się zapach strachu...

Skrzywiła się, potem kichnęła.

— Co gorsza, obawiam się że niektórzy są szpiegami.

— Czy rozpoznałabyś ich znowu? Wierzba skinęła głową.

— Bardzo dobrze więc. Pilnuj ich.

Srebrzysty Śnieg wyciągnęła swój łuk i aż wywijiała nim z radości, kiedy oczy Wierzy otwarły się ze zdumienia.

— Nie jesteśmy tak całkiem bez broni... — powiedziała.

— Pani, gdyby oni wiedzieli, że potrafisz strzelać...

— Czy woleliby, żebym powiesiła się na swojej własnej szarfie ze strachu przed gwałtem? Za wszystkie planowane przez nich igraszki drogo mi zapłacą, a sama się zabiję, zanim się zabawią. Wierzbo, nie zapominaj, że oprócz towaru kupców wieziemy także jedwab, złoto i nefryt dla Syna Niebios. Nasza karawana byłaby bogatym łupem. Czy odkryłaś może ślady tych bandytów? — zapytała.

Wierzba położyła dłoń na swoich filcowych butach, z których jeden był grubo wypchany, by ukryć fakt, że jedną nogę miała krótszą od drugiej.

— Ach, pani, gdybym mogła biegać przez całą noc, mogłabym ich znów rozpoznać. Ale wtedy zostałabyś bez straży, bez obsługi...

— O czym ty mówisz? — zapytała Srebrzysty Śnieg. — Myślałam... — Wskazała na chromą nogę Wierzby, tam gdzie kryły ją fałdy szaty. Przecież chyba Wierzba nie przyznawała słuszności tym szkaradnym pogłoskom. Wierzba energicznie potrząsnęła głową.

— Kiedy twój czcigodny ojciec kupił mnie od handlarza niewolników, ledwo wyrastałam ze szczenięcia, zgubiwszy się zielarzowi, który mnie wziął do siebie. Jaką miałam szansę na przetrwanie bez pana? Mniej niż żadną. Więc zostałam. Starsza Siostró, pozwól...

— A ja myślałam, że mnie kochasz. Teraz mówisz, że gdybyś była cała i zdrowa, uciekłabyś i zostawiłabyś mnie! — W gardle Srebrzystego Śniegu wezbrał szloch, a oczy napełniły się łzami.

Wierzba chwyciła jej rękę w swoją, pokrytą odciskami dłoń.

— Nigdy bym cię nie opuściła. Tylko bandyci żerują na swoich i kalają własne gniazda. Zwierzęta odczuwają wdzięczność dla tych, którzy je karmią, ogrzewają... Kochają — mówiła Wierzba, kłaniając się niemal w pół. — Ta oto jest zwierzęciem u twoich stóp. Wybacz mi, Starsza Siostró, taką prostą mowę.

To było zbyt wielkie ryzyko... a jeżeli Wierzba padnie ofiarą szybkiej zabawy bandytów i powolnego bólu? Z drugiej strony to, że Wierzba chciała ryzykować siebie, mogło ich wszystkich ocalić.

— Tylko do zachodu księżyca. — Chociaż Srebrzysty Śnieg miała prawo rozkazywać, głos jej uniósł się, jak gdyby prosiła Wierzbę o wyrażenie zgody. — Bo czyż nie powiedział prawdziwie generał Sun Tzu, że „armia bez tajnych agentów jest jak człowiek bez oczu i uszu”?

— Czy ten mędrzec służył razem z twoim ojcem, niech Przodkowie będą mu przychylni? — zapytała dziewczyna. Kochana Wierzba! Nigdy chętnie nie brała

udziału w lekcjach Srebrzystego Śniegu, jakby ta nie próbowała jej uczyć.

Dla niej nie liczyły się nie długie tradycje ludzkości, ale widoki i zapachy kraju, przez który właśnie przejeżdżali, i mowa roślin i zwierząt; bo Wierzba, jak kobiety Hiung–nu, znała się na zwyczajach ziemi. Znała je i może jeszcze coś więcej, coś, czego przez te wszystkie lata, które spędziły razem, Srebrzysty Śnieg z premedytacją wzbraniała się pojąć.

Srebrzysty Śnieg, uparta w swej niewinności, była równie nieugięta jak Wierzba. A jeżeli pogłoski mówiły prawdę i Wierzba naprawdę była lisoduchem? Odpowiedz sobie sama na to pytanie, dziewczyno — pomyślała Srebrzysty Śnieg z surowością, która była dla niej czymś nowym. No i co, gdyby była lisem? Oddała ci swoje serce. Czy w tym przypadku cokolwiek jeszcze ma znaczenie?

Po raz pierwszy Srebrzysty Śnieg pomyślała to, co było nie do pomyślenia. Konfucjusz demaskował wiarę w lisoduchy jako wierutny przesąd. W porządku więc: powiedzmy po prostu, że Wierzba była mądra, że miała moc, niedostępną zwykłej kobiecie. I za miłość odpłacała miłością.

— To jest męska umiejętność; nie wiem nic o szpiegowaniu, ale wiele o zwiadach i węszeniu, jak to robią zwierzęta. Bo jestem mojej pani... sługą — powiedziała Wierzba, a oczy jej błyszczały odwagą i ironicznym humorem. — I będę postępować tak, jak mi nakazuje moja natura... i moja pani.

Czekała tylko na pełne wahania skinięcie głowy Srebrzystego Śniegu, zanim zaczęła wychodzić z wozu.

— Gdzie idziesz?

— Starsza Siostrze, na przespłegi do wilków. Wierzba uśmiechnęła się zagadkowo i wyslizgnęła się z wozu. Na zewnątrz Srebrzysty Śnieg usłyszała poszczekiwanie.

Jakiś nierozważny zwierzak odważył się podejść tak blisko do obozowiska uzbrojonych ludzi. Poszczekiwanie przepełnił ból, potem głos podniósł się przenikliwie, a ona wciąż wzbraniała się wyjść i zobaczyć, co się stało.

W końcu kiedy skomlenie i szczekanie zamarły w oddali, Srebrzysty Śnieg wyjrzała na zewnątrz. Na zdeptanym śniegu leżała gruba szata z owczej skóry... Pomimo swojej kulawej nogi, dziewczyna była wytrzymała. Odrzuciła prawdopodobnie szatę, żeby zyskać na szybkości i zręczności.

Nagle spod ciężkich skór wyczołgał się duży lis, a jego lśniące rude futro było niemal czarne w cieniu wózka. Zmusił się do wstania na nogi. Jedna jego łapa była

poważnie okaleczona. Dziewczyna wyciągnęła do zwierzęcia rękę, ale ono przemknęło koło niej i pobiegło w noc.

Srebrzysty Śnieg opierała się o ramę wozu z napiętym łukiem i przygotowanym sztyletem. Drzemała, nie ośmielając się głębiej zasnąć, żeby nie przeoczyć ataku. Gdzie była Wierzba? — zastanawiała się, kiedy upływała noc.

Gdyby to była normalna noc, dziewczyna dawno by już zalała ogień i wykonała inne drobne czynności w obozowisku swojej pani. Podniósłszy ciężki płaszcz Wierzby, Srebrzysty Śnieg wdziała go na siebie. Uszyty był na osobę wyższą i tęższą, układał się więc luźno na szatach Srebrzystego Śniegu. Zeszła z wozu, smakując słodcz powietrza, pomieszana z popielnym zapachem zamierającego ognia.

Na moment zatrzymała się, by patrzeć z podziwem na wielki hak niebios. Potem usłyszała odgłos butów i zeszywniała z jedną ręką przy sztylcie, a drugą gotową, by zarzucić ogień ziemią, tak by oboje z wrogiem w równym stopniu nic nie widzieli. Ale był to strażnik Ao Li. Srebrzysty Śnieg wezwała go do siebie naśladowując głos Wierzby tak dobrze, że aż się sama zdumiała. Przekazała mu wszystkie polecenia, jakie tylko mogła wydać jej „pani”.

Kiedy Ao Li pośpieszył z powrotem do strażników, Srebrzysty Śnieg pozostała na zewnątrz, natężając słuch. W końcu usłyszała pełne cierpienia szczeknięcie, jak gdyby zraniono psa lub lisa. Lub może była to, po prostu, ranna dziewczyna, doprowadzona do takiej udręki, że jej krzyki nie przypominały już ludzkich.

Uragliwy krzyk, uderzenie jakiegoś pocisku o powóz, pełne gniewu protesty innych w karawanie. Zwierzę za—skowyczało znowu i pobiegło w jej kierunku.

Jeżeli oni zrobili krzywdę Wierzbie, na własne oczy zobaczę, jak będą im odrąbywać głowy od ciał! — przysięgła Srebrzysty Śnieg porywcz. Postanowiła, że jeżeli Wierzba nie wróci, to pójdzie jej szukać.

Oparła się o wózek i usiłowała wyglądać na służącą, która skończyła z jedną robotą i ociąga się przed nie kończącym się ciągiem innych obowiązków. W czystym powietrzu nocy dźwięk niósł się wyraźnie. Srebrzysty Śnieg słyszała dyszenie zranionego, przerażonego zwierzęcia, uciekającego przed pogonią. Słyszała coraz wyraźniej zbliżające się zwierzę. Zmusiła się, by przyznać, że zwierzę pojawiło się, kiedy Wierzba zniknęła, było kulawe, tak samo jak Wierzba, miało kolor Wierzby, jej odwagę i uczucia. To musiała być ona!

To, z czym przez te wszystkie lata walczyła, nie chcąc uwierzyć, było prawdą: Wierzba była lisem. A przecież była także jej służącą, jej przyjaciółką, a teraz była w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Srebrzysty Śnieg podniosła dłoń do ust, całą siłą woli pragnąc, by Wierzba nie była tak ciężko ranna, że jej zwierzęce zmysły wezmą górę nad ludzką naturą, niweczając, być może, wszelkie jej wysiłki, by z powrotem zmienić postać.

— Wierzbo? — jej wołanie było niewiele głośniejsze od szeptu.

Odpowiedziało jej tylko ponowne skomlenie.

Kiedy ciemny lisi kształt chwiejąc się podszedł do ostatnich dogasających węgielków na ognisku, Srebrzysty Śnieg podbiegła do przodu. Zwierzę wzdrygnęło się, kiedy położyła rękę na jego prawym boku. Wzdłuż jednej łapy — tej kulawej — biegło rozcięcie. W ograniczonym świetle rana wyglądała na bolesną, ale nie na groźną. Podniosła drżącego lisa, który uniósł swoją zdrową przednią łapę, by pogłaskać jej policzek. Potem zaniósła zwierzę do wozu i ułożyła je przy misce z wodą, zanim pośpiesznie owinęła ciężką szatę wokół lisiej postaci Wierzby.

Zajęła się podgrzaniem odrobiny ryżowego wina, jeszcze jednego z luksusów, jaki pozostał z dawnych bogactw jej domu. Zwykle tak wysoko cenione wino zastrzeżone było dla Pałacu, ale jej ojciec miał mały zapas i dał go jej, by się rozgrzewała w czasie długiej drogi. Mówiono, że wino sprowadza gorączkę na rany, ale Wierzba była taka zimna. Jeżeli napije się teraz, może jej to pomoże.

Spowity w szaty lis rzucił się, najpierw słabo, potem z rosnącą siłą. Nie chciała patrzeć. Przemiana z lisa w dziewczynę przebiegła bardziej mozolnie, boleśniej, przerywały ją ciche szcęknięcia, stłumione ludzkie łkania i błaganie. Gdyby tylko istniała jakaś pomoc czy pociecha, jaką mogłaby przynieść Srebrzysty Śnieg!

Na zewnątrz niebo już bladło przed świtem. Wkrótce woźnice i strażnicy wstaną i ruszą do swoich zadań. Wierzba powinna była pracować, by pomóc przy odjeździe, ale było jasne, że dziś nie będzie w stanie pokazać się na zewnątrz. Po raz pierwszy Srebrzysty Śnieg zadowolona była z zasłon i zwyczajów, które wszystkich trzymały z daleka. Odsunęła na bok jedną z ochronnych zasłon i zajęła się codzienną pracą powoli i mniej zręcznie, niż to zwykle robiła Wierzba. Jeżeli ktokolwiek zauważy, jaka jest niezgrabna, przypisze to obolałym kościom i zmęczeniu.

Kiedy Srebrzysty Śnieg weszła znowu do wozu, poczuła uderzające do głowy opary grzanego wina. Wierzba leżała zwinięta w niespokojnym śnie w ciepłym

kłębowisku z szat.

Gdy podeszła, żeby je wygładzić, Wierzba krzyknęła i wzdrygnęła się. Szata rozchyliła się i ukazał się rozległe posiniaczony bok i rozcięta stopa. Niemniej oddech dziewczyny był tak regularny, że Srebrzysty Śnieg pomyślała, że nie ma ona połamanych żeber. Kiedy się obudzi, zabandażują jej piersi. Teraz trzeba zająć się stopą z zaognioną raną. Kiedy przemywała ją resztkami wina, Wierzba krzyknęła i ze wstrząsem wróciła do przytomności.

— Pozwól, niech z tym skończę, młodsza siostró — powiedziała półgłosem Srebrzysty Śnieg.

— Nie po to ryzykowałam życie, żebyś teraz musiała mnie pielęgnować — ucięła dziewczyna. — Musimy uciekać z tego miejsca. Czerwone Brwi, o których mówią ludzie, mają w tym obozie agentów, którzy podejrzewają, że wieiecie wielki skarb. To tylko dzięki łasce... — urwała.

W niebie lisoduchów musi być wielu bogów — pomyślała jej pani. Czy ci, którzy zmieniali postać, naprawdę mieli jakiegoś boga, do którego się modlili?

— Dobrze, że nie zaatakowali dziś w nocy. Twoi strażnicy są czujni, wierni tobie. Inni... zapamiętałam sobie jednego czy dwóch. Po drodze możemy spodziewać się bandytów: atak może nastąpić dziś w czasie podróży. Starsza Siostró, miej się na baczności. Jeżeli dziś w nocy będziemy obozować poza miastem, musimy dobrze na siebie uważać. Ta banda jest mocna i bardzo groźna. Wielu z nich to wieśniacy wyrzuceni ze swej ziemi, kiedy nie mogli zapłacić podatków bandytom lub urzędnikom, którzy kładą na wszystkim łapę w imieniu Cesarza.

— A więc to doznane krzywdy doprowadziły ich do tego — zauważyła Srebrzysty Śnieg.

Wierzba potrząsnęła głową. Oczy miała błyszczące i gniewne.

— Jeden z nich urządził mnie tak, myślę, że bez żadnego innego powodu jak ten, że przechodząc obok zakłóciłam jego myśli. Może ł wyrządzono im jakieś krzywdy, ale od tego czasu sami wyrządzali gorsze krzywdy. Pani moja, mówię ci, że musimy na siebie uważać, żeby nie wpaść w ich ręce! Wyglądaj gniadych koni. Słyszałam, jak między sobą mówili o gniadych koniach!

Rozdział czwarty

Srebrzysty Śnieg niewiele zażyła snu w tej ostatniej godzinie przed świtem, kiedy ciężka karawana z poskrzypywaniem ruszała w drogę do Chang'an. Chociaż już kilka razy spała dość wygodnie w wozie, wcisnąwszy się między koce i poduszki, dzisiaj wyrzekła się wszelkiego odpoczynku. Którzy to z forysiów byli szpiegami? Wielu z nich dosiadało gniadych koni. Z miejsca, jakie w szyku marszowym zajmował wóz, nie dało się zobaczyć, ilu ich było ani czy Wierzba rzeczywiście odkryła ich między strażnikami.

Poza tym służąca jej była apatyczna, miała chyba gorączkę, była zbyt słaba, by jak zwykle wymieniać ostre docinki z woźnicą, co w przeszłości dostarczało im okruczeństwa wiadomości. Wierzba drzemała albo rzucała się, chociaż stanowczo nie pozwalała, by Srebrzysty Śnieg ponownie obejrzała jej rany.

Dzień ten był jedną długą męką, sprawdzianem opanowania *i li*, czyli zasad i reguł postępowania Srebrzystego Śniegu. Musiała spokojnie siedzieć w swoim wozie. Nie miała też zamiaru prosić tego wyniosłego urzędnika o dodatkowych strażników oraz o zapewnienia, których zaprawdę nie mógł on udzielić nawet kobiecie tak cennej jak kandydatka na Cesarską Konkubinę.

59 Każdy kawałek drogi, jaki telepiąc się przejechał wóz, stawał się ciężką próbą, każda chmura mogła rzucać cień na gromadzące się Czerwone Brwi. Brzęk chłopskiej motyki na zamrzniętym polu brzmiał jak pierwsze skrzyżowanie mieczy w walce. Skrzypienie gałęzi czy trzask odłamującego się z powalonego przez zimę drzewa konaru brzmiały dla jej przemęczonego umysłu jak sygnał do ataku. Ale Srebrzysty Śnieg nie ośmieliła się poskarżyć urzędnikowi, który zaciekawiliby się, co wie i skąd to wie.

Srebrzysty Śnieg trzymała ręce biernie złożone w rękawach. Pod zewnętrzną szatą umieściła sztylet i strzały, łuk czekał na nią, napięty, ledwo przykryty zapasowymi poduszkami. Za każdym razem kiedy mijali chłopów, ciężkim krokiem idących po drodze, popadała w stan pełnej gotowości. Któż mógł wiedzieć, czy te poowijane w łatanie łachmany postacie nie były zwiadowcami i nie miały mieczy i łuków tuż pod ręką? Znowu próbowała przyglądać się każdemu znajdującemu się w zasięgu jej wzroku jeźdźcowi, który dosiadał gniadego konia. Czy to on był szpiegiem? Palcami przesuwała tam i z powrotem po rękoności ostrego małego

sztyletu, który wsunęła za szarfę.

Powoli mijał dzień. Zamiast cieni padających tylko tu czy tam, widoczność zaćmiewała mgiełka. Kiedy popołudnie przeszło w wieczór, niebo pojaśniało w takim stopniu, że na zachodnim widnokregu, w którego stronę podróżowali, przybrało delikatny odcień cesarskiego cynobru. Nawet ciężka pokrywa chmur zaczęła się rozpraszać, pozwalając by od nikłego światła długie cienie ludzi, koni, wozu padały na skute lodem pola.

Wierzba obudziła się i podciągnęła się do góry. Kiedy z cichym okrzykiem wciągnęła powietrze, Srebrzysty Śnieg znalazła się u jej boku. Ci żebracy tam w przodzie, dwóch czy trzech, jeden bez nogi. Uzbrojeni tylko w kije, jakie były im potrzebne do utrzymania równowagi na zdradzieckiej, śliskiej drodze, przycupnęli przy jej skraju, by przepuścić orszak, i wyglądali na przeraźliwie zmarzniętych. Kiedy mijał ich wyszukany powóz urzędnika, wyciągnęli błagalnie spękane dłonie. Powóz zatrzymał się ze skrzypieniem na władczy rozkaz jednego z forysiów urzędnika.

— Czemu się zatrzymujecie? — dobiegł krzyk, niosący się daleko w lodowatym powietrzu.

— Czyż miłosierdzie nie jest cnotą, panie? — To zuchwalstwo musiało odebrać głos urzędnikowi, bo nie odpowiedział. Dwóch strażników zsiadło i podeszło do żebraków, prowadząc swoje konie, gniade konie.

Srebrzysty Śnieg zamarła w napięciu. Po rozkazie, który zatrzymał karawanę, jej własny wóz zatrzymał się tuż przed żebrakami. U jej boku Wierzba syknęła. Zaciskała i prostowała dłonie, jak gdyby posiadała pazury zarówno w swej ludzkiej, jak i zwierzęcej postaci.

W jej zielonych oczach Srebrzysty Śnieg zobaczyła odbicie własnych podejrzeń i rosnącego przerażenia. Skinęła głową. Wierzba głęboko wciągnęła powietrze i wydała ostry, szczekliwy dźwięk. Posiadając umiejętności ludzi-lisów, wyrzuciła z siebie głos tak, że okrzyk wydawał się dobiegać echem spoza żebraków i strażników, którzy rzucali im teraz pieniądze.

Jeden ze strażników wyprostował się, zaszokowany. Wtedy Wierzba szczeknęła znowu i z najbliższej kępy poszycia wyprysnęły dwa lisy, które pobiegły ku żebrakom, rzucając się na nich. Nawet ze swojego miejsca Srebrzysty Śnieg widziała, że zwierzęta miały szkliste oczy. Futro im się zjeżyło, w taką panikę wprowadzało je to, co Wierzba rozkazała im zrobić, a co było pogwałceniem całego ich instynktu.

— Och, jakie one odważne! — zawołała Srebrzysty Śnieg. Pośpiesznie odciągnęła na bok zasłonkę i wychyliwszy się z wozu zobaczyła, że jej własna eskorta uformowała mur pomiędzy wozem a wrzawą szarpaniny.

— Moi przyjaciele — powiedziała Wierzba i wydała serię szczęknięć, które nawet dla przytępionego ludzkiego ucha brzmiały jak pochwała i zachęta. Lisy spojrzały raz na wózek, ostro dały głos i zniknęły, zanim którykolwiek z klnących ludzi zdołał się poruszyć.

Jeden z żebraków, ten, który pierwszy stracił równowagę po nagłym, zaciekłym ataku lisów, próbował podnieść się z ziemi. Brudna szmata, którą nosił w miejsce czapki, zniknęła teraz pod przekrzywiającym się zawojem i ukazały się ufarbowane na żywy szkarłat brwi. Ich nienaturalny kolor powodował, że oczy człowieka wydawały się pałać ogniem raczej niż zwykłą chciwością czy pożądaniem gwałtu i kto wie czego jeszcze.

Srebrzysty Śnieg głęboko zaczerpnęła powietrza. Teraz kolej na nią, chociaż niechęcią przepelniała ją konieczność dalszego udawania bezbronnej kobiety. Odrzucając w tył głowę, wydała przeraźliwy krzyk, sama pod wrażeniem przenikliwej nuty grozy, którą udało jej się do niego wprowadzić.

Jej straż zadziałała bezzwłocznie. Łucznicy zajęli pozycje na skrzydłach. Głosem zdartym przez lata wyrzaskiwania rozkazów na stepie, Ao Li okrzyknął alarm.

— Uwaga! Bandyci, szpiedzy! Włócznicy do mnie!

Na to eskorta urzędnika ruszyła galopem. Niestety wydawało się również, że zza każdej mogącej służyć za osłonę kępy, z każdego rowu i zza każdego drzewa zaczęli pojawiać się następni ludzie przebrani za żebraków. Nakrycia głów mieli odepchnięte w tył, tak że nie zasłaniały już one brwi, ufarbowanych jak krwawe cięcia na czołach. Każdy z nich miał zarówno kij, jak i sztylet, wielu posiadało również włócznie, łuki i miecze. Ci, którzy pojawili się teraz w odpowiedzi na przenikliwy gwizd, dosiadali gniadych koni.

Srebrzysty Śnieg czytała o bitwach, ale nie myślała, że kiedykolwiek jakąś zobaczy. Ta bijatyka na lodzie i śliskim od krwi śniegu nie przypominała w niczym zdyscyplinowanego gromadzenia i rozpraszania oddziałów, jak to w swoich zwojach opisywał generał Sun Tzu. Mimo że było tak zimno, wstrząsnął nią zapach krwi i śmierci. Było to gorsze od polowania, jak pożar lasu jest groźniejszy od ognia na kominku.

Wierzba cofnęła się w kąt wozu, kuląc się z pochyloną głową. Srebrzysty Śnieg złapała ją za przegub ręki.

— Podawaj mi strzały! — rozkazała.

Zobaczyła, że jej łucznicy ustawili się w formację skrzydłową, która chwyci bandytów w śmiercionośny ogień krzyżowy, jeżeli eskorta urzędnika zapędzi ich pomiędzy skrzydła. Jedynym problemem — ale za to istotnym — było to, że jej wóz znalazł się zbyt blisko linii ataku.

W tym ścisiku nikt nie zauważył strzał wylatujących z kierunku, z którego nikt się ich nie spodziewał. Przynajmniej taką miała nadzieję. Wycelowała starannie, starając się ustrzelić bandytę, który coś warknął i przebił jednego z wołów. I oto grzebał on przy swoim oku, szkarłatną krwią plamiąc czerwień brwi, kiedy próbował wyciągnąć jej strzałę. Odkryła nagle, że chociaż jej ofiara pewnie by z radością zabiła ją czy zgwałciła, uśmiercenie go nie było tym samym co uśmiercenie zwierzęcia. Trzęsły jej się ręce; spudłowała następną strzałę i szybko zawstydziła się. Miała ściśle ograniczony zapas strzał; potrzebna jej była niezawodna ręka.

W walkę, jak zobaczyła, wdał się nawet sam urzędnik, z mieczem w ręku. Dosiadający konia bandyta, zwabiony bogactwem sobolowych szat wielmoży, ruszył konno w kierunku urzędnika i okrutnie się zamachnął. Srebrzysty Śnieg wycelowała starannie, ale interweniował Ao Li, przebiegłym pchnięciem włóczni powalając dławiącego się człowieka na ziemię. Na jego gest dwóch jeźdźców odciągnęło bandytę z miejsca walki.

Ten jeniec musiał być przywódcą. W chwili jego pojmania reszta wpadła w panikę jak mrowisko, w które ktoś wetknie kij. Wyłamali się z nierównego szyku, w którym dotąd walczyli, szarżując teraz, tnąc, siekąc i strzelając z determinacją zapędzonych w kąt wilków.

Oczy Wierzby błyszczały i znowu szczeknęła, uśmiechając się, kiedy z cieni wyprysnęły zwierzęta, by ciąć bandytów po kostkach, zręcznie unikając ich ciosów.

— Zabijają ich! — zaprotestowała Srebrzysty Śnieg.

— Starsza Siostrze, wiele z nich z chęcią umrze, by uchronić swoje młode lub by pomścić te, które już utraciły. One też są żołnierzami... tam! — Pokazała palcem, a Srebrzysty Śnieg naciągnęła łuk i strzeliła w bandytę, który ciął w dół i okaleczył prawą rękę Ao Li, tak że stał on teraz bez broni.

— Cofnij się! — zawołała Srebrzysty Śnieg, ale oczywiście stary tego nie zrobił. Chwytnąjąc lewą ręką włócznię padłego bandyty nacierał, aż z dwóch różnych

stron ruszyło na niego dwóch bandytów. Ich podwójny atak powalił go.

Srebrzysty Śnieg zamruła z furją. W kącikach jej oczu wezbrały łzy. Dla ludzi Ao Li jego śmierć była równie impulsem, jak dla bandytów pojmanie ich wodza. Żołnierze następowali nieubłaganie, z groźną twarzą, rozwijając się w dobrze wyćwiczone formacje, którym bandyci nie mogli sprostać ani przed którymi nie mogli się wycofać.

— To jest kraj śmierci — powiedziała półgłosem Srebrzysty Śnieg.

— Tak. — Wierzba przytuliła się mocniej do swojej pani, niosąc jej pociechę, tak jak zwierzę podnosi na duchu swoje małe.

— Nie! — wydała okrzyk pani Srebrzysty Śnieg. — Tu nie chodzi o to, co naokoło siebie widzimy. Ci, z którymi walczymy, muszą się mieć gdzie wycofać albo szybko ich pochłonie kraj śmierci.

— To też coś z twoich pokrytych kurzem zwojów, pani? — zapytała Wierzba.

— Tak, Sun Tzu uczył, że żadnej armii nie wolno nawiązywać kontaktu bojowego w kraju śmierci, a przez kraj śmierci rozumiał każdy teren, z którego wróg nie miał szansy wycofać się.

Wierzba skinęła głową.

— Tak brzmi prawda. Czy nie widziałam sama, jak lisica przyparta do muru przez psy odwróciła się i zaczęła walczyć, zabijając jednego psa i zmuszając drugiego, by pozwolił jej uciec do jamy? Nie możemy pozwolić, by ślepa odwaga żołnierzy przyparła bandytów do takiego właśnie muru.

Wykrzyknęła ponownie coś w tym dziwnym, szczekliwym języku, co brzmiało jak szereg rozkazów. Oczywiście stało się, jak wielką władzę mają lisoduchy nad braćmi „po futrze”, kiedy zwierzęta rzuciły się z ukrycia do ataku, rozpraszając zarówno żołnierzy, jak bandytów swoim wypadem i równie nagłym i niespodziewanym odwrotem. Wierzba nie miała zamiaru pozwolić, by jej przyjaciele zostali zapędzeni w swój własny kraj śmierci.

— Gniade konie — przypomniała Wierzba.

Miała rację. Czyż niektórzy ze strażników nie byli szpiegami, zasługującymi na nie lepszy los niż inni czerwonobrewi spiskowcy? Podpełzłszy na drugi koniec wozu, Srebrzysty Śnieg zdążyła wyrzeć akurat w chwili, kiedy jakiś mężczyzna, noszący liberię strażnika, wybrał sobie do zabicia jednego z żołnierzy. Naciągnęła i strzeliła, a Wierzba z aprobatą kiwnęła głową.

— A teraz tego! — szepnęła, wyciągając zakończony ostrym paznokciem

palec.

— Szybko, Wierzbo! Jeszcze jedną strzałę! — Konny bandyta, jeden z tych, którzy zabili Ao Li, uderzył na urzędnika, który chwycił lejce konia bez jeźdźca. Srebrzysty Śnieg jednym gładkim, wypraktykowanym ruchem założyła strzałę, naciągnęła i strzeliła. Bandyta padł, chwytając się za pierś, z której sterczała strzała, pograżona aż po belt. Nie wiedziała, że ma tyle siły, by posłać strzałę tak głęboko... Ao Li! Ta śmierć była za ciebie! Czy widziałeś? Czy aprobujesz?

Nie była jednak pewna, czy wyraziłby aprobatę. Życie swe spędził na służbie u ojca, a śmierć dopadła go na służbie u córki. Jednakże mógł nie aprobować udziału damy w walce.

— Uwważaj na gniade konie — szeptała Wierzba.

Żołnierze znowu parli naprzód. Potem urzędnik coś zawołał, a Srebrzysty Śnieg przytaknęła z aprobatą. On także czytał Sun Tzu i żał mu było tracić więcej ludzi. Bandyci odwrócili się i uciekli, zostawiając za sobą zabitych i rannych.

Teraz, kiedy już było po bitwie, Srebrzysty Śnieg próbowała ukryć swój łuk pod poduszkami i kocami w wozie, ale dygotała tak gwałtownie, że pozwoliła Wierzbie wepchnąć się w gniazdo, które miało je trzymać w ciepłe. Ręce jej drżały i łuk z nich wypadł. Pod szatami spływały z niej strumyczki potu, ale trzęsła się z zimna. Przycisnęła dłonie do płonących policzków. Jej łuk — musi go ukryć! I opanowała się na tyle, by wepchnąć go pod poduszkę.

Z zewnątrz dochodził do niej ochryply teraz głos urzędnika, rozkazującego by związać bandytów, by tym z nich, którzy odnieśli rany, zabandażowano je. Będą skazani, tego była pewna, na jeden z bardziej bolesnych rodzajów śmierci.

Jej ojciec całe życie spędził na takich działaniach, nigdy jednak w stosunku do innych nie był szalony, brutalny. Zaprawdę, bardziej jeszcze był godzien czci, niż była to w stanie pojąć w swej, jak ją teraz postrzegała, bezpiecznej niewinności. Może będzie mogła do niego napisać, by mu to przekazać. Należał mu się również i ten hołd.

I oto powoli posuwał się w jej kierunku oddział jeźdźców w spleśniałych ubraniach i starych skórzanych zbrojach. Kilku z nich wyraźnie wyęczało siły, by trzymać się dumnie, przecież nie z szacunku dla niej, którą znali, odkąd dorosła na tyle, by strzelać do celu czy jeździć na kucyku. Nie, oni maszerowali ku czci człowieka, którego ciało złożyli przed wozem.

Oczy pani Srebrzysty Śnieg wypełniły się łzami. Na twarzy starego przywódcy

oddziału malował się wciąż gniew i zaskoczenie, chociaż krew ciekąca z ust i z nosa zmieniała tę dobrze znaną (i dla niej zawsze życzliwą) twarz w maskę demona. Jego otwarte oczy wpatrywały się w ciemniejące niebo.

Co zrobiłby jej ojciec? Tak daleko od niego musi zająć miejsce generała, dla którego zginął Ao Li. Wciągnawszy głęboki, rozdygotany oddech pochwyciła welon i wyszła ze swojego wozu.

Uklękła przy boku strażnika, wyciągnęła rękę i zamknęła jego szeroko otwarte oczy.

— Pomściłam cię, stary przyjacielu — powiedziała półgłosem.

Przeszedł ją dreszcz. Przez chwilę myślała, że zrobi jej się niedobrze. Byłby to straszny, niepomyślny moment na taką słabość. Zaskoczyło ją nagle, mocne uszczyknięcie przez Wierzbę, która pomagała jej podnieść się na nogi i podniosła wzrok, by dowiedzieć się, jaki był powód tego ataku.

Przymknęła oczy, ogarnięta chwilowym rozgoryczeniem, po raz pierwszy w swoim życiu żałując, że nie jest w stanie popaść w omdlenie, kiedy tego chce. Bo tylko taka słabość pozwoliłaby jej uniknąć stanięcia twarzą w twarz z urzędnikiem, który ceremonialnie zbliżał się teraz ku niej w swoich obszernych, zbyt kownych, a teraz przepoconych i poplamionych krwią szatach, sapiąc i kiwając głową.

Stała oto spocona, wstrząśnięta, otoczona jeźdźcami swojego ojca. Twarz miała naga jak chłopska dziewczyna, nie wahała się patrzeć na bitwę i rany ani zamknąć oczu umarłemu. Przynajmniej — pomyślała w popłochu — jej łuk został bezpiecznie ukryty pod poduszkami. Szybko narzuciła na siebie welon.

Gdyby nie to, że zdążyła się opanować, pewnie jęknęłaby na pierwsze słowa urzędnika.

— Ta dama — skłonił się, podobnie jak ona, nawet jeszcze głębiej — jest wojownikiem o niepośledniej dzielności.

Jakoś udało jej się, mimo szkarłatu, jaki zabarwił jej policzki, zrobić zmieszaną minę.

— Ao Li — spojrzała smutno na zmarłego — był jednym z najwierniejszych towarzyszy ojca tej oto nic nie wartej.

— Został godnie pomszczony. — Urzędnik skinął na jednego czy dwóch ludzi ze swej straży i wydał szybkie, jakże pożądane rozkazy, by pomogli doprowadzić ciało Ao Li do porządku. Srebrzysty Śnieg padła na kolana.

— Ta oto błaga najszlachetniejszego pana, by zacny Ao Li został zwrócony do

kraju jej ojca, gdzie będzie mógł spocząć w znajomej ziemi — wyszeptła ze spuszczoną głową, pozwalając popłynąć łzom teraz, kiedy opadła bezpośrednia groza walki.

— Wstań, wstań — nalegał urzędnik, machając wypielegnowaną dłonią, poplamioną teraz i pokrytą pęcherzami od pracy mieczem i łukiem. — Niech się stanie, jak sobie życzysz, pani. Ale będzie to znaczyło, że do Chang'an przybędziesz z mniejszą eskortą, niż to wypada.

Srebrzysty Śnieg podniosła się, tym razem nie czekając na pomoc Wierzy.

— I cóż to za różnica? — zapytała, zrywając z formalną mową i ośmielając się spojrzeć mężczyźnie w jego zdumione czarne oczy. — Ao Li spocznie na swoim miejscu, oplakany jak trzeba przez swych synów i przyjaciół. W porównaniu z tym, to czy straż moja liczyć będzie trzech czy trzydziestu, nie ma żadnego znaczenia... najszlachetniejszy panie — dodała z poczuciem winy na syknięcie Wierzy.

— Dobrze rozumiesz lojalność żołnierza — powiedział urzędnik. — Słyszałem, jak wydałaś rozkaz... nie, nie kiwaj dłonią i nie patrz, jak gdybyś chciała zaprzeczać... by pozwolić kilku bandytom uciec. Chciałbym wiedzieć dlaczego.

Srebrzysty Śnieg spuściła oczy na pobrudzone czubki swoich filcowych butów, zobaczyła, jak urzędnik niecierpliwie postukuje swoim butem i zdała sobie sprawę, że musi odpowiedzieć.

— Kraj śmierci — powiedziała, posługując się tym zamierającym szeptem, którego, jak próbowała nauczyć ją niania, powinna zawsze używać, kiedy mówi do mężczyzn. — Nie mieli już przywódcy. Bez niego byli jak ptak z ukreconym łbem. Może on jeszcze przez chwilę podskakiwać, ale śmierć mu już pisana. Jednak gdyby ich pozbawić swobody ruchów, mogli walczyć jak ktoś, kto wie, że jest już skazany na zatracenie. W każdym razie — dodała pośpiesznie — tak kiedyś powiedział mój ojciec.

— A ty słuchałaś swojego ojca, nawet kiedy cytował Sun Tzu — powiedział urzędnik.

— Jest obowiązkiem tej oto, i zaszczytem dla niej, słuchać, jeżeli jej ojciec zechce przemówić.

— Czy to on także nauczył cię naciągać łuk? — zapytał urzędnik.

Srebrzysty Śnieg ponownie spuściła oczy uświadamiając sobie, jak silną obronę stanowiły konwencjonalne przejawy dziewiczej nieśmiałości.

— Widzę, że masz przy sobie nóż...

I znowu spojrzała mu w oczy, tym razem nierozmyślnie.

— Jestem córką markiza, nawet jeśli jest w niełasce. I być może, oby to się podobało Przodkom, mam zostać konkubiną Syna Niebios. Jakżebym mogła nadal istnieć, gdyby splugawili mnie tacy jak oni?

— Pani, pani — przerwał jej urzędnik — chociaż to zdrada szepnąć tak, szkoda ciebie dla Pałacu, gdzie może są damy równie piękne, ale daleko bardziej bogato przystrojone i zręczniejsze w sztuce udawania niż ty. Gdybyś pozwoliła mi... pani — niemal zająknął się z gorliwości, by przedłożyć jej swój plan. — Mam najstarszego syna, wspaniałego młodzieńca. Pozwól mi być jego swatem...

Srebrzysty Śnieg zarumieniła się znowu, tym razem z prawdziwego gniewu. W poszukiwaniu odpowiedniej narzeczonej dla swego syna ten człowiek zapomniał nie tylko o strachu, ale i o honorze. Czy dlatego, że jest córką człowieka uważanego za zdrajcę, może się do niej tak odzywać?

— Zostałam przyrzeczona... ja i wraz ze mną honor mego ojca... Pałacowi i udam się tam! Twe słowa nie przynoszą nam zaszczytu, panie mój.

Odwrociła się i podążyła do swego wózka.

— Pani, zawstydzasz mnie! — zawołał za nią urzędnik. — Masz rację, pani. Ale przyjmij poradę co do zasad i reguł postępowania od tego samego Konfucjusza. Kiedy znajdziesz się w obcej cywilizacji, przystosuj się do obcych zwyczajów.

Odwrociła się, wciąż jeszcze bardzo rozgniewana, i odparowała jego cytaty własnym.

— Wystarczy własna autentyczna natura.

— Ale jak niewielu ludziom udaje się ją zachować przez dłuższy czas! — skwitował urzędnik jej stwierdzenie. Jego czapeczka, przy której jedno z nakrochmalonych czarnych skrzydełek zostało niemal odrąbane, prawie podskakiwała mu na głowie z zapалу i, co uświadomiła sobie teraz Srebrzysty Śnieg, z radości! Tak kiedyś wyglądał jej ojciec, kiedy po raz pierwszy okazało się, że nie jest niegodnym przeciwnikiem w szachach.

— Kiedy człowiek rozwinie swoją naturę jak najpełniej, przekonuje się, że zasady wierności i wzajemności nie są czymś od tej natury niezależnym — zacytował. — Wiemy, że to jest prawda i czcimy mędrca, który to pierwszy napisał. Ale powiem tobie, pani, miej się na baczności! Nie zawsze trafisz na ludzi honorowych, którzy studiują i szanują klasyków i sposób życia, jakiego ci uczą. A takie spotkania mogą aż do załamania przetestować, czy będziesz potrafiła zachować opanowanie w obliczu

przeciwności losu tak dobrze, jak to zrobiłaś dziś w czasie bitwy. Czułbym się zaszczycony mając cię za synową, byłabyś szanowanym i cenionym dodatkiem do rodziny i jej majątku. Lepsze by to było, niż być leniwą ozdobą dworu. Ponownie Srebrzysty Śnieg potrząsnęła głową.

— Twoje słowa przynoszą nam obojgu wstyd — tobie, że je wypowiadasz — mnie, że ich słucham.

Urzędnik ze zrozumieniem skinął głową.

— Żałuję, że nie mogę powiedzieć, że byłbym również rad, gdybyś była życzliwą mi osobą na dworze, ale nie spodziewam się, byś miała prosperować, jeżeli nie nauczysz się naginać.

Srebrzysty Śnieg ukłoniła się, ukryła dłonie w rękawach i tym razem czekała, by pozwolił jej odejść. Mężczyzna, z wargami ściśniętymi i skrzywionymi jak gdyby przeżuwał jakieś niesmaczne jedzenie, skinął dłonią, by odprawić ją do jej schronienia w wozie. W chwilę później usłyszała, jak ze złością krzyczy na żołnierzy.

Rozdział piąty

Przed orszakiem powozów, wózków, koni i żołnierzy, z których część wciąż jeszcze kulała po spotkaniu z czerwonobrewymi bandytami, wznosiły się rozległe przedmurza wschodniej ściany Chang'an. Biegła ona prostą, wspaniałą linią z północy na południe i wyznaczała domenę Yang i domenę zenitu Słońca, żeglującego po niebiosach. Kiedy jej wóz manewrował w poszukiwaniu miejsca wśród tysięcy innych, tłumnie zdążających do stolicy, Srebrzysty Śnieg przyglądała się miastu. Po raz pierwszy odkąd wyruszyła w tę podróż, wdzięczna była za odgradzające ją od świata zasłonki. Jeżeli nawet powodowały one, że jechała w ciągłym półmroku i nie mogła do woli oddychać świeżym powietrzem, to przynajmniej chroniły od wścibskich oczu, kiedy wpatrywała się — czy raczej usiłowała się wpatrywać — w pojawiające się teraz przed nią cuda.

Podobnie jak Mur, który w okolicy domu dominował na widnokrzęgu, a którego — Srebrzysty Śnieg pogodziła się z tą myślą — miała już nigdy nie zobaczyć, tak i mury obronne Chang'an zbudowano z ubitej ziemi i cegieł. Ale tu kończyło się wszelkie ich podobieństwo. Mur na północnej granicy był stary, miejscami się osypywał: ospały smok, którego we śnie okrywał śnieg. W porównaniu z nim fortyfikacje Chang'an to były istne cesarskie smoki, błyszczące od ozdób, noszące na sobie uzbrojonych wartowników, którzy zazdrośnie wyglądali znad każdej z trzech bram, przebitych w grubym, pochyłym murze.

Zanim zdołała się powstrzymać, wyciągnęła rękę w kierunku nacięcia, jakie zrobiła sobie w zasłonach wozu. Wiele słyszała o bramach Chang'an. Do każdej bramy prowadziły trzy osobne wejścia; każde z nich mogło pomieścić w sobie naraz trzy wozy. Wydawało jej się, że potrafi wyczuć, jak pod tyłoma wozami i końmi, dążącymi do jednego miejsca, drży ziemia. Chang'an tworzyło nie tysiąc rodzin, ale dziesiątki tysięcy. Srebrzysty Śnieg nigdy nie myślała nawet o takiej masie ludzi, z których wszyscy tłoczyli się za niesamowicie grubymi murami miasta. O tej godzinie robotnicy krzyczeli i walili w ściany, a ich głosy dochodziły do niej z oddali. Nieokrzesane narzecza mężczyzn, spędzonych tu z najdalszych zakątków Państwa Środka, szły w zawody z mową, którą tak dobrze знаła.

Kiedy palce jej dotknęły zniszczonego materiału, siedząca za nią dama zakasłała leciutko z napomnieniem i wyrzutem.

— Wybacz mi, Starsza Siostró — powiedziała Srebrzysty Śnieg i pochyliła głowę z udawaną skruchą i prawdziwym wstydem, jako że pani Lilak, swatka, która w końcu dołączyła do ślubnego orszaku Srebrzystego Śniegu niecałe dwa dni drogi od miasta, była kobietą, której ani poważać, ani ufać nie mogła. Ukryła dłoń w rękawie, by dama ta nie skorzystała ze sposobności i nie zrobiła użytku z jej wyglądu, krótkich paznokci i odcisków, wygłaszając następny wykład na temat, jak w godny ubolewania sposób Srebrzysty Śnieg niegodna jest życia w Pałacu.

Przynajmniej głos jej był cichy i czysty, a słowa odpowiednio szybkie i pokorne! Lilak skinęła głową, szybkie, ledwie dostrzegalne uniesienie obramowanego futrem kaptura, tak czarująco otaczającego twarz, która, chociaż już nie pierwszej młodości, odznaczała się tą pulchną, delikatną urodą, której jej samej brakowało. Rysunek jej brwi, dzięki depilowaniu, delikatny był jak ćma, usta były pełne i okrągłe jak zimowa śliwka, chociaż uśmiech był nazbyt słodki, jakby nadpsuty. Zakasłała teraz znowu, jak gdyby chcąc udowodnić, że wciąż nie doszła jeszcze do siebie po tej ubolewania godnej chorobie, która zmusiła ją, by opuściła grupę urzędnika w pierwszym nadającym się do tego majątku sędziego, niemal na śmierć zmożona przez kaszel, który zadawał jej katusze, gorączkę, która odarła jej twarz z młodości, i dreszcze, przez które zęby jej szczykały w sposób szokująco niegodny damy. Nie, nawet gdyby wystarczyło jej sił, żeby zabrać się za tę córkę zhańbionego prowincjusza, do głowy by jej nie wpadło, żeby miała napominać dziewczynę, do której wysłał ją Mao Yen-shou, po trzykroć czcigodny Główny Eunuch, by kierowała nią i strzegła jej w drodze do Chang'an z jakiejś tam barbarzyńskiej lepianki, w której się wylęła. Była jedynie niepokieszona, że nie mogła udzielać pani Srebrzysty Śnieg pouczeń podczas całej drogi do Chang'an; bo, na Przodków, dziewczynie rozpaczliwie potrzebny był trening, jeżeli nie miała stać się pośmiewiskiem wśród poloni i gracji dam, które miały prawo mieszkać w obrębie Dziewięciokrotnych Bram.

Srebrzysty Śnieg spuściła oczy i stłumiła westchnienie. Z tak daleka przybyła, by zobaczyć wspaniałe mury Chang'an; a teraz wyglądało na to, że znajdzie się w ich obrębie, zamknięta w ścianach Pałacu i nigdy nie będzie miała okazji, by się im napatrzeć, tak jak chciała. Przynajmniej nie próbowała już rzucać Wierzbie rozbawionych spojrzeń. Taka wspólnota myśli była zbyt niebezpieczna dla jej służącej. Kiedy Srebrzysty Śnieg została po raz pierwszy przedstawiona pani Lilak na wewnętrznych dziedzińcach sędziego, z mnóstwem ukłonów i powiewaniem rękawami w jak najlepszym stylu, Lilak dostrzegła w półmroku Wierzbę i aż cofnęła

się ze zgrozy.

Przynajmniej ten jeden raz — pomyślała Srebrzysty Śnieg z ironią — reakcja tej starszej kobiety nie była udawana. Wzdrygnęła się zatrwożona, a potem zmieniła ten gest w delikatny, suchy kaszel, mający przypomnieć, jak bardzo byk chora. Ten kaszel, o ile mogła zorientować się Srebrzysty Śnieg, był jedyną pozostałością po jej chorobie. Kiedy go usłyszała po raz pierwszy, popełniła ten błąd, że ukloniła się ponownie i zanim do niej przemówiono, wypaplała, jak to jej służąca dobrze zna się na ziołach. Z pewnością, proponowała, Wierzba będzie umiała sporządzić jakiś napar, który przyniesie ulgę w kaszlu.

Na samą myśl o tym pani Lilak spiorunowała ją wzrokiem, a Srebrzysty Śnieg zdała sobie sprawę, że jej swatka była jedną z tych dam, które choroby używają jako wymówki przy unikaniu niemiłych im zadań — a w tym przypadku zadaniem takim było przewiezienie pani Srebrzysty Śnieg na południe, do Chang'an. I do tego jeszcze wozem zaprzęgniętym w woły! Poza żalem, że zasady i reguły postępowania nie pozwalały jej jechać konno, Srebrzysty Śnieg niewiele miała mu do zarzucenia jako środkowi transportu. Lecz pani Jedwabisty Lilak uznała właśnie tę nieświadomość za jeszcze jedną wadę: Srebrzysty Śnieg powinna była popadać w omdlenie, aż by jej podstawiono powóz o kołach owiniętych filcem, o oknach zasłoniętych najdelikatniejszym brokatem.

Lilak nie miała oczywiście najmniejszego zamiaru udawać się w ciężką podróż na północ. Nie mogła jednak odmówić rozkazowi Głównego Eunucha. Nie było to jej winą, jeżeli na skutek niemocy musiała opuścić grupę urzędnika i popaść w luksusowe nieróbstwo w domu sędziego, gdzie pławiła się w galanterii, jakiej jej nie szczędzono, jak gdyby to ona sama była Znamienitą Konkubina, a nie zaledwie damą czwartej rangi, do której raz czy dwa razy uśmiechnął się Cesarz.

Wcześniej spiorunowała wzrokiem Wierzbę, było jasne, że nie zalicza jej nie tylko do tych, którzy cokolwiek znaczą, ale nawet do ludzi. Równie oczywiste było to, jak sobie uświadomiła wkrótce Srebrzysty Śnieg, że jej kaszel był tak samo fałszywy jak przywoływany na usta uśmiech czy afektowane okrzyki zgrozy, jakimi powitała odciski od łuku na prawej dłoni Srebrzystego Śniegu czy inne dowody na to, jak absolutnie niewarta była ta dziewczyna z Północy wysokiego stanowiska, na które została powołana.

Chociaż Lilak utrzymywała, że nigdy nie słucha plotek służących czy żołnierzy, w rzeczywistości z zapalem podsłuchiwała. Dowiedziała się więc o bitwie

stoczonej przez Srebrzysty Śnieg z bandytami i twierdziła, że groza ją przejmując na myśl, że kandydatka do cesarskiego łoża mogła się tak poniżyć.

Co stanie się z Wierzbą, jeżeli Lilak nie pozwoli dziewczynie towarzyszyć swojej pani? Srebrzysty Śnieg nie łudziła się, żeby z takiej odległości od majątku jej ojca Wierzbę ktokolwiek zechciał odwiedzić na Północ. Dla tej wiernej dziewczyny oznaczałoby to truciznę, stryzyk lub targ niewolników, albo los gorszy od śmierci, gdyby ktoś odkrył jej tajemnicę, czym groziły usiłowania czynione przez Lilak.

Srebrzysty Śnieg próbowała zjednać sobie tę starszą kobietę. Jak rekrut, który staje przed przeciwnikiem przewyższającym go doświadczeniem, otwiera swój arsenał, przypominała sobie i usiłowała zastosować każdą ze sztuczek, jakie tylko widziała w użyciu na różnych dziedzińcach wewnętrznych, na których gościła po drodze do Chang'an, te zamierające szepty, uśmiechy, spuszczone oczy, wyznania skrajnego i absolutnego posłuszeństwa, a nawet wstręt do brudu, zimna czy jakiegokolwiek niewygody. Opieszałość Lilak i zaniedbywanie przez nią obowiązków mogły zasługiwać na pogardę, ale ona sama nie była tak głupia, żeby dać się zwieść maską, w jaką próbowała przystroić się Srebrzysty Śnieg. Wrodzony spryt wiejskiej dziewczyny nie mógł się równać z umiejętnościami damy dworu w dziedzinie podstępu i fałszu.

Chociaż wysiłki Srebrzystego Śniegu, by zmienić swoje zachowanie, wcale nie budziły życzliwości w swatce, pozwoliły przynajmniej Wierzbie usunąć się w cień i Srebrzysty Śnieg ze swą wzdychającą, niechętną opiekunką mogły jechać wozem w pozornym spokoju.

Mogło tak być, powiedziała Wierzba, zanim wycofała się w milczenie — które dama potępiła jako dąsy — że czuła się dotknięta rolą swatki, przez co weszła w szeregi starszych dam, zbyt starych by wpaść Cesarzowi w oko, urodzić syna i zyskać łaskę i szczęście dla swej rodziny.

A gdyby — pomyślała nagle Srebrzysty Śnieg — miała dla tej starszej kobiety jakiś inny podarunek, a nie napary z ziół? Ta myśl zaszokowała ją. Przeraził ją sam pomysł, że można przekupić kogoś, kto zajmował pozycję cesarskiego przedstawiciela. Usiłowała wygnać tę myśl z umysłu, ale tkwiła tam uparcie: Lilak mogła wiele ją nauczyć, wiele przekazać, ale taka nauka miała swoją cenę. Sama myśl o przekupstwie była odrażająca. Oprócz tego Srebrzysty Śnieg wiedziała, że żadna z jej szat ani ozdób nie wzbudzi pożądania tej damy. Nie mogła też bez uszczerbku dla siebie oddać niczego ze swego nadzwyczaj skąpego bagażu. Niczego, oprócz

nefrytowej zbroi — a ta była przeznaczona dla samego Syna Niebios.

Miała ogromną ochotę odrzucić na boki zasłony i gapić się jak najpospolitsza, ale i najweselsza dziewczucha wiejska, kiedy koła jej wozu z turkotem wjechały w głęboko wyżłobione koleiny na drodze, która prowadziła do Chang'an.

Teraz, kiedy podjeżdżali do wielkich bram miasta, Srebrzysty Śnieg nie śmiała wyrzeć za zniszczone podróżą zasłonki! Trzeba jej było dłuższego czasu, kiedy sama sobie robiła surowe wyrzuty, zanim przyjęła to ograniczenie z godnością, jaką gorąco zalecali jej Konfucjusz i własny ojciec. Gdyby tylko w protekcyjnej paplaninie Lilak znalazły się jakieś rady, których będzie potrzebowała w mieście tak olbrzymim i wspaniałym jak Chang'an! Gdyby pani Lilak była swatką z prawdziwego zdarzenia albo nawet tylko kobietą o życzliwym sercu, Srebrzysty Śnieg mogłaby wejść do Pałacu mając tak pełne rozeznanie jak generał, który rozesłał dobrze wyćwiczonych zwiadowców. Posiadając te informacje, mogłaby przystąpić do walki najpierw o uwagę Cesarza, a następnie o jego przywiązanie.

Ponieważ tego zabrakło, Srebrzysty Śnieg mogła tylko dokładać wszelkich starań i wykorzystywać do maksimum te wiadomości, jakie mimochodem wymknęły się damie.

Ale Jedwabisty Lilak mówiła tylko o drogim Mao Yen-shou, o świetności Syna Niebios, o przepychu szat Pierwszej Konkubiny (choć nie spodziewała się, by Srebrzysty Śnieg miała kiedykolwiek wznieść się na te znamienite wyżyny, żeby ją w coś takiego odziano), o aromacie pawilonów zbudowanych z kasjowego drewna po to, by wonią swoją przepajało powiewy, od których wiosną drżały piórka zimorodków wplecione w parawany, jak gdyby były żywymi chmurami. Wzdychała nad urodą okrągłej świątyni na południe od miasta, gdzie każdej wiosny Cesarz wielbił Słońce. Była jak ptak o wspaniałym upierzeniu, który powtarza tylko to, co usłyszał, i który śpiewa tylko dla tych, którzy dają mu ziarno... lub złoto.

Wokół nich podniosła się wrzawa wschodniego targu. Srebrzysty Śnieg słyszała o tym targu. Krwiożerczy ryk zatrzęsł zasłonkami wozu i dziewczynę przeszedł dreszcz. — Cóż to, drżysz, dziecko? — zapytała ją Lilak. — Przypuszczalnie wykonują właśnie wyrok na złodzieju lub jakimś zabójcy. Sprawiedliwości musi stać się zadość.

Łatwo było pani Lilak, której szata podbita była sobolami i obramowana lisim futrem — lisim! (Wierzba rzuciła na nie jedno spojrzenie i pogrzyżyła się jeszcze głębiej w swojej cichej niedoli) — przypisywać drzenie Srebrzystego Śniegu

zmarznięciu. Ona nie stała nigdy twarzą w twarz ze śmiercią, nie widziała, jak umiera człowiek zastrzelony strzałą z łuku, nie opłakiwała śmierci starego przyjaciela w gniewie i bólu, nie pomściła go później, pełna śmiertelnej trwogi przed tym, co robiła.

— Przynajmniej — ciągnęła dalej Lilak, która zrobiła się wspaniałomyślna wobec niepokoju Srebrzystego Śniegu — nie ciągnie cię do tego, by gapić się na targ jak chłopka. Za targiem, jeżeli będziemy dyskretne, nie stanie się nic złego, jeżeli obejrysz sobie pałace, kiedy je będziemy mijały. Popatrz na te wspaniałe, wysokie mury, za którymi rosną drzewa. Przy każdym z pałaców są takie ogrody, że aż trudno uwierzyć. Jakże piękne są one na wiosnę, kiedy kwitną bzy!

Mijały przecznicę za przecznicą. Na przyzwyczajonej do krętych ścieżek swego północnego domu pani Srebrzysty Śnieg to podporządkowanie się Chang'an sieci linii prostych robiło przygnębiające wrażenie. Jakże można było tyle dziesiątków tysięcy rodzin wcisnąć w tak wąskie przestrzenie? To prawda, że mury pałacowe ze swoimi krytymi emalią herbowymi płytkami i delikatnymi wieżami były wspaniałe, ale iluż biedaków tłoczyło się w swoich ruderach, by mieszkańcy pałaców mogli cieszyć się luksusem swych bogatych ogrodów?

Ludzie na wsi byli ubodzy, Srebrzysty Śnieg sama była biedna, ale zawsze miała prawo korzystać ze świeżego powietrza. Teraz musiała zrezygnować nawet i z tego.

Spoglądając spod oka zauważyła, jak błyszczące stawały się oczy Lilak, kiedy wóz turkotał w stronę bramy pałacowej, która otworzyła się na oścież na jego przyjęcie. Dźwięk zamykającej się za nimi bramy był najbardziej ostatecznym dźwiękiem, jaki Srebrzysty Śnieg kiedykolwiek słyszała. Na ostry rozkaz woźnica zatrzymał woły i skończyły się wstrząsy i kołysania, które stały się częścią jej życia, odkąd opuściła Północ ponad miesiąc temu.

To ma być mój dom do końca życia! Czy będzie to więzienie czy raj? Wiedziała, że w każdym przypadku musi go zobaczyć — natychmiast! Ogarnęła ją tęsknota i lęk właśnie wtedy, kiedy pani Lilak odetchnęła z satysfakcją. Zanim zdołała się opanować, jej dłoń — drżąca, co zauważyła ku swemu zawstydzeniu — wyrwała się z obramowanego futrem rękawa w stronę zasłon. Dłoń Lilak wystrzeliła ani na jotę nie wolniej; a jej uchwyt był taki, że na zbyt opalonej skórze przegubu swojej podopiecznej pozostawiła białe półksiężycy.

Siedziały w ciemności i mroku, Srebrzysty Śnieg, pewna siebie kobieta obok niej i Wierzba, która robiła, co mogła, by upodobnić się do jednej z poduszek, a której

błyszczące, przerażone oczy były rozbiegane jak u lisa w pułapce. Ten Pałac — to mogła być największa pułapka w Chang'an. Ale mogło to też być narzędzie do osiągnięcia sukcesu i darowania kary jej ojcu. Zanim pani Lilak zdążyła jeszcze raz udzielić jej nagany, doprowadziła do porządku fałdy swej szaty, świadomie usunęła z twarzy wyraz ostrożności, który, jak wiedziała, ściągał jej usta i oczy w minę tak zaszczutą jak u Wierzby, i zmusiła się do przybrania uprzejmego, pełnego zadowolenia wyrazu twarzy.

Za nimi zatrzymały się z turkotem wózki bagażowe, na których jechał jej posag, jedwab hołdowniczy i złoto, z którego ogołocony został zubożały majątek jej ojca.

Nagle promień światła uderzył Srebrzysty Śnieg w oczy, a na dźwięk męskiego głosu pani Lilak wydała okrzyk zgrozy.

— Pani — powiedział urzędnik, który eskortował Srebrzysty Śnieg z domu jej ojca.

Zasługiwał przynajmniej na słowa podziękowania za opiekę nad nią. Nie miała mu do zaoferowania nic oprócz podziękowań, ale kiedy otworzyła usta, by wypowiedzieć słowa wdzięczności, pani Lilak potrząsnęła głową.

— Nie! — wyszeptwała. Po raz pierwszy odkąd Srebrzysty Śnieg musiała z nią zawrzeć znajomość, przerażenie na twarzy kobiety było nie udawane. W nagłym oświetleniu widać było w jej oczach i na wargach strach, który w okrutny sposób ujawnił zręczność, z jaką tego ranka użyła kosmetyków, a jeszcze okrutniej zmarszczki i suchą skórę, którą miały one ukryć.

— Eunuchowie przyjdą. Nie mów ani słowa!

Wierzba zamarła w bezruchu zapędzonego w kąt zwierzęcia. Nawet oczy miała teraz szkliste. Srebrzysty Śnieg siedziała bez ruchu, wyprostowana jak na polowaniu, ale oddech miała przyspieszony.

— Pamiętaj, pani, co mówiłem o życzliwości.

Nie mogła się do niego odezwać, żeby mu podziękować, i nie ośmieliła się uklonić, ale na moment przymknęła oczy i miała nadzieję, że urzędnik przyjmie to za pożegnanie.

Potem zasłonka znowu opadła, pogrążając damy w ciemnościach. Słyszała kroki, nastąpiła pauza, jak gdyby ludzie kłaniali się głęboko lub salutowali, a potem głos urzędnika, który polecał Znamienitą Damę i jej podopieczną, wielce szanowną Srebrzysty Śnieg, opiece po trzykroć szacownego Mao Yen-shou.

Wypiełnowana dłoń zerwała zasłonki z wozu i Srebrzysty Śnieg mrużyła
oczy w świetle, od którego odwykła.

Rozdział szósty

Zamrugła oczami, żeby zatamować łzy, mające spłynąć po policzkach, które dopiero dziś rano pani Lilak, acz niechętnie, nauczyła ją malować, żeby nie przyniosła jej zbyt wielkiego wstydu pojawiając się w Pałacu z policzkami tak nagimi jak u jakiejś gamoniowatej dziewczuchy. Za chwilę wzrok jej się przejaśni i zobaczy ten cudowny pałac, który odtąd ma być jej domem.

— Pamiętaj, co mówiłam — wyszeptwała Lilak, a głos jej drżał.

— Wysiadajcie panie — powiedział wysoki, kulturalny głos. Przez moment Srebrzysty Śnieg myślała, że to przysłano jakieś damy, które mają powitać jej swatkę po powrocie do domu i pozdrowić ją samą. Zobaczyła, że wózek otaczają nie damy, ale... byli oni wysocy jak mężczyźni i nosili męskie odzienie, chociaż ich szaty były bogatsze i bardziej ozdobne niż świąteczne szaty jej ojca, czy futra, jakie urzędnik przywdział na bankiet w jej domu. Szaty zapinały się tak, jak powinny się zapinać szaty mężczyzny. Poza tym damy na głowie nie nosiły żadnych stroików oprócz kwiatów czy przybrania z drogich kamieni, a ci urzędnicy mieli na głowach sztywno lakierowane kapelusiki o zdumiewającej różnorodności kształtów, z których każdy bez wątpienia miał jakieś znaczenie.

Jednak pani Srebrzysty Śnieg, przyzwyczajonej do ojcowskich żołnierzy, ten przepych szat, gładkość włosów, pulchność brzuchów i wymanikiurowanych, chciwych dłoni, a ponad wszystko brak blizn i wysokie śpiewne głosy wydawały się czymś obcym. Uznała, że ci mężczyźni byli pałacowymi eunuchami.

Tylko tacy mężczyźni — czy niemężczyźni — mogli strzec dam z Wewnętrznych Komnat. Sami niezdolni do małżeństwa czy płodzenia dzieci, oddawali, jak mówiono, całą swą lojalność Cesarzowi Yuan Ti, którego nowych konkubin będą strzegli z zazdrością dorównującą zazdrości najbardziej nawet ambitnej pierwszej żony wobec młodszej, ciężarnej rywalki. Przyszłość Srebrzystego Śniegu mogła zależeć od ich przychylności w dużo większym stopniu niż od wypowiedzi kobiet takich jak Lilak.

To nie ich wina — pomyślała sobie — że zostali okaleczeni jako dzieci, czy nawet jako młodzieńcy, w imię Cesarza. Jeden z eunuchów, którego suknie były mniej wyszukane niż u innych, klasnął w dłonie i podbiegła chmara młodych kobiet z włosami upiętymi z przodu na sposób służebnych.

Pani Lilak potrząsnęła głową i wysiadając, wyniośle wyciągnęła rękę. Srebrzysty Śnieg zaczęła wysuwać się z wozu, skwapliwie rozglądając się dookoła. Ten eunuch, który klasnął w dłonie, to nie mógł być Mao Yen-shou; urzędnik tak ważny jak Minister Wyboru i Administrator Wewnętrznych Dziedzińców na pewno przyjmie je w środku, jeżeli w ogóle raczy przyjąć tak pechową konkubinę jak Srebrzysty Śnieg.

Spojrzała na eunuchów, następnie spuściła oczy naśladowując lepiej niż dobrze ten wyraz dziewiczej skromności, jaki zaobserwowała w domach po drodze do Chang'an.

Ale w tym jednym spojrzeniu zawierała się świadomość łowczyni. Objęła wzrokiem śliwy, grusze i morele o nagich gałęziach przystrzyżonych w symetryczne wzory i teraz bezlistnych, białe rabaty kwiatowe, na których wesoło trzepotały się jedwabne kwiaty, zwiastuny prawdziwych, które wypełnią je na wiosnę. Podwórzec przenikała woń kadzidła. W całej tej ogromnej przestrzeni, otoczonej pałacowymi murami — pomyślała sobie Srebrzysty Śnieg — ani jednej rzeczy nie pozostawiono naturze. Za gąszczem strzyżonych drzew i jedwabnych ogrodów wznosił się przepych murów, złożonych i pokrytych emalią, z filarami wyciągającymi się od wypolerowanych ganków po zawile rzeźbione dachy wielkich pawilonów.

To właśnie do jednego z takich pawilonów prowadzono teraz Srebrzysty Śnieg i Lilak, a za nimi sztywno stąpała Wierzba.

Lilak oblizwała wargi, suche pod warstwą czerwonej barwiczki.

Przecież ona się boi! — pomyślała Srebrzysty Śnieg. A jej lęk nie wynika, tak jak mój, z nieświadomości, tylko z wiedzy. Niepotrzebne jej były ojcowskie zwoje, wypełnione mądrością generała Sun Tzu, by ostrzec, że musi być bardzo ostrożna. Pomimo wszystkich wylewnych pochwał, jakimi pani Lilak obsypywała drogiego Administratora Mao Yen-shou, było oczywiste, że wzbudza on zarówno strach, jak i posłuszeństwo.

A jej przyszłość spoczywała w jego rękach.

Poprowadzono je w górę po schodach. Srebrzysty Śnieg starała się drobić równie delikatnie jak starsza dama u jej boku. — Może ona obawia się, że powiem temu eunuchowi, że nie odbyła podróży na Północ. — Przez moment igrała z tą myślą, znajdując chwilowe wytchnienie przed strachem w złości, która w następnym momencie wywołała rumieniec na jej policzkach. Bez wątplenia, gdyby znalazły się w odwrotnej sytuacji, Lilak nie zawahałaby się, żeby ją zdradzić, ale ją

samą wychowano w konfucjańskim domu. Nie tak powinna zachować się Lilak, a więc i jej samej nie wolno tego zrobić.

Weszły do pawilonu, w którym opary kadzidła unosiły się miękkimi szarymi spiralami i stapały z wonią kasjowego drzewa, z którego musiał być zbudowany. Pawilon był jednak tak bogato rzeźbiony — kolumny miał wykładane nefrytem, ściany i gzymsy drogimi kamieniami, sufity lśniły od kwiecistych wzorów — że samego drewna nie potrafiła dostrzec. Wchodziły po marmurowych schodach, a Srebrzysty Śnieg rzucała spojrzenia na boki, popatrując na odzianych w ciężkie szaty urzędników i uczonych. Straciła nadzieję, żeby kiedykolwiek miała zorientować się w tych niewyraźnych, ale pełnych znaczenia różnicach w kolorze i przybraniu głowy, które jedną rangę oddzielały od drugiej. Damy, wyglądające wspaniale w swoich szatach i przybraniach głowy, z wonnymi saszetkami trzepoczącymi u szarf, zbierały się przelotnie na podestach jak stada wielkich motyli, które przysiadły razem na łodydze, zanim na jedno spojrzenie ociężałe dostojnego eunucha, który wprowadzał Srebrzysty Śnieg do środka, rozbiegły się z taką szybkością, na jaką tylko pozwalały im przyzwoitość i kosztowne stroje.

Następna sala była nienaturalnie ciepła. Z wielkich glazurowanych donic wyrastały drzewa, które w tym upale zakwitły i wypuściły liście. Gdzieś za nimi muzycy, ukryci chyba w jakiejś niszy lub za drzwiami, grali na fletach i z nefrytowych plektronów wydobywali melodię ze strun i płyt rezonansowych pi-pa.

Kiedy Srebrzysty Śnieg weszła do sali, powitał ją szum wysokich głosów, ale nie mówiły one do niej, tylko o polityce.

— Po co popierać jednego barbarzyńcę przeciwko drugiemu? — pytał jeden eunuch. — I właściwie jak można ich rozróżnić?

— Khujanga — odparł z cierpliwością drugi, głębszy głos — nie jest głupcem. Wykazuje większą niż jego wróg gotowość, by dać sobą kierować...

— Kra... kra... — przerwało kilka osób i podniósł się śmiech.

Jej przewodnik uderzył kilka razy w podłogę laską, następnie wszedł śmiało na środek sali. Czy którykolwiek z eunuchów popatrzyłby na nią, gdyby towarzyszący jej człowiek nie zachował się tak teatralnie, tego ani nie wiedziała, ani o to nie dbała. Była zbyt zajęta rozglądaniem się. To był autentyczny dwór eunuchów, którzy tu rozsiadali się lub stali, wszyscy mniej lub bardziej jaskrawo ubrani, mniej lub bardziej pazernie ciekawi, oprócz jednego, starszego, najszcuplejszego ze wszystkich, który przelotnie ją pozdrowił i wymknął się z sali. To chyba właśnie z niego śmiali się

wszyscy inni. A przecież poza tym, że był szczuplejszy od innych, nie widziała między nimi żadnej różnicy.

Następny podług wieku eunuch, o wiele grubszy niż inni i najwspanialej ubrany, zrobił krok do przodu. To z pewnością — pomyślała Srebrzysty Śnieg — musi być Administrator Wewnętrznych Dziedzińców, odpowiedzialny za cały ten przepych.

Ale nie, on wskazywał im teraz gestem najbardziej misternie zdobione drzwi, jakie w życiu widziała Srebrzysty Śnieg.

— Czy on przyjmie tę nową damę? — zapytał ich towarzysz, z wyraźnym lękiem i nabożną czcią w głosie. Równie wyraźnie było widać, że według niego był to zaszczyt, na jaki nie zasługiwały osoby takie jak Srebrzysty Śnieg.

— Zdejm z siebie zewnętrzne okrycie — syknęła Lilak z tym dziwnym, pełnym lęku drzeniem w głosie.

Idąc za przykładem starszej kobiety, Srebrzysty Śnieg pozwoliła, by z jej ramion opadła ciężka szata z owczej skóry. Wierzba schyliła się, by ją podnieść, ale eunuch rozkazał — „zostaw to, dziewczyno” — i poprowadził je dalej w głąb pawilonu.

Tam na niskim stoliku leżała zapomniana szachownica i taca łakoci. Farby i jedwabie malarza były schludnie ułożone w miejscu, gdzie bez trudu można ich było dosięgnąć; a Minister Wyboru Syna Niebios, Administrator Wewnętrznych Dziedzińców, Mao Yen-shou spoczywał na wyłożonym jedwabnymi poduszkami siedzeniu.

— Ukłoń się nisko — szepnęła Lilak i już padała na kolana bijąc czołem, a taki ukłon Srebrzysty Śnieg pierwszy raz widziała na oczy. Szybko poszła w ślady Lilak, ale najpierw jej szybkie, taksujące spojrzenie objęło także mężczyznę.

Był to eunuch nad eunuchami. Tam gdzie eunuchowie, którzy przywitani ją i prowadzili od wozu, byli pulchni i lśniący, ten człowiek przypominał dojrzałą śliwkę, nawet połyskiem jedwabnych haftów na swoim stroju. Ciało jego było blade i lepiej utrzymane niż jej własne, a oczy, które zwięzały jeszcze okrągłe jak białe melony policzki, połyskiwały jak dzety i migotała w nich pełna inteligencji spekulacja: bystre, szacujące oczy artysty lub dworaka.

Oczy te zamigotały, spoglądając na Srebrzysty Śnieg, która przyłapała się na tym, że podnosi się ze swej pokornej pozycji, by spotkać ich spojrzenie, tak jak ptak wpatruje się w oczy głodnego węża. Skinął raz głową i wydał czerwone wargi

świadom, że ta młoda kobieta, która przed nim klęczała, była czymś innym niż potulnym pączkiem, którym tak usilnie starała się wydawać.

Wyciągnął jedną przepięknie utrzymaną dłoń w kierunku pudełka, które stało na podłodze u jego stóp. To niemożliwe — pomyślała Srebrzysty Śnieg — żeby ręka mężczyzny mogła być tak mała, tak zadbana i tak wolna od szram.

Chociaż Mao Yen-shou był malarzem, ani jedna plamka farby czy tuszu nie kaląca białej czystości tych dłoni, które najwyraźniej nigdy nie tknęły się żadnej uczciwej pracy.

— Popatrzmy na posag tej damy. — Mao Yen-shou odezwał się po raz pierwszy. Srebrzysty Śnieg poczuła, że robi jej się gorąco od zniewagi, jaką jej wyrządził. Żadnego powitania; żadnego pozdrowienia. Po prostu: „zobaczmy twój posag”. Nie zechce nawet posłużyć się swoimi własnymi miękkimi rękami — pomyślała — by przegłądać dary, których jej ojciec dostarczył, płacąc za nie głodem.

Ale jakże kulturalny głos miał ten artysta! Wysoki w tonie, pięknie modulowany. Nie do pomyślenia, wydawał się implikować jego ton, by taki głos lub jego posiadacz mogli popełnić coś, co by było niewłaściwe czy nie w porządku, lub nawet poddać się krytycyzmowi niższych śmiertelników — jak ta bardzo młoda, bardzo wystraszona i bardzo niewinna dziewczyna.

— A ta dama to...? — zapytał głos, a jego dyskretna melodyjność symulowała ukrywane ziewnięcie. On doskonale wie, jak ja się nazywam! Srebrzysty Śnieg była tego pewna. Palce jej zacisnęły się pod zwisającymi rękawami, o tyle węższymi, uświadomiła sobie teraz, od rękawów pani Lilak czy rękawów trzepoczących u ramion dam, które wpatrywały się w nią i szeptały, kiedy je mijała. Chyba nawet dziewczęta służebne, które pomagały wyładować jej pakunki, nosiły piękniejsze szaty niż te, które ona przywdziała na to najważniejsze spotkanie.

— Pani Srebrzysty Śnieg — odpowiedział młodszy eunuch, a w jego głosie, którym usiłował naśladować melodię mowy swojego pana, zabrzmiało podzielane z panem rozbawienie.

— Ach tak — ziewnął Mao Yen-shou. — Córka starego Kuanga. Tego zdrajcy.

Łzy gniewu i upokorzenia wezbrały jej w oczach i spuściła głowę, nieskłonna zdradzić swój smutek; ale najpierw dostrzegła w oczach eunucha triumf. Próbował ją sprowokować i udało mu się to. Przymrużyła z furią oczy i postanowiła, że nie da się już więcej złapać w taką pułapkę.

— Cóż, zobaczymy, czy Północ jest w stanie dostarczyć Synowi Niebios tego, co mu się należy. Otworzyć skrzynie. Pozdrawiam cię, Lilak — dodał, jak gdyby po namyśle.

Lilak podniosła się ze swej czołobitnej pozycji i zaczęła bełkotać pozdrowienia i podziękowania głosem, z którego znikła wyniosłość, tak obraźliwa dla pani Srebrzysty Śnieg.

— Możesz odejść. Jestem pewien, że z radością znowu ujrzysz swój podwórzec... i to, co on teraz zawiera.

Lilak opuściła pokój z szybkością, o jaką nigdy by jej nie była posądziła Srebrzysty Śnieg.

— A ty, pani. Ty możesz usiąść. Przyniesicie poduszki dla tej... damy — zarządził Mao Yen-shou. — I może ryżowego wina. Nie? Nie chcesz wina? Przyniesicie też ciasteczka migdałowe. I liczi. Teraz, kiedy przybyłaś do Chang'an, musisz skosztować liczi.

O tak zbytłownych poduszkach nigdy nawet nie marzyła, a co dopiero żeby mogła ich dotknąć. Srebrzysty Śnieg z konieczności przyjęła ryżowe wino, ale ledwo dotknęła wargami brzegu czarki, kiedy je przyniesiono. Potrząsnęła głową na ciastka, które Mao Yen-shou jadł ze smakiem, ale tak że ani okruszyna nie spadła na jego sobolowy kołnierz czy spowity w atłas brzuch. Na jego naleganie skosztowała liczi, a kiedy zmarszczyła nos na jego nieznamy smak, Mao Yen-shou roześmiał się na całe gardło i klasnął w dłonie, by służący odebrał od niej owoc.

— Weź zamiast tego ciasteczko — rozkazał i przyglądał jej się, aż niechętnie wzięła jedno. — Cudak z ciebie, pani; pozwól sobie powiedzieć! — rzekł, pochylając się do przodu, aż zatrzeszczał napinający się jedwab.

Jeżeli ten jedwab mu pęknie — pomyślała zafascynowana Srebrzysty Śnieg — mogę spokojnie wziąć szarfę, podejść do jednego z tych drzew na podwórku i powiesić się na najbliższej gałęzi. Zmusiła się, żeby odwrócić wzrok.

— Najszacowniejszy Administratorze, wydaje się, że i złoto, i jedwab są w porządku — powiedział młodszy eunuch.

— Wspaniale, wspaniale — pochwalił Mao Yen-shou. Chwycił brzoskwinie, szybko wygryzł z niej ociekający sokiem kęs i rzucił mu ją. — Powiedz im, że potrzeba nam więcej ciastek, a potem siadaj ze mną.

— No, maleńka pani z Północy. Masz szczęście, że twój ojciec jest tak głupio uczciwy, jak myślałem. Nie poskąpił ci niczego, może poza strojem. — Mao Yen-

shou wskazał pogardliwie na srebrzysty, staroświecki brokat, który miesiąc temu wydawał się Srebrzystemu Śniegowi taki śliczny, kiedy znalazła go w skrzyniach swojej matki. — Najprawdopodobniej spędziwszy na stepie pół życia i ożeniwszy się tam zapomniał, jak ważne są takie sprawy dla dam. Ale coś wymyślimy.

Pulchna dłoń przesunęła się szybko znad pustej tacy po słodyczach do skrzyni ze złotem, zręczne palce ślizgały się po ciężkim, połyskującym metalu.

Nad myśli Srebrzystego Śniegu, jak rybka wyskakująca nad powierzchnię wody, wybiła się trwoga i natychmiast zapadła w głąb. Złoto i jedwab hołdowniczy były dla Syna Niebios, przecież chyba ministrowi Cesarza przez myśl by nie przeszło, by je sobie przywłaszczyć.

Mao Yen–shou roześmiał się.

— Uczciwe z ciebie dziecko! — pochwalił ją, a ona zaczerwieniła się, przyłapawszy się na tym, że wobec pochwał czuje się jeszcze bardziej bezradna i niedouczona niż wobec jego impertynencji. Przed tą ostatnią mogła przynajmniej bronić się własnym gniewem. — Bez wątpienia kiedy inne panny uczyły się grać na flecie i na bębenku, stary Chao Kuang nalegał, by jego córka studiowała wyłącznie Analekty. Podejdź ze mną do okna, dziecko, i zobacz, na co zostanie wydany twój posag.

Nie mając wyboru, Srebrzysty Śnieg poszła za Administratorem przez pokój, a ostatnie migdałowe ciasteczko, które wzięła, lepiło jej się do dłoni. Mijając jednak Wierzbę, upuściła je dziewczynie na podolek. Służąca chwyciła je szybko, a Mao Yen–shou roześmiał się.

— Miałem tego nie zauważyć, czyż nie tak, pani? Ale chodź: pokażę ci coś, na co warto popatrzeć.

Podprowadził ją do okna i wskazał na Wewnętrzne Dziedzińce, których był panem. Nawet teraz, w zimie, służące poustawiały jedwabne kwiaty, a żeńska orkiestra grała na łódce unoszącej się na jezioru na środku jednego z nieprawdopodobnie wielkich podwórców. Poszczególne pawilony lśniły od złota i nefrytu oraz polerowanego drewna; jak klejnoty błyszcząły złącza płyt chodnika, ale i tak mniej niż damy, które przechadzały się powiewając swymi lekkimi jak mgiełka kaftanami i spódnicami, i długimi, fałdzistymi szatami.

Mao Yen–shou westchnął.

— Zbyt wiele upłynęło już czasu, odkąd dziedzińce te rozbrzmiewały muzyką i śmiechem. Stworzyłem tu piękno, piękno jako właściwą oprawę dla urody. Ale Syn

Niebios rzadko się tu przechadza; zbyt wiele dam, tak mówi. Wciąż jeszcze tęskni za swoją Świetlaną Towarzyszką. — Ruchem równie szybkim co niespodziewanym odwrócił się od okna i od piękna Wewnętrznych Dziedzińców i ruszył w głąb pokoju. Różnych rzeczy spodziewała się Srebrzysty Śnieg, ale nigdy tego, żeby tak ważny urzędnik mógł być taki ruchliwy.

— Nie ma sensu stać tutaj w przeciągu przez cały dzień, pani. Chodź z powrotem na swoje miejsce. — Ku jej zaskoczeniu zaczekał, aż ona usiądzie na poduszkach. Następnie wziął do ręki pędzelek.

— Syn Niebios powiedział mi, że nie życzy sobie, by pięćset dam defilowało mu przed Smoczym Tronem. Polecił mi namalować podobiznę każdej z dam. — Zamilkł, a milczenie trwało tak długo, że Srebrzysty Śnieg zorientowała się, iż czeka na jej odpowiedź. Widziała kiedyś, jak kot igrał z myszką. Czy ona sama była teraz myszką w jakiejś dziwnej grze?

— To zaszczyt — z pokorą wyraziła uznanie Srebrzysty Śnieg.

Eunuch spuścił oczy w doskonałej imitacji jej skromności, następnie uśmiechnął się.

— Ciężkie to brzemie dla kogoś już niemłodego. Tak wiele dam, wszystkie młode, wszystkie piękne. Jakże mi przedkładać jedną nad drugą? A przecież w sztuce tak wiele zależy od przypadku. Jedno poślizgnięcie pędzelka i najpiękniejsza dama może okazać się brzydka, jedno muśnięcie farbą i najbledsza dziewczyna rozjarzy się jak piwonia. A wszystko zależy ode mnie, czy pochlebię, czy przyganię. Pani, twoja uroda jest niepospolita. Trzeba by wielkiego artysty, żeby podkreślił jej walory...

— A takim artystą jesteś ty? — zapytała. Policzki jej zapłonęły kolorami, nie była przecież jedną z tych wyblakłych dziewczyn, które, jak mówił, musiałyby upiększać. — Niestety — powiedziała z pewną surowością — ta oto dziewczyna jest tylko skromnym i biednym dziewczęciem. Jakże mogłaby ośmielić się oszukiwać kogoś takiego jak Syn Niebios, tak by miał on na temat jej znikomej urody zdanie bardziej pochlebne, niż na to zasługuje?

Uniosła wysoko brwi patrząc na eunucha i zobaczyła, że poczerwieniał z gniewu. Z tyłu i trochę w bok za sobą usłyszała, jak Wierzba przesuwają się na kolanach, chcąc być w pogotowiu, gdyby była potrzebna swej pani.

— Zrobiłeś uwagę na temat ubóstwa Północy i mówiłeś o nieszczęściach, jakie spotkały mego pana i ojca. — Ponownie w jej głosie pobrzmiwała stal. — My na Północy jesteśmy bardzo uczciwi, ale jesteśmy biedni. Zbyt biedni, by tak wielki

artysta otrzymał od nas to, na co zasługuje.

— Ale gdybyś mogła okazać takim artystom przychylność, pani... — Mao Yen-shou uśmiechnął się. Dobrze się bawi tą grą, pomyślała z oburzeniem Srebrzysty Śnieg. Wiedział, że nie ma pieniędzy, by go przekupić, ale bawiły go jej usiłowania i zażenowanie. — Nie jest to prawdą, jak twierdzą niektórzy, że my z Wewnętrznych Dziedzińców nie potrafimy kochać. I jesteśmy lojalni w stosunku do tych, którzy nam dobrze życzą; natomiast dla innych...

Pomyślała o urzędniku, który mówił jej o wstawiennictwie i o tym, jak przepowiadał on, że mowa jej była zbyt szczerą, by przynieść korzyść komuś, za kim się wstawi. Jakże prawdziwe były jego słowa.

Oczy pani Srebrzysty Śnieg zapłonęły i pozwoliła, by eunuch to zobaczył.

— Nie mam, panie, żadnych darów do dania ani żadnych widoków na przyszłość — powiedziała do Mao Yen-shou. — A nawet gdybym miała...

— Czy to twoje ostatnie słowo, pani? — zapytał artysta. — Przyniesiecie pozostałe skrzynie! — zawołał.

Czterech mężczyzn, uginając się pod ciężarem, parami wniosło skrzynie, które Srebrzysty Śnieg ostatni raz widziała w pokoju swego ojca, skrzynie zawierające dwie nefrytowe zbroje, dary, które miały pojednać starego generała z jego Cesarzem.

— Mówisz, że nie masz żadnych darów, żadnego majątku. Pani, a co to sobą przedstawia? — zapytał Mao Yen-shou.

Rozdział siódmy

Chociaż Srebrzysty Śnieg nie wzdragając się spotkała już na swojej drodze nędzę, zdradę i walkę, to na taką zasadzkę w otaczającym ją przepychu mowę jej odebrało. Otworzyła usta, żeby coś odpowiedzieć, ale nie wyszedł z nich żaden dźwięk. Jej dłonie, ukryte w wystrzępionych rękawach szaty, ścisnęły się w maleńkie pięści, a następnie z rozmysłem rozluźniły. Były wciąż tak zimne, jak podczas długich dni i nocy podróży. Powoli Mao Yen-shou opuścił się na kolana obok skrzyń.

— Ty głupcze! — powiedział do młodszego eunucha. — Czyż mam pracować jak wyrobnik w polu? Otwórz to natychmiast!

— Otwórz tę skrzynię! — Jego towarzysz klasnął na Wierzbę, która podniosła się mozolnie, rzuciła pełne rozpaczycy spojrzenie na Srebrzysty Śnieg, a następnie uniosła pokrywę większej ze skrzyń, by odsłonić pogrzebową zbroję z płytek nefrytu, które zabłysły w świetle. Ta zbroja, prosta i surowa, zgodnie ze stylem dawniejszych czasów, odznaczała się mimo to swoistym przepychem, który bardzo pasował do tej sali o wysokich kolumnach i mozaikowych ścianach.

— Nie masz więc żadnych darów do dania, pani? — powtórzył Mao Yen-shou. Przesunął dłonią po masce zbroi, niemal mrużąc z zadowolenia na chłodną gładkość nefrytu. — Moi słudzy znaleźli te... jak im tam... świecidełka... ukryte w twoim bagażu.

Srebrzysty Śnieg odzyskała w końcu zdolność mówienia.

— To jest dziedzictwo domu tej oto — powiedziała, a głos jej brzmiał spokojnie mimo wściekłości i lęku, od których serce mało nie wyrwało się z piersi. — Ojciec tej oto polecił, by zostały one ofiarowane Synowi Niebios...

— Podczas tego co można by uznać za noc poślubną? Cóż za czułość, jaka obowiązkowość — powiedział eunuch. — Ale zanim będziesz mogła świętować tę szczęśliwą okazję, musisz najpierw przyciągnąć uwagę Syna Niebios. A to musi się odbyć za moim pośrednictwem.

— Powiedziałam ci — ucięła Srebrzysty Śnieg, rezygnując z przestrzegania zasad i reguł formalnej mowy — że ta zbroja to dar mojego ojca dla Syna Niebios. Ja sama nie mam żadnych darów. Czy nie potrafisz w to uwierzyć? Popatrz na mnie. Czy lśnię od klejnotów? Czy mam szaty podług dworskiej mody? My z Północy jesteśmy ubodzy. Ale...

Wierzba syknęła, lecz Srebrzysty Śnieg zbyt była rozgniewana, by zwrócić na nią uwagę.

— I powiem ci jeszcze, Mistrzu Pędzla, że gdybym miała do rozdania jakies dary, nie dostałby ich ode mnie ktoś, kto usiłuje je wymusić podstępem i groźbą.

Mimo swej ogromnej masy, Mao Yen-shou podniósł się szybko. Górował nad nią, usiłując zastraszyć ją samym swoim wzrostem.

— Szlachetne to słowa, pani, w ustach kogoś, kto nie powinien ośmielić się pysznić. Darem nazywasz to i dziedzictwem. A jeśli ja powiem inaczej?

— Cóż innego można powiedzieć? — zapytała Srebrzysty Śnieg.

— Starsza Siostró — syknęła Wierzba — cicho, błagam! Wierzba! Pani Srebrzysty Śnieg zrobiło się zimno ze strachu, ale nie o siebie. Po raz pierwszy w życiu pożałowała, że jest niezdolna do ucieczki w łzy i omdlenia, następnie poczuła pogardę dla siebie za taką słabość. Powinna chronić Wierzbę! Skinęła ręką i dziewczyna umknęła w róg komnaty, gdzie się z powrotem ukryła. Srebrzysty Śnieg miała tylko nadzieję, że Wierzba — ze swymi nienaturalnie czarnymi włosami, tak groteskowo kulejąca w tej przepysznej sali — nie będzie się rzucać w oczy, ale Mao Yen-shou był równie wielkim artystą jak chciwcem. Nie mógł na to nic poradzić, że ją dostrzegł.

— Pani — powiedział eunuch, a w giętkim, subtelnym głosie pobrzmiwała zimno groźba — czy nadal obstajesz przy swym twierdzeniu, że te pogrzebowe zbroje to dziedzictwo?

— Mój ojciec mówi — Srebrzysty Śnieg zdawała sobie sprawę, że głos jej drży, ale zrozpaczona ciągnęła dalej — że należały one zawsze do jego domu i że odpowiednie są tylko dla Syna Niebios i jego Pierwszej Żony.

— Więc przysięgłabyś, że nigdy nie były używane?

— Na moich przodków! — oburzony głos Srebrzystego Śniegu echem odbił się w komnacie.

— A więc jak... Wang Lu, bądź mi świadkiem... wytłumaczysz to?

Mao Yen-shou schylił się drapieżnym ruchem i otworzył dłoń przed nosem pani Srebrzysty Śnieg.

Na dłoni leżały trzy zęby, połamane i żółkłe, jak gdyby ze starości.

Srebrzysty Śnieg podniosła oczy, zmieszana na widok zębów i triumfu, lśniącego na zaczerwienionej, spoconej twarzy malarza.

— Pani, pani, jeżeli te zbroje nie były nigdy używane, jak przysięgasz,

jakżebym znalazł w jednej z nich te zęby?

Mao Yen-shou był więc nie tylko malarzem, ale i aktorem; wyraz wstrętu i grozy na jego twarzy, obrzydzenie w jego głosie były tak po mistrzowsku udane, że przez jedną szaloną chwilę Srebrzysty Śnieg była niemal przekonana, iż rzeczywiście zbecześciła grobowce swoich przodków.

Woń kadzidła, widok zębów, drzewo sandałowe i kamfora, którymi pachniały szaty eunucha, i ponad wszystko czysta groza tego, co dawał jej do zrozumienia... kwieciste wzory na suficie zaczęły wirować i Srebrzysty Śnieg poczuła, że się osuwa.

Zarzut okradania grobów i to jeszcze okradania własnych Przodków: o takich zbrodniach nie można było nawet pomyśleć, a co dopiero o nich mówić. Istniały dwa tylko powody, dla których rabowano groby: chciwość lub czarnoksiężstwo. A ona była córką zhańbionego generała. To będzie jej słowo przeciw słowu Mao Yen-shou i jego przyjaciela. Nikt jej nie uwierzy, jeżeli oskarży ją o rabowanie grobów. Była niewinna, ale kto w to uwierzy? Była córką człowieka, którego powszechnie uważano za zdrajcę. Ale sama myśl o którejś z tych zbrodni — nie wspominając już o tym, jak ohydna może być kara, która spadnie na nią i jej rodzinę! Zachwiała się, a następnie wyprostowała. Nie zemdleje, nie zrobi jej się niedobrze: nie tu, nie przed tym ugrzecznionym wrogiem.

— Ukryłeś te zęby w dłoni — powiedziała eunuchowi. — Jak oszust na wiejskim jarmarku, schowałeś te zęby w ręce i chcesz użyć ich, by zmusić mnie, żebym ci dała tę zbroję. Niech się dowie cały świat! Jestem niewinna — wyszeptała.

— Ale kto ci uwierzy? — zapytał Mao Yen-shou. — Żeby człowiek był nie wiem jaki niewinny, zawsze znajdzie się jakiś czyn, jakaś myśl taka, że prędzej umrze, niż pozwoli ją wyjawić. Nawet taki prostaczek jak ty, pani; założyłbym się, że i ty hołubisz swoje tajemnice.

Srebrzysty Śnieg wyczuła bardziej, niż usłyszała ciche warknięcie. Wierzba! Na wszystkich przodków, może będzie w stanie odeprzeć zarzut rabowania grobów, chociaż co się z nią stanie, jeżeli podniesie się taka nagonka na nią, strach było pomyśleć. Za to, chociaż nie uważa tego za zbrodnię, niewątpliwie ponosiła winę; a dwór obawiał się czarów bardziej niż czegokolwiek innego poza zarazą czy wojną z Hiung-nu. Nie mogło jej spotkać nic lepszego niż śmierć, a i tak wymierzona jej kara w porównaniu z karą dla Wierzby byłaby jak pieszczota.

Pozwoliła, by głowa jej zwisała, a całe ciało omdlało ze świadomością, że została pokonana przez złodzieja. Co gorsza, zostały zniweczone jej nadzieje. Mao

Yen–shou zabierze jej jedyny skarb i ponieważ nie będzie mógł ryzykować, by Cesarz zwrócił na nią uwagę, to malując ją wykorzysta swój kłamliwy pędzel i przedstawi ją w możliwie niesympatyczny sposób.

Teraz nie było już nadziei na sukces; ani cienia nadziei. Tylko duma, jej duma generalskiej córki, powstrzymała ją od tego, by wybuchnąć łkaniem i rzucić się na ziemię, kiedy Mao Yen–shou klasnął w dłonie, żeby jeden służący odprowadził ją do jej tymczasowego mieszkania, a drugi przyniósł mu zwój, który wcześniej odrzucił jako nie nadający się do malowania.

Zdołała się na to, żeby stać biernie, chociaż miała ochotę ugodzić kogoś lub krzyknąć. Przypomniała sobie bitwę z Czerwonymi Brwiami. Wtedy mogła coś zrobić, by pomóc sobie samej. A teraz zupełnie nic. Dwór, jak nauczyła się w tym pierwszym, katastrofalnym starciu, był bardziej zdradziecki niż każda bitwa. Ale jej ojciec przetrwał porażkę, przetrwał i zachował swoją godność. Musi jakoś zrobić to samo dowodząc, że jest godną córką swego rodu.

Srebrzysty Śnieg doszła do wniosku, że zanim Mao Yen–shou ukończy portrety pięciuset dam, wezwanych z całego Państwa Środka, może upłynąć kilka miesięcy. Miała taką samą szansę na zostanie jedną z Prześwietnych Towarzystek Syna Niebos, co Wierzba na przeskoczenie murów Chang’an i ucieczkę na Północ. Podczas gdy artyści i rzemieślnicy wykańczali Jasną jak Słońce Rezydencję, gdzie miały mieszkać damy cieszące się największymi względami Cesarza, Srebrzysty Śnieg zastanawiała się, co będzie z nią samą.

Nie mogła marzyć o takich zaszczytach ani prawdopodobnie nawet o Zwierciadlanym Przybytku, gdzie miały mieszkać Ulubione Piękności. Myśląc realistycznie, mogła zostać umieszczona wśród konkubin o najniższym statusie: wśród córek rodzin wielmożów. Ponieważ woliała uczyć się, niż leniuchować, zaczęła zapoznawać się ze zwyczajami, jakie obowiązywały w tym nowym i niepożądanym życiu.

Brała udział w festynach, które zwiastowały siewy wiosenne, z zapalem korzystała ze sposobności, by udoskonalać swą kaligrafię i spędzała wiele godzin spisując na jedwabiu przeznaczoną dla ojca, pełną nadziei i sumienną relację ze swej podróży do stolicy. Kiedy starszym kobietom, takim jak pani Lilak — damom, które zbyt już przywiędły, by przyciągnąć czyjąś uwagę, a których obiektem pożądania i tak była władza — potrzebne były chętne ręce i słodkie głosy, szybko się zgłaszała i

jeszcze szybciej wycofywała, jeżeli napotkała uniesione brwi.

Damy takie zdawały się wyczuwać, że Srebrzystemu Śniegowi przypadł los odmienny i daleko bardziej skromny niż nadzieje dziesiątków Cennych Pereł, Kasji, Jaśminów i Woni Śliw, które grupowały się jak kiście kwiatów na Wewnętrznych Dziedzińcach, gromadząc się na tarasach i przejściach, łączących jeden pawilon z drugim. Pod pretekstem pomagania starszym damom, wznosiły okrzyki nad bogatymi jedwabnymi kotarami, ogromnymi malowanymi donicami, zdobnymi w mozaiki ze złota, malachitu i turkusów, które z dnia na dzień pojawiały się w ich pomieszczeniach.

A jak one paplały! Dla pani Srebrzysty Śnieg, wychowanej w ciszy i medytacji, ta ciągła obecność roztrajkotanego tłumu młodych kobiet była najcięższa do zniesienia. W przeciwieństwie do niej, zdawały się nie mieć żadnych problemów z przystosowaniem się do życia na dziedzińcach, pełnego ograniczeń, sztywnego, niemiłosiernie uprzejmego nawet w najbardziej nieprzyjaznych przejawach. Często myślała, że nawet gdyby Mao Yen-shou przedstawił ją w najbardziej pochlebnych barwach, nie miałaby żadnej szansy w tym ogrodzie piękności. Każda z nich, jak jej się zdawało, była wcieleniem peanu na cześć kobiecej urody. Żeby kobieta miała wyraz twarzy jak kwiat, usta jak pączek, duszę jak księżyc, figurę jak wierzba, kości jak jadeit, a cerę jak śnieg, urok jeziora jesienią i serce jak poemat — to rzeczywiście byłby ideał!

Rzeczywiście, doskonałość, ale niepodobna do jej własnego wyglądu. Nawet lusterko trzymane przez ręce kochającej Wierzby pokazywało kobietę, której oczy potrafiły miotać ognie lub łagodnieć, zależnie od nastroju; której usta skłonne były do śmiechu; której dusza była niesforna, a urok — zakładając, że ktoś wyrządziłby jej ten zaszczyt i przyznał, że go w ogóle posiada — był kwestią posłuszeństwa, obowiązku i spokoju, a nie wdziękiem żywego srebra, cenionym na dworze. Urzędnik miał rację — Srebrzysty Śnieg zyskałaby o wiele więcej zadowolenia jako zapracowana pierwsza żona dziedzica wiejskiej posiadłości niż dama dworu, ciesząca się niewielkimi względami, a obarczona wieloma trywialnymi obowiązkami.

Chociaż często przebywała z konieczności w towarzystwie innych dam, stale powiększała się przepaść między nią a nimi. Z tą samą nieświadomą umiejętnością, która pozwalała im zalotnie wpinać sobie ozdoby we włosy, wydawały się .wyczuwać, że Srebrzysty Śnieg nie ma nadziei na świetną przyszłość, nie mówiąc już o przyszłości Znamienitej Konkubiny. Coraz częściej unikały jej. Nawet ta zbyt

wysoka dziewczyna o absurdalnym imieniu Pączek Piwonii, ani Morela, która płakała, bo miała ziemistą cerę i inne dokuczały jej z tego powodu, nie naprzykrzały jej się rozmową; wołały krążyć po obrzeżach grupki szczęśliwszych dziewcząt, zbierając się gorliwie wokół tych, które miały największe szansę na przychyłność Cesarza. Nie dla nich lojalność, dzięki której żołnierze jej ojca udali się za nim na hańbę, one wołały zabiegać o łaski potencjalnych faworyt.

A czy ja byłabym lepsza? — wielokrotnie pytała samą siebie Srebrzysty Śnieg w ciszy, na docenianie której miała teraz czas. Mogła go spędzać z Wierzbą, łagodząc trwogę dziewczyny, zapewniając ją, że mając nefrytową zbroję w swoim posiadaniu, Mao Yen-shou będzie zbyt zależało na uniknięciu skandalu, by miał panią i służącą oskarżyć o czary. Wykonywała wszystkie wyznaczone sobie obowiązki i spędzała wolne chwile na podziwianiu piękna, jakie, musiała to przyznać, stworzył Mao Yen-shou. Gdyby jeszcze jego dusza dorównywała kunsztowi jego dłoni i umysłu!

— Portrety! — Po całym dziedzińcu, na którym wierzby zaczynały puszczać pączki, rozbrzmiewały stłumione śmiechy i okrzyki afektowanej grozy. Trzy damy minęły mały dziedzińczyk, który został przydzielony pani Srebrzysty Śnieg. Żadna z nich nie zastukała do jej drzwi z zaproszeniem, żeby poszła je z nimi obejrzeć.

— Tak więc skończył już te malowidła? — dumiała Srebrzysty Śnieg, mając za słuchacza jedynie Wierzbę. Pochyliła głowę nad śladami swojego pędzelka. „Bogactwo i nędza, sława i zapoznanie: każde w swoim czasie”. Starannie rysowała znaki. Miała nadzieję, że jej ojciec nie będzie miał im zbyt wiele do zarzucenia. Do teraz musiał on sobie zdać już sprawę, że mała była szansa, by miała ona spełnić ich najserdeczniejsze nadzieje. Niech przynajmniej wie, że w należyty sposób pogodziła się z losem i że, jak to mówił, znalazła nieco zajęcia w nauce.

Uniosła znowu pędzelek, ale przekonała się, że ręka jej drży. Po tylu tygodniach sama wzmianka o tym, że ukończone portrety dam dworu zostaną przedłożone Synowi Niebios, by dokonał wyboru, ukazała całą fikcyjność jej filozofii.

— Wierzbo? — Głos jej też dygotał.

Wierna dziewczyna natychmiast znalazła się u jej boku z przechyloną na bok głową, jakby podziwiała pismo swej pani.

— Wierzbo — szepnęła Srebrzysty Śnieg — wiem, że Mao Yen-shou nie namalował mi pięknego portretu. Wiem, że nawet marzenia o tym są niemądre. Ale jeżeli go nie zobaczę, jeżeli nie będę wiedziała na pewno, to chyba już nigdy nie

zasnę.

Wierzba skinęła głową.

— Idź więc i zobacz go, Starsza Siostró.

— Nie ośmielę się. — Srebrzysty Śnieg wzdrygnęła się, jak gdyby wystawiła się na pośmiewisko, co często dręczyło ją we snach, a do czego nie ośmieliła się przyznać nawet przed Wierzbą. — Przynajmniej tak mi się wydaje, że nie zniosę, żeby miał mnie zobaczyć. Wierzbo, ja wiem, że ty...

— Tak jest, moja maleńka pani. Zbadałam Dziedzińce Wewnętrzne i Zewnętrzne i widziałam tego Syna Niebios, o którym wszystkie te ładne panie trajkoczą jak stado zazdrosnych słowików. A to więcej, ośmielę się powiedzieć, niż dotąd widziała którakolwiek z nich. Wspaniały, sprawiedliwy pan, muszę to powiedzieć, chociaż nie potrafię zrozumieć kogoś, kto woli patrzeć na farbę i jedwab zamiast na piękne damy.

— Wierzbo! — Mimo całego niepokoju, ten brak szacunku pobudził ją do karygodnego śmiechu.

— Czy w czasie moich poszukiwań natrafiłam na miejsce, gdzie mogłabyś się ukryć i zobaczyć portrety? Czy tego chce się dowiedzieć moja Starsza Siostra?

Srebrzysty Śnieg niechętnie skinęła głową.

Z wielką zuchwałością Wierzba wyciągnęła swoją stwardniałą od pracy dłoń, której trzy środkowe palce były równej długości, i dotknęła rękawa Srebrzystego Śniegu. Rękaw zatrzepotał, bo dłoń drżała mimo usiłowań, by drzenie opanować.

— Czy to jest ta odważna dama, która pomściła śmierć zacnego Ao Li? Odwagi, Starsza Siostró! Znalazłam takie miejsce, z którego będziesz mogła widzieć, a ciebie nikt nie zobaczy. Dobrze, że Syn Niebios przyjdzie na Wewnętrzne Dziedzińce, wyprowadzenie damy na Zewnętrzne Dziedzińce mogłoby być ryzykowne. Chodź jednak ze mną, a będziesz bezpieczna.

Srebrzysty Śnieg pozwoliła się podnieść ze swojej maty na nogi. Podkasawszy swe długie szaty, pośpieszyła za Wierzbą zakurzonymi przejściami, o których, pomyślała sobie, pewnie nawet sam projektant tych pawilonów już nie pamiętał.

— Tędy! — syknęła Wierzba i Srebrzysty Śnieg wsunęła się w maleńki korytarzyk na trzecim poziomie Komnaty Świetności. Przepchnęła się do pustej przestrzeni o rozmiarze małej szafki, wyjrzała przez dziurkę i zdusiła okrzyk.

— Pani, błagam cię, nie kichaj! — szepnęła Wierzba. Srebrzysty Śnieg mogła

tylko słabo potrząsać głową. Zdarzyło jej się raz w życiu, że wyjechała konno w słoneczny zimowy dzień i spojrzała na słońce, na śnieg i znowu na słońce. Jasność była tak potężna, że zachwiała się w siodle i jadąc dalej miała przed oczami czarne plamki. Przymrużyła oczy w oczekiwaniu, że teraz też zobaczy takie plamki. Nawet szaty muzyków i służących wspanialsze były od jej najbardziej wyszukanych sukien. Szaty, kapelusze i parasole tych urzędników, którzy wbiegali do komnaty, by w obecności Syna Niebios padać na twarz przed Smoczym Tronem, tworzyły wielobarwny splendor, na tle którego cienkie jak mgiełka stroje dam, które ośmieliły się tam zgromadzić, przypominały Tung Shuang–cheng, wróżkę, która w legendach strzegła kryształowej wazy.

Damy zgromadziły się w jednym rogu komnaty i zajmowały się, czy też udawały, że się zajmują tym, gdzie ich siostry upięły sobie ozdoby, czy rękawy spływają jak trzeba, pod jakim dokładnie kątem opadają wonne saszetki z obficie haftowanych szarf. Ale coraz to spod wyskubanych i umalowanych brwi rzucały spojrzenia w kierunku szeregów eunuchów, gdzie na zaszczytnym miejscu, mając za plecami swych towarzyszy, a tuż przy pulchnym ramieniu swego pomocnika, stał Mao Yen–shou czekając, czym będzie mógł służyć Cesarzowi.

Srebrzysty Śnieg, dygocąc, głęboko wciągnęła powietrze. W końcu pozwoliła sobie spojrzeć na Syna Niebios, dla którego podjęła tę tak długą i bezowocną podróż. Mimo młodzieńczego wieku Cesarz Yuan Ti zachowywał się z godnością człowieka w wieku co najmniej średnim. Swe ciężkie szaty, haftowane w pięciopalczaste smoki, nosił niedbale, jakby wolał prostotę sukni uczonego, a oczy z premedytacją odwracał od grona dam, które obserwowały go i wzdychały na każdy jego ruch.

— Wan Sui! — wyszeptała pełna szacunku Srebrzysty Śnieg. — Oby Cesarz żył dziesięć tysięcy lat!

Czy tylko wyobraziła to sobie, czy w tym momencie Syn Niebios podniósł oczy, jakby wzrok jego mógł przebić ścianę, za którą się kryła? Zarumieniła się i próbowała usłyszeć, o czym rozmawiają.

Cesarz zdawał się podzielać zaabsorbowanie swego dworu tymi Hiung–nu. A przynajmniej ten temat intrygował go dużo bardziej niż szansa, że wśród portretów znajdzie damę, która mu się spodoba. Ze sposobu, w jaki się odzywał i w jaki odpowiadali mu eunuchowie, wywnioskowała, że rozmawiali już na ich temat przez cały dzień; a kiedy z konieczności przerwał naradę, by przyjść na Wewnętrzne Dziedzińce, przyniósł te naglące problemy ze sobą.

Ponieważ na Wewnętrzne Dziedzińce nie mógł mu towarzyszyć żaden z jego doradców, to w miejsce generałów, skarbników i ministrów stanu do omawiania tych problemów musieli mu teraz wystarczyć eunuchowie. Ich starania, żeby spełnić życzenia swojego Cesarza, w połączeniu z kompletnym brakiem zainteresowania i brakiem właściwych informacji, nie zadowalały ani eunuchów, ani Cesarza. Błyszcząca twarz Mao Yen-shou przybrała wyraz źle skrywanego rozdrażnienia, kilku z jego podwładnych rozdymało nozdrza, by powstrzymać ziewanie, a sam Cesarz coraz bardziej się niecierpliwił.

Ze swego punktu obserwacyjnego Srebrzysty Śnieg zobaczyła, jak damy, zdając sobie sprawę, że nie są w stanie konkurować z zainteresowaniem Syna Niebios dla negocjacji z Hiung-nu, zaczynają omdlewać. Srebrzysty Śnieg nie wątpiła, że dla nich były to tylko nieznane imiona i zagrożenie przemocą. Jej jednak imiona te coś mówiły. Były to postacie antagonistów czy godnych przeciwników jej domu. Pragnęła podkraść się bliżej tej rozmowy, którą Cesarz, wbrew surowym zasadom i regułom postępowania, przeniósł na Wewnętrzne Dziedzińce, gdzie wszystko powinno być lekkością, pięknem i spokojem. Czczy to i niemądry zwyczaj — powiedziała sobie i natychmiast skonsternowało ją własne zuchwalstwo, że coś takiego przyszło jej na myśl. Cesarz popatrzył niezadowolony w górę i machnięciem ręki kazał odsunąć się eunuchom, którzy stali najbliżej niego. Czego — czy kogo — szukał? Rozglądał się przecież wokół, jak gdyby brak mu było czegoś... lub kogoś. Potem widocznie przypomniał sobie. Kiwnął głową i skinął. Ku pełnemu posykiwań zdumieniu eunuchów, jeden spośród nich wysunął się do przodu: szczuplejszy niż większość z nich; o twarzy opalanej i pobrużdżonej, o myślących, nieco ironicznych oczach. Podczas gdy wspaniałe jedwabie szat innych eunuchów wydawały się iść w zawody z sukniami dam, których strzegli, ten ubrany był w prostą szatę uczonego. Skłonił się do ziemi, a kiedy odpowiadał na pytania Cesarza, głos jego był głębszy niż zwykle u eunucha.

— Ten oto najniezwyklejszy Li Ling życzy Synowi Niebios, by żył dziesięć tysięcy lat. Ten oto nędznik dziękuje Synowi Niebios, że wezwał go po tak długim czasie. (Eunuchowie aż sapnęli na to w cnotliwym oburzeniu). Czym ten oto może służyć? O czym może mówić?

Li Ling! Srebrzysty Śnieg słyszała o nim. Podobnie jak jej ojciec był generałem i wielmożą... kiedyś był. Podobnie jak jej ojciec miał pecha, zarówno w walce, jak w wyborze sojuszników na dworze. Ale, w odróżnieniu od jej ojca, Li Ling

przestał być mężczyzną. Jego powiązania z przegrywającymi generałami rozpoczęły upadek, który oskarżenie o czary tylko przyspieszyło. A kiedy w jego domu odkryto przyrządy do alchemii, najpierw poddano go przesłuchaniom, a potem zastosowano nóż, który z generała, wielmoży i pana posiadłości uczynił eunucha na dworze, podobnie jak to stało się z niegdyś znamienitym Ssu–ma Chien, który miał podobnego pecha.

Mniejsza o to! — powiedziała sobie Srebrzysty Śnieg. Skupiła się na słowach Li Linga. Zhańbiony dworzaniek wyprostował się i oblókł w mądrość i swą dawną godność, jak w najwspanialsze szaty.

— Jesteśmy potężnym narodem — mówił Syn Niebios. — Jak to się dzieje, że Hiung–nu ośmielają się najeżdzać nasze granice?

Li Ling ponownie się uklonił.

— Pozwól, by ten oto przypomniał Synowi Niebios swoje nieosobliwe słowa. Od godziny mojej kapitulacji aż do tej chwili, pozbawiony wszelkich zasobów, wciąż siedziałem samotnie, pogrążony w goryczy mego smutku. Przez cały dzień nie widziałem wkoło nikogo, tylko samych barbarzyńców.

Jeden z młodszych eunuchów zachichotał, a zhańbiony wielmoża przerwał. Cesarz szybkim, poirytowanym gestem nakazał mu mówić dalej. Eunuchowie rozstąpili się, ukrywając tego młodego głupca, który nie umiał się opanować do tego stopnia, że parsknął śmiechem na to, jakiego doradcę wybrał sobie Syn Niebios, nie zważając na jego wcześniejszą pozycję między nimi.

— Skóry i filc chronią mnie przed wiatrem i deszczem. Baraniną i serwatką zaspokajam głód i pragnienie. Cały kraj ścięty jest czarnym lodem. Nie słyszę nic, tylko jęki przejmujących jesiennych podmuchów, pod którymi zniknęła cała roślinność. Najznakomitszy Synu Niebios — stary eunuch poważnie podniósł oczy — Hiung–nu ubodzy są we wszystko poza męstwem. Uważają to za cnotę, żeby tym, których uznają za słabych, wyszarpnąć wszystko, co tylko się da.

— A przecież ten Khujanga obiecuje nam, że jeżeli udzielimy mu poparcia, to zaprzestanie najazdów. Czy dotrzyma słowa?

Eunuch wydawał się zastanawiać.

— Czy ten oto może najpokorniej zapytać, jakie były jego słowa?

Cesarz strzelił palcami i jeden z ministrów podał Li Lingowi pęczek drewnianych pasków. Ten pochylił się, potrząsnął głową nad niezdarnością pisma i przeczytał: „Proponuję graniczny handel z Ch’in na szeroką skalę, małżeństwo z

księżniczką Ch'in, otrzymanie rocznie dziesięciu tysięcy baryłeczek alkoholu, dziesięciu tysięcy sztuk różnych jedwabiów, oprócz tego wszystko jak zapisano we wcześniejszych traktatach; jeżeli tak się stanie, nie będziemy najeżdżać pogranicza”.

Li Ling przerwał na moment, kiedy w grupce dam, na wzmiankę o księżniczce Ch'in jako pannie młodej dla władcy Hiung–nu, zapanował, i zaraz ucichł, chwilowy zamęt.

— Nie dysponując obecnie niczym innym, ten oto najędzniejszy i najbardziej niegodny postawiłby własne życie, że *shan–yu* dotrzyma tej umowy.

Do pani Srebrzysty Śnieg dochodziły gniewne pomruki o haraczu, o barbarzyńcach i o tym jak wielkie ma serce Cesarz, że słucha tego złowróbnego ramola.

Po jednej stronie Komnaty Świetności ktoś wykonał jakiś gest, a Syn Niebios westchnął, jak gdyby przypominając sobie o sprawach mniej ciekawych, chociaż bardziej naglących.

— Pomyślmy o tym i udzielimy *shan–yu* naszej odpowiedzi, jeżeli stanie się on w istocie *shan–yu*, tak jak się przechwala. Będiesz nam nadal doradzał. Nie, człowieku, za stary już jesteś, żeby tak tłuc czaszką o podłogę! Ale teraz... niech wystąpi do przodu nasz Administrator Wewnętrznych Dziedzińców, Mao Yen–shou.

Prezentując wszem wobec swe haftowane szaty, Mao Yen–shou padł na twarz przed Smoczym Tronem.

— Żeby mu te szaty popękały! — szepnęła Wierzba, a Srebrzysty Śnieg spiorunowała ją spojrzeniem.

Serce jej biło tak mocno, że nie dosłyszała słów powitania i hołdu. Ale nic nie przeszkadzało jej patrzeć, kiedy odsłaniano portrety dam. Tak, tam była Cenna Perła, miała twarz równie śliczną, jak imię i charakter. Syn Niebios raczył skinąć głową. Uśmiechnął się na widok portretu Kasji, wzruszył ramionami na szereg innych.

— Jesteś tylko jedną z pięciuset — szepnęła Wierzba. — Może on w ogóle nie przedstawi twojej podobizny.

Srebrzysty Śnieg potrząsnęła głową. Mistrz Wewnętrznych Dziedzińców z pewnością nie zignoruje jej, żeby mu ktoś nie zadał pytania, czemu to tylko czterysta dziewięćdziesiąt dziewięć dam zostało przedstawionych. Pączek Piwonii, Nefryt, Morela — on chyba najmniej atrakcyjne dziewczęta pokazuje wszystkie razem. Srebrzysty Śnieg zebrała się w sobie.

W pierwszej chwili nie poznała własnego portretu. Potem ręka jej drgnęła, jak

gdyby instynktownie chciała zakryć usta i zagryzła wargę, by nie krzyknąć z gniewu. Myślała, że prawie wcale nie jest próżna, dobrze wie, że dorównuje niewielu tylko damom, które wydawały teraz afektowane okrzyki grozy na widok portretu. Ale to... ta dziewczyna na jedwabnym ekranie! Och, bez wątpienia to była ona: ta czerń jej włosów, zdecydowanie małych, ściągniętych ust, błysk gniewu w migdałowych oczach. To była ona. Nikt nie mógłby powiedzieć, że ten malarz kłamie.

Ale Mao Yen-shou przedstawił ją z rozchylonymi wargami, odsłaniającymi rzadkie, odrobinę żółtawe zęby. Namalował jej nieco niższe czoło, przez co wydawała się uparta, do cery domieszał tyle żółci, aż przybrała niezdrowy wygląd, a co najgorsze, pod prawym okiem namalował brzydką, czarną myszkę, w najbardziej niefortunnym miejscu, w jakim dziewczyna mogła mieć takie znamię.

Yuan Ti potrzęsnał głową ze zdumienia.

— Jakim cudem taka dziewczyna została wybrana na nasze Wewnętrzne Dziedzińce? — zapytał pewnego siebie eunucha. — Kobieta, mająca myszkę pod swoim prawym okiem, przynosi nieszczęście każdemu, kogo zobaczy.

Jak gdyby wyczuwając irytację swego pana, siedzący na ozdobnym pręcie u jego boku azjatycki szpak napuszył swój czub i wrzasnął. Cesarz ostrożnie pogłaskał go palcem.

Mao Yen-shou rzucił się teatralnie na podłogę, zawodząc jak na pogrzebie własnego ojca. Ta dziewczyna, mówił, była równie przebiegła, jak brzydka. Ukrywała swoje znamię.

— Niech podła głowa tego oto posłuży jako zadośćuczynienie za ten błąd! — lamentował. — Dziewczyna jest pechowa jak cała jej rodzina, ale nie wiedziałem, że jest tak szpetna!

Gdyby to nie o nią chodziło, Srebrzysty Śnieg chyba by się roześmiała. Zauważyła, że ze wszystkich dworaków i dam jedynie stary eunuch Li Ling nie przyłączył się do potępiania jej portretu. Gryzł swą bezwąsą wargę i wydawało się, że chce się odwrócić.

— Nieładna i nieszczęsna — dumiał Cesarz. — Czy to nie jej ojciec był zdrajcą?

— Pozwól, by ten oto odesłał tę dziewczynę! — błagał Mao Yen-shou.

Li Ling również rzucił się na ziemię.

— Ten oto błaga cię, o Najdostojniejszy! Szpetna ta dziewczyna może i jest, ale nie ponosi za to winy i nie powinno się jej tak zawstydząć. Jej ojciec został już

dwukrotnie ukarany. Ten oto przedkłada najpokorniej, że nie powinien on otrzymywać następnej kary, nie zasłużywszy na nią.

Srebrzysty Śnieg stłumiła szloch. Ojczy, gdybym tylko mogła donieść ci, jak twój stary przyjaciel broni twego honoru i honoru twego nieszczęsnego dziecka! Ale wiedziała, że tej sceny nie opisze w żadnym swoim liście. Była zbyt upokarzająca.

Mao Yen-shou spiorunował wzrokiem starszego eunucha i wyglądało na to, że miał zamiar zrobić coś jeszcze gorszego, kiedy Cesarz podniósł dłoń.

— Li Ling ma rację, Administratorze. Nie możemy doświadczać Chao Kuanga niezasłużoną karą, zwłaszcza że już spadło na niego to przekleństwo... — Tu przymknął powieki. — Zabierzcie ten obraz sprzed naszych oczu.

— Pozwól, Synu Niebios, by ten oto zrobił coś więcej! — błagał Mao Yen-shou. — Przeprowadźmy tę nieszczęsną dziewczynę z Wewnętrznych Dziedzińców, których harmonię psuje i gdzie przypadkiem może na nią paść twoje spojrzenie, do Zimnego Pałacu.

Srebrzysty Śnieg była miła dla Kwiatu Śliwy i Moreli, na których portrety zwrócono tak niewielką uwagę, ale nawet one nie okazywały żadnego smutku z powodu tego wygnania.

Zimny Pałac! Leżał w kompletnym odosobnieniu. Srebrzysty Śnieg miała uczucie, że w obecnej sytuacji mogło to być błogosławieństwo, ale Zimny Pałac był równie złowróżbny, jak odosobniony. Niektóre z bardziej bojaźliwych dam szeptały nawet, że straszyły w nim lisy.

— To nie najgorzej, pani — szepnęła u jej boku Wierzba. Srebrzysty Śnieg zeszywniała, słysząc jak jeden dworak półgłosem ordynarnie szepcze do drugiego, stojąc o dwa piętra pod jej punktem obserwacyjnym.

— Może ta dziewczyna się powiesi. Ja bym to zrobił, gdybym był panną o takiej twarzy!

Od tej uwagi pękło opanowanie, jakie Srebrzysty Śnieg narzucała sobie przez wszystkie tygodnie swojej podróży i wszystkie miesiące swojej niewoli, która teraz miała być samotna i trwać do końca życia. Wiedząc tylko, że musi uciec, że musi się ukryć, rzuciła się do przejścia i na korytarz, którego nigdy przedtem nie widziała. Koniec z maleńkimi skromnymi kroczkami, tak gorąco zalecanymi dla pięknych dam. Nie była żadną damą. Była dziewczyną tak srodze znieważoną, że nie dosłyszała ostrzegawczego syknięcia swojej służącej ani nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi.

Przejście, którym biegła, oddzielała od Komnaty Świetności zaledwie cienka zasłona jedwabna; a ta znajdowała dokładnie na wprost Smoczego Tronu. Kiedy biegła, na jedwabiu zamigotał wdzięczny zarys jej postaci w powłóczystej szacie, tak że mógł go ujrzeć cały dwór — i sam Syn Niebios.

— Stój! Co to ma znaczyć? — na wpół uniósł się z krzesła, przyciskając dłoń do serca. — To moja pani, której nawet najmędrsi spośród moich czarodziejów nie byli w stanie mi przywrócić.

Jest czy nie?

Staję i patrzę.

Szmer, szelest jedwabnej spódnicy.

Jakże szybko ucieka!

Z twarzą zalaną łzami Srebrzysty Śnieg uciekła, zanim ucichło ostatnie echo pełnego bólu wiersza Cesarza.

Rozdział ósmy

Po drugiej stronie muru dźwięczały słodkie tony fletu i cytry, niemal tak słodkie i dużo mniej sztuczne niż śmiech i westchnienia dam, które snuły się po wygiętych w łuk mostkach lub z okrzykami pozornej trwogi zasiadały w misternie malowanych łódkach na jeziorze na środkowym dziedzińcu. Promienie słońca padały z ukosa na tamten dziedziniec, chociaż nigdy chyba nie oświetlały jej własnego, nędznego dziedzińczyka w Zimnym Pałacu — myślała Srebrzysty Śnieg patrząc na swoje dłonie.

Dzisiaj dla odmiany nie siedziała na podwórku, ale w zielono-białym, ośmiokątnym pawilonie, w którym wciąż jeszcze pokutował zimowy chłód. Nic dziwnego — pomyślała — że to miejsce nosi nazwę Zimnego Pałacu, ale odczuwała chłód nie tyle powietrza czy wody, ile ducha.

Przymknęła oczy, nieskończenie znużona. Nawet ciemność czy obecność Wierzby, klęczącej tuż obok i nucącej jakąś piosenkę bez słów, nie przynosiły pociechy. Upokorzenia tamtego dnia pozostawiły w jej sercu i umyśle rany, które wciąż krwawiły. Oto nawet teraz zaczęła dyszeć, jak gdyby musiała biec łkając przez pałacowe korytarze, aż znajdzie się na swoim podwórku i rzuci się na ziemię, a służące niemal bezzwłocznie przystąpią z zapalem do swej pracy. Wtargnęły do jej pokoju z uprzejmością, którą od zuchwalstwa odróżnić mógłby tylko ktoś, kto ciężko by nad takim rozróżnieniem pracował. Zdarły nawet zasłony z łóżka, pakując jej skąpy dobytek i pośpiesznie odstawiły do Zimowego Pałacu.

Zawiódł ryzykowny pomysł, by zwrócić uwagę Syna Niebios na jej ojca. Teraz dożywotnie więzienie było karą za przegraną.

Zimny Pałac, odosobniony i pechowy, był cichym, samotnym światem. Nikt jej nie odwiedzał poza tymi, którzy starali się zaoszczędzić na napiwkach dla służby, zlecając jej jakąś pracę: jedna czy dwie starsze konkubiny, za które ktoś, kto się nie poskarży, powinien wykonać taką czy inną nudną robotę, jakaś młoda kobieta, którą trwoga, lenistwo czy kaprys przyprowadziły do pani Srebrzysty Śnieg, by ta naprawiła jakiś błąd czy skróciła długie zdanie. Mając niewiele więcej do roboty, Srebrzysty Śnieg spełniała ich prośby. Gdyby odmówiła, straciłaby tę odrobinę zyczliwości, jaką jeszcze dla niej miały. Lepiej żeby traktowały ją protekcyjnie, niż żeby miały ją prześladować.

Takie kobiety wchodziły dumnym krokiem, obdarzały ją robotą, jakby zaszczytem dla niej była sama ich obecność, i nalegały, by szybko robotę skończyła. Jednak kiedy ją wykonała, nie przychodziły nigdy więcej do Zimnego Pałacu. Lepiej, zdecydowała wtedy, by miały ją ignorować, niż traktować protekcjonalnie.

Czasami do pani Srebrzysty Śnieg dobiegały spoza muru ich głosy. Nazywały ją Tą–na–którą–padł–cień. Imię to szerzyło się na Wewnętrznych Dziedzińcach i przejmowało Srebrzysty Śnieg chłodem bardziej niż normalny niedostatek paliwa do mis z żarem. Nawet ta jedna czy dwie służące, którym za jakieś przekroczenia kazano jej służyć, nazywały ją tym imieniem, kiedy o niej mówiły. Do niej i do Wierzby odzywały się tak rzadko, jak mogły, a ona w żaden sposób nie mogła ukarać ich za ich zuchwalstwo. Szybko nauczyła się, że rzadko które stworzenie ma tak niewiele do powiedzenia jak ta, która żyje w niełasce wśród eunuchów i kobiet.

Raz czy dwa zajrzała do niej przelotnie jakaś litująca się dziewczyna, mająca więcej serca niż inteligencji, a następnie umknęła, obawiając się, że hańba pani Srebrzysty Śnieg może ją skalać. Wiadomo, że ptaki dziobią tego, który jest od nich odmienny i którego uważają za wyrzutka; ładne, okryte klejnotami stworzenia z Wewnętrznych Dziedzińców mocno przypominały takie ptaki. Miały nadzieję, że przez dręczenie wyrzutka uchronią siebie przed podobnym losem.

Gdyby Srebrzysty Śnieg nie miała ze sobą Wierzby, popadłaby pewnie w ciche, pełne rozpacz i szaleństwo. Kochająca, cierpliwa Wierzba, która przesiadywała z nią całe dwanaście— godzin dnia, a kiedy nie mogła spać, wszystkie bezsenne godziny nocy — a noce stawały się coraz krótsze, kiedy nadchodziła pora lata pełnego radości i piękna. To Wierzba wpatrywała się przez długie chwile w swoje wróżebne lustro i po wielokroć układała heksagramy, próbując znaleźć w ich układach chociaż strzęp dobrego losu.

— Nic, tylko zmiany, Starsza Siostró — westchnęła po jednej z takich sesji.
— Zmiany i podróże.

Srebrzysty Śnieg odrzuciła swój pędzelek z taką siłą, że się złamał.

— Moim przeznaczeniem nie są podróże, jestem zamknięta w tych ścianach!
— krzyknęła. — Te twoje łodyżki krwawnika są równie pokrętne jak twoja... och, Wierzbo, wybacz mi!

Zakryła twarz swymi maleńkimi dłońmi, z których po miesiącach spędzonych w Zimnym Pałacu zeszyły odciski od łuku, i zapłakała. Pomyśleć tylko, że potrafiła tak zwrócić się przeciw Wierzbie, która naraziła własne życie, by pójść za nią i pragnęła

tylko jej służyć! Pomyśleć, że straciła panowanie nad sobą! Jakże zawstydzony byłby jej ojciec — chyba niemal tak jak ona sama.

Po upływie długiej, przykrew godziny, miękkie pełne wahania dotknięcie kolana spowodowało, że podniosła głowę i zobaczyła, że Wierzba przykucnęła u jej boku.

— Och, Wierzbo — powiedziała Srebrzysty Śnieg, z rozmachem przesuując ręką po oczach, których nie malowała przez całą wiosnę — zamiast żyć jak niewdzięcznica, lepiej powieszę się na własnej szarfie na tym zwiędłym drzewie, zanim sama zwiędnę.

— Pani, nie mów tak! — zawołała Wierzba. — Heksagramy nie mówią — dodała z figlarnym uśmiechem — jakobyś miała stanąć twarzą w twarz ze śmiercią.

Pomimo całego wstydu, że tak się nad sobą rozżaliła, Srebrzysty Śnieg nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

— Och, Wierzbo, Wierzbo — powiedziała — dzięki tobie uświadomiłam sobie, jak prawdziwe jest przysłowie, że nie na darmo żyje człowiek, jeżeli na całym świecie znajdzie się choć jedna osoba, która go w pełni rozumie.

Ku jej zdziwieniu Wierzba stanęła w pąsach i odwróciła się. Nie chcąc wprawiać dziewczyny w większe zakłopotanie, Srebrzysty Śnieg zastanowiła się, jak by tu zmienić temat.

— Haftowałam tyle, aż mi się porobiły odciski na czubkach palców! I chyba nie będę już dziś pisać do mojego czcigodnego ojca. Jakże mogłabym? Nawet zakładając, że jakiś zacny człowiek byłby tak miłosierny i zechciał dostarczyć wiadomości od dziewczyny w takiej niełasce jak ja, ojciec zorientowałby się, jaka jestem strapiona z niezręcznych pociągnięć pędzelkiem. Ale wydaje mi się, że jeżeli nie porozmawiam z kimś oprócz ciebie, to oszaleję.

— Pani, może gdybyś przetworzyła swój smutek na poezję, przestałby on być już smutkiem. Zapisz swoje myśli, pani, i niech wiatr poniesie twoje słowa do tych, którzy mają serce i rozum, by je usłyszeć — zaproponowała Wierzba.

— Wspaniały pomysł! — zawołała Srebrzysty Śnieg. — Ale na czym mam pisać? — Ten niewielki zapas jedwabiu do pisania, jakim dysponowała, musi zachować na listy do swego ojca, a trudno się było spodziewać, by wiatr uniósł cienkie paski drewna, czy, jak to sobie prawdopodobnie bardziej prozaicznie wyobrażała Wierzba, żeby zawisły one na jakimś drzewie na innym podwórku.

— Chwileczkę, Starsza Siostró... już wiem! — Wierzba skoczyła na nogi z

wdziękiem i wybiegła na podwórzec, gdzie złapała liść z jakiegoś rzadkiego drzewa, który tu zza muru przywiął wiatr. — Napisz na tym liściu, potem puść go z wiatrem.

Ku własnemu zdumieniu Srebrzysty Śnieg zdała sobie sprawę, że się uśmiecha. Minęły całe miesiące, odkąd ostatni raz próbowała układać wiersze. Usadowiła się wygodniej na swojej wystrzępionej macie i wzięła świeży pędzelek. W jej świadomości zamigotał wiersz i zanurzyła swój pędzelek w tuszu, lśniącym na tafelce.

Jakże szybko przepływa woda! — napisała, patrząc na zmełniały strumyczek przepływający za oknami jej ośmiokątnego pawilonu.

Zapomniana w komnatach niewieścich.

Dni mijają beczynn timer, daremnie.

Czerwony liściu, rozkazuję ci,

Masz poszukać kogoś

W świecie mężczyzn.

Odczytała ten wiersz Wierzbie, która klasnęła w ręce.

— A teraz — poleciła — weź ten liść i puść go z wiatrem, by znalazł tego, do kogo pisałam.

— A jeśli nikt nie odpowie, Starsza Siostrze? — zapytała Wierzba z głową przechyloną na bok i ciekawością w oczach.

— No to jutro znajdziesz dla mnie następny liść i napiszę następny wiersz. — Stwierdziła, że się uśmiecha, a było to tak niespodziane, że nawet się troszkę roześmiała. Słyszając to Wierzba rozpromieniła się.

Nie — pomyślała Srebrzysty Śnieg — ona mnie kocha, a ja nie byłam dla niej dobrą panią.

Srebrzysty Śnieg podniosła się i patrzyła, jak Wierzba pokuśtykała w dół poszczerbionych z zaniedbania schodów Zimnego Pałacu. Podrzucała liść w powietrze, jak zwierzątko igrające ze swoją ofiarą. Zbłąkany podmuch wiatru porwał go i przerzucił nad rozpadającym się murem.

Następnego dnia Srebrzysty Śnieg napisała jeszcze jeden wiersz, w następne dni także.

— Jeżeli będę tak wciąż pisać na liściach — powiedziała Wierzbie — ogołoce

drzewa.

Dziewczyna przyjrzała jej się badawczo, po czym roześmiała się. Jednak w miarę upływu dni Srebrzysty Śnieg przyznała, jak bardzo była zawiedziona. Przerzucanie przez rozpadający się mur liści niosących posłanie — to była zabawa dla dziecka. Śmiechu warte, że kiedyś pokładała w tym jakieś nadzieje. A jednak... a jednak... oczy zapiekły ją od łez i przestała widzieć na tyle wyraźnie, by wykonać następne staranne, delikatne pociągnięcie pędzelkiem. Zamrugła z furią powiekami.

Przecież tam na stepie jej ojciec musiał przeżywać samotne dni, gdy wygnanie było dla niego bardziej gorzkie niż ból od ran. Jednak wytrwał i przeżył. Wszystko, co w niej było dobrego — pomyślała — pochodziło od niego; nie może pohańbić jego nauk nawet chwilą słabości. Zaczęła świadomie oddychać głęboko i spokojnie, i pochyliła się, by narysować następny znak na świeżym zielonym liściu, leżącym na rozchwierutany łąkowym stoliku, przed którym klęczała.

— Pani, o pani!

Tak spokojna była jej dłoń, że dokończyła bezbłędnie pociągnięcie pędzelkiem, zanim podniosła wzrok. Nigdy dotąd głos Wierzby nie był w taki sposób pełen melodyjnej wesołości, zawsze raczej zwracała uwagę, by mówić przyciszonym głosem, jak przystało skromnej służącej, zwłaszcza teraz kiedy popadły w niełaszkę. Do uszu jej dobiegł znajomy odgłos kroków na dziurawych stopniach prowadzących do pawilonu. Ale do kogo należały te inne, cięższe i bardziej miarowe kroki, idące w ślady dziewczyny?

Uśmiech na twarzy Wierzby, kiedy wchodziła do pawilonu, gdzie przez samo jego odosobnienie nawet w lecie pokutowały resztki zimowego chłodu, był tak jasny jak słońce odbijające się w lusterku, którego używała do wróżenia. Równie szybko, jak służąca zdmuchuje lampę, Wierzba zgasiła swój uśmiech, przysłoniła powiekami oczy i skłoniła się powoli, boleśnie i ceremonialnie do samej podłogi, czego wymagał odpowiedni hołd dla gościa, który wszedł za nią do pawilonu.

Był to eunuch Li Ling, który tak śmiało przed całym dworem przemawiał do Cesarza na temat Hiung–nu. W ręce trzymał kilka przywiedłych liści, tak jak ktoś inny mógłby trzymać kiść bzu czy wachlarz, liści, z których każdy nosił na sobie wiersze żalu i samotności, jakie ułożyła i tak pracowicie wypisała na ich powierzchni.

Skłoniła się przed nim, dygocąc od przyptywu dawnej, dziecinnej nadziei. Chyba on przemówi pierwszy. Jeżeli nie, to może ona odezwie się choć słowem, jeżeli odzyska zdolność mówienia.

— Widząc cię, pani — powiedział Li Ling — ten oto czuje się tak, jak gdyby prosił o melony, a otrzymał wspaniały nefryt.

Zadziwiona Srebrzysty Śnieg podniosła wzrok. Li Ling zrobił krok i wysunął do przodu rękę, tak że liście otarły się o jej brodę. Następnie szybko pozbiierał myśli i cofnął dłoń.

— Takie miała rysy szpetna dama z portretu Mao Yen-shou — mówił z zadumą uczonego — a przecież jak odmienne! Cera twoja przypomina migdały, a nie błoto; czoło i broda nie są sterczące jak u żołnierza. A co do myszki, no cóż, musiał to być osobisty pomysł naszego zacnego Administratora.

Zdając sobie sprawę, że zarumieniła się tak, iż cera jej nie migdały przypomina, ale piwonie, Srebrzysty Śnieg spuściła oczy.

— Tak, tak, świadom jestem, że zachowuję się w sposób niewybaczalny, ale błagam, byś zechciała mi wybaczyć przez wzgląd na mojego starego przyjaciela, a twojego najszanowniejszego ojca. Doszły do mnie słuchy, że jego ostatnie dziecko przybyło na dwór i żalem napełniała mnie świadomość, że jesteś nieszczęśliwa i samotna.

Srebrzysty Śnieg poczuła, że od zapomnianego szerokiego uśmiechu rozboleły ją kąciki ust. Przechyliła na bok głowę, spoglądając na trzymane przez Li Linga liście.

— Czy to twoje pismo? — Te pociągnięcia pędzelkiem są bardzo piękne.

Potrząsnęła głową i zrobiła gest, jak gdyby odzęgnywała się od swoich własnych zdolności.

— A te wiersze też? Nigdy ich dotąd nie widziałem. Układałaś je na liściach, następnie puszczałaś je z wiatrem, by leciały, gdzie chcą? Czy tak, pani?

Srebrzysty Śnieg skinęła głową, następnie uświadomiła sobie, że kiwanie głową nie było chyba wystarczająco uprzejme w stosunku do przyjaciela jej ojca, doradcy Syna Niebios i jedyne go człowieka, oprócz Wierzby, który odwiedził ją na wygnaniu bez żadnej ubocznej myśli poza tym, żeby ją pocieszyć. Podniosła się, poprosiła z ugrzecznieniem, by zechciał usiąść, i kazała Wierzbie podgrzać ostatek ryżowego wina, które przywiozła ze sobą z Pomocy.

— To Wierzba przerzucała listki przez mur — powiedziała Srebrzysty Śnieg.

— A to jest Wierzba? — powiedział eunuch-uczonego. Przypatrywał jej się z tym samym żywym zainteresowaniem, jakie wcześniej zwrócił na wygląd samej Srebrzysty Śnieg i na jej pismo: rzucił spojrzenie na jej włosy, połyskujące rudo w letnim słońcu, następnie popatrzył w dół, przyglądając się dokładnie, z zamyśleniem,

dłoniom Wierzby i osobliwemu ułożeniu jej trzech środkowych palców, które były równej długości.

— Bardzo ciekawe — powiedział spokojnie. — Twoja dziewczyna. Czy ona jest z... — przerwał, następnie wymienił nazwę pewnego regionu Państwa Środka, tak mało znanego, że Srebrzysty Śnieg słyszała tylko raz czy dwa razy, jak ją wymawiano.

Wierzba, która właśnie wchodziła z gorącym winem, usłyszała go i zamarła na progu, a delikatne czarki i karafka, które niosła na tacy, zadrżały.

— No, dziewczyno, czy jesteś stamtąd?

Wierzba niezręcznie padła na kolana, oszczędzając swoją chromą nogę.

— Tak — szepnęła. Ręce jej drżały, kiedy stawiała wino na niskim stoliku.

— Zakładam więc, że jesteś zielarką? Mnie również interesują te sprawy... i alchemia. — Błysnął ku pani i służącej szybkim, ostrzegawczym spojrzeniem.

Alchemia. Byli tacy, którzy mówili, że te badania odkrywają sekrety Tao, takie, które inaczej na zawsze pozostałyby zamknięte dla ludzi. Inni, bardziej lękliwi i dużo liczniejsi, utrzymywali, że te tajemnice naprawdę były zakazane dla człowieka. Od studiowania alchemii do oskarżenia o czary — pomyślała Srebrzysty Śnieg — był tylko jeden maleńki krok, nie większy niż kroczek, jaki mogłaby postawić dama w nowej szacie i nowych butach, przechodząc po wysokim łuku mostku.

— Bądź ze mną szczera, jak ja byłem z tobą szczery — powiedział Li Ling. — Pani, jesteś najmłodszym dzieckiem mojego starego towarzysza. Chcę tylko dobrze dla ciebie w tej twojej samotności. Co do moich... badań — zrobił subtelną przerwę — one, razem z muzyką, kaligrafią i poezją — tu uklonił w delikatnej pochwie dla jej wierszy — są dla mnie rekompensatą za to, co utraciłem. Cóż mogą mi jeszcze zrobić, chyba tylko mnie zabić?

— Mao Yen-shou groził mi karą za rabowanie grobów. — Te słowa, wciąż bolesne nawet po tylu miesiącach, wymknęły się z taką szybkością i goryczą, że pani Srebrzysty Śnieg aż krzyknęła, żałując że nie może ich odwołać. Ten mężczyzna — niepodobieństwem było myśleć o nim jako o jednym ze ślamazarnych zniewieściałych pozerów, którzy otaczali Mao Yen-shou! — jego pańskie maniery i przenikliwa inteligenta spowodowały, że wylała przed nim całą tę przykrą historię, jeszcze zanim skończył swoją pierwszą czarkę wina, chociaż z czystej uprzejmości powinna była poczekać, aż się pokrzepi, zanim zaczęła mówić.

Kiedy opowieść dobiegła końca, Srebrzysty Śnieg siedziała w milczeniu. Po

raz pierwszy od miesiący, które upłynęły od kradzieży nefrytowej zbroi przez Administratora Wewnętrznych Dziedzińców, ulotniło się napięcie, od którego wszystko zwijało jej się w węzły w brzuchu i sztywniał kręgosłup. Opowiadanie o tym Li Lingowi było samo w sobie lekarstwem, tak jak przebicie wrzodu uśmierzało ból i opuchliznę.

— Zaprawdę jesteś dzieckiem swojego ojca — powiedział stary alchemik. — Mnie ukarano nie tylko za alchemię. Byłem orędownikiem twojego ojca, jak również jego przyjacielem. Czy wiesz, że byłem tam, kiedy go pojmano? Ach, to była potężna bitwa. Ścigalibyśmy Hiung–nu, ale nie mogłem go niczym wesprzeć. Twój ojciec wystawił kuszników. Ich celność była tak zabójcza, że nawet sam *shan–yu* musiał zsiąść z konia i walczyć na piechotę. A Hiung–nu bez swoich koni są tylko na wpół żywi.

— Jak mówię, następowaliśmy. Może nie stało nam skromności, może poniosło nas szaleństwo na myśl o zwycięstwie. Twój ojciec w pogoni za Hiung–nu zapędził się do wąskiej doliny, zdecydowany zetrzeć ich z powierzchni ziemi. Wtedy oni stoczyli skały, by zamknąć dolinę. I tak twój ojciec został złapany w pułapkę ze swymi ludźmi, a ja byłem na zewnątrz.

— Najpierw ludziom twego ojca zabrakło strzał. W swoim pośpiechu, by umknąć z doliny, porzucili wozy z zaopatrzeniem... był to fatalny błąd. Wkrótce doszło do tego, że musieli walczyć osiami wydartymi z wozów, krótkimi mieczami; ich liczba zmniejszała się bardzo szybko. Gdyby nawet twój ojciec chciał uciekać, nie mógłby tego uczynić.

— Kiedy już zaszło słońce, poczynił rozpaczliwe kroki. Rozkazał swoim ludziom ukryć proporce i sztandary, za którymi maszerowali z taką dumą. Spalił skarb, który niosła ze sobą armia, rozkazał swoim oddziałom rozproszyć się, a sam wyruszył z dziesięcioma ludźmi. Dwóch z nich zginęło, zanim oddał się w ręce Hiung–nu, by ocalić życie pozostałej ósemki — a nie lękałabyś się, pani, śmierci w Państwie Środka, gdybyś wiedziała, jak zadają ją Hiung–nu.

— Twój ojciec poddał się, by ocalić swoje oddziały. A jednak ze wszystkich tych dzielnych żołnierzy tylko czterystu uszło z życiem.

— Ja oczywiście wróciłem do Chang’an, by zrezygnować z dowództwa i wyznać, że nie udało mi się uratować mojego przyjaciela, który, o czym chciałem zapewnić Syna Niebios, wywiązał się ze swego zadania z odwagą i godnością. Przekonałem się jednak, że po klęsce zostałem uwikłany w oszczerstwa i intrygi. Imię

twego ojca i jego Przodków przedstawiono w czarnych barwach jako zdrajców. Przekonywałem i błagałem; wszystkie duchy mego własnego domu są mi świadkami, jak błagałem. Sam fakt — dodał, zerkając na nią okiem — że żyjesz i mogę ci powtórzyć tę historię, jest dowodem na to, jak dobrych używałem argumentów. A jednak kiedy podniosły się wielkie obawy przed sztuką czarnoksiężską, jak dzieje się co kilka lat, przypominano sobie, jak broniłem człowieka, który teraz jeździł z Hiungnu; i za moją lojalność zapłaciłem dobrym imieniem oraz męskością.

— Czy naprawdę możesz żywić obawę, pani, że po takim życiu mógłbym chcieć skrzywdzić ciebie czy kogoś z twoich?

Srebrzysty Śnieg potrzęsła głową.

— Pozwól mi więc być twoim przyjacielem. Wygnano cię z twojego domu; ja również jestem swojego rodzaju wygnańcem. Brak mi godności, które kiedyś miałem. Ten nieszczęsny dzień prezentacji portretów, kiedy wezwał mnie do siebie Syn Niebios, był pierwszym od wielu wypełnionych smutkiem lat. Twój ojciec chciałby, żebyś się uczyła, a ode mnie wiele można się nauczyć. Czy przyjmiesz mnie za swego przyjaciela?

Z oczami błyszczącymi z podziwu nad historią o męstwie swego ojca, Srebrzysty Śnieg przez moment nie odpowiadała. Na kilka cennych chwil opowiadanie Li Linga uwolniło ją z zamknięcia w Zimnym Pałacu, wyzwoliło z ograniczeń Wewnętrznych Dziedzińców, pozwoliło jej wędrować w wyobraźni po ziemi, na którą patrzyła przez całe swoje dzieciństwo. Tam również mur zamykał przed nią wolność, do której dążyła. Chociaż jej ojciec cieszył się wolnością stepów, jednak nie był wolny. Westchnęła głęboko.

Przez twarz Li Linga przemknęły smutek i rozczarowanie i zaczął się podnosić.

Wyciągnęła rękę, zuchwale próbując go powstrzymać. Gdyby odszedł, już nigdy nie miałaby towarzystwa i znowu powróciłaby do nienawistnego kokonu Tejna—która—padł—cień. Wolałaby raczej umrzeć, niż to zrobić — ale czy na pewno? Li Ling nie umarł. Jej ojciec także nie.

Ona również nie umrze.

Podniosła oczy i uświadomiła sobie, że pozwoliła uczonemu czekać na odpowiedź zbyt długo. Obydwoje byli więźniami, znoszącymi wstyd i samotność. Nie będzie zaczynała tej nowej przyjaźni od zadawania nowego bólu. Uśmiechnęła się, skinęła głową i nalała mu więcej ryżowego wina.

— Cudownie! — zawołał Li Ling. — Twoje lekcje, oraz twoje, mały odmieńcu, rozpoczniemy natychmiast. — I tym razem jego uśmiech objął również Wierzbę.

Rozdział dziewiąty

Przez całe to lato ponad murem Zimnego Pałacu przelatowały nie liście zapisane pełnymi żałości wierszami, ale śmiech i muzyka, kiedy Srebrzysty Śnieg, Wierzba i Li Ling — trójka wygnańców, którym odebrano szansę na pełne, szczęśliwe życie — dzieliła się swymi zdolnościami i wspomnieniami.

Najszanowniejszy Li Ling raczył odnaleźć tę oto niegodną — pisała Srebrzysty Śnieg pewnymi i delikatnymi pociągnięciami pędzelka — i wiele ją nauczył. Składa on wyrazy należnego ci szacunku i pokornie prosi, by ta oto pozdrowiła cię od niego...

Mogła teraz pisać do swego ojca ze spokojnym sercem i dzięki Li Lingowi być pewną, że jej list zostanie doręczony. Właściwie to niemal z uśmiechem mogła teraz spoglądać wstecz na męki buntu i żalu, które cierpiała wstępując na Wewnętrzne Dziedzińce, oraz na swoje wygnanie do Zimnego Pałacu. Okazało się, że dwór, który miał stać się — taką żywiła kiedyś nadzieję — narzędziem odzyskania wolności dla niej, a przebaczenia dla ojca, był pułapką, a Zimny Pałac — który wydawał się jej gorszym wygnaniem, niż tej absurdalnej pani Lilak mogło wydawać się pomocne pogranicze — przyniósł jej teraz ciszę, naukę, a nawet spokój i pewnego rodzaju wolność.

To prawda, że fizycznie ograniczona była do tych pawilonów, i że wcale nie były one lepiej utrzymane ani cieplejsze niż zeszłej zimy. Nie były jednak gorsze od podwórców w jej utraconym domu na północy, a za to teraz mieściły w sobie skarb, który cenniejszy był od ciepła mis z żarem czy przepychu klejnotów i parawanów. Jej umysł błędził ponad nimi, jak gdyby w końcu przekroczyła Purpurową Barierę i teraz jechała wolna po stepowej trawie.

Chociaż niewiele miała skarbów z jedwabiu, a żadnych w ogóle z nefrytu, dostępne jej były ogromne zasoby umysłu Li Linga. Początkowo ograniczał on lekcje do takich przedmiotów, które, jak mu się wydawało, mogły zainteresować dobrze wychowaną damę: do muzyki, kaligrafii, wierszy, botaniki i ziół — chociaż w nauce o ziołach Wierzba szybko ją prześcignęła i raptownie przewyższyła swymi umiejętnościami nawet samego Li Linga. Uwydatniło się jej pokrewieństwo z naturą, bystrzejsze oko. Z nich dwóch to ona bardziej musiała cierpieć — zdała sobie teraz sprawę Srebrzysty Śnieg — w pierwszych dniach zamknięcia za murami.

Wiedziała, że ta nowa radość i wolność skończą się pewnego dnia. Li Ling był dużo starszy od niej i mógł być osłabiony przez wyprawy wojenne, rany i mściwie wymierzoną mu za jego lojalność karę. Pewnego dnia umrze, a ona zostanie zdana sama na siebie. Ale wtedy będzie już jednak starsza. Mogła żywić nadzieję, że plotki związane z nią i jej portretem, które tak ją zniesławiły, zostaną do tego czasu zapomniane i że zostanie przyznana jej większa swoboda poruszania się w obrębie Wewnętrznych Dziedzińców. Może znajdzie wtedy kogoś, kto okaże się jej przyjacielem, jak Li Ling.

...ta oto nie potrafi dostatecznie wystawić swego czcigodnego ojca za jego lekcje cierpliwości i przypisywania właściwej wartości temu, czego był tak dobry ją nauczyć. Chociaż nie miała wyboru i musiała być posłuszną edyktowi Syna Niebios, ceni sobie teraz wyżej niż nefryty porządek i godność domu jej ojca oraz mądrość jego nauk. Wystarczy jej, że będzie przywoływała je na pamięć i starała się żyć stosownie do nich przez resztę swego błahego życia...

Wczesną jesienią drugiego roku zamieszkania w Zimnym Pałacu siedziała na pięknie wymiecionym podwórku, patrząc jak złote liście i igły sosnowe szeleszczą na gałęziach. Zapachy przypominały jej kraj rodzinny. W powiewie wiatru, chociaż osłabłym po przekroczeniu licznych ścian Pałacu, pozostał ślad ruchu, swobody. Wiedziała, że na stepie wiatr układa trawy w długie, srebrne fale, zupełnie jak gdyby wiał nad morzem, a nie nad żywą roślinnością.

Li Ling wszedł szybszym krokiem, niż to miał w zwyczaju. Srebrzysty Śnieg pochyliła się w ukłonie. Zanim na wpeł podniosła się z głębokiego ukłonu, przerwał jej pozdrowienie.

— Gdzie jest Wierzba? — zapytał. — Każ jej przynieść łożyski krwawnika i ułożyć heksagram.

— Czyżby w powietrzu powiało zmianą? — zapytała Srebrzysty Śnieg ze spokojnym uśmiechem. Również i to było oznaką dorostania — pomyślała. Rok temu cała byłaby się rozpłomieniła w oczekiwaniu, by tę wieść usłyszeć, i w lęku, by nie wyrządziła jej krzywdy. Teraz z ciekawością mogła czekać na zmianę, następnie przypisać jej właściwą wartość i zostawić ją za sobą.

— Zmiana? — z naciskiem zapytał Li Ling. Jego znużone, mądre oczy lśniły. Jeszcze nigdy Srebrzysty Śnieg nie widziała go takiego ożywionego. — Nawet zwykła służąca zorientowałaby się, że powiało zmianą, od wiatru dmącego po stepie,

przynoszącego nam wieści z Zachodu i możliwe, że nowe przymierze.

Szmer szat, nierówny krok i niezręczny ukłon zapowiedziały przybycie Wierzby. Pośpiesznie uklękła.

— Ostrożnie, dziecko! — zawołał Li Ling i pochylił się do przodu, by pomóc jej opuścić się na dół. Pojawiły się łodyżki krwawnika i Wierzba ułożyła heksagram, czego już od miesięcy nie robiła, i wpatrywała się w łodyżki, żeby zobaczyć, jaką sześcioramienną gwiazdę utworzyły.

— Zmiana — dumiała Srebrzysty Śnieg. — Podróż. Wierzbo, kiedy ostatnim razem pokazałaś mi te heksagramy... tak, ona to zrobiła, Li Lingu, a ja ją zbeształam. Powiedz mi, najzaciejszy nauczycielu, czy to znaczy, że niedługo odejdziesz od nas, by znowu podróżować na Zachód?

Za wcześnie na to — zalił się w jej sercu dziecinny, zbuntowany głos — by utracić tego człowieka, który był przyjacielem, nauczycielem i zastępował ojca. Ale jeżeli miał znowu ruszyć w podróż na Zachód, mogło to wyłącznie oznaczać, że Syn Niebios przywrócił go do pełnych łask. Jeżeli naprawdę tak było, Srebrzysty Śnieg będzie się radować. O ile wartościowsza była ta druga myśl niż ta pierwsza, samolubna i bojaźliwa!

Li Ling uśmiechnął się i potrząsnął głową.

— Dni podróżowania tego oto dokonały się, maleńka pani. Jak wiesz, to Hiung–nu są wielkimi podróżnikami. Shan–yu Khujanga... czy pamiętasz jego imię?

— Mój ojciec był jego więźniem — powiedziała Srebrzysty Śnieg. — A ty powiedziałaś kiedyś przed Synem Niebios, że gdyby Khujanga wygrał walkę o zwierzchnictwo za Zachodzie, szukałby przymierza z Państwem Środka. Czy to więc on przyjeżdża do Chang'an?

Ku jej zdumieniu Li Ling roześmiał się, ale w jego śmiechu pobrzmiwał smutek.

— A więc podglądałaś dwór tamtego dnia, tak, pani? To twoja sprawka, jak mi się zdaje — rzucił tę uwagę w stronę Wierzby, która zaczerwieniła się. — Odkryłaś kryjówkę dla swojej pani i z niej usłyszała, jak rzucano na nią obelgi.

— Ale zobaczyłam i usłyszałam również i ciebie! — odparła Srebrzysty Śnieg.

— Wiesz — zadumał się Li Ling — przez cały tamten wieczór Syn Niebios przysięgał, że widział cię swojej utraconej damy, biegnącej korytarzem. Chociaż posiada te wszystkie Jaśminy, Cenne Perły i jakie tam one noszą jeszcze sentymentalne imiona, Syn Niebios jest spokojnym mężczyzną, przywiązuje się

głęboko do ludzi i okrutnie boleje, kiedy ich utraci lub kiedy, jak mu się zdaje, zdradzą go. To właśnie jego rozczarowanie powoduje, że wymierza surowszą karę. Teraz wiem, że tak właśnie było, kiedy osądził mnie i kazał mi siedzieć beczynnie w Wewnętrznych Komnatach. Nie myślę, żeby zapomniał o swojej utraconej miłości. Mimo wszystko, co za konia: ten cień, który zobaczył, to byłaś ty...

Głos Li Linga ucichł, a on sam pograżył się w zadumie. Palce Srebrzystego Śniegu wbrew niej samej zabębniły o matę.

— Czy to więc ten *shan-yu* Khujanga przybywa do Chang'an? Myślałam, że on jest całkiem stary.

— I tak jest, dziecko — zgodził się Li Ling. — Stary, poznaczony bliznami i znużony walką. Umarłby, gdyby się zapuścił teraz tak daleko od swoich stepów. Ale wygrał swoją walkę i teraz szuka przymierza.

— Dlaczego? — zapytała Srebrzysty Śnieg. — Nas przed Hiung-nu broni Mur. Co powstrzymuje ich przed tym, by za Murem podróżowali wedle swej woli? Może i są barbarzyńcami, ale jeździć mogą swobodnie.

Po raz pierwszy, odkąd go spotkała, Li Ling był tak zadowolony z siebie.

— Nigdy to, że okazano lekceważenie mojej własnej radzie, nie sprawiło mi większej ulgi. Przed laty, kiedy sam jeździłem po stepie, Khujanga zwykł był wypytywać mnie o Państwo Środka. A ja mu mówiłem: „Wszystkie twoje hordy z trudem dorównałyby populacji paru prefektur, ale sekret waszej siły leży w tym, że jesteście niezależni od Ch'in we wszystkich waszych istotnych potrzebach. Pomyśl o tym, że jedna piąta bogactw Chińczyków wystarczyłaby, żeby kupić wszystkich twoich ludzi. Jedwab i atłas nie są ani w połowie tak odpowiednie dla prowadzonego przez was surowego trybu życia jak filc, a łatwo psujące się łakocie z Chin nie są tak zdrowe jak wasz kumys i sery”. Ale Khujanga nadal hołubi swoje jedwabie i luksusy, a Ch'in uważa za matkę mądrego życia. I dlatego wysłał na dwór jednego z synów jako rękojmię swojej dalszej przyjaźni z Ch'in.

— A w zamian?

— Ach, pani, gdybyś się była przysłuchiwała, kiedy na dworze mówiłem Synowi Niebios o przymierzu, którego chciałby Khujanga, wtedy wiedziałabyś, czego się spodziewa, jedwabie i złota, i księżniczki Ch'in za żonę, by przypieczętować sojusz.

Jako człowiek, który doradzał *shan-yu* dążenie do zawarcia sojuszu, Li Ling był teraz w wielkich łaskach, co przyjmował z lekką ironią. Niemniej opuścił ją

bardzo prędko, z szybkością jaka mogła jeszcze ujść za uprzejmą tylko wśród przyjaciół. Srebrzysty Śnieg siedziała, postukując czubkiem pędzelka o wargę. Zanim karykatura Mao Yen-shou okryła ją niesławą, Srebrzysty Śnieg widywała te ładne, bledziutkie księżniczki. Która z nich zostanie wybrana, by odbyć podróż na Zachód i poślubić starszawego *shan-yu*? Jakże zdoła to przeżyć taka dziewczyna, która zalewa się łzami po śmierci ptaszka, której grono służebnych potrzebne jest choćby po to, by ubrać ją rano?

Taka dziewczyna naprawdę może oszaleć, zanim wyruszy z Hiung-nu. I znowu Srebrzysty Śnieg postukała się pędzelkiem po wardze. Mój ojciec i Li Ling opowiadali mi o Zachodzie, może nie bardzo dużo, ale na pewno więcej, niż może wiedzieć taka dziewczyna. Może... może mogłabym z nią porozmawiać, pocieszyć ją.

Przeszyła ją zazdrość tak gorąca, że dłoń, w której trzymała pędzelek, zadrżała. Przynajmniej ta dziewczyna będzie wolna! Przymknęła oczy, żeby móc lepiej smakować nagłą wizję krainy, której nigdy nie widziała: step — szorstkie zielone łąki, falujące latem jakby wiatr rysował smugi na sadzawce, grzmiące po ziemi konie, trawa muskająca ich boki; chłód zimy, z wyjąłym wiatrem, który gromadził swą furię poprzez tysiące *li*, albo żar, wypalający piach i kamyki na najdalszej pustyni.

Wkrótce szept przebiły nawet samotność Srebrzystego Śniegu. Cenna Perła została przez Syna Niebios podniesiona do wyższej godności. Wkrótce mogła zostać nawet samą Znamienitą Małżonką, lub jedną z kilku. To były jedyne wieści dotyczące samego dworu, reszta dotyczyła Hiung-nu.

Nadworne damy, a także niektórzy mężczyźni i eunuchowie, odczuwali rzetelną radość, opowiadając jeden drugiemu przerażające historie o Hiung-nu. Historyjki te zaczęły zataczać szerokie kręgi natychmiast po tym, jak Mao Yen-shou ogłosił, że nie można odstąpić żadnej z księżniczek na żonę dla barbarzyńcy. Zamiast tego Syn Niebios „zaadoptuje” jedną z pięciuset pozostałych dam, które ponad rok temu wprowadzono do Pałacu. Będzie cesarską „córą”, ale przywilejami księżniczki rodu Han będzie cieszyć się tylko przez krótki czas.

Srebrzysty Śnieg nie słyszała osobiście, jak ten przekupny, śliski eunuch to ogłaszał. Mogła sobie wyobrazić, jak do jego pięknie utrzymanych rąk wpływają łapówki, kiedy jedna dama za drugą błaga, by to nie ją wybrano. Na którą z nich padnie wybór?

Mao Yen-shou musi się dobrze bawić — pomyślała sobie, kiedy pogłoski

stawały się coraz bardziej niesamowite. Na Wewnętrznych Dziedzińcach kipiało jak w mrowisku, w które wojownik złośliwie wetknie włócznię. Hiung–nu jedli tylko surowe mięso, jedli tylko korzonki i mięso, ubite pomiędzy własnym ciałem a siodłami swoich koni, nigdy nie zsiadali ze swoich koni, prawie że nie przypominali ludzi.

Kiedy plotkujące głosy wzniosły się przenikliwie aż w rejony grozy, Srebrzysty Śnieg ośmieliła się opuścić swoje wygnanie choćby tylko po to, by uspokoić najbardziej przerażone (i najbiedniejsze) z pomniejszych konkubin, spośród których najprawdopodobniej zostanie dokonany wybór.

— Gdyby Hiung–nu mieli jeść tylko surowe mięso, czemu zacny minister Li Ling mówił nam o wielkich mosiężnych kotłach? Jeżeli nigdy nie zsiadają z koni, jak to się dzieje, że Hiung–nu na dworze przechadzają się między nami jak ludzie?

Szepty i obawy rozprzestrzeniały się po ogrodach Wewnętrznych Dziedzińców jak zaraza, a rozkwit pełni lata i jego schyłek minęły bez westchnień, jakie w minionych latach wyrwały się na widok urody tych ogrodów.

Czy naprawdę wyglądali oni jak zwierzęta?

Wierzba, oczywiście, zdołała jednego czy dwóch z nich zobaczyć.

Opowiadała, że są posepni i dumni, pełni niepokoju, by nie ściągnąć na siebie niesławy w tym nie znanym im mieście i w jeszcze mniej im znanym przepychu, ale byli naprawdę ludźmi, nie zwierzętami. Mimo że Cesarska Świetlana Komnata była dla niej miejscem pamiętnego upokorzenia, Srebrzysty Śnieg pomyślała, że musi znaleźć jakiś sposób, by tam wejść, znowu się ukryć za parawanem i zobaczyć tych obcych na własne oczy.

Rozdział dziesiąty

Ling nie odwiedzał jej przez wiele dni. Pewnie jakieś sprawy państwowej wagi — myślała na początku Srebrzysty Śnieg. Mimo że żyła w odosobnieniu, słyszała o tym, jak to najmłodszy syn *shan-yu* ma pozostać na dworze jako rękojmia dobrego zachowania Hiung-nu, gdyby im honor nie dopisał. I znowu, tak jak to było przed laty, kiedy Khujanga doszedł do władzy, władca Chin i Hiung-nu pili wino i końską krew z czary, wyrzeźbionej z czaszki Moduna, który był wrogiem obydwu, *shan-yu* i Syna Niebios.

Dochodziły do niej pogłoski o wspaniałych darach, jakie Hiung-nu przywieźli do Chang'an — sto koni szlachetnej rasy, sznur wielbłądów i wspaniałe futra sobolowe i lisie. (Wierzbę dreszcz przechodził na samą wzmiankę o nich). Słyszała także o darach, które przygotowywano na powrót Hiung-nu na stepy: laka i jedwab, i wspaniałe lustra z brązu. Brakowało jeszcze tylko księżniczki w podarunku dla *shan-yu* na żonę.

Srebrzysty Śnieg zaczęła już robić sobie wyrzuty, że uraziła jakoś starego, mądrego eunucha, kiedy pojawił się on w bramie Zimnego Pałacu. Jak tylko znalazł się bezpiecznie w środku, gdzie nikt go nie mógł dostrzec, wyraz jego twarzy zmienił się i przestał przypominać sztywną maskę, w jaką minister o jego randze przyoblekał twarz na dworze, uważając to za rozsądne i bezpieczne. Teraz patrzył na nią z mieszaniną żalu i rozbawienia.

Miniony rok nauczył Srebrzysty Śnieg, jak czekać, zachowując przynajmniej pozory beztroski. Tak więc spotkała jego spojrzenie z pogodnym czołem i uniesionymi brwiami.

— Nareszcie wydarzenia sprzysięgły się przeciwko Mao Yen-shou! — wybuchnął Li Ling, śmiejąc się. — Jak tylko wyjechał do Lo-Yang, Syn Niebios podjął decyzję w sprawie pragnienia Hiung-nu, żeby jakaś księżniczka została żoną *shan-yu*. I znowu okazało się, że Syna Niebios interesuje bardziej szybkość i łatwość wyboru niż śliczne damy. Ogłosił, że posłuży się portretami Mao Yen-shou, by zdecydować, bez której spośród pięciuset dam najłatwiej będzie mu się obejść.

— I myślisz, że wybór może paść na mnie? Srebrzysty Śnieg nagle straciła zimną krew.

Było rzeczą logiczną, żeby to ona została wybrana. Widziała ten kłamliwy

portret, jaki jej namalował Administrator, był o całe niebo brzydszy od innych, Cesarz zezwolił na jej banicję do Zimnego Pałacu; z radością się jej więc pozbędzie. A ona sama zachwycona była, że opuści więzienie, jakim stały się Wewnętrzne Dziedzińce.

Istniała jednak jedna poważna przeszkoda. Choć Mao Yen-shou mógł cieszyć się, że się jej pozbędzie, nie będzie przecież chciał, żeby Syn Niebios w ogóle się nią zainteresował. To prawda, że nefrytowa zbroja znajdowała się teraz w jego posiadaniu, ale w posiadaniu Srebrzystego Śniegu znajdowała się wiedza o tym, czym on był: kłamcą i złodziejem, gotowym grozić młodej kobiecie oskarżeniem o rabowanie grobów, byle tylko zagwarantować sobie ostatni skarb jej domu. Nie, Mao Yen-shou wybrał sobie fatalny moment na podróż do Lo-Yang.

Li Ling wiedział, że dla pani Srebrzysty Śnieg Zimny Pałac był gorszym losem niż wygnanie na Zachód; i był jej życzliwy. Czy potrafiłby doprowadzić do tego, żeby to ją wybrano? Twarz jej pokrył rumieniec, a oczy wypełniły się łzami, nie ze strachu, wyjąwszy lęk przed tym, czego nie знаła i co ją przerastało, ale z podniecenia. Być znowu na wolności! Móc jeździć konno! W końcu zobaczyć te stepy i ten kraj, po którym jeździł jej ojciec!

W umyśle jej echem powróciły linijki starego wiersza:

*Żółta bylica przy granicy,
Nagie gałązki i suche liście,
Pustkowie pól bitewnych, białe kości
Ze szramą od miecza i strzał.
Wiatr, mróz, przesywający chłód,
Zimne wiosny i lata...*

Przeszedł ją dreszcz i z przerażeniem musiała przyznać, że uczuciem, któremu nie może się oprzeć, jest tęsknota.

— Nie mogę wprost uwierzyć — zaczęła niemal kapryśnie — żeby Mao Yen-shou miał wyrządzić mi taką przysługę. — Na twarzy starszego pana zobaczyła wtedy smutek.

— Normalnym biegiem rzeczy, o najszanowniejszy nauczycielu — zapewniła go — to ty byś mnie opuścił, kiedy przyjdzie czas. Na stepie są konie, a gdzie są konie, tam mogą znaleźć się posłańcy, którzy przewiozą listy, jeśli wyśle je ta, którą nazywają królową. A poza tym, jeszcze mnie nie wybrano.

Eunuch uśmiechając się potrząsnął głową.

— Ale podobnie jak ty, myślę, że cię wybiorą. Zwłaszcza gdyby udało się znaleźć sposób, by zacnego Mao Yen-shou wezwano gdzie indziej. — Rzucił spojrzenie na Wierzbę. — A ty, dziecko?

Wierzba ukłoniła się, pochyleniem głowy wyrażając kompletną gotowość udania się za panią Srebrzysty Śnieg, gdziekolwiek ta by poszła czy pojechała. Wśród Hiung-nu, przypomniawszy sobie Srebrzysty Śnieg, były kobiety obdarzone mocą większą niż moc zwykłych istot. Może Wierzba, kulawa czy nie, nie będzie tak raziła wśród nich jak na Wewnętrznych Dziedzińcach Chang'an, gdzie kobieta mogła zwrócić na siebie uwagę jedynie cielesną urodą i wdziękiem.

I znowu Li Ling siedział w Zimnym Pałacu, popijając ryżowe wino z okazji niecodziennej uroczystości. Z właściwego mu zdyscyplinowanego spokoju wytrąciło go opowiadanie o tym, jak to główny pomocnik Mao Yen-shou przyniósł portrety, skłonił się i nie mógł sam się podnieść na nogi, tak utył przez ostatni rok.

— A potem Syn Niebios przejrzał portrety, szybko, jak gdyby wiedział, czego szuka. Kiedy doszedł do twojego, wskazał na niego — To ta! I niech przyniesie Hiung-nu szczęście, z tą czarną myszką!

— A wiesz — dodał Li Ling — że właśnie tak może się stać?

— Tak się stanie — szepnęła Wierzba.

Srebrzysty Śnieg rzuciła na nią okiem. Przez chwilę Wierzba była zupełnie błąda, nie patrzyła na panią ani na jej przyjaciela, ale poprzez nich. Następnie przeszedł ją dreszcz i wydawała się budzić z transu, w jaki popadła.

— Co mówiłaś, Wierzbo? — łagodnie naciskał ją Li Ling.

— Ja, szlachetny panie? — zapytała Wierzba. — Jakżebym mogła odzywać się niepytana? Nic nie mówiłam.

— Hiung-nu uważają, że możesz im przynieść szczęście — wyjaśnił Li Ling.

Ich — jak miała ich nazwać Srebrzysty Śnieg — kapłani? — chociaż chyba cywilizacja Hiung-nu nie zaszła jeszcze tak daleko — złożyli w ofierze owcę, zbadali jej łopatki i ogłosili, że wybór Srebrzystego Śniegu, ukochanej „córy” Cesarza, na żonę Khujangi, *shan-yu* stepowych plemion, niósł ze sobą dobrą wróżbę.

Było nie do pomyślenia, żeby Srebrzysty Śnieg, jako umiłowana córka Syna Niebios, pozostała w Zimnym Pałacu. Służące, równie uniżone teraz w swym pragnieniu, by jej służyć, jak dawniej były aroganckie, przeniosły jej skromny dobytek

i przyniosły nowe, bogate ubrania i przepyszne parawany do ogromnej, dobrze oświetlonej komnaty, która została jej wyznaczona. Pomyślała sobie, że może to już ostatni raz w życiu mieszka pod stałym dachem, bo mówiono, że Hiung–nu nienawidzą takich ograniczeń i mieszkają w filcowych namiotach, które mogli poskładać i rozbić na nowo, kiedy przenosili się z zimowych leży na letnie pastwiska.

Ku jej rozbawieniu, goście zlatywali się teraz jak stado motyli do wyjątkowo wspaniałego kwiatu, żeby jej się pokłonić. Była w łaskach, a oni całe swoje życie budowali na tym, by służyć każdemu, kto cieszył się łaskami. Oprócz tego podejrzewała, że chcieli jej się przyjrzeć i napawać się jej strachem, gdyby go okazała.

— To podobne do ludzi słabych — zauważyła sardonicznie Wierzba, kiedy już stadko, trzepocąc, odleciało z podwórca — żeby zawsze smakować nieszczęścia lepszych od siebie.

— Cicho, Wierzbo! — Srebrzysty Śnieg na ten docinek powstrzymała się od uśmiechu, chociaż musiała przyznać jej rację.

Nawet pani Lilak — Srebrzysty Śnieg wiedziała, że nie cieszy się jej sympatią i miała nadzieję, że tamta już o niej zapomniała — przyszła płacząc nad swą dawną podopieczną i usiłując zdobyć jej zaufanie.

— Pani — zareagowała dziewczyna na jeden z jej bardziej wyszukanych lamentów — wiesz, jak wulgarnie jestem odporna, jak nie pasuję do Wewnętrznych Dziedzińców. Mojemu ojcu całkiem dobrze żyło się wśród Hiung–nu, kiedy był ich jeńcem, i myślę, że ja też sobie poradzę. Będę cenną małżonką samego *shan–yu*. Nie wyobrażam sobie, żebym miała przez nich zostać źle potraktowana.

Ta ostatnia szpileczka — pomyślała sobie potem — była jej niegodna, ale nie mogła się powstrzymać.

W miarę jak zbliżał się dzień, kiedy miała opuścić Wewnętrzne Dziedzińce, wsiąść do specjalnie zbudowanego powozu podróznego i wyjechać przez jedną z zachodnich bram z Chang’an, Srebrzysty Śnieg przyłapała się na tym, że uważa tę podróż za przygodę. Ale nie było tak w przypadku dam, którym rozkazano jej towarzyszyć. (Lilak odczuła ogromną ulgę, że nie było jej wśród nich). Zawodziły, jakby szły na własny pogrzeb.

Czy wytrzymają tę podróż? Chociaż książe Hiung–nu, który miał poprowadzić żonę swego ojca na stepy, przysiągł, że zawróci je na granicy, czy dotrzyma słowa? Ustawicznie oblewały łzami każde z tych pytań, mimo zapewnień Srebrzystego

Śniegu, że odjedzie sama z Hiung–nu i tymi paniami, które przyprowadzą jej na spotkanie. Ostatecznie będzie miała przy sobie Wierzbę. (Jak zwykle, damy ściągały swe malowane wargi na samo wspomnienie jej chromej służącej).

Nareszcie nadszedł dzień, kiedy Srebrzysty Śnieg siedziała ubrana w szaty tak bogate i ciężkie, że niemal nie śmiała się poruszać, czekając na wezwanie do sali tronowej. W tej samej sali, gdzie podglądała swą własną niesławę, musi teraz w roli posłusznego dziecka Syna Niebios pożegnać swego „ojca”. Przyjechała z Pomocy, by go zobaczyć, ale nigdy dotąd go nie spotkała.

Spojrzała w lusterko, które trzymała przed nią Wierzba.

— Ach, ten eunuch, ten Mao Yen–shou, on pięknie z upokorzenia, Starsza Siostró! — Dziewczyna uśmiechnęła się, a jej zęby były bardzo ostre i lśniące. — Jak to się stało, że nie zdołał zapobiec temu spotkaniu?

— Li Linga być może pozbawiono jego armii — odparła Srebrzysty Śnieg — ale wciąż jeszcze jest dużo lepszym generałem niż Administrator Wewnętrznych Dziedzińców.

— Ach, pani, jak tylko Syn Niebios zobaczy cię, zorientuje się, że nie jesteś nieładną istotą z portretu tego grubego złodzieja.

— Być może ten artysta wyobraża sobie, że Cesarz nie przeniesie wzroku z portretu na samą kobietę. Poza tym to przybranie głowy, które założę, jest bardzo bogate.

— A więc to ty musisz skłonić go, by popatrzył! — oznajmiła Wierzba.

— W jakim celu, dziecko? Opuszczam Chang’an tak, jak opuściłam dom mego ojca: by nigdy nie powrócić.

— Żeby się zemścić! — Wierzba niemal parsknęła. Ale Srebrzysty Śnieg potrząsnęła głową.

— Nie trzeba mi zemsty — powiedziała.

— Będziesz ją miała! — krzyknęła Wierzba. — Syn Niebios będzie obawiał się, że jesteś zbyt brzydka, by nawet Hiung–nu przyjęli cię za żonę. Niech tylko na ciebie popatrzy i zobaczy, co widzi!

Wierzba ponownie podsunęła lusterko pani Srebrzysty Śnieg. Zobaczyła w nim kilka aspektów prawdy. Jednym z nich było jej własne piękno. Innym natura. Była córką żołnierza, zdrowo chowaną na Północy. Komuś takiemu niełatwo było rzec się zemsty, żeby nie wiedzieć jakie mądre przysłowia deklamował.

— A jednak chciałabym oczyścić imię mego ojca, chociaż przez tę adopcję i moje małżeństwo — tu przeszedł ją dreszcz mimo masy ciężących jej jedwabi — zyskuje on wielki prestiż. To jednak nie to samo.

Wierzba wzruszyła ramionami wyraźnie i milcząco dając do zrozumienia, jak niecierpliwą ją takie subtelne rozróżnienia. A wtedy, w momencie gdy właśnie pochylała się, by z nieskończoną delikatnością poprawić przybranie głowy Srebrzystego Śniegu, nadeszło wezwanie. W otoczeniu dam i straży honorowej panią Srebrzysty Śnieg poniesiono do sali tronowej.

Srebrzysty Śnieg weszła powoli, robiąc wielkie wrażenie. Poczła nagle, że kolana ma jak lód wrzucony do wrzątku. Pomyślała, że za chwilę upadnie. Przybranie głowy było tak ciężkie, że siłą rzeczy szła z pochyloną głową, obawiając się, żeby kark jej się pod nim załamał albo żeby ktoś nie pomyślał, że jest zbyt zuchwała. A dzięki frędzłom przybrania, sznureczkom pereł, kołyszącym się i słodko brzękającym nad czołem, Srebrzysty Śnieg miała opuszczone powieki jak przystało skromnej dziewczynie, a nie kobiecie, która przyszła stoczyć walkę o swój dom i swoją przyszłość.

Dopełniła wejścia do komnaty, gdzie tak okrutnie ją kiedyś upokorzono, i opadła w ceremonialnym, głębokim ukłonie, jak została nauczona. Wśród dworzan podniosło się westchnienie na widok jej wdzięku. Ale oddech miała przyśpieszony i wiedziała, że drży. Dygotały nawet piórka zimorodków, które ozdabiały jej lśniące włosy.

Chciała się dobrze przyjrzeć Cesarzowi, ale teraz kiedy wystarczyło podnieść wzrok, wlepiła oczy w podłogę, opanowana równocześnie uczuciem nabożnej czci i wściekłości. Ten człowiek, ten chudy, blady mężczyzna o dłoniach uczonego, to był Syn Niebios, dziedzic Shih Huang–di z Chin, który wyznaczył granice Państwa Środka i dla wszystkich ustanowił prawa. Był on praktycznie bogiem na ziemi. A jednak był też mężczyzną, który upokorzył ją, skazał na wygnanie, znieważył ojcowskiego przyjaciela i niemal zabił jej ojca za jego zbyt surową lojalność. Bała się na niego popatrzeć, była na to zbyt rozgniewana. Oby Przodkowie zechcieli jej wybaczyć.

Zwróciła teraz uwagę na Hiung–nu, tych bezbrodych barbarzyńców, wśród których przyjdzie jej żyć i umierać. W otoczeniu straży stało dziecko ubrane tak bogato, że jego strój przypominał jej rząd na konia. Nieco płaska twarz chłopca i jego śmiała postawa upewniły ją, że dziecko było zakładnikiem, którego Cesarz zażądał od

Hiung–nu w zamian za traktat. Czy poradzi sobie lepiej z luksusowym uwięzieniem w Pałacu niż ona?

Chłopiec spojrział na nią śmiejąc się jak dziecko na widok kolorowej zabawki. Zanim zdążyła się zastanowić, co robi, pozdrowiła go w języku, jakiego nauczył ją ojciec i jego ludzie, a on niemal podskoczył ze zdumienia.

Obok niego, z twarzą nieco odwróconą, jakby uczestniczył w tej uroczystości z największą niechęcią, stał mężczyzna Hiung–nu, którego wykończone sobolami szaty świadczyły, że był kimś ważnym, może nawet księciem. Słyszając swą własną dziką mowę z ust damy Chin, podniósł wzrok, wyrażony ze swojej sztywnej pozy. Następnie oczy mu się zasnuły mgiełką jak u człowieka, który popatrzy na konia, ale zdecyduje, że jednak nie chce go kupić. Odwrócił szybko wzrok i zaczął znowu przypominać posąg, a nie żywego człowieka.

A więc to byli Hiung–nu, pomyślała. Nie przypominali bestii, których aż do szaleństwa obawiały się damy z Wewnętrznych Dziedzińców. Gdyby zabrać im ozdoby i futra i ubrać w znoszony strój żołnierski, byłiby podobni do jezdnych jej ojca.

Ale oto przemówił Syn Niebios. Niepodobne to było do niej, oddawać się marzeniom właśnie w momencie, na który tak długo czekała. Sama myśl o tym wywołała rumieniec na jej policzkach.

— Cóż za nadzwyczajna skromność — powiedział w zadumie Cesarz. — To najcenniejszy klejnot kobiety. Podnieś oczy, córko.

Nieposłuszeństwo wobec wyraźnego polecenia Syna Niebios było zdradą albo jeszcze gorzej. Nie mając wyboru, Srebrzysty Śnieg podniosła wzrok i w następnym momencie wzdrygnęła się na okrzyk Cesarza.

— To znowu moja pani, moja utracona faworyta!

Ku zdumieniu Srebrzystego Śniegu i półgłosem wyrażanej przez dworzan grozy, Syn Niebios nie użył, jak przystoi, formy „my”, ale przemówił do niej tak, jak gdyby ich dwoje było jedynymi ludźmi w tej przepysznej, zatłoczonej sali.

— Dziecko, wyglądasz jak moja pani, poruszasz się jak ona, masz dokładnie jej postać! — powiedział Cesarz. W tym momencie znikły różnice między Cesarzem i kobietą. Pozostali twarzą w twarz ze sobą: pograżony w żalu mężczyzna i kobieta, którą boleśnie skrzywdził.

— Dlaczego nikt mi nie powiedział? — zażądał odpowiedzi Syn Niebios.

Nie mówił do nikogo w szczególności; nikt więc nie ośmielił się wziąć na

siebie odpowiedzialności za sformułowanie odpowiedzi: nikt oprócz pani Srebrzysty Śnieg.

— O wzbudzający grozę Synu Niebios — powiedziała Srebrzysty Śnieg — ta oto błaga, byś przebaczył jej zuchwałość, ale najpokorniej proponuje, byś zapytał Mao Yen-shou.

Kiedy mówiła, głos jej przeszedł z zamierającego szeptu, w którym ją ćwiczano, do mocnego, dźwięcznego głosu. Kątem oka dostrzegła, jak Hiung-nu odwracają się, przyciągani siłą jej głosu. Jeden z nich ściągnął wargi i rzucił jej spode łba spojrzenie, które, jak sobie uświadomiła, było pełne aprobaty.

— Bądź spokojna, zrobimy to — powiedział Cesarz.

I znowu jego słowa i głos należały do Syna Niebios, a nie do uczonego, który tak nie harmonizował ze Smoczym Tronem. — Ale zanim każemy Mao Yen-shou stanąć przed nami, pani, zapytam o to znowu. Jak to się stało, że nie powiedziano mi, że jesteś istnym wizerunkiem mojej drogiej, utraconej pani?

— O Boski Panie — zaczęła Srebrzysty Śnieg, ale Cesarz podniósł dłoń.

— Nie — powiedział, a głos miał tak miękki i ciepły, że Srebrzysty Śnieg uświadomiła sobie, że poprzez nią przemawia do bliskiego mu, najukochańszego ducha. — Czy ona tak by do mnie mówiła? Mów, moje drogie dziecko i nie obawiaj się.

Srebrzysty Śnieg padła znowu na kolana, wdzięczna za chłodną masywność podłogi. Musiała dokonać ostatecznego wyboru: mogła Cesarzowi skłamać — co niemalże równałoby się bluźnierstwu — albo zdemaskować bardzo potężnego pana Wewnętrznych Dziedzińców, co mogło być śmiertelnie niebezpieczne. To był kraj śmierci w takim samym stopniu, jak mogło nim być pole bitwy, nie pozostało jej żadne wyjście poza atakiem.

Ta świadomość przywróciła jej teraz odwagę i opanowanie.

— Mao Yen-shou nie życzył sobie, byś mnie zobaczył — mówiła spokojnie, jak gdyby rozmawiała z Li Lingiem o historii. — Kiedy przybyłam na dwór, Wasza Cesarska Mość... — podniósł dłoń, ale uśmiechał się.

— Kiedy przybyłam, Administrator... sugerował, że łaska twoja może spoczywać w jego dłoniach i pędzelku, którym natchnienie mógł przynieść odpowiedni podarek. Ale ja nie miałam żadnych darów... poza jednym — a ten dar przeznaczony był tylko dla ciebie.

Syn Niebios uśmiechnął się do niej, a uśmiech jego zdawał się pytać, jaki to

był dar, i zapewniać ją, że sama była najwspanialszym darem, o jaki mógł prosić.

— O Boski... to znaczy, panie mój, ziemie mojego ojca są ubogie. Żyliśmy przez całe lata pogrążeni w smutku w cieniu twojej niełaski. Nawet posagu, z którym przybyłam do Chang'an, nie mógł mi dać ojciec bez uszczerbku dla siebie, ale dał go z ochotą i posłuszeństwem w sercu. I dał mi jeszcze coś oprócz tego.

— Panie mój, w naszym domu znajdował się jego ostatni, wielki skarb: dwie nefrytowe zbroje godne tego, mimo że sami niegodni byliśmy posiadania takiego skarbu, by w nich pochować Cesarza i jego Pierwszą Damę. Powierzył mi je i rozkazał, że gdybym znalazła łaskę w twoich oczach... tej pierwszej nocy... — Srebrzysty Śnieg potrząsnęła głową i szybko kończyła: — Powiedział mi, że mam je tobie przekazać jako dowód jego posłuszeństwa.

Zorientowała się po szybko stłumionym zamieszaniu przy drzwiach, że Mao Yen-shou usiłował opuścić salę i że go powstrzymano.

— Ta dziewczyna kłamie! — zawołał, a jego wspaniale wyszkolony głos uniósł się aż pod krokwie.

— Kłamie? — zapytała Srebrzysty Śnieg, podniósłszy się tak, aby widzieć zarówno jego, jak i Cesarza, którego twarz pociemniała z gniewu. Po gwałtownym usiłowaniu ucieczki eunuch miał odzież w nieładzie i wydawał się bardziej opasy i mniej groźny. — A więc nazwij kłamstwem i to: zabrałeś nefrytową zbroję, a kiedy protestowałam, pokazałeś mi jakieś stare zęby, które wrzuciłeś do skrzyń, w których leżały zbroje. I powiedziałeś, że jeżeli będę się sprzeciwiać, to oskarżysz mnie o rabowanie grobów i obrócisz dom mego ojca wniwecz.

Zwróciła się znowu do Cesarza.

— Błagam cię — zawołała — poszukaj tej zbroi, a potem rozsądź między nami, jak na to zasługujemy. Ta oto jest nieszczęsna, słaba i woli umrzeć raczej, niż żyć w lodowatym cieniu twego gniewu.

Cesarz skinął. Dopiero wtedy Srebrzysty Śnieg znalazła czas, by zacząć się o siebie bać. A jeżeli Mao Yen-shou sprzedał lub zniszczył zbroje? Nie mógł ich sprzedać, bo któż kupiłby taki skarb? A wartość ich polegała nie tyle na nefrycie i złocie, ile na misternej robocie i sędziwym wieku, a więc na kawałki też by jej nie rozdzielił. Strażnicy muszą ją znaleźć.

Chociaż rozum wyraźnie mówił, że tak musi się stać, zęby jej dzwoniły i bardzo chciało się płakać ze strachu. A jednak był to kraj śmierci, ułożyła swoje plany, wszczęła atak i jak generał — jak jej własny ojciec — musi zdać się na

mądrość swego planu bitwy. Czy doprowadzi on ją do zwycięstwa, czy klęski.

Usłyszała coraz bliższy odgłos zbliżających się do sali kroków. To muszą wracać strażnicy! Wzbraniała się na nich spojrzeć, skupiając uwagę na dźwiękach wokół siebie. Jakże powolne, mozolne były ich kroki! Z pewnością szli tak, jak gdyby nieśli coś ciężkiego... coś takiego jak dwie zbroje z nefrytu?

Jak wielką pokładała w tym nadzieję!

Strażnicy przeszli przez salę, postawili to, co nieśli, na podłodze i skłonili się unieźenie. Teraz Srebrzysty Śnieg zmusiła się, by spojrzeć. Znała te skrzynie! To z nich Mao Yen-shou wyjął nefrytowe zbroje i uznał je za swoje.

Syn Niebios wykonał niecierpliwy gest. Pełen podniecenia ruch jego ręki nakazywał otworenie skrzyń.

Z wnętrza zamigotała łagodna, miękka zieleń wspaniałego nefrytu i przepych złota.

— Ja ci ufałem! — krzyknął Syn Niebios do Mao Yen-shou, który rzucił się twarzą na ziemię. — Ufałem ci, a ty namalowałaś mi tę kłamliwą podobiznę, ten oszczerczy portret damy, godnej być Znamienitą Towarzyszką. Czyż nie dość miałaś jeszcze skarbów? Czy nie byłem szczodrym panem?

Mao Yen-shou poczerwieniał na twarzy tak, że przez jedną pozbawioną egoizmu chwilę Srebrzysty Śnieg obawiała się, że padnie trupem na miejscu. Niemalże było jej go żal. Otwierał i zamykał usta; trzęsły mu się podbródki, otoczone wysokim kołnierzem bogatej jedwabnej szaty, ale nie słycać było żadnych słów.

— Zabierzcie go. — Cesarz skinął ręką, głos miał znudzony. — Chcę, żeby jego głowa przyozdobiła zachodnią bramę, zanim słońce zajdzie.

Tym razem Mao Yen-shou odzyskał głos na tyle, by wydać ostry krzyk protestu bez słów, zanim strażnicy powlekli go obok jego dawnych towarzyszy (ci swoje szaty odsuwali z sykiem jedwabiu od tego plugastwa, jakim się teraz stał) i wywlekli z sali na śmierć.

Przez moment wszyscy w komnacie stali jak sparaliżowani, wpatrując się w drzwi. Następnie spojrzenia przeniosły się znowu na panią Srebrzysty Śnieg.

— Ta oto błaga Syna Niebios, by przyjął niegodny dar jej ojca przez wzgląd na miłość i lojalność, jakie żywił on dla Syna Niebios przez całe swoje życie. — No! Wypowiedziane zostały wreszcie te słowa. Dla nich przebyła całą tę daleką drogę do Chang'an.

Syn Niebios podniósł się ze Smoczego Tronu, czemu towarzyszyły okrzyki

zdumienia. Powoli, z rozmysłem podszedł do nefrytowej zbroi i przesunął jedną pięknie utrzymaną dłoń po gładkim chłodnym nefrycie.

— Przyjmujemy ten dar — ogłosił. — I dziękujemy Chao Kuangowi, któremu przywracamy wszystkie jego dawne tytuły i godności. Niech ponownie będzie markizem i generałem. Skrybowie zapiszą to, a edykt zostanie wysłany do Chao Kuanga.

Srebrzysty Śnieg przycisnęła czoło do chłodnej podłogi tak szybko, że piórka zimorodków zatrzepotały w jej włosach, a perełki zadzwoniły jedna o drugą. W oczach zapiekły łzy i czuła się tak, jak gdyby pierś jej przeszył nóż, ale było jej to obojętne.

Jeżeli nawet miałabym za chwile umrzeć — pomyślała — to żyłam wystarczająco długo. Odniosłam zwycięstwo, a ty, mój ojciec, odzyskałeś swój honor.

Ku jej zaskoczeniu, jakaś ręka łagodnie dotknęła jej włosów.

— Podnieś się, pani — szepnął Cesarz. — Mam już moją pogrzebową zbroję, jak się zdaje. Ale kim jest dama, która ma nosić przez wieczność drugą? Może ty?

— O Wzbudzający Grozę Cesarzu — szepnęła Srebrzysty Śnieg. — Zostałam przyobiecana *shan-yu*. Czymże jestem poza świętością twego słowa?

Cesarz skinął na grupę Hiung–nu. Srebrzysty Śnieg nie była wcale zdziwiona, gdy podszedł do nich ten młody, bogato ubrany barbarzyńca, oddawszy ukłon zbyt późny i niezgrabny. Był muskularny, krępy i chociaż mniej tęgi, niż byłby na jego miejscu jakiś książę Ch'in, to wzrostem dorównywał samemu Synowi Niebios.

— Książę Vughturoi! — zawołał Syn Niebios, a głos miał bardzo ożywiony. — Omówmy transakcję, którą zawarliśmy. To nie jest księżniczka, którą przyrzekliśmy twojemu ojcu. Zapewnimy mu inną damę na żonę. Czy ty i twoi towarzysze przyjmiecie tę damę?

Młody ambasador Hiung–nu krótko kiwnął głową w stronę Cesarza Yuan Ti, a potem wrócił do swoich współambasadorów i szamanów.

Najstarszy z nich zrobił krok do przodu.

— Cesarzu — powiedział bez obsłonek — nie przyjmujemy.

Rozdział jedenasty

Odpowiada nam w pełni ta oto dama jako żona dla naszego *shan-yu* — powiedział stary barbarzyńca. — Jest bardzo piękna, a nasi *kam-quam*, ci, którzy rozmawiają z duchami, mówią nam, że łączą się z nią jak najbardziej pomyślnie wróżby.

— Nie mogę pozwolić, by odeszła — wyszeptał Cesarz bardziej do siebie niż do Srebrzystego Śniegu czy do Hiung-nu. — Moja utracona pani... szelest jej spódnicy, kiedy idzie korytarzem. Utraciłem tę damę, śniłem o niej i odnalazłem ją. Czy mam zobaczyć ją po raz pierwszy po to tylko, by ją ponownie utracić?

Hiung-nu rozmawiali ze sobą półgłosem, a tłum dworzan i dam w komnacie rozstał się na boki, jak gdyby spodziewali się, że tylko patrzeć, a Hiung-nu naciągną łuki. Te falowania i zawirowania w poszczególnych grupkach pozwoliły pani Srebrzysty Śnieg zobaczyć Li Linga po raz pierwszy, odkąd przekroczyła próg tej komnaty. Ku jej zdumieniu (i wcale niemałemu przerażeniu) Li Ling puścił do niej oko.

Następnie jej uwagę zwrócili znowu Hiung-nu. Potrafiła zrozumieć, co mówią, chociaż niepewnie.

— On próbuje nam odebrać tę damę i dać nam jakąś inną kobietę, może zezowatą albo ze znamieniem — mówił mężczyzna o imieniu Vughturoi. — Ale my nie jesteśmy więźniami w ich mieście kamiennych namiotów. Czy pozwolimy na to?

— Zaprawdę nie — powiedział najstarszy z ambasadorów, — Jeżeli to jest dama, którą obiecano *shan-yu*, to z pewnością jest to dobry znak. Spójrzcie, jaka jest piękna: gdyby Cesarz Państwa Środka nie obawiał się nas lub gdyby nie przedkładał nas nad wszystkich innych, to czy rozstałby się z takim skarbem, by z naszych rąk kupić sobie pokój?

Vughturoi parsknął coś na temat pozłaczanych ptaszków i niemożliwości utrzymania traktatu pokojowego przy... Ale uciszono go natychmiast.

Srebrzysty Śnieg przyłapała się na tym, że znowu spogląda na Li Linga, który zręcznie wślizgnął się na taką pozycję, na której Cesarz z pewnością zauważy go i zapyta o radę. Podniósł w jej kierunku jedną brew.

— Czy chcesz zostać? — wydawał się pytać.

Gdyby nie chciała opuścić Chang'an, to może zostać i być ozdobą

Wewnętrznych Dziedziców jako najznamienitsza ze Znamienitych Towarzystek może od setek lat, mieć pałac pełen kobiet, łaszących się do niej i płaszcących przed nią. Mogła pomścić każdą wyrządzoną jej kiedykolwiek zniewagę; mogła błagać, by sprowadzono na dwór jej ojca, obsypano go bogactwami, by faworyzowano Li Linga...

Albo mogła zostać wierna swemu urodzeniu i wychowaniu, mogła dotrzymać słowa, które Cesarz zamknął w swej obietnicy, że zostanie wysłana na pogranicze. Dał jej przykład ojciec, który dotrzymywał słowa podczas dziesięciu lat wygnaniu pośród tych samych Hiung–nu, do których teraz ona zostanie wysłana, jak i później, kiedy zarzucono mu zdradę. Dawał jej przykład Li Ling, który nie przestał służyć, choć utracił przez to reputację, rodzinę i męskość, ale który służył, bo przysiągł nie odstępować od tego.

Przed nią stał Syn Niebios we własnej osobie, spokojny mężczyzna o zmiennym usposobieniu, który wydawał się chcieć, żeby z nim została. Srebrzysty Śnieg myślała, że rozegrała już całą partię, ale teraz okazało się, że w tej grze pozostał jeszcze jeden ruch.

Zastanowiła się. A gdyby została? Co stałoby się z pokojem, jaki właśnie wspólnie ukuli Syn Niebios i ci Hiung–nu? Rozpadłby się, to oczywiste. Jak długo miała szansę utrzymać się taka ugoda z barbarzyńcami? To było pytanie, które musiała sobie zadać. Ale jeżeli pojedzie na równiny, może on utrzymać się przez całe lata.

To nie są barbarzyńcy! — przypomniała sobie słowa ojca.

No dobrze, a co z ludźmi z Ch'in? Jak długo miała szansę na łaski Syna Niebios, zwłaszcza jeżeli stanie się przyczyną wojny? On był niestały, zmienny, niepodobny do Hiung–nu, którzy mu teraz śmiało patrzyli w oczy.

— Pozwólcie, że w zamian damy wam inną księżniczkę, a ofiarujemy wam więcej złota, więcej nefrytów i jedwabiu... — entuzjazm w głosie Syna Niebios przenikał aż do głębi.

— Dajcie nam inną księżniczkę — powiedział Hiung–nu — a my wam damy wojnę!

Cesarz, wyglądając jak człowiek doprowadzony przez los do ostateczności, odwrócił się do niej.

— A ty, pani, jakie jest twoje życzenie? — zapytał, a brzmiało to niemal jak prośba.

— Ta oto błaga Twój Boski Majestat, byś miał na względzie zdrowie Państwa Środka, które jest naszą Matką — szepnęła. Łzy trysnęły jej z oczu, kiedy to mówiła, skazując się na wygnanie. — W porównaniu z nią ta oto jest niczym.

— Wypłacimy wam tyle złota i pereł, ile ona zaważy! — wykrzyknął Syn Niebios, a w głosie jego drżała rozpacz.

Hiung–nu skrzyżowali ramiona na piersiach i nawet się nie odezwali. Powoli Syn Niebios opadł z powrotem na Smoczy Tron. Skinął bez przekonania ręką i Li Ling znalazł się u jego boku; szeptał coś, a Hiung–nu sarkali między sobą. Srebrzysty Śnieg wiedziała, że eunuch próbuje przekonać Cesarza, że żadna kobieta nie jest warta wojny.

— Ale jak ona będzie tam żyła, wśród tych barbarzyńców? — Usłyszała to pytanie zadane nie przez Cesarza, ale przez człowieka pełnego udreki, który pragnął otoczyć ją opieką, jakiej nigdy dotąd nie zaznała. Nie wiedziała, czy ma śmiać się, czy gniewać. W obecności Syna Niebios nie miała prawa zrobić ani jednego, ani drugiego, zachowywała więc obojętny wyraz twarzy, podczas gdy Li Ling zapewniał Syna Niebios, że jest mocna, energiczna, i zna język oraz niektóre obyczaje Hiung–nu.

— Zapomniałem — dobiegły ją słowa Syna Niebios, wypowiedziane akurat na tyle głośno, by mogła je usłyszeć. — Ta dama mówi w języku Hiung–nu i mówisz, że pisze? Pisuje do swego ojca?

Li Ling skłonił się, potwierdzając.

— A więc będzie pisała i do ciebie, a ja będę czytał te listy. Przynajmniej tyle z niej będzie należało do mnie! — powiedział na zakończenie Syn Niebios. — Będę czytał jej listy do jej ojca, i jego do niej. Niech tak się stanie — rozkazał Cesarz.

Li Ling ukłonił się i wyszedł z komnaty. Srebrzysty Śnieg stała samotnie, twarzą w twarz z Synem Niebios, mając okropną świadomość, że Hiung–nu wciąż przyglądają jej się, jak gdyby była koniem, którego po ognistych targach udało im się nabyć. Albo ukraść. Starzec ukłonił się i wyszedł z komnaty, a Cesarz Yuan Ti zapewnił Hiung–nu, że Srebrzysty Śnieg może wyjechać w każdej chwili, kiedy tylko będą gotowi.

— Ta dama — młody człowiek imieniem Vughturoi z nieco ironiczną miną podkreślił jej tytuł — musi podróżować bardzo szybko i z jak najmniejszą liczbą towarzyszek. Może do podróży mieć własny powóz i osiołka. Jeżeli okaże się, że będzie w stanie jechać konno, możemy również zaopatrzyć ją w konia.

Srebrzysty Śnieg poczuła chwilowy gniew i zażenowanie. Czy ci Hiung–nu

uważają ją za tak nędzną istotę, że nie chcą, by skalala grzbiet któregoś z ich koni, jadąc na nim? A może oni po prostu myślą, że jest słabowita? Pogarda dla nich — pomyślała sobie w następnej chwili — mogła jej tylko wyrządzić krzywdę; musi zdobyć ich szacunek. Tak więc, kiedy przekazano jej tę informację, skinęła głową.

— Nie trzeba mi żadnych towarzyszek poza Wierzbą — powiedziała. — Przybyłam z nią do Chang'an i nie rozstanę się z nią teraz. W ten sposób nie będą mi konieczne żadne damy dworu, co jak jestem pewna, wszystkie je uspokoi.

Mogła sobie wyobrazić Lilak, towarzyszącą jej w tej podróży, a uszy rozbolały ją na samą myśl o takim łkaniu i zawodzeniu.

— To i dobrze — powiedział Vughturoi. — Step w zimie to nie miejsce dla cieplarnianych dam. — Pani Srebrzysty Śnieg nie wydawało się, żeby lekceważenie w jego głosie dla takich wiotkich, kruchych istot miało być tylko sprawą jej wyobraźni. — Wyślę przodem jeźdźców, by wezwali żony i córki naszego plemienia, żeby powitały księżniczkę i jej służby.

Vughturoi podniósł głowę i wpatrywał się w jakiś punkt nad ramieniem Srebrzystego Śniegu. Po raz pierwszy panią Srebrzysty Śnieg opuściła wewnętrzna odwaga, kiedy zastanawiała się, czym będzie dla tych żon i córek. Czy będą one krewniaczkami *shan-yu*, zmuszonymi ustąpić pierwszeństwa kobiecie z Państwa Środka, które, odkąd pamiętały, było zawsze ich wrogiem? A jeśli już o tym mowa, to co z tym jej przewodnikiem, tym Vughturoi? Mówiono, że był synem starca, który miał zostać — stłumiła dreszcz — jej mężem? Czy jego matka jeszcze żyła? Co zrobi taka kobieta, jeżeli *shan-yu* będzie wymagał, by młodą kobietę z Ch'in nazywała „starszą siostrą”?

Srebrzysty Śnieg dość wycierpiała złościwości ze strony konkubin z Wewnętrznych Dziedzińców, by się tego obawiać. Mówiono, że kobiety ze stepów cieszą się dużo większą swobodą. Czy ta swoboda da im prawo do złego traktowania obcej?

— Rada jestem temu — odważyła się powiedzieć do księcia Hiung-nu. Nie zamierającym głosem, bez nadmiernie ugrzecznionego „ta oto”: to były obyczaje, które zostawi w Chang'an jak bagaż porzucony wzdłuż trasy przemarszu. Porzuci nawet o wiele więcej — pomyślała i miała wątpliwości, czy kiedykolwiek tego pożałuje.

Srebrzysty Śnieg rozejrzała się teraz po sali, której miała już nigdy nie zobaczyć. Co więcej, było jej to obojętne.

— Kiedy odjedziemy? — zapytała.

— Teraz jest lato — odparł Vughturoi, chociaż robił wrażenie, jak gdyby to, że zwraca się bezpośrednio do niej, było wielką łaską. — Czekają nas podróże stąd do Muru. A stamtąd na nasze stepy, gdzie rozłożył się dworek mój ojciec *shan-yu*, to jeszcze następne trzy miesiące. Dobrze będzie zakończyć naszą podróż, zanim nadejdą najgorsze zimowe burze.

Pani Srebrzysty Śnieg udało się zachować niefrasobliwy wyraz twarzy. Lekki kaszel za plecami, który, jak zorientowała się, pochodził od Li Linga, powiedział jej, że dzielnie się broni. Nie wyjawiaj swoich zamiarów; nigdy przed tymi ludźmi nie okazuj słabości — ostrzegła samą siebie. Musisz się stale mieć na baczności.

Jej ojciec żył w ten sposób wśród tych ludzi, więc ona też przeżyje.

— Pani — szepnął Yuan Ti. Srebrzysty Śnieg odważyła się spojrzeć w oczy Syna Niebios, w których lśniło coś więcej niż tylko zainteresowanie jej podróżą. — Czy ty naprawdę tego dokonasz?

Oto jej ostatnia szansa — pomyślała. Jeżeli naprawdę nie pragnęła tej podróży, wystarczy, że tak powie, a on zatrzyma ją na Wewnętrznych Dziedzińcach, albo jeszcze lepiej u swego boku. Był to los, jakiego pozazdrościłaby jej każda dama w Ch'in. A jednak, jeżeli on tak uczyni, odrzuci traktat i znowu uwikła Państwo Środka w wojnę, jaka wtrąciła jej ojca i Li Linga w ruinę. Żadna kobieta nie była tego warta, i żaden mężczyzna, czy to generał, czy książę. Syn Niebios nie powinien podjąć innej decyzji.

Yuan Ti był człowiekiem niecodziennych decyzji i pasji — zdecydowała Srebrzysty Śnieg. W jednej chwili chciał ją wygnać, w następnej był gotów rozpętać wojnę, byle tylko ją zatrzymać. Potrafił zwrócić się przeciwko doradcom takim, jak Mao Yen-shou, a potem nagradzać innych, przeciw którym kiedyś się zwrócił — jak jej ojca.

Srebrzysty Śnieg rzuciła spojrzenie na sztywnych, nieustępliwych Hiung-nu. Miała wrażenie, że woli spróbować szczęścia wśród nich.

— Ta oto jak zawsze posłuszna jest twoim rozkazom — powiedziała Cesarzowi. — Ale gdyby wolno jej było wyrazić swoje zdanie, postąpiłaby tak, by służyć jak najlepiej Synowi Niebios, który uczynił jej ten niewypowiedziany zaszczyt, by mianować ją księżniczką Ch'in, by służyć Państwu Środka i ojcu. Według błahego mniemania tej oto, a wyznanie to pogrąży ją w smutku, najlepiej służyć będzie jako pierwsza żona *shan-yu*.

Skłoniła się Cesarzowi do stóp na pożegnanie, jak dawno temu skłoniła się przed własnym ojcem. Syn Niebios klasnął w dłonie.

— W drodze do Muru będzie ci towarzyszyć wszystko, co przystoi twojej randze, pani — cesarski powóz, muzycy, by uprzyjemnić ci drogę, i służba jakiej tylko zażadasz. Jeżeli tylko chcesz, możesz zabrać ze sobą towarzyszy. Zatrzymujemy dla siebie tylko naszego zacnego Li Linga i polecamy ci pisać do niego i do twego ojca, żebyśmy mogli odnieść korzyść z twoich obserwacji.

Na te słowa dwór półgłosem wyraził aprobatę. Wtedy Yuan Ti zrobił krok do przodu.

— Co do mnie, pani — powiedział, a głos niemal mu drżał — kiedy już wyjedziesz, wydám edykt żałobny. Dwór będzie pościł i nosił białe szaty, jak to się działo — tu zaczerpnął głęboko powietrza — ostatnim razem, kiedy ciebie utraciłem. I zarządzam, że kiedy już opuścisz Ch'in przez Nefrytową Bramę na Zachodzie, na zawsze już odtąd będzie ona nosić nazwę Bramy Łez.

Księżę Hiung–nu, znużony dwornością języka, który opanował tylko w niewielkim stopniu, zrobił krok do przodu.

— Jak szybko księżniczka może być gotowa do wyjazdu? Chcielibyśmy wyjechać przez tę twoją Bramę Łez, zanim nastaną mrozy.

I znowu Srebrzysty Śnieg podniosła oczy na Syna Niebios, który niemo spojrzeniem nalegał na zwłokę. Następnie obejrzała się na Li Linga, który potrzęsął niemal niedostrzegalnie głową. Wyraźnie uważał, że zwlekając ani jemu, ani sobie nie wyrządzi przysługi. Każdy dzień, o jaki przedłuży swój pobyt, będzie stanowił pokusę dla Syna Niebios, by wycofać swą zgodę na jej wyjazd i wplątać Ch'in w wojnę.

Rozumiała, że Hiung–nu niecierpliwą się; zawsze byli w stanie zwinąć swoje namioty i ruszyć na nowe pastwiska. Pośpiech mógł być najbardziej pomyślną wróżbą na nowe życie wśród nich. Skinęła głową w stronę Li Linga.

— Spójrzcie, oto księżniczka jest już pełną dbałości żoną *shan–yu*. Jak tylko przygotowany zostanie powóz — Li Ling zrobił krok w przód i przemówił w języku Hiung–nu — księżniczka odjedzie.

Usadowiona w hojnie wyposażonym powozie cesarskim, Srebrzysty Śnieg nie mogła nie porównywać swojej poprzedniej „podróży ślubnej” z odbywaną obecnie. Wówczas ubrana w podniszczony strój wsiadła do zaprzęgniętego w woły wozu, a jej skąpy dobytek był zwinięty w środku lub przytroczony do grzbietu zwierząt jucznych.

Płoneło mniej niż dziesięć dziesiątków pochodni, nie było żadnych muzyków, w ogóle żadnych dźwięków, poza brzękiem i dzwonieniem uprząży wierzchowców jej eskorty i urzędnika, z którego orszakiem jechała, najmniej ważna i najbardziej samotna. Tak wjechała prosto w jasne serce Państwa Środka, na Wewnętrzne Dziedzińce Chang'an, których, jak myślała, już nigdy nie miała opuścić.

A teraz znowu ruszała w podróż. Nie — pomyślała. To nie była prawda. Hiung-nu byli nomadami. Odtąd jej życie będzie jedną długą podróżą i już nigdy nikt jej nie zamknie w murach miasta czy pałacu — czy w ogóle w jakichkolwiek murach.

Tym razem nie było kochającego, pełnego żalu ojca, by ją pożegnać, ale Li Ling stał w gotowości, by doglądać przygotowań. Po raz pierwszy, jak daleko pamięcią mogła sięgnąć, przyodział się w cały splendor jedwabi i soboli, dostępny eunuchowi wysokiej rangi, jak gdyby chciał ją uczcić. Trudno było poznać w tym ozdobnie odzianym urzędniku tego samego starego przyjaciela i nauczyciela, który poprzedniego wieczoru odwiedził ją w znoszonej szacie uczonego i ofiarował dary, które mimo że proste, zarówno Srebrzysty Śnieg, jak i Wierzba ceniły sobie wyżej od futer, nefrytów czy jedwabi. Dla Srebrzystego Śniegu miał paski drewna i obrobiony jedwab, zestaw wspaniałych pędzelków i nową tafelkę tuszu. Dla Wierzby były mieszki suszonych ziół, które dziewczyna obwąchała i skinęła głową z błyszczącymi oczami.

Zamknął ją na klucz w powozie, jak zawsze trzeba zamykać pannę młodą, i wręczył klucz Vughturoi, który przyjął go jak coś dziwnego i nie całkiem pożądanego. Potem, na dany znak, muzykanci zaintonowali melodię, w której dawały się jednocześnie słyszeć i wiwaty, i zawodzenie.

Gwizdali na fletach, dmuchali, bębnil, kiedy jej powóz wytaczał się z zamkniętej przestrzeni pałacowej. Za nią jechały jej towarzyszk, za nimi ogromna karawana bagażowa. Spakowany pomiędzy jedwabie, złoto i cenne przyprawy był skarb od nich wszystkich starszy: pogrzebowa zbroja, odpowiednia dla Cesarzowej. Syn Niebios wysyłał ją razem z nią, jako że nie chciała zostać, by jej użyć. Mimo że słońce już weszło, ludzie niosący pochodnie biegli obok powozu, a przez szeroko rozwarte bramy mogła zobaczyć tłum czekający, by na własne oczy zobaczyć, jak przejeżdża, strzeżona po obydwu stronach zarówno przez żołnierzy Ch'in, jak i Hiung-nu.

Wiedziała, że z chwilą gdy bramy pałacowe zamkną się za nią, Yuan Ti dotrzyma swego ślubowania i pograży dwór w najgłębszej żałobie po damie, którą

odebrała mu najpierw jego obojętność, następnie przysięga. Podejrzewała, że wiele osób z jej grupy — dam, które wybrano, by towarzyszyły jej do Muru — miało uczucie, że one również ryzykują życie, odjeżdżając tak daleko od Chang'an i Syna Niebios. Wydawało jej się niemalże, że dochodzi do niej ich płacz, a Wierzba zjadliwie wyrażała się o wspaniałych damach, które ziołami i kosmetykami maskują swoje przerażenie i łzy.

Ani Cesarz, ani damy, które towarzyszyły jej wbrew swojej woli, nie mogli wiedzieć, że Srebrzysty Śnieg uważała tę podróż za ucieczkę z więzienia.

Pochód ślubny, jeżeli można tak go nazwać, wił się przez miasto aż za Zachodnią Bramę.

Wierzba syczącym głosem rzuciła jakieś przekleństwo i Srebrzysty Śnieg ocknęła się z zamyślenia, w którym jechała pogrążona, z oczami zwróconymi ciągle na Zachód.

— Czemuż takie ostre słowa? — zapytała swą służącą z łagodną wymówką. — Właściwie po co w ogóle przeklinać?

Wierzba tylko wskazała palcem.

Z jednego z ostrych kolców Zachodniej Bramy szczyrzyła zęby wbita nań głowa Mao Yen-shou, ostatni w mieście naoczny świadek jej odjazdu.

Panią Srebrzysty Śnieg przeszedł dreszcz, potem odwróciła znowu wzrok w kierunku Zachodu. Jej oczy i umysł skupiały się na tym, co mogło leżeć przed nimi. Wysoko ponad dudnienie jeźdźców i zgiełk czyniony przez muzykantów z Ch'in wybijały się bambusowe flety Hiung-nu, płacziwe, wolne i dzikie.

Rozdział dwunasty

Podróżując na północ i zachód na spotkanie ze swoim przyszłym panem i jego plemieniem, Srebrzysty Śnieg z lata wjechała w jesień. Pozostał za nią dwór, pogrążony w żałobie; ale ona sama nie lamentowała, kiedy wijący się orszak jej strażników, dam, muzykantów, sług i Hiung–nu kierował się powoli ku stepom. Po trochu trawa zaczęła więdnąć, pokrywające ziemię zarośla robiły się pomarańczowe, a potem brązowe, jak to Srebrzysty Śnieg pamiętała ze swego najwcześniejszego dzieciństwa. Nie mogła powstrzymać się przed porównywaniem tej podróży z poprzednią. Kiedy opuszczała dom swego ojca, by udać się do Chang’an, obie z Wierzbą uważały, że mają szczęście, bo ich koce są czyste i niełatane i nie brak im jedzenia. Ogień był czymś zbytkownym.

A teraz jechała cesarskim powozem, nosiła szaty z pikowanego jedwabiu i (kiedy było trzeba) opończę i kaptur z atłasową podszewką, z futra tak miękkiego i puszystego, że ręce jej tonęły w nim. Jeżeli tylko zapragnęła zatrzymać się na godzinkę czy na dzień na trasie marszu, natychmiast uwzględniano jej życzenie i otaczano ją zewsząd czułą troską. Czy dama nie życzyłaby sobie ryżowego wina lub liczi — a może ma przyjść służąca, albo flecista?

Tyle pytań, tyle drobnych, nużących decyzji i tyle nalegań, by chwaliła, pośredniczyła lub karała właśnie wtedy, kiedy chciała patrzeć na ten kraj, który dzień po dniu coraz bardziej przypominał jej ukochane północne ziemie! Mogła równie dobrze być zamknięta w czterech ścianach Pałacu, jako że jej damy z uporem zachowywały się tak, jak gdyby wcale nie opuściły dworu. Uświadomiła sobie, że odczuje ulgę, kiedy już ich się pozbędzie.

Przyglądanie się Hiung–nu, którzy podobno mieli zostać jej poddanymi, dawało jej więcej satysfakcji. Chociaż na jej zachowanie damy reagowały zdławionymi okrzykami i piskami (w chwilach kiedy nie zalewały się łzami lub nie wznosiły okrzyków przerażenia na widok tego, co było im nie znane — to znaczy niemal wszystkiego), wypytywała swoich strażników, zarówno tych z Ch’in, jak i tych ze stepów. Z każdym dniem opanowywała lepiej język swojego nowego ludu. Obstawała też przy tym, by codziennie jeździć konno, przynajmniej przez krótki czas. Początkowo z konieczności musiała jeździć na osiołku, którego Hiung–nu uznali za odpowiedniego wierzchowca dla takiej ciepłarnianej księżniczki. Później, kiedy

zobaczyli, że ani nie chwieje się w siodle, ani się nie skarży, uznali, że godna jest konia. Podsluchane pomruki i krótkie słowa Hiung–nu z jej orszaku przekonały ją, że jej jazda zyskała sobie ich aprobatę, nawet jeżeli nie pochwalali niczego innego.

Dzień po dniu pogoda robiła się coraz chłodniejsza, a wiatr spadający z wielkiej misy Niebios, by mierzwić futerko przy jej opończy i kapturze, stawał się coraz gwałtowniejszy i coraz bardziej suchy. Można w nim było wyczuć zapach schnącej trawy i pogniecionych, zimotrwałych roślin Pomocy.

Od zachodu słońca długo w noc oddawali się muzyce. Grały flety i cytry, jej dziewczęta śpiewały. Wierzba podawała wino i łakocie na delikatnych talerzykach i przynajmniej tym razem nikt nie krzywił się i nie wzdragał na jej widok. Siedząc w swoim namiocie, pławiąc się w świetle wielu lamp, Srebrzysty Śnieg, jej dziewczęta i towarzyszki zbliżyły się do siebie, muzyka łączyła je tym mocniej, im mocniej na zewnątrz dmuchał wiatr.

W końcu, kiedy lampy zaczęły przygasać, rzucając cienie na napięte ścianki namiotu, Srebrzysty Śnieg dała się nakłonić do śpiewu.

— To jest piosenka z Północy — wyjaśniła, a potem zaczęła śpiewać, a wiatr na zewnątrz i bębni wewnątrz tworzyły właściwy kontrapunkt dla jej słodkiego, cienkiego głosu.

Nagle jedna z dam z dłonią przy ustach wydała okrzyk. Wyrwana z transu muzykowania Srebrzysty Śnieg zdrygnęła się i urwała piosenkę.

— Wybacz, o Cesarska Córo, tej oto nieszczęsnej i głupiej — załkała kobieta — ale na zewnątrz zobaczyłam cień i... och, jak on mnie przeraził!

To położyło kres nocnemu muzykowaniu. Srebrzysty Śnieg wiele miała zachodu, by krzyki i łzy tej damy nie rozprzestrzeniły się jak ogień w wysuszonej ściółce. Kiedy już znalazła chwilę, by spojrzeć do góry, cień, o którym mówiła kobieta, zniknął, zakładając, że ten jeden szczególnie cień wśród tańca cieni, pląsających po ściankach namiotu, w ogóle tam kiedyś był.

Wkrótce potem odprawiła wszystkie swoje służące, odłożyła ciężkie stroje i westchnęła w ciszy i samotności.

— Dobre łowy, Starsza Siostró — szepnęła Wierzba, opuszczając się na siennik u stóp łoża Srebrzystego Śniegu.

Srebrzysty Śnieg uniosła się na łokciu, by w świetle jednej maleńkiej nefrytowej lampki, która im jeszcze została do zgaszenia, przyjrzeć się swojej służącej. Odbijając światło lampki, oczy Wierzby płonęły zielenią, pełne pragnienia

by swobodnie biegać i polować. Może ona zechce już na zawsze wędrować swobodniej — pomyślała Srebrzysty Śnieg z ukłuciem bólu.

— Nie — szepnęła dziewczyna. — Nie mówię o sobie samej, ale o tobie. To polowanie, na które ruszyliśmy, to królewskie polowanie; ty polujesz na swoją przyszłość, a ja... ja biegnę tuż za tobą.

I uśmiechnęła się, ukazując białe zęby, absurdalnie doskonałe w swej nieciekawej twarzy.

Następnego dnia ujrzeli Żółtą Rzekę, tego ogromnego, niesfornego smoka, wijącego się poprzez Ch'in, niosącego tym ziemiom życie — lub katastrofalne powodzie. Pojadą wzdłuż rzeki jeszcze dalej na północ, aż do skalistej przełęczy, gdzie Żółta Rzeka spotyka Purpurową Barierę Wielkiego Muru, gdzie kończy się Ch'in i zaczynają stopy Hiung–nu. Jak na razie, rzeka była czymś spokojnym, mocarnym, szerokim i falującym.

Trzepoczący ruch na bliższym brzegu przyciągnął uwagę Srebrzystego Śniegu, podobnie jak i uwagę Hiung–nu, którzy skinęli głowami i sięgnęli po łuki i kołczany.

— Ptaki rzeczne — szepnęła Wierzba, podjeżdżając do konia swej pani na osiołku, który pocił się i chodził bokiem, ale jednak niósł ją na grzbiecie. — Czy nie mówiłam ci, pani, że będzie dobre polowanie?

— Szybko, Wierzbo, pojedź i przynieś mój łuk — rozkazała Srebrzysty Śnieg. Przechwalanie się mogło być czymś niegodnym, nieprzyzwoitym, ale tak bardzo chciała zestrzelić jednego choćby ptaka na oczach Hiung–nu, a zwłaszcza na oczach tego małomównego księcia Vughturoi. Powinni zobaczyć, że ich nowa królowa potrafi nie tylko jeść, ale i zaopatrywać w pożywienie i zręcznie się bronić. Poza tym jakaś część jej umysłu, szukająca wróżebnych wydarzeń, przypominała jej, że właśnie tego dnia, kiedy z Pałacu nadeszło wezwanie, polowała na dzikie ptactwo. Jeżeli dzisiaj zestrzeli ptaka, będzie to dobry znak.

Wierzba roześmiała się figlarnie, wręczyła jej tobolek, który miała przywiązany paskiem do siodła, i odjechała. Srebrzysty Śnieg rozwinęła go. W środku leżał kołczan ze strzałami i łuk, który nosiła na Północy i za pomocą którego zabijała bandytów podczas podróży do stolicy. Srebrzysty Śnieg sprawdziła cięciwę, skinęła głową słysząc słodki, cichy brzęk i zignorowała Hiung–nu, których tak zaskoczył widok Cesarskiej Córy z łukiem, że wyszczerzyli zęby w uśmiechu.

Z brzegu rzeki dobiegło szczeknięcie lisa, wprawiając ptactwo wodne w panikę, powodując, że poderwało się z trzepotem w powietrze. Hiung–nu jak jeden

naciągnęli łuki, a Srebrzysty Śnieg razem z nimi, strzelając raz, a potem drugi, niemal tak szybko jak oni.

Ptaki pospadały na wodę, inne na płyciznę, a Hiung–nu pojechali do przodu, by je odnaleźć. Książę Vughturoi szybko podjechał z powrotem z brzegu rzeki i gestem poprosił — o ile Hiung–nu w ogóle o cokolwiek prosili — o pozwolenie, by się do niej zbliżyć. Przed sobą miał przewieszzone przez siodło dwa pulchne ptaki. Jeden zginął od dwóch strzał. Ten drugi jedną strzałą.

— Pani — powiedział Vughturoi, wskazując na ptaka zabitego dwoma strzałami. Wydawał się zaintrygowany do tego stopnia, że nawet mu przez myśl nie przeszło, że Srebrzysty Śnieg mogłaby zadrzeć na widok krwi i śmierci. — Tę strzałę znam. Taki układ piórek powszechnie stosowany jest na stepie. Ale tej strzały... ani tej, a to też wspaniały strzał... nie znam wcale. Czy pomiędzy żołnierzami Ch'in, którzy jadą z nami, znajduje się strzelec wyborowy?

Srebrzysty Śnieg wyciągnęła jedną małą dłoń, by dotknąć strzały. Rzeczywiście, ten bełt był jej dobrze znany, był dziełem łucznika jej ojca. Sięgnęła do swego kołczana i wyciągnęła bliźniaczą strzałę. Potem uśmiechnęła się i bardzo szybko odwróciła wzrok.

Dojechali w końcu do przełęczy, gdzie spotykały się wielka rzeka i Wielki Mur. I co ciekawe, w tym osłoniętym miejscu wiatr był słabszy, cieplejszy, a trawa wciąż jeszcze zielona. Ponieważ Hiung–nu, po których posłał książę Vughturoi, jeszcze nie przybyli, żołnierze i słudzy rozbili namioty i rozpakowali się, przygotowując się na dłuższy, jak się mogło okazać, popas.

Srebrzysty Śnieg zsiadła bez pomocy. Po tylu dniach spędzonych w siodle odzyskała wytrzymałość. Pomimo wszystko — dumiała poprawiając opończę — ten kraj jest piękny, nawet jeżeli nieco ponury. Wykorzysta tę zwłokę w podróży, żeby napisać do swoich ojców — pomyślała z ironicznym uśmiechem — do wszystkich trzech: Chao Kuanga, który ją począł, Li Linga, jego przyjaciela, który ocalił ją od rozpacz i który ją uczył, oraz Yuan Ti, Syna Niebios, który zaadoptował ją. Był to jej obowiązek, ale i radość. Dzięki Li Lingowi miała nawet odpowiedni do pisania jedwab.

Nieprzerwana cisza i spokój nie miały być jednak jej udziałem przy korespondencji. Ledwo rozbito namiot Srebrzystego Śniegu, jej damy przyszły do niej i natychmiast wybuchnęły zawodzeniem zalewając się łzami strachu i żalości.

Srebrzysty Śnieg westchnęła. Wierzba skrzywiła się. Hiung–nu i żołnierze Ch'in, którzy nie mieli potrzeby tak się opanowywać, robili miny i szczyrzyli zęby. Srebrzysty Śnieg pochyliła się nad najbardziej rozhisteryzowaną damą.

— Cóż ci dolega? — zanuciła głosem, który, jak wszyscy przysięgali, był słodki jak liczi. — Nie jesteś chora. Odpocniemy tutaj i już wkrótce wrócisz do swego domu. Na samą wzmiankę o domu na nowo podniosły się lamentsy. A więc o to chodziło. Nie przybyły jeszcze damy Hiung–nu i teraz to stadko przestraszonych dam pałacowych obawiało się, że nigdy nie przybędą. W takim przypadku siłą rzeczy miałyby obowiązek towarzyszyć pani Srebrzysty Śnieg aż na dwór Hiung–nu, skąd, jak były przekonane, nie było powrotu.

— Ja umrę! — zapiszczała jedna kobieta.

— Widziałyście tę trawę? — lamentowała druga. — Zielona, wciąż zielona jak groby wygnańców podlewane łzami.

— Nigdy już nie ujrzemy naszych domów!

— Uprowadzą nas na Zachód i już nigdy nie zobaczymy Pałacu ani żadnego ogrodu, ani mojego malutkiego podwórca ze złotym karpem w sadzawce. I będą nas zmuszać do jedzenia mięsa na surowo!

Gdyby nie to, że lęk ich był taki prawdziwy i mógł je prawdopodobnie doprowadzić do szaleństwa, wydałyby się pani Srebrzysty Śnieg komiczne. Ale sama była zmęczona i niespokojna i chciała tylko odpocząć oraz pozbierać myśli, zanim napisze sprawozdanie z minionych dni do ludzi, których szanowała najbardziej na świecie.

— To robota dla mnie, Starsza Siostrze. — Kochana Wierzba, daj jej Boże zdrowie, pomyszkowała w swoim bagażu w poszukiwaniu ziół, które dał jej Li Ling, pośpieszyła do ognia i zaczęła parzyć uspokajający wywar. Jej oczy napotkały wzrok pani i Srebrzysty Śnieg skinęła głową.

Nieliczne drzewa, które tu jeszcze rosły, były skarłowaciałe, słabiutkie, nie wytrzymałyby ciężaru damy, która chciałaby uniknąć gorszego losu, wieszając się na swojej własnej jedwabnej szarfie.

— Za blisko mamy do rzeki, za blisko do tych skał — powiedziała półgłosem. Będzie musiała kazać podwoić straż wokół pomieszczeń dam, dokąd nie będą mogły wrócić do Chang'an.

Wynurzyła się z namiotu wdzięczna przynajmniej za to, że damy były zbyt podniecone, by miały ją krytykować, że wyszła sama między uzbrojonych mężczyzn

bez odpowiedniego dozoru. Kapitana straży znalazła w towarzystwie księcia Vughturoi, który wskazywał na zachód i gestykulował. Srebrzysty Śnieg skinęła mu głową, następnie wyjaśniła, czego sobie życzy.

Kapitan straży ukorzył się, a potem pobiegł wykonać jej rozkaz. Książę pozostał i przyglądał jej się tym swoim spojrzeniem bez wyrazu.

— Nikt chyba nie choruje? — zapytał.

— Nie, to tylko strach — stwierdziła. — Pragnę zapobiec, by trwoga nie doprowadziła jakiegoś kruchego umysłu do szaleństwa.

Spojrzała w kierunku, w którym uprzednio patrzył książę.

— Nasi ludzie nadciągają — raczył jej powiedzieć. Jakże ostry musi być jego wzrok! Nie potrafiła dostrzec niczego poza obłoczkiem kurzu mniejszym w porównaniu z ogromem tej ziemi i nieba niż komar. Westchnęła. Kobiety Hiung–nu mogły być nieokrzesane, ale przynajmniej były przyzwyczajone do tego kraju.

— Bardzo będę rada, kiedy przyjadą — odważyła się powiedzieć Srebrzysty Śnieg. Po raz pierwszy książę uśmiechnął się, leciutko drgnął mu jeden kącik ust. Srebrzysty Śnieg odeszła czując, że odniosła walne zwycięstwo.

Wróciła do swego namiotu i dokładała wszelkich starań, by uspokoić swe rozdrażnione damy. Pracowały obie z Wierzbą długo w noc. Dopiero wtedy, kiedy ułożyły w łóżku ostatnią rozdygotaną damę i kiedy ukryły wszystkie noże, jakie tylko zdołały odszukać, znalazły czas, by spokojnie wypić trochę grzanego ryżowego wina, przełknąć kęs czy dwa i w końcu spróbować usnąć.

Jednak zawrośnięcie dam tak rozstroiło nerwy pani Srebrzysty Śnieg, że spała bardzo lekko. Sen jej pełen był koni i przemiętanego wiatrem kurzu, niesamowitego, gwizdzącego dźwięku i krwi, kapiącej na ziemię, podczas gdy gdzieś z oddali dobiegał głośny, okrutny śmiech. Obudziła się zlaną potem i w drżące dłonie, stulone przy ustach, wyszeptała dziękczynienie.

Następnie usiadła. Ogień już wygasł. Mogła wezwać służącą, by go ponownie rozpałała, albo zrobić to sama, gdyby chciała obudzić Wierzbę, która spała głęboko w godny pozadzroszczenia sposób, czasami tylko drgnieniem twarzy pokazując, że naprawdę żyje. Nawet gdyby rozpałała ogień, obudziłaby najbardziej nerwową z dam, która również spała w pobliżu.

Księżycowe światło pozwalało pani Srebrzysty Śnieg dostrzec własną ciepłą szatę, zrolowaną w nogach siennika, uśpioną służącą — i tę małą skuloną postać, która jak cień wymknęła się z namiotu w stronę rzeki.

Srebrzysty Śnieg podniosła się szybko, narzuciła na siebie szatę, a następnie opończę. Wsunęła nogi w wyściełane futrem botki, chwyciła łuk i ruszyła za cieniem.

Za nią Wierzba mamrotała coś, jeszcze rozespana, ale gwałtownie trzeźwiejąca i zaniepokojona. Jednak Srebrzysty Śnieg nie mogła zatrzymać się, żeby ją uspokoić. Z łowiecką ostrożnością skradała się teraz za wcześniej widzianym cieniem. Jej stóp w podszytych futrem butach nie było słychać nawet na kruchym poszyciu; i wkrótce doszła do tej zbyt zielonej trawy, którą jej damy zdecydowały się uznać za zły omen.

Była coraz bliżej postaci. W świetle księżycy wydawała się ona cała srebrzystoszara, ale Srebrzysty Śnieg poznała hafty na sukni, która obsunęła się z ramion kobiety i wlokła za nią po ziemi. To była ta dama, która obawiała się, że zmuszą ją do jedzenia surowego mięsa. Ze wszystkich jej kobiet ta właśnie była najwrażliwsza. Niech tylko ptaszek zrobi sobie krzywdę, a już tonęła we łzach; niech tylko zachoruje przyjaciółka, a już kładła się do łóżka.

Ale co spowodowało, że zaczęła chodzić we śnie? Srebrzysty Śnieg uniosła dłonie, by ostro w nie klasnąć i w ten sposób obudzić tę kobietę i ją oprzytomnić. Następnie rozmyśliła się. Kto wie, w jakie dziwne krainy mogła umknąć jej dusza i co się stanie, jeżeli obudzi się ją tak bezceremonialnie?

Przyśpieszyła kroku, by dogonić kobietę i zawrócić ją, zanim dojdzie do rzeki. I wtedy usłyszała ten płaczliwy szept.

— Wiatr wieje po stepie... nie ma odpoczynku... nie ma przyjaciół. Ja umrę, a nie będzie nikogo, kto by oznaczył mój grób czy postawił tabliczkę ku mojej pamięci... o biada mi, biada... że przeklęto mnie tak daleko od mego domu.

Przeklęto ją? Srebrzysty Śnieg przystanęła i wciągnęła głęboko powietrze. Powęszyła w powietrzu, zupełnie jak gdyby sama była jakimś dzikim stworzeniem. Powietrze było wonne i nieskażone, skąd więc to mamrotanie o przekleństwach i wygnaniu?

Srebrzysty Śnieg poczuła, że jej szata zahacza o poszycie. Uwolniła się z dźwiękiem dartego materiału i pośpieszyła jeszcze prędzej za zagrożoną damą. Długa spódnica coraz to się zahaczała, aż miała ochotę zrzucić ją i dalej biec w samej koszuli. Wydało jej się, że niebo nad jej głową nagle zawirowało i wyrzuciła w bok rękę, by się osłonić. Ziemia kręciła się i trzęsła; nie miała się o co oprzeć, nigdzie nic stałego... ona sama wpadnie do rzeki, która marszczyła się drobną falą, a woda uniesie ją daleko, gdzie wzrok nie sięga...

Poczuła, że jej wyrzuconej w bok dłoni dotyka jakiś zimny nos i że grzechocze tuż przy niej metal.

Srebrzysty Śnieg krzyknęła i spojrzała w dół na lisa, który trącał nosem jej palce. Był większy niż zwykle lisy i miał wyjątkowo bujne futro. Chodził utykając w szczególny sposób, a w pysku niósł amulet, dyndający na łańcuszku.

— Nie mogę jej dogonić — szepnęła, a w głowie kręciło jej się wciąż od tej jakiejś siły, która niemalże rzuciła ją na ziemię. Lis wcisnął swój spiczasty pyszczek w jej rękę, upuszczając amulet na dłoń.

Kiedy Srebrzysty Śnieg zawiązywała sznur amuletu na szyi, lis pobiegł naprzód. Wetknął nos w palce śniącej damy, podobnie jak przedtem w rękę Srebrzystego Śniegu, następnie ujął je delikatnie w pyszczek i zaczął niezmiernie łagodnie i cierpliwie odciągać od rzeki w stronę pani Srebrzysty Śnieg.

Ostatnim wściekłym szarpnięciem uwolniła swoje ubranie. W chwilę później trzymała już kobietę za ramię i kierowała ją do namiotu, gdy na drogę jej padł cień, a światło księżycy odbiło się od ostrza klingi.

Srebrzysty Śnieg cicho krzyknęła i zatrzymała się. Lis wtopił się w cienie nocy, a Vughturoi wsunął broń do pochwy.

— Czy takie nocne spacery są zwyczajem z Ch'in? — zapytał, a w jego głębokim głosie nie było cienia rozbawienia.

Była księżniczką Ch'in, królową plemion i była córką swego ojca: była władna kazać mu odejść. Nie wiedziała sama, czemu powiedziała mu absolutną prawdę.

— Miałam zły sen — powiedziała, spuszczać oczy, świadoma nagle, że ma na sobie cienką koszulę i pikowaną szatę, i że jej włosy rozsypały się wokół twarzy i na plecach. Jeżeli nawet księżycowe światło srebrzyło się na jej rumieńcu, nie był to moment na dziewiczą skromność.

— Kiedy się zbudziłam — mówiła Srebrzysty Śnieg — zobaczyłam, że Nefrytowy Motyl wyszła z mojego namiotu. Szła i przez sen krzyczała coś o jakiejś klątwie, którą tak była przerażona, że chciała się utopić, byle jej nie ulec. My w Ch'in nie rzucamy takich klątw — dodała gniewnie. — Trzeba mocnego języka, by sformułować tego rodzaju przekleństwo.

— Tak — powiedział półgłosem Vughturoi, jakby skosztował zgniłego owocu. — Rzeczywiście trzeba mocnego języka. Czy odprowadzić cię do twego namiotu, pani?

Srebrzysty Śnieg potrząsnęła głową.

— A co zrobimy, jeżeli ona obudzi się i cię zobaczy? Będzie jeszcze więcej łez i szaleństwa. Dzięki ci, książę, ale nie. — Im prędzej wróci do swojego namiotu, tym prędzej Wierzba będzie mogła wrócić do swej naturalnej postaci. Wydawało jej się, że słyszy, jak jej dziewczyna w lisiej skórze szczekając obiega po trzykroć — z tą swoją kulawą nogą! — obozowisko po obrzeżu.

Vughturoi wtopił się znowu w cienie ze zrećnością, w porównaniu z którą jej własne umiejętności poruszania się w terenie były bliskie zeru. Srebrzysty Śnieg zaciągnęła panią Nefrytowy Motyl z powrotem do namiotu, w bezpieczne miejsce na matach do spania.

Dużo czasu upłynęło, zanim sama zdołała zasnąć, a kiedy w końcu oczy zaczęły jej się zamykać, ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła, były świecące ostrożne oczy Wierzby i jej sztywny cień, stojący na warcie przed namiotem.

Karawana Hiung–nu przybyła następnego dnia przed południem.

— To i dobrze, pani — zauważyła Wierzba. — Ta nowość rozerwie towarzyszące ci damy, a zanim ten twój Śpiący Motyl obudzi się i stwierdzi, że opętał ją lis, nas już nie będzie.

Srebrzysty Śnieg kiwnęła głową i odesłała Wierzbę na jej zwykłe, słabo oświetlone miejsce. Zafascynowana była zbliżającym się oddziałem: opancerzeni w skórę jeźdźcy, niosący wygięte do tyłu i wzmocnione kością łuki ludzi stepów, muzykanci, którzy podnosili niesamowite instrumenty i wygrywali na nich rżące melodie, niepodobne do niczego co kiedykolwiek słyszała, dwie damy, które zdawały się wyższe i cięższe od połowy strażników Ch'in, wozy, niezmierzone stado zwierząt jucznych i luzaków, i powóz, w oczywisty sposób przeznaczony dla Srebrzystego Śniegu.

Ten ostatni szczególnie ją zaciekał, bo zaprzężony był nie w konie, ale w wielbłądy, pierwsze jakie kiedykolwiek widziała, dwa równo kroczące, kołyszące się zwierzaki, które podwójne garby na grzbiecie nosiły z tą samą obojętnością, z jaką ciągnęły wóz. Cała ta zbliżająca się eskorta podjeżdżając do Vughturoi wrzeszczała i wyła, i zataczała kręgi tuż poza cieniem Muru.

Widok wielbłądów bardziej niż cokolwiek innego uświadomił pani Srebrzysty Śnieg wyraźnie, że dojechała do miejsca, gdzie Ch'in spotyka się z dzikimi krajami. Głęboko wciągnęła powietrze z lęku, zadziwienia, radości i zwróciła się do swoich dam. Z roztargnieniem wręczyła najważniejszej z nich paczkę listów, starannie

wykaligrafowanych na jedwabiu, poleciła się Synowi Niebios i pożegnała swoje krótkoterminowe towarzyszek. Nigdy ich już nie miała zobaczyć i była z tego całkiem zadowolona. Zaskoczyło ją to, że wydawały się żywić w stosunku do niej inne uczucia. Skupiły się wokół niej i głośno, niektóre ze łzami, smutek pożegnania.

Ich łzy to więcej niż tylko rytuał, więcej niż to co należy się łasce Syna Niebios. Ale przecież ja zawsze byłam Tą-na-którą-padł-cień — myślała sobie. Kiedy i dlaczego mnie pokochały?

— Czekają nas jeszcze trzymiesięczna podróż na dwór zimowy mojego ojca — zauważył Vughturoi, kiedy Srebrzysty Śnieg dosiadła konia i przygotowywała się do wyjazdu poza Mur i opuszczenia jedyne go kraju, o poznaniu którego marzyła.

— Czy tak? — Uniosła brwi, które nie utraciły swego delikatnego zarysu, chociaż nie troszczyła się już o to, by je wyskubywać i ołówkiem nadawać im właściwy kształt skrzydełka ćmy. Tam gdzie jechała i tak nikt nie będzie na takie rzeczy zwracał uwagi. — Jeżeli tak jest, czy nie lepiej, o księżę i panię, byśmy wyruszyli natychmiast? Podjechali do Muru i jej strażnicy z Ch'in okazali swoje znaki. Brama, która dekretem Syna Niebios miała odtąd nosić nazwę Bramy Łez, otwarła się ze zgrzytliwym jękiem. Wbrew sobie samej Srebrzysty Śnieg obejrzała się w tył na zamieszanie towarzyszące zwijaniu obozu nad Żółtą Rzeką. Wprawiało ją w zakłopotanie to, jak mało obchodziła ją ta pełna intryg krzątanka, którą zostawia za sobą. Uniosła na pożegnanie dłoń, a od dam, które zebrały się, by popatrzeć na jej odjazd, dobiegło pełne żałości zawodzenie. Drgnęła i dotknęła piętami boków swego konia.

Kiedy Srebrzysty Śnieg przejeżdżała przez bramę, kopyta jej konia zazgrzytały na piachu oraz rzadkich, prawdziwie pustynnych krzewinkach, naniesionych tu przez wiatr. I tak wyjechała z bramy na ziemię Hiung-nu, a pełen kurzu i piasku wiatr raz po raz uderzał w jej chronioną szalem twarz.

Rozdział trzynasty

Mijał dzień za dniem, a oni wciąż przejeżdżali na przełaj przez kraj, w którym jednego dnia podróży od drugiego nie odróżniało nawet pojawienie się drzewa, strumienia, skały czy pagórka. Potem, któregoś ranka, zaskoczył ich widok dziesięciu rozsypujących się głazów, będących może śladem po jakimś starożytnym posterunku wojskowym. Widok tych zwalonych, popadłych w ruinę murów był ważnym wydarzeniem dla pani Srebrzysty Śnieg. Hiung–nu, jadąc dalej, wzruszali tylko ramionami.

— Dla Hiung–nu — warknął jeden z nich jadący na tyle blisko, że usłyszała — niebo to jedyny dach, jakiego im trzeba.

Ona sama była zaniepokojona. Jeżeli podobna ruina istniała tak blisko Muru (wciąż jeszcze od czasu do czasu widzieli jego wstęgę, jako że skręcili nieco na południe), to czy Państwo Środka nie uzależni się za bardzo od obrony przez Hiung–nu? Przedtem nie wierzyła w to, co mówił jej Li Ling: że na dworze zadowoleni z siebie urzędnicy zwykli byli zapewniać Cesarza, iż Mur w większym stopniu miał stanowić obronę dla barbarzyńców przed Państwem Środka.

Z pewnością szaleństwem ze strony Ch'in była wiara, że Mur powstrzyma wszelkie najazdy. Może to także była próżność? Ja sama jestem bronią w rękach mego narodu — mówiła sobie Srebrzysty Śnieg, a uderzenia wiatru wyciskały jej z oczu łzy, które zamarzały na brzegu szala przy policzkach.

Powietrze stało się zimne i suche, a potem jeszcze zimniejsze i jeszcze suchsze. Martwe trawy przykrył śnieg. Były dni, kiedy nawet niebo robiło się blade, a słońce lśniło na nim jak srebrna moneta, dając samo światło bez odrobiny ciepła. Ku zdumieniu pani Srebrzysty Śnieg, pomimo zimna i wiatru, wytrwałe krępe konie, z których każdy nosił znak swego właściciela, nie tylko stawały się coraz bardziej kudłate, ale nawet wyglądały kwitnąco, a wielbłądy kroczyły przez to pustkowie, traktując z najwyższą obojętnością wszystko poza swoim ładunkiem, swoimi poganiaczami i swoim ponurym usposobieniem.

Początkowo całodzienna jazda męczyła Srebrzysty Śnieg tak bardzo, że wieczorami chciała tylko wpełznąć pod futra i spać, nie zawracając sobie głowy jedzeniem. Wyjaśniło się teraz tak wiele spraw, których nikt na dworze o Hiung–nu nie wiedział, które nie w pełni były zrozumiałe w opowieściach ojca! Ich nienawiść

do murów i ograniczeń, dziwny strój o tunikach i spodniach nieco krótszych niż prawdziwe szaty, a nawet ich wikt, bogaty w mięso i tłuszcze. To nie były oznaki dzikości, tylko przyjęte przez nich metody postępowania, pozwalające żyć w tym kraju. Tutaj, pod niezmierzoną czaszą nieba, która dzień w dzień rozbrzmiewała pieśnią wiatru silniej chwytającą za serce i silniej wbijającą się w pamięć niż melodie śpiewane albo wygrywane na bambusowym flecie, takie postępowanie miało swój sens. Był w nim swoisty rytm, a nawet wdzięk i Srebrzysty Śnieg wiedziała, że pewnego dnia je doceni.

Stopniowo jednak odzyskała odporność, jakiej nabyła kiedyś w domu swego ojca. Na Wewnętrznych Dziedzińcach przyzwyczała się do słodkich woni i początkowo od gryzącego zapachu ognisk z nawozu, jakie palili Hiung–nu, łzawiły jej oczy. Wkrótce jednak uodporniła się i na zapach, i na dym, i w końcu nie zauważała ani jednego, ani drugiego. Już przedtem była zdrowa, teraz zahartowała się i okrzepla, stała się piękną istotą doskonale przystosowaną do tego, by świetnie powodziło jej się w jej nowym domu.

— Czy wyglądam teraz — zapytała kiedyś Wierzbę — dokładnie tak, jak namalował mnie Mao Yen–shou: chuda, opalona i męska?

Wierzba roześmiała się.

— Pani, tobie brak czarnej myszki, a jemu głowy. Nie ma co nawet mówić o nim.

Wcześniej Hiung–nu przyglądali się im, a następnie potrząsali głowami, robiły to zwłaszcza ich kobiety, ale teraz zaczęli przyjmować do wiadomości, że kobiety z Ch'in potrafią znieść całodzienną podróż nie lamentując, nie mdlejąc ani nie popadając w chorobę. Srebrzysty Śnieg zastanawiała się, czy czuli się rozczarowani. Ich przywódca, książę Vughturoi, rzadko się odzywał. Może gniewało go to, że tak młodziutka księżniczka z Ch'in została wysłana, by zająć miejsce jego matki? Próbowwała nie przysparzać nikomu kłopotów i wiedziała, że jej się to udaje, ale on wciąż trzymał się od niej z daleka.

Potem rzuciło jej się w oczy coś jeszcze. Chociaż Wierzba była kulawa, to w siodle była równie wytrzymała jak reszta oddziału. A jej dziedzictwo powodowało, że zimno nie dokuczało jej tak dotkliwie. I podczas gdy Hiung–nu skłaniali się ku przekonaniu, że Srebrzysty Śnieg jest zbyt delikatna, zbyt obca, żeby odbywać podróż na dwór *shan–yu* Khujangi, Wierzbę witali z niechętnym szacunkiem. Jak mówił Li Ling, powiadano, że wśród Hiung–nu były kobiety obdarzone mocą większą niż

zwykle śmiertelniczki. Stopniowo Wierzbowe obeznanie z ziołami pozwoliło jej zdobyć uznanie ludzi, którzy mogli być dzicy i szorstcy, ale byli też otwarci i wolni. Stało się to nawet źródłem na wpół dosłyszanych, tylko częściowo zrozumiałych żartów.

— Trzeba by mocnego języka, by oprzeć się jednemu z jej ziołowych lekarstw — śmiał się jeździec, który przyszedł do Wierzby po napar.

— Tak, a czy bardzo mocny język...

W tym jednak momencie zza namiotu wyszedł książę Vughturoi i mężczyźni rozproszyli się jak smagnięte batem kundle. Książę tylko spojrzął spode łba i pomaszerował dalej.

I znowu po trochu Srebrzysty Śnieg i Wierzba przekonały się, że wieczorne obozowiska stają się dla nich czymś więcej niż tylko okazją, by zażyć niewielkiej ilości jedzenia i snu. Od wiatru, którym, jak mówiono, poprzez cały step i równinę dmuchał z dalekiego zachodu biały tygrys, osłaniał je mocny namiot z jedwabiu, filcu i skóry; Wierzba sortowała swoje zioła, a Srebrzysty Śnieg próbowała albo pisać, albo grać na lutni.

Pewna noc była tak zimna, że na tafelce zamarzał tusz i z konieczności musiała odłożyć swój ostatni list do ojca. Zamiast pisać, ogrzała palce nad malutką misą z żarem i wzięła do ręki lutnię, leniwie na niej brzdąkając. Po jakimś czasie brzdąkanie przeszło w bardzo starą piosenkę, którą kiedyś słyszała śpiewaną przez służące w swoim domu. Nie wiedziały, że ona tam była, a jak tylko ją zobaczyły, natychmiast umilkły.

Wydawało jej się, że piosenka ta mówi o uczuciach jakiejś damy, tak jak i ona poślubionej władcy hord.

*Rodzice moi wydali mnie za mąż
Gdzieś na dalekim krańcu Ziemi:
W obcy kraj wystali mnie z domu,
Do króla...*

— Pani! — syknęła Wierzba.

Palce Srebrzystego Śniegu uderzyły fałszywy akord.

— Ta lutnia jest rozstrojona — usprawiedliwiła się.

Oczami powiodła za wskazującym palcem Wierzby. Na falującej ścianie

namiotu wyraźnie rysował się cień, który już wcześniej tam widywały.

Czemu on nie wejdzie? — zadała sobie pytanie. Jestem poślubiona jego ojcu, *shan-yu*, a więc jesteśmy krewniakami. Nie byłoby w tym nic niewłaściwego.

A jednak nie wchodził. Jeżeli woli zostać na zewnątrz, na wietrze, w ciemności i chłdzie, to już jego sprawa, a rzeczą wielce niestosowną z jej strony byłoby chcieć go od tego odwozić.

Podniosła znowu lutnię.

*Domem moim stal się namiot,
Z filcu zbudowane mam ściany;
Pożywieniem mi mięso surowe...*

Obydwie z Wierzba przerwały, by się roześmiać. To prawda, że odkąd przybyli na Zachód, jedli co wieczór baraninę i że było to mięso nie cieszące się zbyt dużą popularnością w Chang'an. Niemniej baranina ta zawsze gotowała się najpierw w tych ogromnych kotłach z brązu, które każdego dnia niósł najsilniejszy z wielbłądów.

— Prawdopodobnie, pani, ten głupi poeta, który ułożył tę piosenkę, nigdy w życiu nie zapuścił się dalej na zachód niż do zachodniej bramy Chang'an — zauważyła Wierzba z ironią w głosie.

— Tak, ja też tak uważam.

— A jak to się kończy? — zapytała Wierzba. Srebrzysty Śnieg, przypominając sobie dalszy ciąg, zaczęła żałować, że nie wybrała jakiegokolwiek innej piosenki. Cieniowi, który zatrzymał się na zewnątrz, by posłuchać, jak ona gra, nie mogło spodobać się to, co usłyszy. Niemniej jeżeli zrezygnuje ze śpiewu, będzie wyglądało na to, że wie, że ktoś ją podsłuchuje. Wzdychając wzięła lutnię po raz ostatni.

*Ciągle myślę o moim własnym kraju,
A w sercu mam smutek.
Gdybym tak była żółtym bocianem,
Poleciałabym znów do starego domu!*

Srebrzysty Śnieg zdecydowanie umieściła lutnię w pokrowcu i odłożyła ją. Podnosząc głos tak, by słowa jej doszły do jej słuchacza, powiedziała:

— Żaden żółty bocian nie uchowałby się na tej pomocnej ziemi, gdzie się urodziłam. Ładna ta piosenka, ale smutna i bez sensu. Nie będę jej więcej śpiewała.

Kiedy następnego ranka pojawiła się, tracąc z zimna oddech i strząsając płatki śniegu, które już czepiały się sutego, futrzanego obszycia kaptura, zorientowała się, że Vughturoi wodzi za nią oczami, ale podchodząc do swego konia udawała obojętność.

Ta piosenka nie miała sensu. Następnego wieczora Srebrzysty Śnieg poprosiła kobiety Hiung–nu, by się również do niej przyłączyły. Zaczekała, aż na ścianie namiotu pojawi się cień, i zaśpiewała inną piosenkę, która dokładniej oddawała osobliwą urodę tego zamarzniętego pustkowia.

Północne wiatry oplotły ziemię, łamią się blade trawy;

W ósmym miesiącu niebo gwałtownie utworzył lecący śnieg...

Urwała śpiew.

— Słyszałyście to? — zapytała.

Jedna z kobiet Hiung–nu, Brązowe Lustro, kiwnęła pobłażliwie głową do drugiej, o imieniu Soból. Obydwie zajmowały dość wysoką pozycję wśród Hiung–nu: Brązowe Lustro przez swego dorosłego syna; Soból, która była dużo za młoda jak na wdowę z dziećmi (a była nią), pozycję swą zawdzięczała swemu bratu Basichowi, cieszącemu się wielkimi łaskami u księcia Vughturoi.

Może i ta młodziutka księżniczka z Ch'in nie załamała się podczas podróży na zachód i na północ, ale miała swoje kaprysy, swoje słabostki.

— To tylko wiatr, pani, który ryczy na równinach — zapewniała ją Brązowe Lustro.

Srebrzysty Śnieg może zaczerwieniłaby się i pozwoliła, by na tym stanęło, gdyby w tym momencie nie popatrzyła na Wierzbę. Wierzba przykucnęła przy szczelnie zamkniętej klapie namiotu, jakby usiłowała przeczekać jakiegoś drapieżnika, a oczy jej błyszczały dziko i zielono, jak zawsze kiedy wyczuwała niebezpieczeństwo.

— Oddech białego tygrysa — wyszeptała.

No to co? Srebrzysty Śnieg wiedziała, że Zachód pieczętował się białym tygrysem. Czemu nie nazywać wiatru jego oddechem? I znowu podniósł się głos, który spowodował, że przerwała muzykowanie. Mimo woli spojrzała na ścianę namiotu. Cień, którego nauczyła się już oczekiwać, również zeszytniał. Następnie

zniknął.

— To nie jest tylko oddech białego tygrysa — stwierdziła kategorycznie Srebrzysty Śnieg. — Tam na zewnątrz jest jakieś zwierzę. Może biały tygrys, a może coś innego — dodała, powodowana bardziej brawurą niż pewnością. Słyszała o tym, że białe tygrysy i lamparty śnieżne zaliczały się do niebezpieczeństw, na jakie można było natknąć się na Zachodzie, i nagle pełna grozy zaczęła podejrzewać, że to właśnie takie zwierzę grasuje teraz w ich obozowisku, a może nawet węszy pod samym jej namiotem.

W namiocie zapadło nagle, groźne milczenie, nie słychać było nic oprócz wiatru i odgłosów tego czegoś, co grasowało na zewnątrz i szukało zdobyczy. Srebrzysty Śnieg rzuciła spojrzenie na Wierzbę, która zeszywniała, z włosami płonącymi czerwienią w świetle misy z żarem. Jej zielone oczy wydawały się zachodzić mgłą, jak gdyby przysłuchiwała się czemuś, czego jej pani nie mogła usłyszeć.

Stopniowo milczenie to zaczęły przenikać jakieś dźwięki: coś, co brzmiało niemal jak pomruk dzikiej satysfakcji i rytmiczne uderzenia olbrzymiego serca.

Wierzba pokazała zęby. Gdyby była w postaci zwierzęcej, byłaby warknęła. Kobiety Hiung–nu, niemal onieśmiałe po raz pierwszy odkąd je Srebrzysty Śnieg spotkała, ociągały się nie ze strachu, ale z grozy. Potem obudził się ich zapach do walki — i prawdopodobnie strach przed Vughturoi i jego ojcem.

Ostrożnie, żeby nie zrobić najmniejszego hałasu, sięgnęła po swoją futrzaną opończę, włożyła ją i złapała łuk i strzały. Soból i Brązowe Lustro wyciągnęły ostre sztylety. Wierzba jednak nie miała nic. Kiedy Soból chciała rzucić jej nóż, który nosiła w swoim miękkim, giętkim bucie do jazdy konnej, dziewczyna skinęła głową na znak podziękowania, ale odmówiła.

— To jedyna broń jaka jest mi potrzebna — wytłumaczyła i wyciągnęła swoje lusterko, osobliwie poślubione dziwnymi symbolami, to samo, które zawsze miała przy sobie, jak długo ją znała Srebrzysty Śnieg.

Kiedy jakiś koń przeraźliwie zarżał w śmiertelnej trwodze i bólu, Srebrzysty Śnieg zdała sobie sprawę, że prawdą musi być to, czego najbardziej się obawiała. Pozostałe konie zaczęły rzeć w panice. Teraz i mężczyźni podnieśli alarm, pędząc by bronić obozowisko przed intruzem.

— Nie możemy tu czekać, aż spadnie na nas nasz los — powiedziała bezgłośnie, żeby nie ściągnąć na siebie uwagi nieprzyjaciela — przynajmniej dopóki

jesteśmy uzbrojone i jesteśmy w stanie się bronić.

Brazowe Lustro czy Soból mogły powstrzymać ją jedną twardą ręką. Jednak zanim zaprotestowały, czy spróbowały ją zatrzymać, Srebrzysty Śnieg wyslizgnęła się na zewnątrz, a Wierzba za nią.

Nad nimi świecił księżyc, niewiarygodnie wielki i bliski w tym kraju, gdzie nie było żadnych domów, murów ani drzew, które by go mogły zasłonić. Na niebie światło gwiazd, przesłaniane chwilami przez tumany miękkiego śniegu, rozkwitało i ześlizgiwało się po lusterku, które Wierzba podnosiła do góry.

— Starsza Siostró — szepnęła dziewczyna. — Myślę, że to jest takie samo przesłanie, jakie zakłóciło spokój Nefrytowego Motyla przy naszym rozstaniu.

— Skierowane przeciw mnie, myślisz? — Srebrzysty Śnieg przytaknęła sama sobie. Nefrytowy Motyl nie stanowiła zagrożenia większego niż jej imiennik, ale ona ze swym posagiem i rangą mogła śmiało mieć wrogów, z którymi musi zacząć się liczyć, a o których — uświadomiła sobie — Brazowe Lustro i Soból mogą nie odważyć się mówić.

Może zaufają mi, jeżeli uda mi się dowieść swojej siły — pomyślała Srebrzysty Śnieg. Miała świadomość, że jest świetną łuczniczką. Starannie wybrała strzałę i nasadziła ją na cięciwę.

W momencie kiedy lusterko Wierzby błysnęło ostrzeżeniem, Srebrzysty Śnieg usłyszała gardłowy pomruk sprężonej do skoku bestii. Światło błysnęło ponownie i skok chybił.

Błyskawicznie odwróciła się, wystrzeliła i w nagrodę usłyszała pełne bólu wycie. Uprzytomniła sobie, że zraniła to zwierzę, ale go nie zabiła. A ranna bestia była jeszcze bardziej mordercza. Usłyszała stąpanie łap. Strzeliła ponownie.

— Za mną! — krzyknął jakiś mężczyzna, a jego koń załomotał kopytami w jej kierunku. Usłyszała, jak jęknął jego łuk, potem kilka innych. Bestia przeraźliwie zawyła i zaczęła się miotać, w pewnym momencie potoczyła się tak blisko pani Srebrzysty Śnieg, że ta poczuła jej gorący, cuchnący krwią oddech. Zobaczyła błysk światła gwiazd na jej zębach i pazurach, które zdawały się migotać własną poświatą. Diabelska, przeklęta! Coś przenikliwie krzyknęło jej w umyśle i nie potrafiła powstrzymać się od krzyku.

Potem bestia zwała się, wierzgnęła dwa razy i w końcu leżała spokojnie.

Wojownik zeskoczył z konia, jednym spojrzeniem zmierzył Srebrzysty Śnieg i jej służącą, by upewnić się, czy nic im się nie stało, i odwrócił się w stronę

zwierzęcia.

— Przynieście ogień! — zawołał.

Srebrzysty Śnieg przepchnęła się do przodu. Ona też chciała zobaczyć tę bestię, którą pomogła zabić. Pochodnie migotały i kapały, w otaczającym ich chłodzie wiatr niemalże zwiewał z nich płomienie. W ich nierównym, czerwonym świetle Srebrzysty Śnieg zobaczyła białego tygrysa. Był on olbrzymi, miał masywne łapy i szczęki, na których zamarzała teraz krwawa piana. Jeszcze przez chwilę jego zielone oczy żarzyły się, potem zgasły, jak szmaragdy roztrzaskane młotem. Czy Srebrzysty Śnieg wyobraziła sobie tę poświatę, którą widziała? Nie! Pazury i zęby jeszcze wciąż migotały, ale migotanie to bladło, aż zamarło we własnej agonii, kiedy ciało bestii drgało i stygło.

Trzymając jedną z długich, zabójczych włóczni Hiung–nu, Vughturoi podszedł do tygrysa i dźgnął go z pewnej odległości. Kiedy bestia nie drgnęła, przysunął się bliżej i pochylił nad ciałem, wysuwając rękę by policzyć strzały, które pokryły zwierzę piórami.

— Następnym doskonałym strzałem, pani — powiedział do Srebrzystego Śniegu. — Choć może wspomnisz na to, że to moja głowa spadnie, jeżeli cię nie przywiodę całej i zdrowej do *shan–yu*.

Srebrzysty Śnieg wiedziała, że zarobiła sobie na tę wymówkę swoją brawurą, ale nie ustąpiła. Wśród Hiung–nu większy sobie zdobędzie prestiż przez upór niż przez ustępstwa — myślała.

Vughturoi przyjrzał się dokładniej.

— Dwa świetne strzały — skomentował, wcale nie zaskoczony tym, że się nie wycofała.

— Bardzo dobrze! — zawołał do grupy łowców. — Skończcie doglądać koni i idźcie spocząć, wszyscy! Powieziemy tego tygrysa ze sobą, jeżeli nasze własne zwierzęta zechcą go ponieść, aż do następnego popasu, gdzie będziemy mogli obdrzeć go ze skóry. A ty, pani — dodał cichszym głosem — możesz wręczyć ją memu ojcu na znak swego męstwa. Ciekawie będzie popatrzeć, jakie poruszenie wywoła to w namiotach *shan–yu*.

W głosie jego dźwięczała teraz nie irytacja, ale namysł, jak gdyby Srebrzysty Śnieg była pionkiem, który jakiś szczególnie sprytny gracz przesunął z niebывałą zręcznością. Nie rozumiała go, kiedy był w takim nastroju, i nie ufała mu. Wróciła do swego namiotu i próbowała uspokoić się i zasnąć.

Następnego ranka, gdy ludzie przyszli, by załadować ciało tygrysa na najmniej narowistego konia jucznego, znaleźli tylko poczerniałe plamy jego krwi, które już zasypywał śnieg, i zwęglone brzechwy strzał, które go zabiły. Ale sama bestia zniknęła.

W ciszy skończyli zwijać obóz i wyruszyli z szybkością niezwykłą nawet jak na Hiung–nu.

Rozdział czternasty

Przy wjeździe do głównego obozowiska Hiung–nu Srebrzysty Śnieg zdecydowała się wykorzystać swój powóz. Chociaż na skutek takiej decyzji mogli ją uznać za słabą, potrzebna jej była korzyść, jaką mogło jej przynieść te kilka minut obserwacji spoza chroniących ją zasłonek powozu.

— To zgodne ze zwyczajem — powiedziała Wierzba — żeby panna młoda przybywała w powozie lub lektyce. Poza tym — dodała praktycznie — jakby spadł śnieg, mogłyby ci się zniszczyć twoje brokaty.

— Głuptasie — odparła Srebrzysty Śnieg, odpychając lusterko, które przed nią trzymała Wierzba — a cóż tych Hiung–nu obchodzą wspaniałe jedwabie?

— Dość skwapliwie przyjęli te, które Syn Niebios przesłał dla tego całego *shan–yu*, i nie wątpię, że ucieszą ich te, które przynosisz w posagu. To prości, silni ludzie. Niech tylko zobaczą, że świecisz jak słońce i księżyc, a tym więcej będą cię szanować.

Wierzba podała pani Srebrzysty Śnieg najświetniejszą opończę, wspaniały strój z delikatnych brązowych soboli, który miała włożyć na czerwoną szatę panny młodej. Kiedy nadeszło wezwanie, opuściła namiot, ogarniając na sobie szaty z taką dbałością, jakiej ani razu nie okazała podczas długich miesięcy podróży na dwór *shan–yu*. Z tyłu usłyszała okrzyki podziwu i zachwytu Sobola i Brązowego Lustra.

— Godna jest tego — powiedziała jedna z nich z czułością w głosie, na co Srebrzysty Śnieg, która podsłuchiwała, ze zdumienia uniosła swoje delikatne brwi — by nazywano ją Boską Królową. Naprawdę nie wygląda wcale na kobietę, ale na istotę z nieba.

Ta druga zachichotała, a do jej rubasznego śmiechu przyłączyła się Soból.

— Ależ skąd — ten głębszy głos należał do Brązowego Lustra. — Czy sięgnęłabyś swą szorstką dłońią po klejnot z nefrytu? Synowie *shan–yu* są całkiem dorośli, jego córki mają własnych synów. Będzie hołubił tę maleńką damę jako ozdobę swego namiotu, a nie posłania, zresztą już mu nie do takiej zabawy.

— A szkoda. Kiedy jej uroda zwiędnie, syn dałby jej więcej strzał do łuku, niż ma teraz. A to dama, która dobrze wie, jak używać... powiedzmy, broni.

Przecież one mi dobrze życzą — pomyślała Srebrzysty Śnieg. Gdybyż tak samo życzyli mi wszyscy w tym obozie, do którego się udaję!

— Tak, tak. Ale gwiazda Boskiego Króla już blednie. Może przyjść dzień...

— Cicho!

Srebrzysty Śnieg wcale nie zdziwiła się zobaczywszy, że podjeżdża do nich Vughturoi i rozkazuje wyruszyć na ostatni odcinek podróży na dwór swego ojca. Zaskoczona jednak była, że włożył świeże skóry i futra i że na jego szyi wisi klucz, którym Li Ling ceremonialnie zamknął Srebrzysty Śnieg w jej powozie przy wyjeździe z Chang'an, by potem wręczyć go Vughturoi na znak, że ma on upoważnienie, by jej strzec.

Przejeżdżając obok jej powozu, praktycznie pod samym nosem wielbłądów, które kiwając się i stękając podnosiły się niezdarnie na nogi, uśmiechnął się szeroko.

— Odwagi, pani! — powiedział półgłosem i rozhuśtał klucz na ciężkim łańcuszku. — Na ile gorsze może być wstąpienie w namioty mego ojca niż zabicie białego tygrysa?

Za pomyślną odpowiedź na to pytanie Srebrzysty Śnieg z chęcią oddałaby wszystko, co miała i co jeszcze kiedyś mogła dostać.

Blade zimowe słońce było już wysoko na niebie, kiedy karawana pani Srebrzysty Śnieg spotkała pierwszych jeźdźców z dworu *shan-yu*, kawalkadę kudłatych koni i mężczyzn, którzy otuleni byli w filce i skóry, nosili łuki oraz długie włócznie swojego plemienia. Jechali wprost na karawanę, zupełnie jakby w każdej chwili mieli wymierzyć w nią włócznie, czy napiąć łuki i ruszyć do ataku.

Srebrzysty Śnieg wyglądała spoza zasłonek swego powozu. Pomyślała sobie, że mieć takich strażników to gorzej, niż nie mieć żadnej ochrony. Zbyt wyraźnie sygnalizowali „tu oto jest ta, której szukacie”.

— Czy potrzebny ci będzie łuk, Starsza Siostrze? — zapytała Wierzba.

Srebrzysty Śnieg łagodnie dotknęła jej ręki. Chociaż łuk dobrze jej służył w niejednej walce, teraz musi służyć jej bystrość i szybka orientacja.

— Nawet gdybym potrzebowała go, na nic by mi się nie przydał.

Patrzyła, jak Vughturoi podjeżdża do nowo przybyłych i podziwiała jego zręczność we władaniu koniem, biegłość tak głęboko zakorzenioną, że stała się podświadoma. Ci, którzy przyjechali z obozu, byli ludźmi bardzo odmiennego typu niż Vughturoi i jego towarzysze. Srebrzysty Śnieg domyśliła się, że aby *shan-yu* w ogóle zaryzykował wysyłanie tych ostatnich do Chang'an, musieli oni należeć do grupy młodszych i łatwiej przystosowujących się *Hiung-nu*. Z nowo przybyłych nie

wszyscy byli w starszym wieku, ale wydawali się bardziej dzicy, brak im było tego poloru kultury Ch'in, który od czasu do czasu dawał się zauważyć w eskorcie Srebrzystego Śniegu. Chociaż, podobnie jak Vughturoi, mieli rzadki zarost, to wielu z nich na twarzach nosiło blizny powstałe po samookaleczeniu podczas żałoby po przyjacielu, krewniaku czy wodzu. Zwyczaju tego wciąż przestrzegało wielu Hiung–nu.

Gdyby to był jakikolwiek inny naród poza Hiung–nu, to przed przystąpieniem do omawiania interesów, jak wiedziała Srebrzysty Śnieg, byłoby wiele ceregieli ze zsiadaniem z koni, wspólnym jedzeniem. Nie spodziewała się jednak, żeby Hiung–nu mieli choćby ruszyć się z koni i miała rację. Przypadkowy powiew wiatru przyniósł jej ich głosy i Srebrzysty Śnieg wyteżyła słuch.

— Dobra podróż, a jeszcze lepszy powrót — mówił Vughturoi do starszego mężczyzny, który klepał go po ramieniu. Znowu zawiął wiatr i Srebrzysty Śnieg złowiła uchem tylko kawałek następnej jego wypowiedzi — ...nie taka zła jak się obawiałem, właściwie całkiem w porządku. Widzę, że jest wśród was kam–qam Sandilik. Mieliśmy... I znowu powiew zdradzieckiego wiatru porwał ze sobą słowa, których Srebrzysty Śnieg słuchała, jakby od nich zależało jej życie. Wiedziała, że kam–qam oznacza szamana–mężczyznę. Jechał taki wśród nich, ze swoim magicznym bębenkiem, a szaty miał obszyte kośćmi i skórami węży, tu w tym kraju, gdzie nigdy nie syczały ani nie wiły się takie stworzenia. Podobnego napięcia i niepokoju nie słyhać było w głosie Vughturoi nawet tamtej nocy, kiedy polowali na białego tygrysa.

Czekała, by zadał wreszcie pytania, które dotąd, jak wiedziała, musiał w sobie tłumić.

— Jak się czuje... te cięcia wyglądają na świeże, Kursyku.

— Boski Król przeżył czas twej nieobecności — odparł mężczyzna o imieniu Kursyk. — Czuje się dobrze i wysłał nas, byśmy cię szukali.

— Chwała Słońcu! — Głos Vughturoi ochrypl. — A jednak nosisz blizny, które wyglądają na świeże.

— Mój brat, książę. Niech go Erlik porwie, ale mimo wszystko był moim bratem.

— Poszedł za moim szanownym bratem Tadiqanem, czyż nie?

— Tak, i to go zgubiło. Tadiqan ma nowe strzały, takie które gwizdzą.

Powiadają — nowo przybyły zniżył głos i Srebrzysty Śnieg wyteżyła słuch — że są

zakłete, żeby nigdy nie chybiały celu. On teraz ustanowił nowe prawo dla swoich popleczników. Kiedy wystrzeli gwizdzącą strzałę, wszyscy muszą strzelać za nim. Był taki drobny problem, pretensje o ukradzioną narzeczoną, jak mi się zdaje, i Tadiqan wystrzelił jedną ze swoich strzał. W mojego brata. Czy okupu za krew mam żądać od księcia, czy może od ludzi, którzy go nie odstępują?

Vughturoi wyciągnął rękę i klepnął Kursyka po ramieniu.

— Możesz go zażądać ode mnie, jak się rozpakuję. Chwała niech będzie Tangrowi i Słońcu, kraj Ch'in wciąż jeszcze jest bogaty i skwapliwie dzieli się z nami swoim majątkiem, żebyśmy ich nie najeżdżali. Ale teraz muszę odstawić ojcu jego nową żonę.

— I to też — powiedział Kursyk. — Tadiqan i jego matka powiedzieli, że żadne rozpuszczone dziecko z Wewnętrznych Dziedzińców nie zajmie miejsca Mocnego Języka na długo, i że kiedy Boski Król...

— Dosyć! — Ręka Vughturoi zacisnęła się na włóczni, następnie rozluźniła się, jak gdyby marzył o tym, by cisnąć nią we wroga, ale nie śmiał. — Mój ojciec żyje, a ja wróciłem. Wcale nie jest takie pewne, że to Tadiqan będzie pierwszym z synów Khujangi, który znajdzie jego doczesną powłokę. Jego matce nadano słuszne imię. Ale jeżeli to ja dożyję tego, by zostać *shan-yu*, niech się ma na baczości, żeby tym swoim językiem nie otruła i siebie, i swojego syna!

Może Soból, ta bardziej przyjazna i podatna z dwóch dam Hiung-nu, powie jej coś więcej. W końcu to ona opowiedziała jej o synach *shan-yu*, jak to z dziesięciu mocnych mężczyzn umarli wszyscy oprócz trzech: dwóch najstarszych i najmłodszego, tego dziecka, które jako zakładnik zostało w Państwie Środka.

Srebrzysty Śnieg pozwoliła opaść zasłonkom.

— Przeprowadź mi Soból — szepnęła do Wierzby. A więc Mocny Język to nie był zwrot, oznaczający niezyczliwe, złowróżbne słowa, które potrafiły w jednej chwili przywołać srogość na twarz księcia Vughturoi; to była rzeczywista osoba: najstarsza żona *shan-yu* i matka księcia, który najwyraźniej spodziewał się, że zostanie dziedzicem. Oboje na pewno mieli wielkie wpływy albo Vughturoi nie zostałby wysłany do Chang'an, kiedy jego ojciec był tak stary, że poddani obawiali się, że umrze. Posępność wynikała z lęku o siebie i o starca, którego w oczywisty sposób czcił, a może nawet o młodą kobietę, na którą czekało większe niebezpieczeństwo, niż mogła się spodziewać.

Podjechała Soból. Na zaproszenie Srebrzystego Śniegu przeskoczyła ze

zdumiewającą, jak się zdawało, łatwością z końskiego grzbietu do powozu w momencie, kiedy Vughturoi dawał rozkaz do wyruszenia.

Wąskie oczy szlachetnej damy Hiung–nu rozszerzyły się i załśniły, kiedy Srebrzysty Śnieg powitała ją z całą elegancją, jakiej mogłaby użyć w stosunku do Prześwietnej Towarzyszki, a następnie przeszła do żartów stosownych między osobami równymi sobie, zanim zajmą się one poważnymi sprawami, które trzeba omówić. Było wyraźnie widać, że Soból niecierpliwiła się, żeby przejść do sedna sprawy, o której chciała rozmawiać Srebrzysty Śnieg. Wyraźnie zmuszała się, by zostawić inicjatywę swojej nowej królowej.

W końcu, po czasie krótszym niżby to wypadało w Chang’an, ale dłuższym niż którakolwiek z nich chciała trwonić na rozmowy wstępne — Srebrzysty Śnieg pochyliła się do przodu i zobaczyła, jak oczy tamtej pojaśniały. Nareszcie koniec czekania!

— Opowiedz mi o naszych ludziach — zachęciła ją Srebrzysty Śnieg.

Soból z zadowoleniem rozwijała temat potęgi królewskiego klanu, majestatu władającego nim *shan–yu*, bogactwa jego namiotów i stad, oraz męstwa jego wojowników, a wśród nich Basicha, swojego brata oraz jego bohatera, księcia Vughturoi. Basich, jak się dowiedziała Srebrzysty Śnieg, miał dzieci, ale nie miał żon; Vughturoi miał kiedyś rodzinę, ale przyszło nieszczęście i jego starsza żona umarła w połogu — mówiła Soból beznamiętnie, spokojnym głosem kogoś, dla kogo takie tragedie stanowią chleb powszedni.

— Potem jego młodsza żona spadła z konia. Ta oto myśli, że z zadowoleniem spełnił rozkaz Boskiego Króla, by udać się za Purpurowy Mur po... — umilkła z pewnym zażenowaniem, które zaskoczyło zarówno ją samą, jak i Srebrzysty Śnieg. Nie zdawała sobie sprawy, że Hiung–nu mogą się czerwienić.

— Kim jest Mocny Język? — zapytała Srebrzysty Śnieg. Po raz pierwszy podczas tych wszystkich podróży zobaczyła, jak jedna z Hiung–nu się wzdrygnęła.

Jej oczy zaokrągliły się, wychodząc niemal z orbit.

— Ona jest jak twoja służąca, tylko jeszcze bardziej. Mocny Język jest kobietą mocy, która wie wszystko o narodzinach i śmierci mężczyzny czy kobiety i której głos jest mocny, podobnie jak głos bogów. Kiedy wyrusza ze swej jurty, wszyscy zakrywają twarze i korzą się z lęku przed jej potęgą.

Albo — pomyślała Srebrzysty Śnieg — z lęku przed gwiżdżącymi strzałami jej syna.

— Nie jest więc dla mnie przyjacielem — zakończyła i zobaczyła, że Soból nieco się odprężyła. Teraz przynajmniej, jeżeli Mocny Język miałaby ją wypytywać, będzie mogła powiedzieć, że nie powiedziała pani Srebrzysty Śnieg, tej intruzce z Ch'in, nic poza tym, że Mocny Język ma moc.

Przemawiała do Soból łagodnie, swobodnie. Niech widzi, że się nie boję — pomyślała. Potem, akurat kiedy kłęby kurzu przed nimi zapowiedziały zbliżanie się następnych jeźdźców z obozowiska *shan-yu*, uwolniła kobietę, żeby mogła znowu przesiąść się na swego konia i żeby nikt nie zobaczył, jak swobodnie siedzi sobie z wrogiem Mocnego Języka.

Srebrzysty Śnieg przeszedł dreszcz i wtuliła obydwie dłonie w swoje obszerne rękawy.

— Bardziej niż kiedykolwiek cieszę się, Wierzbo — powiedziała — że jesteś ze mną. Dzień, w którym ojciec mi cię podarował, po trzykroć był szczęśliwy.

Wierzba wyciągnęła rękę, zebrała się na odwagę i pogłaskała swoją panią po dłoni.

— Wszystko będzie w porządku. Ręczę swoją głową; nie stanie ci się żadna krzywda, moja maleńka pani.

W tym momencie strażnicy obozowiska Hiung-nu dotarli do karawany, otoczyli ją i z mrozącymi krew w żyłach powitalnymi wrzaskami poprowadzili do obozowiska *shan-yu*, jej sędziwego męża, na którego spotkanie Srebrzysty Śnieg przybyła z tak daleka.

Wokół wozów i powozu Srebrzystego Śniegu kłębili się jeźdźcy, kierując je w wąskie przejście, które strzeżone było przez łuczników i nad którym majaczyły postacie, wcięte w głązy ustawione wzdłuż trasy marszu. Skąd oni przynieśli te kamienie i po co? — dziwowała się Srebrzysty Śnieg. Rzuciła na nie okiem, a następnie spojrzała na nagość męskich i kobiecych postaci, których wstydlive części widać było żenująco wyraźnie.

Spodziewała się, że zobaczy obozowisko. Ale to, przed czym zatrzymał się w końcu jej orszak, było w takim samym stopniu dworem, jak dowolny zespół pawilonów i ogrodów w Chang'an, chociaż różnił się on od stolicy tak, jak ona różniła się od krzepkich, kłótliwych kobiet, pilnujących olbrzymich kotłów, które parowały przed niejedną z filcowych jurt.

Vughturoi podniósł rękę i woźnica zatrzymał powóz Srebrzystego Śniegu

przed największym i najwspanialszym z namiotów. Właściwie, jeżeli dałoby się zbudować pałac z jedwabiu, skór i filcu, podpartych tu i tam rzadkim, kosztownym drewnem, to namiot *shan-yu* był właśnie takim pałacem. Pomimo chłodu, klapy jego były otwarte na oścież, a w środku płonęły ogniska, z których dym wznosił się do otworów w dachu. Namiot ten był tak ciężki i tak silnie osadzony, że jego ściany ledwie że falowały od podmuchów wiatru, zdolnych przewrócić słabsze budowle.

Przed namiotem i w środku leżały poukładane jedne na drugich lśniącoymi warstwami dywany z jedwabiu i wełny, sprowadzone albo z Ch'in, albo pozabierane z miast leżących jeszcze dalej na zachodzie, w krainie Hu, czyli Persji. Dalej, w środku, dawały się dostrzec pulchniutkie, kryte brokatem poduszki, gładki poblask łąkowych skrzyń i uporządkowane stosy futer i jedwabi. Spodziewała się tylko tego, co absolutnie konieczne. A to, co teraz widziała, pełne było przepychu, który był może barbarzyński, ale również zadziwiająco atrakcyjny.

Ku zdumieniu Srebrzystego Śniegu, Vughturoi zsiadł z konia i z szerokim gestem przytknął do jej powozu klucz, który nosił na szyi, chociaż w wyposażeniu powozu, jako że był on dziełem Hiung-nu, nie wchodziło nic, co mogłoby przypominać zamek. Srebrzysty Śnieg zrobiła krok do przodu i znalazła się na ziemi, stopami wyczuwając jej nieznaną kamienistość. Jakie to teraz wydawało się dziwne, że miała już nigdzie dalej nie jechać, przynajmniej do wiosny — pomyślała — i uznała, że jest to sposób myślenia nomadów.

Do przodu wysunął się starzec. Niezdarnym czynił go zarówno wiek, jak i krok człowieka, który przez całe życie częściej siedział na koniu, niż chodził pieszo. Pod spowijającymi go futrami nosił szatę z Ch'in, haftowaną w smoki i wykończoną barwą cynobrową. Zwisiała ona z niego w sposób, który sugerował, że był on kiedyś dużo cięższym, dużo bardziej muskularnym mężczyzną. Chociaż i on nosił wysokie jeździeckie buty o miękkich podeszwach, to były tak bogato obszyte futrem i haftowane, że wyraźnie od wielu już dni nie wsadził nogi w strzemię. Jego rzadka, zaniedbana broda, powszechna u mężczyzn jego rasy, posiwiiała z sędziwego wieku. Chociaż oczy miał głęboko zapadnięte wśród zmarszczek, powstałych na skutek wpatrywania się przez zbyt wiele lat w widnokreśli bezdrożnych stepów, były one mądre, przebiegłe, a nawet można było w nich spostrzec isierki humoru.

Z ogromnym wysiłkiem pochylił się, by dotknąć głowy Vughturoi, z której młody człowiek zdarł czapkę.

— Jak widzisz, mój synu, Słońce nie powołało mnie jeszcze do siebie —

powiedział. — Podnieś się.

— Jestem na twoje rozkazy, Boski Królu — odpowiedział Vughturoi. Potem dodał zdławionym głosem: — Tak dobrze zobaczyć cię znowu... Ojciec.

— No, no, i staremu człowiekowi dobrze, kiedy ciebie widzi. — *shan-yu* pogładził syna po ramieniu, a potem odwrócił się do Srebrzystego Śniegu, która natychmiast padła na kolana; Wierzba poprawiała jej szaty i układała je tak, by nie zanieczyściły się od słomy, kurzu czy nawozu.

— Moja młoda żona — powiedział *shan-yu*, mozolnie przesuwając się do przodu, by ująć Srebrzysty Śnieg pod brodę i unieść jej głowę z gorliwością dziecka, które przeprowadza na wiosnę przegląd nowego latawca. — Piękniejsza jest niż wszystko, co kiedykolwiek widziałem w Państwie Środka — oznajmił. — Dziecko, witam cię. Będiesz główną z moich małżonek i nadaję ci imię królowej, która przynosi Hiung-nu pokój. Bo właśnie pokój ze sobą przyniosłaś. Oznajmiam, że odtąd kuzyn mój, Yuan Ti, nie potrzebuje już bronić swojego Muru. Sam rozkażę moim synom, by go utrzymywali od Wielkiej Rzeki po Dunhuang.

Srebrzysty Śnieg zamrugała oczami. Jak tylko będzie mogła, musi przesłać te wiadomości do Li Linga i swego ojca, razem ze swoimi pomysłami, co najlepiej będzie zrobić. A jednak żeby móc to uczynić, musi poprzyglądać się, musi spędzić jakiś czas wśród tych namiotów. Z tym przynajmniej nie będzie żadnych kłopotów — miały one od tej chwili stać się jej domem.

— Przygotowano namioty dla ciebie i... czy przywiozłaś ze sobą jakieś damy? Czy te, które wysłano, stanęły na wysokości zadania? — pytał *shan-yu* Khujanga, jak gdyby naprawdę troszczył się o to, co się z nią stanie. — One rozpakują... a, widzę lutnię! Czy grasz?

Skinęła głową i spuściła oczy, wdzięczna za jedno: że te damy z plemienia Hiung-nu zapewniły ją, iż dla tego mężczyzny, który był tak stary, że mógłby być ojcem jej ojca, minęły już czasy igraszek w pościeli.

— Cieszę się. Upodobałem sobie muzykę Państwa Środka i wiele jeszcze innych rzeczy, jakie dał nam ten starożytny, bogaty kraj. Jak masz na imię i z jakiej jesteś rodziny, dziecko? — Wystrzelił w nią nagle tym pytaniem, a Srebrzysty Śnieg uświadomiła sobie, że niezależnie od swojej łagodności, w każdym calu był nadal władcą.

— Zanim Syn Niebios mnie wydzwignął, byłam Srebrzystym Śniegiem z domu Chao; ten, który mnie począł, to Chao Kuang, markiz i generał...

— Który długo zamieszkiwał w moich namiotach. — *shan-yu* kiwnął głową.
— Ale wejdź, wejdź do środka, jedz z nami, pij z nami i poznaj tych, którymi
będziesz władać.

Srebrzysty Śnieg weszła za *shan-yu* do jego przypominającego pałac namiotu
i pozwoliła, by posadzono ją obok misy z żarem, misternie wykonanej z brązu,
zdobionej nefrytami, malachitem i lapis-lazuli. Unosił się z niej spirala wonny dym,
przesłaniając wszechobecny odór nawozu, potu, zwierząt i gotującego się mięsa.
Wręczono jej delikatną czarbkę z jakimś ciemnym naparem, z którego upiła łyżeczek i
ukryła swoją reakcję na jego smak. Wystarczy, że był ciepły i wywoływał uczucie
mrowienia.

Z zewnątrz dobiegł przeraźliwy gwizd, a za nim furkot lecących strzał i głuchy
odgłos, kiedy zatopiły się one w... w czym? Srebrzysty Śnieg przypomniała sobie
słowa Kursyka, który spotkał się z ich orszakiem na drodze do obozowiska *shan-yu*.
To musiała być któraś z gwizdzących strzał księcia Tadiqana. Niech sprawią to
Przodkowie, żeby swój cel znalazła ona tylko w jakimś słupie, a nie ludzkim sercu.

Kiedy do namiotu wywijając łukiem wkroczył krępy, krzywonogi mężczyzna o
pobrużdżonej bliznami twarzy, w baranich skórkach i futrach oblepionych brudem,
Srebrzysty Śnieg wiedziała, że dobrze zgadła. To musi być najstarszy książę, syn
Mocnego Języka, pan wielu ludzi i koni. A jeżeli to on przejmie sukcesję po ojcu, to
zgodnie z nakazami plemiennej tradycji stanie się jej mężem. Sądząc z tego, jak
zmierzył ją oczami, byłby czymś bez porównania więcej niż tylko nominalnym
mężem. Opanowała się i nie otrząsnęła z odrazy. Niestety, próbując powściągnąć
odrazę, jedną stopą wywróciła talerz, z którego mięso potoczyło się do ognia.
Wpadłby tam też jej nóż, gdyby jedna z kobiet nie pochwyciła go błyskawicznym
ruchem.

To jeszcze było nic — pomyślała Srebrzysty Śnieg — w porównaniu z tym, co
mogło się stać.

I natychmiast okazało się, że nie ma racji. W namiocie zapadła cisza, Hiung-
nu zamarł w bezruchu. W tej ciszy tup-tup ciężkich, obutych stóp zdawało się zbyt
głośne, za bardzo przypominało bicie olbrzymiego, wrogiego serca. Niejeden z
Hiung-nu westchnął i odwrócił głowę, i to oni, którzy szczylic się swą odwagą.

Srebrzysty Śnieg, nie widząc żadnego powodu dla tej ciszy czy lęku, podniosła
oczy, spodziewając się szybko zobaczyć niewolnika, który by posprzątał to, co jej
upadło.

Zamiast tego poczuła nagły podmuch wiatru, gdy ktoś odrzucił połę namiotu. Z ognia uleciały iskry i zawirowały w górę w stronę wywietrznika w suficie. Na progu namiotu zamajaczyła ogromna postać. Na oczach Srebrzystego Śniegu przybrała kształt kolosalnej kobiety, z jedną ręką oskarżycielsko wyciągniętą do przodu.

— Ognisko zostało zbezczeszczone! — Głos kobiety wzniósł się w naganie i lamencie. Niższy był od wszystkich kobiecych głosów, jakie Srebrzysty Śnieg słyszała, i dało się w nim słyszeć dziwaczne, zgrzytliwe powarkiwanie. — Zalejcie je, bym mogła oczyścić to ognisko domowe, by ogrzało to nieświadome niczego, kruche stworzenie, które ci słabeusze zza Muru przysłali tu, by mnie zastąpiło.

Przez gromadki Hiung–nu przepchnęła się ogromna i ogromnie potężna kobieta. Kiedy się zbliżała, odkładali baraninę i kumys, żeby jej się przyglądać. Wielu się kłaniało. Podobnie jak księżę Tadiqan była szeroka i krępa. Jak ten szaman, którego Srebrzysty Śnieg widziała po drodze, nosiła szatę obszytą piórkami, paskami futra i skórami węży. I tak jak on, miała ze sobą magiczny bębenek, na którym napięta była skóra zbyt delikatna, żeby miała należeć do konia, owcy, wielbłąda czy czegokolwiek innego... aż Srebrzysty Śnieg spojrzała na własną dłoń i przegub tam, gdzie wysuwały się z rękawa, i powzięła podejrzenia co do losu przynajmniej jednego spośród jeńców z Ch'in lub dzieci, które spłodzili.

A więc to była Mocny Język. Jej siostra–żona... i nieprzyjaciółka, co można było wnosić po wszelkich, dających się zauważyć oznakach.

Rozdział piętnasty

Z szybkością zdumiewającą u kogoś, kto był kulawy, Wierzba wysunęła się zza pani Srebrzysty Śnieg i uklękła na skraju paleniska pomiędzy nią a Mocnym Językiem. Miała ze sobą przybory do rozniecania ognia, jak gdyby chciała spełnić władczy rozkaz Mocnego Języka, która zażądała, by przepuszczono ją, aby mogła oczyścić domowe ognisko. Długie włosy Wierzby załśniły rdzawo w świetle zbezczeszczonego ognia i pociemniały, kiedy zagasiła płomień.

— Precz, dziewczyno — warknęła Mocny Język. — Cóż wy, kobiety z Ch'in, możecie wiedzieć o tym, co pochodzi od Tangr, od bogów?

Uniosła stopę, masywną w ciężkiej skórze i filcu, jak gdyby chciała odtrącić stopą Wierzbę. Zacisnąwszy zęby Srebrzysty Śnieg szybko zrobiła krok do przodu, błyskawicznie wysuwając rękę, by uchwycić dziewczynę za ramię i podtrzymać ją. Jak zwierzę uchylające się przed ciosem, Wierzba wykręciła się w bok. Przy tym ruchu jej srebrne lustro wyturlało się z bezpiecznego schronienia w mieszku, który zawsze wsuwała w zanadrze swojej szaty. Brzęknęło i zadzwoniło czystym dźwiękiem wspaniałego metalu. Kiedy błysk jego padł na Mocny Język, rozżarzyły się wyryte na nim znaki.

— Trzymaj się ode mnie z daleka, niewolnico — rozkazała Mocny Język. — Żebyś nie przekłęła ciebie i tej słabizny z twarzą jak serwatka, która cię trzyma na smyczy.

— Moja pani nie wiedziała, nie wie — syknęła Wierzba. Srebrzysty Śnieg nie przypuszczała, że jej dziewczyna tak wiele nauczyła się z mowy Hiung-nu. — Ale ja wiem. — Wypowiedziała to z osobliwym, syczącym skomleniem w głosie i spojrzała starszej kobiecie w oczy. Lisica stawiająca czoło dzikiej maciorze, obie nieugięte, obie mające świadomość, że jeżeli zajdzie potrzeba, to drugiej stronie nie zabraknie woli walki — pomyślała Srebrzysty Śnieg.

— Cofnij się, Wierzbo! — rozkazała Srebrzysty Śnieg, a obawa o dziewczynę spowodowała, że odezwała się do niej szeptem bardziej szorstkim niż kiedykolwiek przedtem.

Wierzba pochwyciła lustro, zanim zdążyła je kopnąć Mocny Język. Potem podniosła oczy na swoją panią. W półświatle wielkiego namiotu *shan-yu* skóra jej wydawała się bardzo blada, a oczy olbrzymie i lśniące. Jej długie włosy, uwolnione z

upięcia, falowały wokół niej i szeleściły, a z ich czerwonych błysków zdawały się ulatywać iskry, które przyciągały światło, jak potarty jedwabiem bursztyn przyciąga go i zatrzymuje przy sobie.

Nie rzucaj tej kobiecie wyzwania! Srebrzysty Śnieg przekazała dziewczynie myślą to swoje życzenie. Może i Sun Tzu nic takiego nie napisał w swojej „Sztuce wojennej”, ale zdrowy rozsądek podpowiadał, że nie należy stawać przeciw silnemu wrogowi na jego własnym terytorium. Wierzba, zupełnie jakby zrozumiała, o czym myśli Srebrzysty Śnieg, odwróciła wzrok od Mocnego Języka i intensywność napięcia między nimi opadła. Nie będą ze sobą walczyć, a przynajmniej nie dziś.

Srebrzysty Śnieg obrzuciła namiot szybkim spojrzeniem, spoglądając poza miejsce, gdzie Mocny Język przybierała pozy słusznego oburzenia i odgrywała przedstawienie, wysyłając jednego swojego stronnika za drugim to po jakąś paczkę ziół, to po wizerunek, to po flet, podczas gdy jej syn, Tadiqan, stał za matką ze skrzyżowanymi na piersi rękami i szeroko rozstawionymi krzywymi nogami. Za nimi skupiały się w grupki chyba całe setki Hiung–nu, czujnie się przypatrując.

Srebrzysty Śnieg zauważyła Brązowe Lustro i Soból, która dłonią zakrywała sobie usta. Nikt się do niej nie odezwał, nikt nie przesunął się w tył i w przód, nie wykonywał delikatnych gestów ani leciutkich skinieć głową, które mogłyby sygnalizować poparcie. Brązowe Lustro i Soból mogły szanować, a nawet lubić Srebrzysty Śnieg, ale przez całe swoje życie mieszkały w obozie, gdzie panią była szamanka Mocny Język, a inni Hiung–nu nie wiedzieli nic o Srebrzystym Śniegu oprócz tego, że Cesarz przysłał ją, jako młodziutką żonę dla ich sędziwego *shan–yu*. Musi dowieść swojej wartości, a teraz powinna odwrócić uwagę Mocnego Języka. Jeżeli miała pamięć równie mocną jak język, to Wierzba znalazła się w wielkim niebezpieczeństwie.

Pożałowała przez jedną głupią, pełną litości nad sobą sekundę, że nie udało jej się naprawdę położyć skóry z białego „tygrysa”, którego zabili z księciem Vughturoi, u stóp *shan–yu* Khujangi, na znak swego męstwa. A potem spojrzała Mocnemu Językowi prosto w oczy.

— Nie jest moim zamiarem lekceważenie zwyczajów Hiung–nu —
oświadczyła stanowczo. — W końcu jest to również mój lud. Ich dobrobyt jest moim dobrem; ich los moim losem. Jeżeli obraziłam moce tego kraju, usilnie cię proszę, byś mnie objaśniła, jak mam to najlepiej naprawić.

Ku zdumieniu pani Srebrzysty Śnieg, Mocny Język nie spiorunowała jej

wzrokiem. Zamiast tego wpatrzyła się w oczy Srebrzystego Śniegu na sposób zakapturzonego węża z Hind, który — jak to jej kiedyś opowiadał Li Ling — kiedy poluje, wpatruje się w oczy ptaka, zmuszając to nieszczęsne stworzenie, by czekało, aż będzie mógł je zaatakować. Małeńkie, głęboko osadzone oczka kobiety zdawały się rozszerzać, w ich głębi zaczynały rozpalać się zielone płomyczki. Głęboko wciągnęła powietrze, jej oddech był porywisty jak pomruk tygrysa... białego tygrysa. I znowu rozległo się głuche łomotanie serca. Przecież ten ciężki odgłos musi chyba wypełniać cały namiot — pomyślała Srebrzysty Śnieg. Ją niemalże ogłuszał, ale żaden z Hiung–nu nie wydawał się go zauważać.

Tamtej nocy, kiedy biały tygrys grasował po obozie, ani Soból, ani Brązowe Lustro też nie zwróciły uwagi na ten odgłos. Było to niemal tak, jak gdyby Hiung–nu byli nań uodpornieni.

Czy to ona wysłała białego tygrysa, by zabił tę nieznaną, ale znieawidzoną księżniczkę Ch'in, która chciała zająć jej miejsce, lub by przeraził ją tak, że wróciłaby do domu w bezrozumnej ucieczce? Teraz wydawało się to prawdopodobne. Może Wierzbie uda się coś więcej odkryć.

Wierzba. Z jakiegoś ciemnego kąta, do którego kulejąc oddaliła się dziewczyna, dobiegło ją teraz syknięcie, odwróciło jej uwagę i zapewniło, że ma sprzymierzeńca. Nad Srebrzystym Śniegiem błysnęło światło i młoda kobieta wyprostowała się. Nawet w tej pozycji brakowało jej kilku cali do wzrostu Mocnego Języka, a ważyła najwyżej połowę tego, co tamta kobieta.

Sędziwy *shan–yu* otrząsnął się, jakby się budził z długiego snu.

— Słusznie powiedziane i tak, jak należy! — oznajmił, uśmiechając się do... swojej nowej zabawki — pomyślała Srebrzysty Śnieg. Jestem jak nefrytowa waza czy jedwabna szata, której nie należy trzymać w zamknięciu, tylko trzeba wystawiać na pokaz jako znak jego bogactwa i potęgi. Jednak właśnie teraz była chwilowo z tego zadowolona.

— Mocny Język jest matką Tadiqana, mojego najstarszego syna — ciągnął dalej *shan–yu*.

— I dziedzica — szepnęła Mocny Język, chociaż jej pan nie zwrócił na ten komentarz żadnej uwagi.

— Zna język ptaków i posiada wiedzę, pozwalającą zrozumieć głos kamieni, skrzypienie drzwi i zawiasów i mowę zmarłych w ich grobach. Wśród kobiet Hiung–nu nie znajdziesz lepszego nauczyciela. Mocny Języku, nakładam na ciebie ten

obowiązek, byś, kiedy już oczyścisz domowe ognisko, pouczyła swą Starszą Siostrę o zwyczajach Hiung–nu, żeby mogła przynosić nam jeszcze większy zaszczyt, niż czyni samą swoją obecnością.

Starszą Siostrę! Srebrzysty Śnieg stłumiła jęk przestrawu. Jakakolwiek nadzieja na udobruchanie tej kobiety rozwiała się jak dym, wypływający przez otwory w namiocie na bezdroża powietrza.

— Z pokorną wdzięcznością przyjmę takie nauki. — Srebrzysty Śnieg zmusiła się, by to powiedzieć i zyskała następny uśmiech od swego nowego pana. Stojący przy jego ramieniu książę Vughturoi ledwo skinął głową, ale przez moment Srebrzysty Śnieg miała wrażenie, że ją pochwała, a nawet chroni. Wiedziała, że tej ochrony udzielono jej za odwagę.

Spojrzała na Mocny Język, która otoczyła palenisko jakimiś proszkami i wypełzłymi, spękanyimi kośćmi łopatkowymi. Skrzywiła się, jakby nie całkiem przekonana do tego, co robi — i śmiało mogło tak być. Poruszała się przy tym nie tylko z powagą szamana, odprawiającego najwyższej wagi rytuał, ale z tym samym pełnym obłudy dostojeństwem, jakie Srebrzysty Śnieg zauważyła u eunuchów na Wewnętrznych Dziedzińcach: każdy ruch wykonywała z ostentacyjną precyzją, jakby ośmieszając nawet samą możliwość, żeby przeciwnik miał się tego kiedyś nauczyć. Zwróciwszy na siebie uwagę Srebrzystego Śniegu, Mocny Język parsknęła z wyszukaną pogardą i pochyliła się, by poprawić ułożenie jakiejś kostki. Wydawało się, że kołysze swymi masywnymi piersiami i biodrami w poczuciu własnych zalet i świadomości wszelkich cnót.

Srebrzysty Śnieg widywała w Pałacu podobnych do niej mężczyzn i kobiety, którzy rozkoszowali się błędami innych, którzy zwracali na nie uwagę głośno w obecności przełożonych i którzy nigdy nie zapominali ich ani nie dali zapomnieć nikomu innemu. Samą mściwość takiego postępowania uważała za wysoce naganną. Przecież Konfucjusz nauczał: nie czyni drugiemu co tobie niemiłe — a Srebrzysty Śnieg, która bolała nad każdym swoim błędem, jakby trzeba było zań płacić życiem, zasmucona byłaby, gdyby błędy ciągle jej wytykano.

Niemniej to ona właśnie była tutaj obca, ona musiała dowieść, ile jest warta. Te ziemie, jak wiedziała z własnego dzieciństwa, były surowe. Być może stałe ganień i wypominanie przeszłych błędów stanowiły o różnicy między życiem a śmiercią. No cóż, nawet jeżeli Mocny Język zdecydowanie nie była zainteresowana tym, żeby Srebrzysty Śnieg przeżyła, ona sama na pewno zrobi wszystko, by nie dać

się skrzywdzić. Powiedzie mi się — powiedziała sobie Srebrzysty Śnieg.

Wykorzystam jej wrogość, by się zahartować, by coraz lepiej przystosowywać się do życia w tym miejscu.

A jednak zdawała sobie sprawę, że Mocny Język dopiero wtedy będzie zadowolona, kiedy jej się nie powiedzie i umrze.

A więc muszę stale mieć się na baczności — powiedziała sobie. Z tego, jak *shan-yu* Khujanga spoglądał rozpromieniony na swoje dwie najstarsze żony, wywnioskowała, że jest przekonany, iż wystarczy sam jego rozkaz, by zagwarantować ich przyjaźń. Ta jego pewność wiele mówiła zarówno o jego dawnej sile, jak i o tym, jak bardzo przygasła jego mądrość. W końcu jakim znakiem w Ch'in oznaczano kłopoty? Dwie kobiety pod jednym dachem... lub w tym wypadku pod jednym namiotem.

W tym momencie przeszła ją nowa trwoga. Czy przygasanie Khujangi wywołane było tylko starością, czy czymś więcej? Będzie się bardzo troskliwie musiała nim opiekować, jeśli nie chce szybko zostać wdową.

Srebrzysty Śnieg badawczo przyjrzała się kobiecie, która, jak wiedziała, była jej nieprzyjaciółką, ale której wyznaczono miejsce współżony i nauczycielki. Wśród amuletów na jej muskularnej szyi wisiał tygrysi pazur, a noszony przez nią nóż wydawał się naostrzony. Ze wszystkich Hiung-nu w namiocie *shan-yu* tylko jej stroje i jej syna pozbawione były wszelkich ozdób z jedwabi, haftów czy nefrytów z Ch'in. Biorąc pod uwagę, że Tadiqan wydawał się przywódcą tych, którzy przeciwstawiali się pokojowi z Państwem Środka, było to całkiem logiczne.

Patrząc prosto w oczy Mocnego Języka zdała sobie sprawę, że wpatruje się w nią i Tadiqan. Gdy spojrzenie jego matki było wrogie, mściwe — spojrzenie Tadiqana było otwarcie pożyteczne. Srebrzysty Śnieg miała uczucie, że w tej akurat chwili oddałaby połowę swego posagu za gorącą kąpiel.

— Chcesz się uczyć? — zapytała Mocny Język. — A więc twoje lekcje mogą się zacząć od razu. Uklęknij tu i połóż rękę na moim magicznym bębenku.

Jakże trywialną rzeczą wydawało się to żądanie. Uklękając, dotknąć bębenka, pomóc tej kobiecie oczyścić ogień. Oczy Mocnego Języka pociemniały znowu, tak że wyglądały jak same źrenice, a w ich głębi zaczęły się ponownie pojawiać zielonkawe punkciki płomieni, przybierały na sile, zaraz wyrwą się i...

Starsza Siostrze, nie! Wydawało się, że krzyk ten eksplodował w jej uszach; zachwiała się do tyłu na nogach. Na moment umysł jej i Wierzby zespoliły się ściśle

w jedno. Słuch i węch stały się równie wyostrzone jak u lisa, który wycofał się do nory, by chronić swoje lisięta. Chociaż groziło im przytępienie przez zapachy ogniska z nawozu, potu i jedzenia, Srebrzysty Śnieg uprzytomniła sobie, co robi jej służąca, kiedy Wierzba przekazywała swej pani woń strachu, wściekłości i — od Mocnego Języka — wielkiej satysfakcji. Słyszała szmery i szepty Hiung–nu, na wpół zduszony protest, kiedy patrzyła, jak jej ręka wysuwa się do przodu i zawisa nad bębniem Mocnego Języka, żeby go dotknąć...

Jej skóra mająca dotknąć skóry na bębnie... Wystarczy zetrzeć kopeć i tłuszcz, a skóra na bębnie przypomni jej własną skórę. Srebrzysty Śnieg wzdrygnęła się.

— Boisz się? — szydziła kobieta.

Srebrzysty Śnieg potrząsnęła głową, choć wiedziała, że kłamie.

— Jakżeż mogłabym się ośmielić dotknąć narzędzia szamana? — zapytała. — Ta rzecz to przedmiot mocy.

Tadiqan roześmiał się.

— Nawet nie wiesz jakiej mocy — powiedział. — Ten bęben jest z wielkiego polowania...

A zwierzę, na które polowali — pomyślała Srebrzysty Śnieg niemal porażona — biegło na dwóch nogach, bez tchu, łkając w języku Hiung–nu i zaklinając Ogień, Niebo lub Przodków, by je zachowali od śmierci albo przynajmniej udzielili mu tej łaski, żeby śmierć była nagła i czysta.

Dla kogoś takiego, kogo poświęcono, by dostarczyć pokrycia na magiczny bębenek Mocnego Języka, nie było gwizdzących strzał, które by go mogły powalić. Czy patrzę na szczątki jakiegoś krewniaka? — pomyślała Srebrzysty Śnieg. Po hańbie klęski i pojmania jej ojciec schronił się pomiędzy Hiung–nu, ożenił się, spłodził dziecko, które z konieczności porzucił, kiedy umknął do Państwa Środka.

Mocny Język wyciągnęła rękę, jakby chciała siłą ściągnąć w dół palce młodej kobiety, ale ta była szybsza.

— Rób, co trzeba, aby oczyścić ognisko — rozkazała, a całe jej pragnienie, żeby zażegnać kłótnię z Mocnym Językiem, zniknęło. — Nie skalam go więcej.

— Zobaczymy — powiedziała półgłosem Mocny Język.

Uderzyła w bębenek, rozpałała ogień i cisnęła weń swoje kadzidła, z których żadne nie dało woni korzennej, czystej i słodkiej, jak to Srebrzysty Śnieg pamiętała z domu. Te zapachy były bardziej dzikie, przypominały piżmo. Uderzenia bębna były coraz szybsze, Tadiqan postąpił krok do przodu i położył ręce na ramionach matki,

jakby dodawał jej sił. Uśmiechnął się do Srebrzystego Śniegu, a gojące się rozcięcia na jego twarzy nadały jej wyraz maski demona. A więc chciał jej nie tylko dla własnej przyjemności, ale dla władzy. Pragnąc ją zgwałcić, chciał zgwałcić cały kraj, z którego pochodziła. Od dudnienia bębna Srebrzysty Śnieg czuła drzenie w powietrzu i pod stopami. Mocny Język śpiewała, pochylając się bliżej popiołów ogniska i trudziła się rozniecieniem ognia.

Z twarzą napiętą z niesmaku i obawy Vughturoi pochylił się ku ojcu i pomógł mu opuścić się na stos miękkich futer. Starzec nie wydawał się podzielać niepokoju wypełniającego wielki centralny namiot. Uśmiechał się raczej z wyrazem dobrotliwej radości na widok swoich żon: nowej głównej małżonki i starej, usadowionych przy jego palenisku i rozniecających jego ogień.

Nagle płomień pojawił się tam, gdzie jeszcze przed chwilą go nie było, a smuga białego światła zamigotała i znikła. Dudnienie wstrętnego bębna ustało i Srebrzysty Śnieg poczuła, że znowu może swobodnie oddychać.

Podniósł się przytłumiony okrzyk i Srebrzysty Śnieg gwałtownie odwróciwszy się zobaczyła, jak Wierzba opada na kolana w jakimś ciemnym kącie. Oczy miała głęboko wpadnięte i wydawało się, że zaraz zemdleje, ale wepchnęła swoje lustro w zanadrze, zanim objęła samą siebie rękami, jakby było jej tak zimno, że już nigdy nie miała się rozgrzać. Srebrzysty Śnieg „usłyszała” w głowie głos swojej dziewczyny. Jakże mogłam pozwolić, by moja pani, moja śliczna Starsza Siostra, została powitana u domowego ogniska, rozpalonego przez... przez coś takiego!

Wierzba zwała się na bok, a Brązowe Lustro i Soból skoczyły jej na pomoc.

— Co się dzieje, dziecko? — zapytał *shan-yu*.

— My... moja dziewczyna i ja... odwykliśmy od tylu ludzi po tak długiej podróży, o Boski Królu — odważyła się rzec.

— Powiedz „mężu” — nalegał Khujanga, jak się zachęca dziecko do przełknięcia jedzenia.

Srebrzysty Śnieg spuściła oczy, po mistrzowsku naśladowując nieśmiałość, czego nauczyła się obserwując niektóre konkubiny, i powtórzyła to słowo, dostając w nagrodę uśmiech. Na moich przodków, on jest słabowity, wątły. W jaki sposób utrzymuje lojalność tych ludzi?

Więc to był człowiek, który pokonał jej ojca i Li Linga? To był człowiek, który sporządził sobie puchar z czaszki Moduna, wroga Cesarstwa i jego plemienia? Ten zasuszony, uśmiechający się mężczyzna, ze swoimi żonami i wieloma synami, z

których dwaj w tej chwili patrzyli na siebie spode łba? Musi być w nim coś więcej, niż zauważyła. Musi być albo czeka ją los, o jakim nie chciała nawet myśleć.

— Trzeba nam może powietrza — powiedziała teraz Srebrzysty Śnieg, grając na zwłokę.

— Nie przypuszczałem, że będziecie miały ochotę i siłę, żeby podjąć wędrówkę tak szybko po przyjeździe tutaj — powiedział pobłaźliwie *shan-yu* — ale nie spodziewałem się również nikogo tak pięknego. Gdybyś chciała zobaczyć... to nic takiego, nędzne miejsce bez większego znaczenia, ale Hiung-nu zimowali tutaj, kiedy mój dziadek był jeszcze chłopcem.

Z uśmiechem skinął ręką i jakaś kobieta otworzyła klapę wielkiego namiotu. Podmuch zimnego wiatru, który szarpnął namiotem, futrami, dywanami i nowo rozpalonym ogniem, wydawał się w dwójnasób słodki, po napięciu wywołanym kłótnią i rytuałem, które splugawiły powietrze — w takim samym stopniu, jak wszechobecne zapachy opału, potu, skóry i parzonego mięsa.

— Zostały dla ciebie przygotowane twoje własne jurty, pani. A teraz pokaże ci twój nowy dom — powiedział *shan-yu*.

— Boski Królu, czy powinieneś... — zaczął Tadiqan.

— Mój najstarszy synu — powiedział Khujanga. — Pozwól, że przypomnę ci to po raz ostatni. Walczyłem z Modunem. U boku mojego krewniaka Cesarza walczyłem z Modunem i jego Yueh-chih. Jeździłem po tych stepach, odkąd ożrebiła się mną moja matka. Kiedy nie będę mógł już wytrzymać pocałunku wiatru, przyjdzie czas, by kopać dla mnie grób. Ale do tego momentu ja tutaj rządzę i ja decyduję o tym, co zrobię. Dotrzymaj mi towarzystwa! — rozkazał Vughturoi, pomijając Tadiqana.

Srebrzysty Śnieg owinęła ciaśniej szaty wokół siebie i opuściła półmrok jurty, zanim mogła zobaczyć twarz Mocnego Języka.

W najbliższych dniach Srebrzysty Śnieg dowiedziała się więcej o usposobieniu ludzi, nad których wyniósł ją Los, panowie tej ziemi i jej własna wierność. Żaden z nich nie chodził na piechotę, jeżeli mógł dosiąść konia, a kobiety były równie porywcze jak mężczyźni, równie zręczne we władaniu śmiercionośnymi, niezrównanymi łukami jeźdźców stepów.

W szczodrze wyposażonych jurtach, które przeznaczył dla niej na własność *shan-yu*, Srebrzysty Śnieg zorganizowała swój własny mały dwór. W ciągu

następnych dni i tygodni wiele się nauczyła. Spodziewała się prostoty, jaką znała ze swego własnego domu, przygotowana była na autentyczny niedostatek. Zamiast tego zastała osobliwą mieszaninę surowości i luksusu. Chociaż mieszkała w namiocie z filcu i skóry, ale był on dużo cieplejszy niż Zimny Pałac z czasów jej niełaski w Chang'an. Miała futra, dywany i zasłony, jakich mogła jej pozazdrościć sama Prześwietna Towarzyszka, poważanie należne głównej żonie *shan-yu* i kobiecie, którą zaadoptował Syn Niebios. To prawda, że herbata, którą Brązowe Lustro i Soból naparzały z tafelek twardych jak nefryt, była mocna, gorzka i czarna, ale rozgrzewała ją w zimne poranki, kiedy podnosiła się ze swojej pikowanej pościeli z soboli i kun.

Najlepsze w jej nowym życiu było to, że nie była już zamknięta w ścianach pałacu i że nikt nie spodziewał się po niej, że będzie z tego powodu szczęśliwa. Miała konia, na którym przyjechała do zimowego obozowiska plemienia, i nieskończony zapas klaczy i wałachów, na które mogła się przesiąść, gdyby tego zapragnęła; a ograniczenia wyznaczał tylko sam horyzont.

Szybko zdała sobie sprawę, że *shan-yu* chciał księżniczki tylko po to, żeby przypieczętować traktat z Cesarzem Yuan Ti i zdobyć większe poważanie wśród plemion. Kiedy jednak zorientował się, że żona, jaką dał mu los, była niepoślednim jeźdźcem i łucznikiem, okazał zachwyt jak człowiek, któremu w ramiona włożono jego pierwszego wnuka. I rzeczywiście — pomyślała Srebrzysty Śnieg — we wszystkim poza jej pierwszeństwem wśród kobiet Hiung-nu, traktował ją jak ukochaną wnuczkę, a nie żonę.

Była jego słowikiem, biegłym w śpiewie i mowie dworskiej. To, że nie była kruchą istotką, ale zdolna była smakować życie Hiung-nu, tylko podnosiło jej wartość w jego oczach. W te wieczory, kiedy nie śpiewała Khujandze w zaciszu swojej jurty z Wierzbą na podorędziu, by uzupełniała zapasy gorącego wina czy kumysu, który *shan-yu*, przy całym swoim podziwieniu dla wszystkich rzeczy z Ch'in, ewidentnie wolał — słuchała jego opowieści o błoniach i stepach, o długich jazdach na zachód gdzie, jak jej mówił, wznosił się Dach Świata, o szalonych wyprawach po owce i konie, i czasami po żony, o walkach z innymi plemionami.

W takich przypadkach opadał z niego jego wiek, który mu bielmem powlókł oczy i niekiedy ograniczał świadomość tego, co dzieje się w obozowisku, do tego, co się działo pod samym jego nosem, i był znowu młody, znowu silny.

— Kiedy zmarł Edika, mój ojciec, mojej matce udało się tak to urządzić, że to ja ze wszystkich spłodzonych przez niego książąt pierwszy przystąpiłem do jego ciała.

I tak, według prawa, stałem się *shan-yu*, ale pozostali synowie zwalczali mnie zawzięcie. Ale ja wziąłem górę z woli Boskiego Króla, z jego woli i za pomocą mego łuku i siły oręża moich ludzi. I jeszcze wciąż rządę i będę rządził przez wiele lat.

Wtedy zaczynał się śmiać. Jego śmiech przechodził w kaszel, kaszel w pragnienie. Srebrzysty Śnieg szybko podawała mu bukłak z kobyliim mlekiem albo przymilnie nakłaniała go, by wypił napar, do którego Wierzba starannie wsypywała dawki leczących ziół mających wzmocnić serce i utrzymywać płuca w czystości. A kiedy popijał, Srebrzysty Śnieg znowu śpiewała.

Przyprowadził raz ze sobą syna, by jej posłuchał, a może zabawił ją opowiadaniem o polowaniu czy jakiejś bitwie. Księżę Vughturoi przybył, ale po tym jednym jedynym razie nie pojawił się nigdy więcej. Później Srebrzysty Śnieg przyłapała się na tym, że szuka cienia, który ukradkiem trzymał straż na zewnątrz jej namiotu podczas podróży w tę stronę. To odkrycie rozgniewało ją i sumiennie zajęła się znowu radowaniem swego pana i przygotowywaniem listu, który, jak miała nadzieję, jakoś uda jej się wysłać do ojca.

— Ach, ten Chao Kung, on miał tu syna. Wiedziałaś o tym, pani? — zapytał pewnego wieczoru wódz Hiung-nu. Srebrzysty Śnieg spuściła oczy na maleńką, delikatną czarkę, którą trzymała w rękach. Policzki jej nagle zapłonęły, a dłonie stały się zimne.

— Słyszałam o tym, o Boski...

— A jak kazałem ci mnie nazywać, dziecko? — Khujanga podniósł wykrzywiony, pokryty bliznami palec i pobłażliwie jej pogroził.

Z każdym dniem odzyskuje siły, a umysł ma coraz jaśniejszy. Każdy dzień to zwycięstwo — pomyślała, ale wiedziała, że czas był jej wrogiem. Niemniej przywołała pewność siebie, jak to czyni ze swymi wojskami generał, kiedy wie, że ktoś ma nad nim przewagę liczebną. Wierzba wiele wiedziała o ziołach, a w Chang'an nauczyła się jeszcze dużo więcej medycyny i alchemii; może uda jej się zachować *shan-yu* przy życiu przez całe lata.

— Mężu! — poprawiła się Srebrzysty Śnieg z nieśmiałym uśmiechem, który, jak wiedziała, podobał się Khujandze. — Jak mówiłam, słyszałam o tym, i chętnie spełniłabym swój obowiązek w stosunku do starszego brata.

— Był słaby, chorowity, tak mówiła moja żona, i wiedział o tym. Kiedy umarła jego matka, zdał sobie sprawę, że szybko stanie się ciężarem dla kogoś innego. Tak więc pewnego dnia wyjechał, opuścił nas wszystkich. Czy upadł na niego jego

koń, czy też po prostu odjechał z klanu, nigdy się nie dowiedzieliśmy. Ale był to okres wielkiej choroby. Ja sam myślę, że wybrał w ten sposób śmierć, żeby inni, bardziej zdolni młodzieńcy mogli jeść do syta, i szanuję go za to.

I w to Mocny Język pozwala ci wierzyć — pomyślała Srebrzysty Śnieg ze smutkiem. Szanujesz go, a przecież go widzisz — na tym jej wstrętnym małym bębenu. Gdybym kiedyś została prawdziwą królową, a nie tylko tak jak teraz z nazwy, kazałabym tę rzecz pochować... a ją może tuż obok niej.

Tego wieczoru zobaczyła, jak znajomy cień majaczy na zewnętrznej ścianie jej jurty. Jeżeli jej śmiech stał się tym bardziej melodyjny, a piosenka słodsza, nie zdawała sobie z tego sprawy. Ani nie dowiedziała się niczego od Wierzby. W miarę upływu zimowych dni Srebrzysty Śnieg była coraz bardziej zdziwiona zachodzącymi w dziewczynie zmianami. Ponieważ Wierzba była kulawa, Srebrzysty Śnieg zawsze uważała ją za bardziej chorowitą od siebie. Jednak teraz na sposób sprytnego zwierzątka, które uniknęło jednej pułapki — aczkolwiek z pewną szkodą dla siebie — Wierzba kwitła. Włosy jej zgęstniały, zrobiły się dłuższe i bardziej lśniące, a cera stała się mniej ziemista.

Gdzie ona chodzi? — myślała Srebrzysty Śnieg. Wśród nie kończących się stad koni i owiec nie podnosił się żaden krzyk, żadne dziecko nie zawiadamiało o jej obecności i żaden myśliwy nie przysięgał, że przed wiosną będzie miał nową czapę z lisa. A przecież o świcie Wierzba zawsze już spała na swoim materacu u stóp posłania Srebrzystego Śniegu, a palce jej drgały i oczy poruszały się pod płaskimi powiekami, jak gdyby głęboko we snach polowała, dzika i swobodna. Jak dotąd Wierzba nie zwierzała się jej, a Srebrzysty Śnieg powstrzymywała się od wypytywania.

Srebrzysty Śnieg ukończyła jeszcze jeden list. Może kiedy przyjdzie odwilż, jakiś śmiały jeździec pojedzie na wschód i tam przekaze najbliższemu posterunkowi armii Ch'in wiadomość od niej, jak najstaranniej namalowaną na najdelikatniejszym jedwabiu, do przewiezienia z powrotem do Państwa Środka. Była pewna, że ten list dodałby otuchy Li Lingowi i jej ojcu, mówiła w nim o ponowionej przez *shan-yu* ofercie bronięcia granic Państwa Środka. A może któregoś dnia taki jeździec podjedzie galopem do jej jurty, niosąc jakąś wiadomość w odpowiedzi.

Z lekkim sercem poszła do wielkiego namiotu Khujangi, przywitała go i przeniosła stos poduszek blisko niego, czym musiała się cieszyć, bo wymagała tego jej ranga — i jego miłość do swojego najnowszego skarbu.

Ku jej zdziwieniu wśród zebranych brakowało księcia Vughturoi. Zastanawiała się właśnie, jak by tu dowiedzieć się przyczyny nieobecności, kiedy odezwał się Khujanga.

— Mój młodszy syn wyjechał z tymi, którzy mieli ochotę wpaść do Yueh-chih i obejrzyć ich stada. — Na to przebiegłe spostrzeżenie *shan-yu* zebrani współplemiennicy roześmieli się. Podróż poprzez równiny w pełni zimy? To już nie była śmiałość, to szaleństwo — a Vughturoi nie był szalony. Zobaczyła pełen zadowolenia uśmiech Mocnego Języka i zrozumiała, że nie było to również szaleństwo, tylko polityka. Polityka szamanki. Wystarczy raz zaszcześcić w umyśle starca myśl, że niegdyś buntowniczych Yueh-chih należy obserwować, a Vughturoi, który był posłusznym synem, wyjedzie, żeby to robić. Wtedy jak nie będzie go już w obozie... no cóż, zimą po stepie grasuje wiele chorób, a *shan-yu* jest stary. Niechby tak umarł, kiedy nie będzie Vughturoi — a kto spośród Hiung-nu dysponował wystarczająco mocnym poparciem, by sprzeciwić się jej planom, które wymagały, by jej własny syn, Tadiqan, przejął władzę, majątek starego *shan-yu*... i jego żony.

Srebrzysty Śnieg na ten tok rozumowania przeszedł dreszcz i otuliła się szczelniej szatą, mimo że w jurcie było ciepło. Myśli te spowodowały, że poczuła się, jak gdyby ktoś zerwał jej z ramion ciepły wierzchni płaszcz, zostawiając ją by dygotała bez ochrony na wietrze dmącym z Dachy Świata na wschód, do samego Muru. Khujandze chyba dopisuje zdrowie — powiedziała sobie — może żyć jeszcze przez całe lata, a przynajmniej wystarczająco długo...

— Mamy dzisiaj święto — rzekł *shan-yu*. — Zapatrywania mojego syna Vughturoi — tu potrząsnął z czułym rozbawieniem głową na myśl o młodszym synu — są dobrze znane: trzyma ze mną, gdy chodzi o Państwo Środka. Jednak Tadiqan zawsze się buntował. Chociaż dziś zgadza się, że powinniśmy współpracować z Ch'in przeciw naszym wrogom. Może gdybyśmy to robili, ludzie rodu Han nie mieliby już potrzeby zamieszkiwać w tych wietrznych fortecach i mogliby swobodnie wędrować po swym domu, jak to teraz czynimy.

Srebrzysty Śnieg z trudem powstrzymała okrzyk grozy. Kto podsunął Khujandze ten pomysł? Był on diabolicznie sprytny: tego właśnie obawiał się Li Ling — że Cesarz na taki plan wyrazi zgodę. Niechby forty zostały opróżnione, niechby Tadiqan miał pod sobą garnizony i ich obsadę, a „ochrona” Hiung-nu mogłaby gwałtownie przerodzić się w inwazję. Chang'an musi się o tym dowiedzieć — pomyślała.

— Pij, mój ojcze! — zawołał Tadiqan. Jego poplecznicy zaczęli wiwatować, kiedy najstarszy książę kroczył ku swemu ojcu niezgrabnym krokiem człowieka, który więcej czasu spędzał w siodle niż pieszo. W jego dłoni lśniła czara, wykonana ze srebra i jakiejś poźółkłej substancji — może kości słoniowej? Jednak z wrzasku triumfu i żądy krwi, który podniósł się na widok tej czary, Srebrzysty Śnieg zorientowała się, co to było: ta sama czara, którą sporządzono z czaszki Moduna z plemienia Yueh-chih, ostatniego z wrogów zarówno Khujangi, jak i Yuan Ti. W jej czaszy przelewała się na wpół ścięta, różowawa ciecz — mleko i krew klaczy.

Shan-yu dzwignął się na nogi, złapał czarę i osuszył ją.

— Aaaaa! — krzyknął i odrzucił ją do swojego syna. Kilka kropli rozprysnęło się po bezcennych futrach i dywanach.

— Tego samego dla wszystkich wrogów Hiung-nu! — zawołał do wtóru wiwatów, od których materiał jurt zdawał się falować równie silnie jak od zimowej wichury.

— Dla wszystkich wrogów Hiung-nu! — powtórzył jego najstarszy syn. — Sam odrabię im głowy i z ich czaszek zrobię puchary!

Wrzask przybrał gorączkowe natężenie, wzmacniane jeszcze przez bum—bum—bum, które Srebrzysty Śnieg zidentyfikowała z odrazą jako magiczny bębenek Mocnego Języka.

— To jest wszystkim oprócz jednego z nich — powiedział Tadiqan zwracając twarz ku Srebrzystemu Śniegowi, by mogła odczytać słowa z jego warg.

Jeżeli stąd nie ucieknę, zrobi mi się niedobrze — pomyślała, a potem z pasją sama siebie zbeształa. Zostaniesz i nie zrobi ci się niedobrze, i nie spoczniesz dziś wieczór, dopóki nie napiszesz raportu o tym do swego ojca, Li Linga i Syna Niebios.

List, który przedtem naszkicowała, a następnie starannie napisała, trzeba wyrzucić.

Ale jak ja im go dostarczę? To było pytanie, na które nie знаła odpowiedzi. Nie znalazła jej także, kiedy w końcu z piekącymi oczami udała się do łóżka, ani o świcie, ani żadnego z następnych dni, które były coraz dłuższe, kiedy zima chyliła się ku lodowatej wiosnie. W końcu Srebrzysty Śnieg widziała już tylko jeden sposób na rozwiązanie swoich problemów. *Shan-yu* był dla niej pobłażliwy — niech wyznaczy na posłańca, który by dostarczył list do jej ojca, jego dawnego jeńca.

— Albo — napomknęła jej za plecami Wierzba, ze swoją zwykłą zręcznością — brat Soból mógłby dla ciebie pojechać. Odkąd umarła jego żona, jest bardzo

oddany swojej siostrze, która teraz opiekuje się jego dziećmi.

Srebrzysty Śnieg skinęła głową. Brat Soból, Basich — młody, wytworny (jak na jednego z Hiung–nu) i pochopny niemalże do szaleństwa — rzeczywiście mógł ponieść jej list. Co więcej, był on równie lojalny w stosunku do Vughturoi, jak jego siostra była lojalna w stosunku do Srebrzystego Śniegu. A jednak może byłoby najlepiej, gdyby poprosiła *shan–yu*, który szczyił się swą pobłażliwością wobec niej. Narzucając barwny strój, jako że znużone oczy starca rozjaśniały się na widok strojnych szat, skinęła na Wierzbę, podniosła swój starannie zapieczętowany jedwabny pakiecik i pośpieszyła do wielkiego namiotu.

— Stój! — podniósł się krzyk, któremu towarzyszyły ochryple, sprośne pohukiwania i uderzenia kopyt.

Był to głos Tadiqana.

A więc nie żyje, ten starzec, który był dla mnie dobry? — pomyślała Srebrzysty Śnieg, a w jej sercu przenikliwym głosem odezwała się panika. Czy Tadiqan przejął w swoje ręce władzę *shan–yu* tak szybko, ledwo ostygło ciało jego ojca? Pomściłam ojca i dotrzymałam tego, co przysięgam. Zanim pozwolę, żeby mnie splugawił, powieszę się na własnej szarfie.

Wierzba szarpała ją za rękaw, pragnąc ukryć ją w jakimś bezpiecznym miejscu, zanim nadjadą myśliwi.

— Idź ty, Wierzbo — syknęła Srebrzysty Śnieg. Im mniej krewniacy Mocnego Języka widzieli Wierzbę, tym lepiej. — Idź ty.

Jednak dziewczyna nie ustępowała i Srebrzysty Śnieg zagryzła wargę, przerażona. Nagle spłynęło na nią jednak natchnienie i wcisnęła list w mocne, zimne ręce Wierzby.

— Musisz iść. Weź ten list do Soból i powiedz jej, że Basich musi go zawieźć, a nikt nie może go zobaczyć.

Najszybciej jak mogła, biegnąc i kulejąc, Wierzba wycofała się w stronę namiotu Soból, a Srebrzysty Śnieg sztywno stała na nogach, żeby uczucie ulgi nie uniemożliwiło jej utrzymania dumnej postawy, kiedy będzie podjeżdżał ku niej syn Mocnego Języka w swym aroganckim, budzącym grozę pochodzie.

Łomot kopyt końskich zbliżał się. Srebrzysty Śnieg wciąż nie ustępowała. A potem z przenikliwym wrzaskiem, od którego, jak jej się zdawało, musiał pękać lód, Tadiqan wystrzelił jedną ze swoich gwizdzących strzał, w uszach jej brzęczały i skowytały strzały jego ludzi, kiedy ich oddział grzmiał po jej obydwu stronach.

Srebrzysty Śnieg stała jak wryta, a z jurt ostrożnie wysuwali się ludzie, żeby zobaczyć, kogo tym razem zabili Tadiqan i jego ludzie. W pozycji pionowej utrzymywał ją tylko szok, od którego jakby zamarzła, obawiała się, że w momencie kiedy stopią się jej kolana, upadnie.

Tadiqan ruszył w jej stronę, a Srebrzysty Śnieg zmusiła się, żeby otworzyć oczy. Kiedy mierzył ją spojrzeniem, jego oczy były dla niej równie natrętne jak ręce pieszczące ją wbrew jej woli.

— Po raz pierwszy — powiedział głosem jak dziki pomruk — moja matka nie miała racji. Masz co najmniej odwagę. Podoba mi się to, pani. Pamiętaj, co powiedziałem. Bardzo mi się to podoba.

Rozdział szesnasty

Reszta zimy upłynęła na oczekiwaniu: na wiosnę, żeby brat Soból, Basich razem ze swymi kilkoma wybranymi przyjaciółmi wrócił do obozu z doniesieniem, że jej list został dostarczony do garnizonu; oczekiwaniu na powrót księcia Vughturoi albo żeby Mocny Język zdradziła swe zamiary. Ku zdumieniu Srebrzystego Śniegu przydatny okazał się nawet czas zamknięcia w Pałacu: dobrze wiedziała, jak czekać, nawet aż do rozpacz.

Zamarznięte trawy zaczęły już tajać, zanim księżę Vughturoi powrócił z obozów Yueh-chih. Wszedł do wielkiego namiotu, padł jak należy na twarz przed swoim ojcem, a potem skwapliwie podniósł się na zaproszenie, by usiąść obok niego i ucztować.

Srebrzysty Śnieg pochyliła się nad robótką świadoma, że zwrócił spojrzenie prosto na nią, pochwalając fakt, że siedzi spokojnie wśród nich, akceptująca i — przynajmniej na pozór — zaakceptowana. To, że zrobiło jej się gorąco, nie miało nic wspólnego z upałem panującym w namiocie za sprawą ciasno stłoczonych ciał i ciepła, od poukładanych zewnątrz namiotu warstw filcu. Jeżeli któryś z Hiung-nu miał być ogniwem łączącym jej przeszłość z terażniejszością, to był to księżę Vughturoi, który oglądał ją w blasku splendoru w Chang'an, odmówił przyjęcia na jej miejsce innej księżniczki i nawet teraz nie traktował jej lekceważąco. Razem odparli atak białego tygrysa.

Obecność jednego wojownika — czy też wojownika-pana i wojowników, którym przewodził — nie powinna była dawać jej o tyle większego poczucia bezpieczeństwa, jak uczyniło to nagłe pojawienie się tego księcia Hiung-nu. A jednak czuła się tak, jak gdyby teraz między nią a jej wrogów uniesiono tarczę albo otulono jej ramiona ciepłą opończą podczas największego ataku wyjącej zimowej burzy.

Po tym pierwszym pełnym ulgi spojrzeniu trzymała oczy uparcie spuszczone, pozwalając *shan-yu* porozmawiać nieco na osobności ze swoim synem, chociaż było to wysoce wątpliwe, na ile taka rozmowa mogła być przeznaczona tylko dla ich uszu w namiocie pełnym Hiung-nu o bystrym słuchu.

— Jakże znalazłeś dawne dzieci Moduna, mój synu? — zapytał Khujanga.

— Podążają za nami jak jagnię za owcą — powiedział staremu *shan-yu* Vughturoi. — Wystarczy, żebyś rozkazał, a posłuchają.

— To dobrze — powiedział starzec, a od wielu już dni jego oczy nie były tak żywe. Spowodowane musiało to być częściowo triumfalnym powrotem Vughturoi, bez utraty jednego nawet człowieka. Jednak w dużej mierze przyczyną tego była troskliwość, jaką otaczały go Srebrzysty Śnieg i Wierzba. Gorączki, które z nastaniem roztopów zaczęły przewalać się przez obóz, często zabierając ze sobą dusze tych najstarszych, najmłodszych czy najbardziej chorowitych, omijały go szerokim łukiem. Niemal całkiem przestał kaszleć, nawet rano, jak to mówili Wierzbie jego niewolnicy, i każdego dnia z wielkim zamięłowaniem jeździł konno.

Wszędzie dookoła podniosły się wiwaty, które gwałtownie ucichły, kiedy krzepkie podrzędne żony *shan-yu*, posługując się ciężkimi miedzianymi hakami do mięsa, wyciągnęły baraninę z wielkich kotłów, a następnie puściły w obieg bukłaki z kumysem. Hiung-nu jedli pośpiesznie i obficie, jak gdyby nigdy nie byli pewni, skąd przyjdzie ich następny posiłek albo czy ktoś ich nie zaatakuje podczas uczty. Powoli jednak, po zaspokojeniu pierwszego głodu i kiedy bukłaki z kumysem wielokrotnie obeszły już w krąg, mężczyźni odchyliłi się w tył bekając i postępując z zadowolenia. Teraz, kiedy dokonali tej nader ważnej czynności pożywiania się, powoli znowu zaczęli rozmawiać.

— Tak więc, bracie — powiedział Tadiqan — Yueh-chih podążają za nami jak jagnięta. Czy wydaje się to słuszne, by podobnie posłuszni byli nasi krewniacy, podążając jak owce, gdy rozkazuje Ch'in?

Vughturoi oparł się wygodnie, ale oczy miał czujne.

— Nie słyszałem, Starszy Bracie, żeby Yueh-chih słuchali Państwa Środka lub kogokolwiek poza ukochanym Niebios, naszym ojcem *shan-yu*, który pokonał ich w uczciwej walce. Jak długo słuchają nas, wydaje mi się, że wszystko jest w porządku. Doszło do mnie jednak, że są inni, którzy nie słuchają królewskiego klanu *shan-yu*, którego wolą jest... czy nie tak, mój ojczyste?... żeby panował pokój z Ch'in. Powiadają, że Fu Yu i Jo-Chiang mówią o najazdach na Państwo Środka, pomimo zakazu naszego ojca. Jego Wysokość, Boski Król...

Na gest Khunajgi, zniecierpliwionego swoim wyszukany tytułem, Vughturoi uśmiechnął się szeroko. Srebrzysty Śnieg zdumiona była, o ile młodziej i mniej groźnie wyglądał.

— ...mój ojczyste, kiedy przyjdzie wiosna, pozwól mi wyjechać z moimi jeźdźcami i nauczyć ich moresu!

Jego entuzjazm był zaraźliwy. Po całym namiocie wojownicy szeroko się

uśmiechali i wykrzykiwali, ślubując poparcie.

Srebrzysty Śnieg powstrzymała wyraz dezaprobaty. Vughturoi mógł znajdować się pod wrażeniem Państwa Środka, ale w pewnych sprawach bez reszty był Hiung–nu. Mogła jedynie mieć nadzieję, że walkę zacznie dopiero wtedy, kiedy zawiodą wszelkie usiłowania, by podporządkować sobie Fu Yu za pomocą argumentów lub pokazu siły. Jednak reszta uważała inaczej.

— Nie, bracie! — krzyknął Tadiqan. — Ty już miałeś swoją misję do innych klanów. Pozwól przynajmniej, bym ja z moimi wyruszył przeciw Fu Yu, teraz! Przysięgam, że wrócimy, zanim przyjdzie czas, by zwijać obóz i ruszać na letnie pastwiska.

Jakiś błysk światła zwrócił uwagę Srebrzystego Śniegu na Mocny Język. I chociaż niemal natychmiast przywołała ona na twarz triumfalny uśmiech, Srebrzysty Śnieg byłaby przysięgła, że przynajmniej przez jedną chwilę szamanka była zaszokowana i niezadowolona z impulsywnego żądania swego syna. Podniecenie szansą na dobrą bitwę porywało go silniej niż wszelka walka o władzę nad królewskim klanem.

Poprzez namiot przebiegło, a następnie zamarło ciche dudnienie, jak gdyby Mocny Język postukała niespokojnie po tym swoim przeklętym magicznym bębenu, a potem odłożyła go na bok i pogrążyła się w milczeniu. Pochyliła się nad ramieniem swego syna i półgłosem nagłaco powiedziała coś do niego, podnosząc dłoń kiedy syknął w odpowiedzi. W końcu jednak uśmiechnęła się, pokazując mocne białe zęby i kiwając głową opadła znowu na swoje miejsce. Na twarz jej powrócił wyraz satysfakcji i siedziała spokojna jak zwierzę, które się najadło i teraz będzie spać, aż obudzi się, by znowu zacząć ucztę.

Pełna zachwyty zgoda Khujangi wywołała nową falę wiwatów i żądania coraz większych ilości trunku, aż w końcu hałas i gorąc stały się nie do zniesienia i Srebrzysty Śnieg poprosiła, by pozwolono jej odejść. Wychodząc była świadoma, że spojrzenie Mocnego Języka stało się teraz pogardliwe. Prawdopodobnie starsza kobieta uważała ją za zbyt słabą, by wytrzymała uroczystości Hiung–nu.

Mocny Język spróbuje prawdopodobnie przywłaszczyć sobie również miejsce Srebrzystego Śniegu przy *shan–yu*. Ale gdyby rozumowanie Srebrzystego Śniegu były słuszne, to — jeżeli Tadiqana nie będzie w obozie — nie odważy się ona uczynić nic złego. Jej niezadowolenie łatwo było wytłumaczyć faktem, że będzie musiała się powstrzymać od intryg.

Jak się przekonała później Srebrzysty Śnieg, nie całkiem tak się sprawy miały. To prawda, że następnego dnia wszyscy poruszali się po obozie cicho, jak gdyby nad ich głowami łomotał magiczny bębenek Mocnego Języka. Odważywszy się ruszyć na przejażdżkę, Srebrzysty Śnieg zauważyła, jak wielu mężczyzn — znarowionych po zimowej bezczynności lub może rozdrażnionych, że księżę Vughturoi nie wybrał ich, by pojechali z nim szpiegować stada Yueh-chih — pociągnął teraz za sobą Tadiqan. Nawet niektórzy z co młodszych członków świty księcia szli teraz w jego ślady. Było jasne, że marzą o tym, by wybrano ich, żeby odwiedzić Fu Yu oraz Jo-Chiang i podporządkować ich sobie terrorem.

Tadiqan znał się przynajmniej na jednym, oprócz gwiżdżących strzał i przymuszania bronią i lękiem. Wiedział, że jego ludziom trzeba nieustannego ruchu, nieustannej obietnicy walki. W odróżnieniu od rasy Han, Hiung-nu byli zbyt młodym plemieniem, by smakować owoce pokoju.

Srebrzysty Śnieg posiadała tylko szkicową mapę stepów, w którą zaopatrzył ją Li Ling. Musi odkryć — pomyślała — którędy dokładnie przemieszczają się te plemiona i jakoś przekazać te wiadomości do Chang'an.

Mocny Język powolnym krokiem wyszła ze swego namiotu i stanęła, podparwszy się pod boki, przed wielkim namiotem *shan-yu*.

— Ona zachowuje się tak, jak gdyby rządziła tym obozem, a nie starzec — powiedziała półgłosem Wierzba. — Starsza Siostrze, zmusz ją, by zmieniła zdanie.

No i już po jej dawnych dumaniach nad ukochaniem pokoju przez lud Hiung-nu — pomyślała sobie Srebrzysty Śnieg ironicznie. Jednak sama była córką wojownika, pełniła misję Syna Niebios, nie mogła pozwolić sobie, by chylić czoło przed barbarzyńcą, nawet gdyby ta odmowa miała oznaczać wojnę. Poza tym armie Państwa Środka były liczne i silne, a samo Państwo orientowało się, że za pokój czasem trzeba płacić cenę wyższą niż jedwabie i nefryty.

I stąd, kiedy Mocny Język pochwyciła wzrok Srebrzystego Śniegu, by odbyć zwyczajowe między nimi siłowanie się na spojrzenia, Srebrzysty Śnieg nie spuściła oczu. Co więcej, przekazała starszej kobiecie pozdrowienie, jakiego starsza żona używała w stosunku do młodszej, zaczekała, aż Mocny Język zareaguje stosownie do tego i wycofała się. Ku swej zgrozie, Srebrzysty Śnieg przyłapała się na tym, że cała drży po tej, tak przecież błażej, próbie sił.

Przez cały następny dzień i jeszcze następny Srebrzysty Śnieg zastanawiała się, jaką formę może przyjąć zemsta Mocnego Języka. Sprawdzała nogi swego konia,

obwąchiwała swoje jedzenie, czekała w namiocie uczt *shan-yu* na atak słowny. Żaden taki atak nie przyszedł. Bez swego syna Mocny Język wydawała się najwyżej w połowie tak waleczna jak w jego obecności.

A jednak, ponieważ to Tadiqanowi powierzył *shan-yu* przywództwo w nowej misji, wszystkie rozmowy krążyły wokół niego i jego męstwa. Wydawało się, że księżę Vughturoi został zapomniany. Ku wielkiemu zdziwieniu Srebrzystego Śniegu wydawał się z tego zadowolony. Uświadomiła sobie, że z każdym wieczorem młodszy syn siedział coraz dalej od swojego ojca. Jeżeli tylko próbował z nim rozmawiać, coś rozpraszało uwagę, jakiś okrzyk Mocnego Języka, jakaś kłótnia wśród wojowników Vughturoi; a dumni, drażliwi członkowie starszyny, którzy wciąż jeszcze grupowali się wokół *shan-yu*, patrzyli na Srebrzysty Śnieg jak na zabawkę starego człowieka, i składali hołd Mocnemu Językowi jako szamance.

Ci starsi ludzie zaczęli rozprawiać o wojnie na wiosnę i planować ją. Srebrzysty Śnieg słuchała z rosnącym niepokojem, jak ci starcy, ciesząc się na tę wojnę, doprowadzali sami siebie do szaleństwa. Obawiała się, że od pewnego momentu niemożliwe stanie się odzyskanie przez nich zdrowego rozsądku nawet w tym niewielkim zakresie, w jakim obdarzeni nim byli co bardziej wojowniczy Hiung-nu. Oprócz tego wydawało jej się, że pamięta z Ch'in edykty, traktaty, zakazujące takich wojen na stepach.

Gdyby tylko wrócił brat Soból, Basich! Żeby tylko Srebrzysty Śnieg miała pewność, że przekazano jej wiadomość! Zaciskała pięści w ukryciu swych jedwabnych rękawów. Wystarczy, że ten list dojdzie — spodziewać się odpowiedzi, to było za wiele.

Bystre oczy Vughturoi również badawczo przyglądały się innym Hiung-nu. On musi pamiętać te traktaty — pomyślała Srebrzysty Śnieg. Musi. Czemu więc zdecydował się rozpalić swych współplemieńców? Żeby zobaczyć, kto jest jego stronnikiem? Żeby zmierzyć, na ile popiera go ojciec? Czy — Srebrzysty Śnieg chwyciła się tej myśli — jego celem było pozbycie się Tadiqana z obozu, jak wcześniej pozbyto się jego samego? Obserwował swego starszego brata jak lis sprężony do ataku na swą ofiarę.

— Mówiłem tylko, żeby kogoś tam posłać — powiedział nareszcie Vughturoi. — Czy nie jest prawdą, o Boski Królu — zapytał w końcu, podnosząc głos, by usłyszano go z jego miejsca, które było teraz tak daleko od ojca — że twój traktat z twoim kuzynem w Chang'an zakazuje takich walk?

Najpierw zacząć się, potem skoczyć. Vughturoi nie zapomniał o traktatach. A wiec sugerując, by pojechać do Fu Yu, nie proponował wojny, tylko posłanie. To, że Tadiqan skwapliwie skorzystał z tej propozycji, mogło nie znaleźć łaski w oczach jego ojca.

Srebrzysty Śnieg rozejrzała się po namiocie i ogarnęło ją przygnębienie. Vughturoi mógł być sprytny, ale nie był biegły w polityce. Jego sugestia wyrwała mu się spod kontroli, podobnie jak ogień wysypany z naczynia z żarem wybucha płomieniem na stepie i grozi pochłonięciem wszystkiego, co znajdzie się na jego drodze.

— Co nas obchodzą głupie zawijasy pędzelka na drewnie lub jedwabiu? — dobiegła wykrzyczana odpowiedź starszego wojownika z pobliza frontu namiotu. — Łatwo coś takiego spalić i zapomnieć! Zależy nam na naszych stadach i mieczach, łukach i bezzwłocznym posłuszeństwie naszym rozkazom!

— Widziałem armie Ch'in — odparł Vughturoi. — I powiem, że nie podnosiłbym na nich chętnie broni.

— Widzieliśmy ich żołnierzy — ucięła Mocny Język, korzystając ze swobody, z jaką szaman miał prawo wtrącać się w sprawy wojny. — Kiedy przebiją ich strzały, krwawią jak inni ludzie, chociaż może słabiej. Żywi, w naszych obozowiskach wykonują pracę niewolników.

Pogładziła swój magiczny bębenek, jak gdyby przypominając zebranym, że przynajmniej jeden z półkrwi Ch'in inaczej służył Hiung-nu, na długo po swojej niewczesnej śmierci. Srebrzysty Śnieg opanowała dreszcz, następnie zacisnęła wargi zmieniając swój nastrój. Musi udać, że nie zwraca uwagi na Mocny Język.

— Być może to prawda — powiedział Vughturoi. — Ale przecież prawdą jest też to, że tych, którzy nie potrafią odłożyć broni, w końcu ona pożre.

Przecież Vughturoi zaczerpnął te słowa z Wiosennych i Jesiennych Analektów Konfucjusza! — uświadomiła sobie Srebrzysty Śnieg. Nie zdawała sobie sprawy, do jakiego stopnia książę znalazł się pod wrażeniem Ch'in podczas swego tam pobytu. Nie, nie był dzikim dzieckiem dzikiej rasy, ale myślącym mężczyzną, którego, miał taką nadzieję, wysłucha własny ojciec.

— A cóż to za tchórz tak hałasuje? — dobiegł ochryply wrzask, któremu towarzyszyły uwagi o leniwych wielbłądach i gnoju, wyrzucane zbyt szybko i zbyt bełkotliwe przez jakiegoś wstawionego wojownika, by Srebrzysty Śnieg mogła je w pełni zrozumieć, nawet gdyby chciała.

Okrzyk „tchórz” rozwiął opanowanie, które dotąd zachowywał Vughturoi, tę delikatną warstewkę cywilizacji Han.

— Tchórz?! — przenikliwie wrzasnął Vughturoi. W tym momencie był bez reszty Hiung–nu. — Tchórz? Ja ci pokażę, kto jest tchórzem! — Rzucił się naprzód z wyciągniętym nożem, z twarzą wykrzywioną w maskę wściekłości.

Chociaż Hiung–nu wiwatowali na ten pokaz energii, rozdzielili księcia i wojownika, zanim krew zdążyła splamić poduszki i dywany, a Khujanga przywołał ich do porządku.

— Słuchaj swoich własnych słów! — warknął na młodszego syna i na resztę wieczoru odwrócił od niego uwagę. Srebrzysty Śnieg rzuciła jedno spojrzenie na Vughturoi, który rzucając groźne spojrzenia siedział przy ogniu zbyt dumny, by odejść. A potem całą swoją energię skierowała na to, by zabawić *shan–yu* i złagodzić jego nastrój. Bardzo się bała, że z marnym skutkiem.

W najbliższych dniach przepaść między *shan–yu* a jego młodszym synem zdawała się pogłębiać. Pamiętając okres, który sama spędziła w niełasce w Chang’an, Srebrzysty Śnieg potrafiła poznać się na tym, jak zręczny i przebiegły był ten ostatni gambit Mocnego Języka: odosobnić młodego księcia, mieć pewność, że będzie on rozłuszczony i stawiany w złej sytuacji, a następnie szerzyć i podsycać wątpliwości co do jego osoby. Odpowiedź Vughturoi przyszła tego wieczoru. Kiedy Khujanga siedział w namiocie Srebrzystego Śniegu, słuchając piosenki o Północy, pojawił się młody książę. Skłonił się przed ojcem dotykając czołem ziemi, chociaż zwykle *shan–yu* obstawał przy tym, by synowie i ci wojownicy, których darzył szczególną przychylnością, darowali sobie padanie przed nim na twarz. Następnie skinął głową Srebrzystemu Śniegowi i na gest ojca usiadł. Vughturoi pozwolenie uzyskała, niemniej siedział bardzo blisko wejścia do namiotu, jak gdyby niepewny przyjęcia. Przyjął ryżowe wino, ale nie odezwał się słowem. Po prostu tam był, tak mógł uczynić minister, popierający niepopularną sprawę na dworze Syna Niebios: nic nie mówiąc, podtrzymywał obecność swoją i swojej sprawy.

Palce Srebrzystego Śniegu migały przy szyciu i nigdy jeszcze jej głos nie wznosił się równie słodko, a dowcip nie błyszczał jak światło ognia na kryształach górskim. Khujanga potrząsnął głową z przesadnym podziwem nad swoją żoną.

— Przyznam, że niektórzy z mojej własnej świty uważają mnie za głupca, bo ponoć, jak szepczą, każdy, kto bierze sobie młodą żonę, jest głupcem. Myślą, że w

dwójnasób jestem głupcem, bo słucham jej piosenek i opowieści. Ty jednak widziałeś Ch'in. Co ty myślisz, synu?

Odezwał się do swojego syna w niełasce! Palce Srebrzystego Śniegu na moment zacisnęły się na robótce, rzuciła spojrzenie na Vughturoi, który z poważaniem pochylił się do przodu. Jego kwadratowa twarz była zarumieniona, a w oczach migotało światło. — W dniu, w którym ulubieniec niebios okaże się głupcem, równiny okażą się górami — zaczął ostrożnie Vughturoi. — Jak mówisz, byłem w Ch'in. Mogę powiedzieć, że opowieści tej pani są prawdziwe. — Khujanga uniósł sceptycznie siwą brew.

— Ale — dodał Vughturoi — są zbyt skromne. Spojrzał przelotnie na Srebrzysty Śnieg i odwrócił wzrok.

— Lud Han jest wielkim ludem — powiedział książę.

— Podobnie jak my, mój synu. A my oprócz tego jesteśmy ludem bardziej wolnym.

Vughturoi uklonił się dotykając głową dywanów.

— Zaprawdę jest tak, Boski Królu. Ale w Państwie Środka ludzi jest tak wiele jak kamyków na pustyni. Jest ono bardzo stare i wzbogacało się poprzez wieki. Jedna zaraza czy jedna sroga zima nie zmiecie z powierzchni ziemi całego klanu ani nie zagrozi dobrobytowi wszystkich. Mają wszystkiego w nadmiarze i w tym dostatku mogą pozwolić sobie na tworzenie cudów, na posiadanie skarbów i na ochronę przekraczającą moc naszych jurt i koni.

Srebrzysty Śnieg trzymała oczy rezolutnie zwrócone na robótkę, ciesząc się że powstrzymuje ją ona od splatania palców czy robienia fałdek na rękawach. Obydwa te gesty były szkaradne i niszczyły pogodne oblicze, jakie usiłowała pokazywać *shan-yu*. Musi dla niego oznaczać odpoczynek, spokój i wdzięk, żeby szukał jej towarzystwa i żeby w ten sposób rosły jej wpływy. Kiedy ojciec rozmawiał z synem, a z ich głosów i zachowania zniknął chłód, zwróciła z powrotem wzrok na swą robótkę, na wspaniale wykonaną torebkę, którą haftowała. Chociaż to, z czego zdawała sobie sprawę, zadawało gwałt jej skromności, dobrze wiedziała, że to ona była jednym z cudów, o których mówił Vughturoi.

Jeszcze jeden wieczór pracy albo dwa — pomyślała — a saszetka na wonności zostanie ukończona. Nagle upuściła to misterne dzieło z futra i haftów na podolek i zapatrzyła się w nie. W Chang'an wszystkie damy robiły wonne saszetki, co było sposobem na spędzanie czasu lub na ozdobienie siebie i — czasami — jako prezent

dla mężczyzn, których podziwiała.

Dlaczego ona zrobiła tę wonną saszetkę z brokatów, soboli i ciężkiej jedwabnej siatki? Miała do dyspozycji dostatek delikatniejszych materiałów i piórek w swoich skrzyniach, mogła na swój własny użytek stworzyć coś bardziej zbytkownego. Przypomniała sobie zioła, jakie Wierzba miała przygotowane w tym celu — ile z nich miałyby wystarczająco mocny zapach, by móc służyć w tym miejscu nadmiernie silnych odorów — potu końskiego, gotującej się baraniny oraz nie mytych, natłuszczonych ciał? A jednak nie wszystkie zioła Wierzby cenione były za swoją woń. Inne posiadały moc, by powstrzymać upływ krwi, odpędzić chorobę, odwrócić złe życzenie.

Ja też mogłabym użyć takich mocy — zapewniała sama siebie, chociaż wiedziała, że próbuje się oszukać.

Policzki znowu jej zapłonęły i próbowała skierować rozmowę na wiosnę i ogrody, które pamiętała. Zdawała sobie sprawę, że jest to taka sama czcza paplanina jak paplanina tych wszystkich Nefrytowych Motyli czy Moreli, które tłumnie zapępiały Wewnętrzne Dziedzińce. Wkrótce potem *shan-yu* podniósł się, by ją opuścić. Srebrzysty Śnieg odwróciła wzrok, kiedy mozolnie podnosił się na nogi, jak to czyniła w stosunku do swego ojca. A jednak *shan-yu* przyjął ramię swego syna i wyszedł opierając się na nim. Srebrzysty Śnieg poczuła wielką ulgę i nabrała otuchy, i to nie jedynie dla swoich ukochanych marzeń o pokoju pomiędzy Hiung-nu i Han.

Poszła za nimi i wyjrzała zza kłapy swojego namiotu. Jeszcze przez kilka kroków ojciec opierał się na synu, jak gdyby rad był z podpory i bliskości młodego człowieka. Potem, kiedy podjeżdżali do nich jacyś dwaj jeźdźcy, *shan-yu* gwałtownie oswobodził swoją rękę z synowskiej i ruszył do przodu, by ich powitać. Z tego jak sztywno się trzymał, Srebrzysty Śnieg zorientowała się, jaki wysiłek wkłada Khujanga w to, by iść pewnie. Vughturoi wytrzeszczał oczy w ślad za ojcem, następnie wtopił się w cienie.

A więc nie był już w niełasce u swego ojca. A jednak Khujanga wydawał się woleć, by plemię myślało, że był. Srebrzysty Śnieg zmarszczyła brwi, a potem zmarszczyła je jeszcze mocniej na wspomnienie zgorszonych, piskliwych głosów przestrzegających ją, by nie marszczyła brwi, które rozjazgotały się w jej głowie. Dlaczego Khujanga nie chciał ogłosić, że pojednał się ze swoim młodszym synem?

Mogła wymyślić tylko jeden powód: udając, że odsuwa się od Vughturoi, *shan-yu* chronił go w rzeczywistości.

Czy jej się to podobało czy nie, pomiędzy nią a Vughturoi istniała jakaś więź, i było tak od samego Chang'an, gdzie walczyła, żeby oczyścić imię swego ojca i swoje własne i zyskała sobie jego niechętną aprobatę. Tę więź wzmacniał każdy nowy trud w czasie podróży na zachód.

Srebrzysty Śnieg dobrze wiedziała, że słabo zna się na mężczyznach. W jej domu nie było żadnej innej kobiety wyższej rangi. W Zimnym Pałacu była odizolowana od przebiegłych manipulacji, dzięki którym można było prosperować na Wewnętrznych Dziedzińcach, od tyranii drobniańskich upokorzeń, stosowanych by pognać inne kobiety, od pochlebstw i gier, stosowanych by wychwalać tych mężczyzn, z których łaski się żyło.

Srebrzysty Śnieg nigdy nie patrzyła na mężczyzn w ten sposób. Dla niej istnieli mężczyźni tacy, jak jej ojciec i Li Ling, których należało czcić i słuchać jako starszych i nauczycieli, tacy jak Syn Niebios i *shan-yu*, wodzowie, którzy mieli władzę nad życiem, śmiercią czy — co najgorsze — nad hańbą. No i byli urzędnicy, eunuchowie, wojownicy, którzy winni byli wierność jednej z tych dwóch pierwszych grup i których opinia o niej zależała od opinii ich panów. Ale o młodych ludziach — z nagłą, bolesną jasnością pomyślała o najstarszym synu, z którym dawno temu urzędnik proponował, że ją zaręczy — do których kobieta mogłaby wzdychać lub z których mogłaby się śmiać, nie wiedziała nic.

Nigdy kobiety z Wewnętrznych Dziedzińców lub z domów, w których zatrzymywała się po drodze, nie wydawały jej się równie obce i niesympatyczne niż wtedy, kiedy mówiły o mężczyznach i o tym co subtelnie nazywały wiosenną zadumą, wiecznym pragnieniem, śmiertelną tęsknotą i całym szeregiem jeszcze innych nazw: wszystkie kwieciste i — dla niej, wychowanej w biedzie i obowiązkowości — niemądre.

A przecież zrobiła saszetkę na wonności, w której stapały się sztuka Ch'in i bogactwo stepów. Przy każdym wbiciu igły myślała o księciu, który był jej pierwszym obrońcą wśród Hiung-nu, który stawał przy jej namiocie, by słuchać jej piosenek, i który w zawołany sposób mówił teraz o głównej żonie swego ojca, nazywając ją cudem.

Była zamężną damą, chociaż nie była żoną; była królową i była wcieleniem pokoju Syna Niebios z Hiung-nu. Czy powinna z tego wszystkiego zrezygnować i chichotać jak płocha dzierlatka? A jak już o tym mowa, czy odważyłaby się?

— Słuchaj! — zawołała do Wierzby. — Weź tę rzecz i spakuj ją gdzieś.

Wstydzę się tego, jak ją niedbale wykonałam.

— Jak rozkażesz, Starsza Siostró — powiedziała Wierzba, a na jej zbyt czerwonych wargach igrał uśmiech.

— I żebyś nie ośmieliła się uśmiechać! — rozkazała Srebrzysty Śnieg.

— Oczywiście, że nie — zgodziła się Wierzba. — Wybacz tej oto, jeżeli jej Starsza Siostra pomyślała, że śmiała się z tego, co ona określiła kiepskim szyciem. Ale przecież te futra są wspaniałe i można by ich użyć do czegoś innego. Spakuję to — przynajmniej skończyła z tą nieznośną, korną uprzejmością, która gorsza była niż wszelkie uśmiechy — do tej czarnej skrzyni. Zrobiła tak, potem uklękła przed swoją panią.

— Jeżeli pozwolisz — powiedziała — ta noc — tu powęszyła w powietrzu, oczy miała błyszczące, a głowa jej nieustannie zwracała się ku otworowi namiotu — będzie dziś słodka i świeża, chociaż zimna, a ja chciałabym się powłóczyć. Kto wie, co usłyszę...

— Och, idź! — zawołała Srebrzysty Śnieg. — Ale uważaj, żebyś nie spotkała jakiegoś przystojnego pana lisa, kiedy będziesz swobodnie wędrować w swoim pragnieniu, by wdychać wiosenny wiatr. Nie chciałabym musieć tłumaczyć się, czemu u ognia w moim namiocie śpi gromadka lisiąt.

Zakryła swe zdradliwe usta, które wypowiedziały coś tak nieprzyzwoitego, obydwoma dłońmi. Wierzba jednak roześmiała się ostro i zniknęła za ciężką zasłoną. Wkrótce potem Srebrzysty Śnieg usłyszała skrobanie w ścianę namiotu i wiedziała, że jest sama.

Całkowicie wbrew własnej woli Srebrzysty Śnieg rzuciła się do czarnej skrzyni, otworzyła ją gwałtownie i wyciągnęła wonną saszetkę. Owijając się w swoje futra, tuliła ją w ramionach, patrząc przez wywietrznik w swojej jurcie na księżyc, aż jej się oczy zamknęły.

Drapanie w ścianę jurty Srebrzystego Śniegu na wpół obudziło ją z ciężkiego, niemal narkotycznego snu, ale wysiłek był zbyt wielki. Srebrzysty Śnieg jęknęła i z powrotem opadła, zagrzebując się głębiej w futra. Kiedy się znowu obudziła, poczuła zapach spalenizny. Powęszyła, następnie z nagłym niepokojem spojrzała na misę z żarem.

Nie, ogień nie był tylko przytłumiony, był wygaszony i trzeba go będzie rozpalić na nowo. To zadanie zawsze należało do Wierzby.

Srebrzysty Śnieg obciągnęła swoje szaty i skrzywiła się poirytowana, przekonawszy się, że przez całą noc tuliła do siebie saszetkę na wonności, którą wykonała. Gdzie ta Wierzba biegała? Nie było jej przez całą noc, a teraz, kiedy już świeci słońce, postanowiła wylegiwać się jak długa na swoim materacu. Wszyscy Hiung–nu bez wątpienia byli na nogach już przed świtem.

No to pójdzie i obudzi Wierzbę i wtedy powie... W pełnym zdecydowania nastroju ruszyła w kierunku dziewczyny. Zapach spalenizny nasilił się.

Kiedy Srebrzysty Śnieg spojrziała w dół, zobaczyła, że długie pasmo bujnych rudawych włosów Wierzby zostało spalone, zupełnie jak gdyby ktoś w nią rzucił palącą się pochodnią. Dziewczyna spała teraz na boku, kuląc się ochronnie, ze swoją zbyt krótką nogą podciągniętą jak u bociana, stojącego w wodzie.

— Wierzbo? — szepnęła Srebrzysty Śnieg. — Wierzbo! — Ukłękła i potrząsnęła dziewczyną, która obudziła się, raz tylko mrugnawszy swoimi zielonkawymi oczami. Oczy te wypełniły się światłem poranka, a następnie rozpały takim humorem i energią, że Srebrzysty Śnieg aż się zakołysała na piętach.

— Co się stało, dziecko? — powiedziała Srebrzysty Śnieg, a cała złość jej przeszła. Musnęła długie włosy Wierzby. W Ch'in mogli uważać, że czerwony kolor bardzo szpeci, ale nie można było zaprzeczyć, że bujna, gęsta grzywa, która lśniła teraz pod palcami Srebrzystego Śniegu, była piękna w jedyny w swoim rodzaju sposób, przypominając wspaniałe futro. Kiedy zobaczyła, że ktoś je oszpecił, ogarnął ją smutek, którego wcale się nie spodziewała.

Ku jej zaskoczeniu Wierzba roześmiała się.

— Ach, ależ się nabiegałam! Powietrze i ziemia już się budzą, Starsza Siostró, a my tańczyliśmy przez całą noc, moi bracia w futrze i ja. Jakaś niemądra owca zaczęła uciekać, myśląc, że to pogoń za jej jagnięciem. Zaraz potem całe stado wpadło w panikę i przyjechali ludzie na koniach. No i uciekliśmy, oni na step, a ja do obozowiska, gdzie ona — impertynenckie uniesienie Wierzbowej brody w stronę Mocnego Języka powiedziało Srebrzystemu Śniegowi, kogo miała na myśli — siedziała i coś mamrotała nad tymi swoimi sztuczkami. Wsunęłam nos pod klapę jej namiotu mając nadzieję, że dowiem się czegoś przydatnego.

— Ona jest szybka, Starsza Siostró, chociaż zbudowana jak pokazowy baran. Zanim zdążyłam ukryć się w cieniu, ona strzeliła palcami i rzuciła... lu, jakimś ogniem!... we mnie, a ja zaskowyczałam i uciekłam.

— Musisz przystrzyc sobie włosy, żeby nie zobaczyła, że są nadpalone i nie

dowiedziała się — ostrzegła ją Srebrzysty Śnieg.

Kiedy Wierzba się tym zajęła, Srebrzysty Śnieg zabrała się do ponownego rozniecenia ognia.

— To ja powinnam robić, Starsza Siostró — powiedziała dziewczyna. — Nie wypada, żebyś ty wykonywała moją pracę.

— A czyja potrafię tańczyć z wiatrem i zbierać wieści? — zapytała Srebrzysty Śnieg. A potem, kiedy Wierzba potrząsnęła głową, dodała: — No więc? Czego dowiedziałas się w namiocie Mocnego Języka?

— Że bardzo zadowolona jest, że twój... że księżę popadł w niełaskę — powiedziała Wierzba. — Ale nie tak zadowolona, jak mogłaby być, bo wojowniczy charakter jej własnego syna wyciąga go z domu. Pośrednio wyrządziliśmy temu staremu człowiekowi przysługę, nie dopuszczając syna Mocnego Języka do jej boku. O ile byś się założyła...

Srebrzysty Śnieg potrząsnęła głową.

— Ani o jedną monetkę — powiedziała.

Vughturoi mógł popaść w niełaskę za swoją niechęć do walki, kiedy zabraniał tego traktat jego ojca, ale on był tutaj, a Tadiqan nie. Jeżeli Tadiqan miał zostać dziedzicem, to musi być pierwszym z synów Khujangi, który zobaczy ciało swego ojca. Żeby to zrobić, najpierw musi wrócić do klanu. A więc, jeżeli Mocny Język miała jakieś plany, by przyspieszyć odejście starego *shan-yu* na wieczyste stepy, to dla dobra tak swojej własnej władzy, jak i władzy swojego syna nie będzie ich wcielać w życie, dokąd Tadiqan będzie przebywał wśród Fu Yu. Jednak niech tylko Tadiqan wróci, a wyjedzie Vughturoi... w tym przypadku Srebrzysty Śnieg będzie musiała uważać na siebie i swojego męża, który był jej jedyną obroną.

Na zewnątrz jej jurty podniosła się wrzawa niepodobna do niczego, co dotąd słyszała w obozie Hiung-nu. Skończyła się ubierać i wyszła na zewnątrz. Nad głowami niebo z zimowej bladeści i szarości ostatnich burz przeszło w błękit lapis-lazuli i turkus. Przelatujący po nim wiatr pachniał dziko i słodko, jakby nowo wymyty i świeży. Szarpał szaty Srebrzystego Śniegu, podobnie jak grzywy koni, na których tam i z powrotem po przejściach i szeregach wielkiego obozu jeździli mężczyźni, nawołując do coraz większego pośpiechu. Nawet jęki i postękiwania wielbłądów, upalikowanych na obrzeżach obozu, brzmiały mniej ponuro niż zwykle.

Dzieci biegały niebezpiecznie blisko końskich kopyt, a kobiety pokrzykiwały wesoło. Już jedna z jurt na obrzeżu zniknęła w rozgardiaszu ciężkich materiałów i

ramy, które szybko składano na pobliski wóz. Brązowe Lustro i Soból podbiegły śmiejąc się i uśmiechając. — Czas związać obóz, pani! — powiedziała Soból. — Pomożemy tobie i twojej dziewczynie pakować się. Czy pojedziesz konno, czy wsiądziesz do swego powozu?

Srebrzysty Śnieg znowu zamrużyła oczami. A więc po zimie spędzonej tutaj nadszedł czas, by udać się na wiosenne i letnie pastwiska.

— Ach — zawołała Brązowe Lustro — po zimie spędzonej w obozie nawet jurty wydają się jak obmurowane miasta. Znowu jechać swobodnie, za stadami... to jest życie... tak powinni żyć Hiung–nu!

Jej uniesienie udzieliło się Srebrzystemu Śniegowi i pośpieszyła z powrotem do środka, by przebrać się do konnej jazdy i spakować swoje rzeczy

Wierzba położyła wonną saszetkę na swoich zwiniętych futrach do spania. Srebrzysty Śnieg bez słowa włożyła ją z powrotem do czarnej skrzyni i zamknęła łagodnie pokrywę.

Wkrótce potem złożona została jej jurta. Pochyliła się nad ogniem.

— Zostaw go, pani — dobiegł ją głos z góry. Odwróciła się i zobaczyła księcia Vughturoi, siedzącego na swoim ukochanym koniu. Pewny i krępy koń potrząsał ciężką grzywą z ochoty, żeby już ruszyć. Książę gwizdnął przenikliwie i jeden z jego wojowników podprowadził białego konia Srebrzystego Śniegu.

— Zrobili księcia pasterzem małej królowej. — Srebrzysty Śnieg usłyszała, jak te słowa wypowiedział półgłosem starszy mężczyzna, i drgnęła na gardłowy śmiech, jaki po nim nastąpił.

— No, jak nie ma ochoty do walki, to niech najlepiej pilnuje stad. Albo jednej owieczki.

Zwróciła uwagę na to, którzy mężczyźni rozmawiają, zauważając, że należeli do grupy starszych wojowników, którzy sztychli z bliskich związków z Ch'in, ale którzy nigdy by nie sprzeciwili się *shan–yu*. Tych również trzeba uważać za wrogów, a przynajmniej za nieprzyjaciół.

Pokazała na ogień lękając się, że przypadkowe iskry mogą rozniecić ścianę ognia w poprzek stepu.

— Ziemia jest jeszcze zbyt wilgotna, żebyśmy się mieli martwić, że pożar wymknie się spod kontroli. Zostawiamy ogniska, żeby się paliły, pani — powiedział jej książę Vughturoi. Ze swoim zwykłym opanowaniem zignorował słowa, które wymówiono wystarczająco głośno, by doszły do jego uszu. — Taki jest zwyczaj

Hiung–nu. Kiedy zwijamy obóz, zostawiamy rozpalone ogniska domowe na znak, że gdy przyjdzie następna zima, wrócimy. Ponieważ jest wiosna i ziemia jest mokra... no, mokra jak na ten kraj... nie musimy obawiać się, że ogień się rozprzestrzeni, jak by to było w pełni lata. Kiedy wyjedziemy, odwrócimy się w najwyższym punkcie całodziennego podróży. Jeżeli ogniska będą się jeszcze palić, oznacza to dobrą wróżbę.

Srebrzysty Śnieg dosiadła konia, potem odwróciła się, by przyjrzeć się temu, co było kwitnącym, zatłoczonym obozem, a co teraz było zaledwie zbiorowiskiem rozproszonych ognisk, zrytej ziemi i bagaży pośpiesznie pakowanych na niespokojne zwierzęta. Shan–*yu* wychynął ze swego namiotu, który rozebrano jako ostatni ze wszystkich, mozolnie wspiął się na konia i uśmiechnął się do najmłodszej ze swych żon, oczekującej na rozkaz do wyjazdu. Turkocząc przejeżdżał obok nich wóz za wozem, Mocny Język wysunęła się bardzo do przodu, powożąc zaprzęgiem, do którego według Srebrzystego Śniegu trzeba by chyba co najmniej pięciu poganiaczy. Mocny Język spojrzała spode łba, widząc Srebrzysty Śnieg niezależnie na koniu. Ze swojej strony Srebrzysty Śnieg uśmiechnęła się.

Po całym sezonie spędzonym w zamknięciu dobrze będzie znowu podróżować — pomyślała i nie wiedziała, czy to było myślenie Hiung–nu, czy pragnienie jej własnego serca. Wiatr smagał, wyciskając jej łzy z oczu. Pochyliła ciało, zmniejszając opór przeciw wiatrowi, słysząc w jego wyciu głos wabiący ją naprzód; obiecujący cuda, zmianę, podniecenie i przede wszystkim swobodę Hiung–nu.

Kiedy *shan–yu* dał sygnał swoim jeźdźcom, wojownicy Hiung–nu podnieśli wrzask, jak gdyby tęsknota do ucieczki z zamknięcia zimowego obozu nagle wezbrała tak, że nie byli w stanie już jej opanować. Konie przemknęły obok kołyszących się, ponurych wielbłądów i wozów zaprzężonych w ciężko kroczące zwierzęta pociągowe i popędziły na równiny, które były ich prawdziwym domem.

Jechali przez cały dzień, zsiadając tylko na jak najkrótsze przerwy i w jak największej potrzebie, pożywiając się na koniach, konferując na koniach i jeżdżąc tam i z powrotem wzdłuż ociężałej karawany wozów, stad i rodzin. Powietrze było bardzo czyste. Takiemu tropicielowi i jeźdźcowi jak Tadiqan łatwo będzie znaleźć swoje plemię na jego letnich pastwiskach. Chociaż Srebrzysty Śnieg miała pewność, że przejechali już wiele mil, skala ziemi i nieba była tak ogromna, że zdawało jej się, kiedy odwracała się w swoim drewnianym siodle, że niemal wcale nie oddalili się od obozu.

— Spróbuj teraz wypatrzeć ogień, pani — doszedł do niej głos Vughturoi.

Wydawał się niemal rozbawiony jej zaskoczeniem.

Srebrzysty Śnieg zmrużyła oczy i popatrzyła wstecz na obozowisko. Ogień... tam stały jej namioty, a tam namioty *shan-yu*. Pióropusze dymu unosiły się z tego, co było ich paleniskami, a maleńkie płomyki wciąż wesoło strzelały ku górze.

Powiedziano jej, że był to dobry omen. Potem spojrzenie jej powędrowało do męża, którego ledwie można było dojrzeć, tak był spowity w futra i filc. Oby tak było — modliła się, ale sama nie wiedziała, którą potęgę błaga.

Rozdział siedemnasty

Dzień mijał za dniem, a plemię zbliżało się coraz bardziej do wiosennych pastwisk. Wielkie stada owiec miały się wspaniale, a w miarę jak robiło się coraz cieplej, kudłatym koniom wypadała plackami ich gruba sierść. Nawet kołyszące się baktriany ciągnęły swoje ładunki, nie turbując poganiaczy; ich podwójne garby, które pozapadały się w czasie zimy, co było oznaką niedostatku i głodu panującego w kraju, zaczęły się znowu podnosić w miarę ożywiania się stepów i zbliżania do wiosennych pastwisk.

Wiosenne pastwiska były oddalone o wiele dni jazdy, olbrzymia odległość nawet wedle pojęć Hiung–nu. Ale nikt nie narzucał im reżimu, który by nakazywał wstać o świcie i przejechać taką to a taką odległość, nie bacząc na czas ani koszt ponoszony przez zwierzęta czy ludzi. Nie podróżowali też Hiung–nu każdego dnia; mogli zatrzymać się w jakimś szczególnie odpowiednim miejscu, w punkcie znanym od pokoleń, gdzie była wyjątkowo dobra woda czy łąwy.

Nie było to łatwe życie, ta jazda czy powożenie wozem, czy pędzenie stad poprzez step, który wydawał się ciągnąć po same krańce świata. Kiedy wiał wiatr, a słońce błyszczało na rzędach końskich, czerwonych przybraniach strojów, lśniących, posmarowanych tłuszczem buziach dzieci, które znowu robiły się pulchniutkie, na brzącie olbrzymich kotłów, przywiązanych rzemieniami do juków wielbłądzich, wtedy to życie było dobre, wyczerpujące, absorbujące i soczyste barwne. W porównaniu z pastelowym, statycznym życiem na Wewnętrznych Dziedzińcach Syna Niebios — no cóż, Srebrzysty Śnieg nie była w stanie nawet zacząć ich porównywać ze sobą. Jeżeli tutejsze powietrze parzyło jej płuca swoim zimnem czy gwałtownością wiatru, przynajmniej było go tu dość, by miała czym oddychać.

Pochłonięta tym nowym życiem przestała nawet tęsknić za swoim północnym domem, z jego spłowiałymi marzeniami i pełną ostrożności biedą, z wyjątkiem tych momentów, kiedy pod pobłażliwym, sennym nadzorem swego męża wysyłała listy przez jednego czy dwóch wojowników Hiung–nu, którzy z upodobaniem podejmowali się tej zaledwie dwu— czy trzytygodniowej jazdy pędem do granicznej placówki Han, gdzie wystawiali na próbę rozejm na tyle długo, by przekonać garnizon, żeby przyjął i przesłał dalej starannie zapieczętowane paski jedwabiu, które nosiły na sobie pieczęcie księżniczki Chang’an i królowej Hiung–nu. Niektórzy ze

starszych oficerów, jak podejrzewała, mogli nawet pamiętać jeszcze jej ojca i Li Linga, i mogli przekazywać listy z dawnej lojalności.

Pozostawały dwie sprawy, które ją niepokoiły; Vughturoi rozmawiał z nią krótko, jeżeli w ogóle, jak gdyby odgrywał rolę człowieka w niełasce, korzącego się przed swoją królową, a brat Soból, Basich, nie wrócił. Obawiała się, że wpaść w ręce jej wrogów. Ze wszystkich listów ten właśnie najbardziej mógł jej pomóc lub najbardziej zaszkodzić.

Jednak życie Srebrzystego Śniegu pełne było zajęć, zbyt pełne, żeby starczyło w nim miejsca dla trosk, które koniec końców mogły okazać się iluzją. Kiedy słońce jasno świeciło, a powietrze drżało w gardle, bardziej nawet dzikie i słodkie niż to dziwne wino, które, jak powiadali niektórzy podróżnicy, ludzie z Turfan warzyli z winogron zamiast z ryżu, udawało jej się zapominać o zmartwieniach, tak cieszyła się wszystkim dookoła.

Różnych rzeczy nie spodziewała się Srebrzysty Śnieg, ale przede wszystkim tego obfitego, bujnego życia. Każdy dzień przynosił jej nowe widoki i dźwięki, które w pełni ją pochłaniały. Każdy wieczór przybliżał gwiazdy, a kiedy obozowisko się w końcu uspokoiło, na stepie panowała taka cisza, że każdemu uderzeniu kopytem, każdemu krzykowi dziecka, każdemu podmuchowi wiatru można było oddać nie uszczuplone niczym honory uwagi i przejęcia. Nocami Wierzba wybiegała z obozu i przynosiła wieści o ruchach na stepie: Yueh–chih na zachód, Fu Yu na północ, w drodze na wiosenne wypasy, podobnie jak oni sami.

Tadiqan wciąż jeszcze przebywa wśród Fu Yu — pomyślała Srebrzysty Śnieg. Jego nieobecność wzmagała jej zadowolenie.

— Niech bogowie sprawią, by pobłądził w wędrówce — wymamrotała raz Wierzba, kiedy znużona udreką przemiany leżała dysząc na swoich szatach w szarości przedświt. Srebrzysty Śnieg otarła jej czoło, przykryła i kazała jej się uciszyć, zanim położyła się we własne jedwabie i futra. Jednak musiała się przyznać sama przed sobą, że odczułaby wielką satysfakcję, gdyby brutalny syn Mocnego Języka nigdy już nie znalazł powrotnej drogi do namiotu swej matki.

Nie było jej jednak dane tyle szczęścia. Następnego dnia przenikliwy gwizd, a za nim bzyczenie gradu strzał, które przebiły na wylot tłustą owcę, i zwycięskie wrzaski zapowiedziały przybycie Tadiqana i jego ludzi, pełnych triumfu po konszachtach z Fu Yu. Tego wieczoru *shan–yu* wydał większą ucztę niż zwykle, a jego najstarszy syn spoczął po jego prawej ręce, mając u boku swoją rozpromienioną

matkę, pochylającą się nad nim by udzielać mu dobrych rad.

Tego wieczoru *shan-yu* wydawał się słabszy, niż go dotąd widywała Srebrzysty Śnieg.

— Wierzbo! — syknęła dziewczyna wbrew swemu zwyczajowi, zgodnie z którym jej służąca trzymała się w ukryciu, z dala od Mocnego Języka i jej syna. — Przynieś kordiań w buteleczce z jadeitu. — Brodą wskazała *shan-yu*, który opierał się na ramieniu Tadiqana nawet jeszcze silniej niż w tamten szczęśliwszy wieczór na ramieniu Vughturoi. Ależ on omdlał, niemalże upadł.

— Przynieś albo ten kordiań, albo naparstnicę... szybko! — wyszeptała i Wierzba pomknęła, by pojawić się znowu z jadeitową tacką, maleńką buteleczką i dwoma malusieńkimi jadeitowymi czarkami po wręby pełnymi eliksiru, który pachniał mocno i słodko. Srebrzysty Śnieg sama podniosła się i zaniósła jedną z czarek swojemu mężowi. Ponieważ nie widziała innego wyjścia, zaproponowała drugą Tadiqanowi, który spojrzał na swoją matkę, następnie odmówił pogardliwie, z niecierpliwym gestem.

— Sama to wypij, pani — powiedział starszy książę, jak gdyby to miał być jakiś test.

Tak jak ją uczono, Srebrzysty Śnieg zawahała się uprzejmie. Kątem oka dostrzegła, jak Mocny Język władczo gestykułuje w stronę swego syna.

— Powiedziałem, wypij to! — warknął Tadiqan.

— Wybacz tej oto niemądrej jej głupotę, o książę wojowników — powiedziała Srebrzysty Śnieg swoim najbardziej łagodnym, szemrzącym głosem. Wiele trudności sprawiało jej tłumaczenie formalnych przeprosin, których wymagał język jej urodzenia, na dużo bardziej chropowaty język Hiung-nu. — Ona pragnęła tylko, byś odniósł korzyść z własności tego napoju, który nie zawiera niczego poza zdrowymi ziołami i winem. — Podniosła w górę czarkę i wysączyła ją; *shan-yu* powtórzył cały jej ruch, uwzględnivszy nawet troskliwość, z jaką odstawiła wspaniały jadeit na maleńką tackę.

— Mój synu, nie wolno ci powarkiwać na moją najstarszą żonę w taki sposób — zganił go *shan-yu*. Głos miał bardziej dźwięczny, na zwiędłe policzki napłynęła krew. Władczym gestem wskazał na dywan u stóp Srebrzystego Śniegu. Kiedy Tadiqan korzył się przed panią Srebrzysty Śnieg, stary wódz spoglądał rozpromieniony na swoją młodą żonę i swego olbrzymiego syna, rzucającego groźne spojrzenia.

Oszołomiona niespodziewanym atakiem Tadiqana, Srebrzysty Śnieg splatała materiał swojego rękawa. Podobnie jak na strzałach Tadiqana leżał czar celności i sukcesu, tak zakłęcie powrotu do domu wydawało się przywiązywać go do Mocnego Języka.

Czy takie zakłęcie przywiązywało Khujangę do jego syna? A czy nawet mocniejsze i bardziej posępne zaklęcia nie wiązały go z Mocnym Językiem?

Jeżeli tak, to może ten kordiał je osłabił. A przynajmniej cudownie byłoby tak myśleć, nawet jeżeli Srebrzysty Śnieg mocno w to wątpiła. Wkrótce potem Mocny Język skinęła na swego syna i *shan-yu* odwrócił się, by porozmawiać z którymś ze starszych wojowników.

Jakiś cień u jej boku sprawił, że Srebrzysty Śnieg błyskawicznie się odwróciła z szybkością, którą bez wątpienia wzmógł wypity przez nią eliksir.

— Czy dziwisz się, pani, jakim sposobem mój starszy brat powrócił do domu? — Jej zdumienie, że Vughturoi zechciał odezwać się do niej po tak długim czasie, wyrwało ją z otumanienia. Półgłosem powiedziała coś o „mocy Erlika”.

— Mówisz teraz jak prawdziwa córka stepów. — Młody książę uśmiechnął się. — Powiadają — tu zniżył głos — że w tej, jak i w wielu innych sprawach, mego brata wspomaga jego matka. Ale powiadają też, z jeszcze większą dozą prawdy, że my, synowie Hiung-nu, wiemy, jak poruszać się po równinach, które są dla nas domem, podobnie jak mieszkaniec miasta wie, jak przejść przez to małe więzienie, które nazywa swoim domostwem. Nie bładzimy ani my, ani nasze strzały.

Czy było to ostrzeżenie, czy poparcie? Srebrzysty Śnieg nie potrafiła powiedzieć. Jedno jednak wiedziała na pewno; posiadana przez Hiung-nu moc nie była dobroczynną mocą uzdrawiającą, z jaką zapoznała się Wierzba, okiełznawszy swoją lisią naturę, ani nie była to uczona moc Li Linga. O tych umiejętnościach miała jakieś pojecie, a ci, którzy byli w nich biegli, byli również jej życzliwi. Natomiast ta tutejsza magia była równie zabójcza, jak nieprzewidywalna, a najbardziej biegła w niej adeptka była jej śmiertelnym wrogiem.

Srebrzysty Śnieg wycofała się przy pierwszej rozsądnej okazji.

Kiedy wróciła do swego namiotu, Wierzba przyjrzała się jej pilnie.

— Myślałam, że poszłaś pobiegać sobie na swobodzie — powiedziała Srebrzysty Śnieg swojej dziewczynie, zaskoczona tym, że słowa jej zabrzmiały niemal jak oskarżenie.

Ze zdumiewającą łagodnością kulawa dziewczyna potrząsnęła głową i zabrała się do rozbierania swojej pani. Kiedy pomagała Srebrzystemu Śniegowi rozpuścić długie włosy, położyła wąską dłoń na jej czole.

— Wydajesz się rozgorączkowana, Starsza Siostrze. Czy mogę naparzyć ci ziół? Mam wciąż jeszcze gałązki wierzbowe, by złagodzić ból głowy i obniżyć gorączkę — zaproponowała Wierzba.

— Nie! — warknęła Srebrzysty Śnieg, potem zaczerwieniła się. — Nie — powtórzyła łagodniej. — To z gorąca w wielkim namiocie. Po prostu potrzebuję odpocząć.

— Tak? — Wierzba uniosła do góry swoje równe brwi bez dalszych komentarzy. Wyciągnęła tylko swoje lustro ze schowka i pokazała pani Srebrzysty Śnieg odbitą w nim bladą, pełną napięcia kobiecą twarz.

— Było za gorąco — powiedziała znowu Srebrzysty Śnieg. — I Mocny Język rozsypała jakieś swoje obrzydliwe zioła na ogniu. Czy nie czułaś ich zapachu? To chyba straciłaś węch. Daj mi tylko spać. — Nawet dla jej własnych uszu głos jej brzmiał ponuro. Wierzba pomogła jej się ułożyć. Ku jej wielkiemu zdumieniu, dziewczyna nie wyslizgnęła się z namiotu, by zmienić postać i przetańczyć całą noc z braćmi „po futrze”. Kiedy Srebrzysty Śnieg usłyszała poszczekiwanie, Wierzba podeszła do połowy namiotu, zatrzymała się tam i szczekanie umilkło w oddali... i w mgłach pełnego niepokoju i nawiedzeń snu.

Mgła zawirowała wokół niej, potem się zestaliła. Znowu stała przy wejściu do otwartego namiotu *shan-yu*. Czuła się bardzo samotna, bardzo zmarznięta. Vughturoi... Wierzba... Soból, Brązowe Lustro... gdzie byli jej wszyscy przyjaciele i orędownicy? Kiedy rozchyliła wargi, by ich zawołać, wiatr rozwiął jej słowa.

I znowu mgła zawirowała. Teraz widziała swego ojca, młodszego i dużo bardziej sprawnego, poruszającego się ukradkiem, ze skrytością całkowicie obcą temu co o nim wiedziała, pełznącego w stronę stad koni, chwytającego krzepkie zwierzę o mocnym oddechu i uciekającego tak daleko jak tylko się da, śpiąc w siodle, jak to robili sami Hiung-nu.

Ale porzucił tu syna, młodego syna. Srebrzysty Śnieg zobaczyła chłopca tak wyraźnie, jak gdyby leżał opatulony obok niej, zobaczyła jego zakłopotane, smutne oczy. Akurat kiedy mu się przyglądała, wzruszył ramionami, jak gdyby odsuwał od siebie utratę ojca, zdradę całego życia. Jak to musi być — zastanawiała się Srebrzysty Śnieg przez sen — ufać i szanować... pojmanego wroga? A jak, kiedy się go później

utraci?

Zakwiliła we śnie. Doszło do niej dudnienie magicznego bębenka, pulsując poprzez sen, aż pokonało nawet smutek, jaki dzieliła z tym obcym chłopakiem, wzywało ich oboje tam, gdzie czekał na nich wróg z ostrym nożem i okrutnym śmiechem.

Srebrzysty Śnieg obudziła się z krzykiem i trzeba było całych umiejętności Wierzby, żeby ją uspokoić.

Była zmęczona przez cały następny dzień, dużo słabsza niż zwykle. Mocny Język wyglądała na zadowoloną i niemal lśniła, jak dziecko Hiung–nu prawie do pęknięcia nakarmione tłustą baraniną... a przynajmniej wyglądała na zadowoloną, dokąd Khujanga nie rozkazał, dojrawszy jak Srebrzysty Śnieg omdlewa w siodle, by doprowadzono jej powóz i sam nie odprowadził jej do niego z czułą troskliwością.

— Nie rodzi, nie pilnuje stad ani nie ubija filcu, nie poluje ani nie gotuje — prychała Mocny Język, jak doniosła Soból... z daleka od uszu *shan–yu*. — Tyle strachu o bezużytecznego, obsypanego klejnotami wymoczka.

Dzieci tuliły się do Soból... tak dzieci Basicha, jak i jej własne.

— Pozwól im pojechać ze mną — poprosiła Srebrzysty Śnieg, a dzieci podniosły krzyk radości.

Radość dzieci, dzień wytchnienia — tyle mogła dać Soból, która zawsze była jej oddana. Ale powrotu jej brata — nie, tego nie mogła jej obiecać. Nawet Wierzba nie potrafiła dostarczyć jej wiadomości o Basichu, bracia „po futrze” milczeli na ten temat.

Odpoczynek nocny przywrócił jej zdrowie i następnego dnia Srebrzysty Śnieg poprosiła o swój łuk. Okrzyki aprobaty ludzi Vughturoi przekonały ją, że robiąc to postąpiła rozsądnie. Zanim grupa myśliwych zawróciła, zdążyła zabić kilka dzikich ptaków.

Wierzba podjechała do przodu, żeby odebrać od pani jej zdobycz, zanim wda się w to ktokolwiek inny. Jej oczy napotkały wzrok pani z pełnym zrozumieniem.

— Oskub je i wypatrosz, Wierzbo — rozkazała Srebrzysty Śnieg. — Może Soból i Białe Lustro pomogą ci. Dziś wieczorem, mężu — po raz pierwszy nie trzeba było jej zachęcać, by użyła tego tytułu — ta oto najpokorniej błaga cię, byś jadł w jej namiotach.

I znowu wojownicy wiwatowali na ten znak bliskości pomiędzy ich *shan–yu* i jego królową. Nie było też Tadiqana, by spiorunował ją wzrokiem. Ku zdumieniu

Srebrzystego Śniegu zrobił to Vughturoi.

Tego wieczoru dzięki niemal dziecinnemu łakomstwu *shan-yu*, zajadającego delikatnie przyprawione danie, które jego najmłodsza i najpiękniejsza żona upolowała i przyrządziła, odzyskała całą łaskawość, jaką mogła stracić przez tamtą jednodniową niedyspozycję.

Potem, zgodnie z wolą *shan-yu*, musieli jednak powrócić do wielkiego namiotu, gdzie powitały ich głośnie, rubaszne wiwaty. Zanim rozeszło się to hałaśliwe, nocne zebranie w namiocie *shan-yu*, starzec ogłosił wielkie polowanie, które miał poprowadzić jego lojalny syn Vughturoi.

Czy Srebrzysty Śnieg była jedyną osobą, która usłyszała ostre trzaśnięcie złamanej kości, kiedy Tadiqan zacisnął pięść na trzymanym udźcu?

— Weźmy ze sobą małą królową, która przynosi Hiung-nu pokój! — zawołał jakiś wojownik, hałaśliwy od nadmiaru kumysu. — Niech nosi również imię królowej, która przynosi zwierzynę naszym łukom!

Wywołało to wrzask aprobaty, na co Mocny Język spojrziała spode łba. Vughturoi natychmiast się odwrócił, a Srebrzysty Śnieg zrobiła się purpurowa, uspokajało ją tylko to, że nikt nie zauważy jej rumieńca w półmroku i przy świetle ognia. Pierś jej ścisnęła się od dymu, który unosił się przez otwory wentylacyjne w suficie, i podniosła jedną rękę, by przycisnąć serce. To nie licowało z rolą damy czy królowej, żeby jej imię i tytuły wykrzykiwano do namiotu jej pana; jej wstyd był równie silny jak inne jej uczucia. Czy *shan-yu* będzie zły i zwróci się przeciw niej równie szybko, jak przedtem się uśmiechał?

Ale nie, Khujanga uśmiechał się. Pochylając się do przodu poklepał ją po ręce dokładnie tak samo, jak to robił kiedyś Li Ling.

— Nie mogę się bez ciebie obejść, mała królowo — powiedział jej. Chociaż oddech jego ostro zalaatywał kumysem, od całych tygodni nie był już taki regularny i silny. Kiedy Srebrzysty Śnieg na niego patrzyła, spojrzął na czarę kumysu, którą trzymał w ręce — na ten puchar uformowany z czaszki swego wroga — skrzywił się i odłożył go. Uśmiech Srebrzystego Śniegu był całkiem szczerzy.

— Dobre łowy, Starsza Siostró! — powiedziała jej na dobranoc Wierzba, kiedy już rozebrała swoją panią. Przeciągnęła się nieprzyzwoicie, z giętkością wcale nie pasującą do jej kulawej nogi. — I sprytnie pomyślane.

Srebrzysty Śnieg uniosła się na łokciu.

— Jakie łowy, moja Wierzbo — zapytała. — I które myśli?

— To było sprytnie, polować i odnieść sukces, jeszcze sprytniejsze, gotować dla starszego pana — powiedziała Wierzba. — Ta jego stara czarka — skrzywiła się. — Nie jest dobrze pić z czegoś aż tak kojarzącego się z okrucieństwem. — Pokuśtykała do małej skrzynki, która należała do niej, otworzyła ją i wyciągnęła swoje starannie zgromadzone torebki z ziołami i lekarstwami z roślin, z których wiele dostała w pożegnalnym prezencie od Li Linga.

Srebrzysty Śnieg spojrzała na dziewczynę. Wierzba marszczyła brwi i potrząsała głową, zdumiona tym, jak powoli jej pani pojmowała to, co dla niej było rzeczą oczywistą. Potem panią Srebrzysty Śnieg przeszedł dreszcz, mimo że jej szaty nocne były bardzo ciepłe i była w nie szczelnie zatulona. Samo jej wychowanie — które wpoilo jej cześć dla ojca, Syna Niebios, wszystkich tych, którzy według prawa byli władni jej rozkazywać — niemalże uniemożliwiało jej zrozumienie tego, co dla Wierzby, wychowanej w amoralnym świecie targów niewolnikami, potajemnie uprawianej magii i zmian postaci, było samo przez się zrozumiałe.

Dzisiaj Vughturoi pojechał z myśliwymi na polowanie, skąd *shan-yu* z łatwością mógł go przywołać. Dzisiaj *shan-yu* nie jadł potraw Mocnego Języka i był dzięki temu mocniejszy.

Czy szamanka użyłaby rozmyślnie swojej sztuki przeciwko własnemu mężowi i przywódcy plemienia? Srebrzysty Śnieg wiedziała, że istniały takie zioła, które przebiegłej, pozbawionej skrupułów osobie mogły dać władzę nad człowiekiem, który je zjadł. Żywy, niemiły obraz Mocnego Języka gnębił jej świadomość. Wystarczyło jej tylko pomyśleć, jaka pycha była z małych oczek starszej kobiety, a już dobrze wiedziała, że była ona całkiem zdolna do podania Khujandze narkotyków, by się zgodził z jej wolą. Dokąd nie pojawiła się sama Srebrzysty Śnieg i nie wyparła jednego czaru innym, bardziej pierwotnym rodzajem magii — a Khujanga walczył, co go jeszcze bardziej osłabiało. I o tym Mocny Język też będzie musiała się dowiedzieć — myślała Srebrzysty Śnieg.

A może już wie. Może nudzi ją ta walka? Mocny Język, natrafiwszy na przeszkodę na drodze do władzy po długich intrygach, nie będzie ani miłym, ani ciepłym przeciwnikiem. Z jezdnyimi wyjechał Vughturoi, Tadiqan był nieobecny. Gdyby sprawy potoczyły się inaczej — uprzytomniła sobie Srebrzysty Śnieg — mogła już teraz być wdową... wdową, którą by zmuszono, żeby została żoną. Przecież nawet w tym momencie mogli ją zmusić, żeby leżała obok...

To nowe, najbardziej mroczne podejrzenie przeraziło ją i niemal przyprawiło o

mdłości, ale machnięciem ręki kazała Wierzbie odejść, gdy ta przycupnęła u jej wezgłowia.

— Połóż głowę — powiedziała dziewczyna takim tonem, że Srebrzystemu Śniegowi nawet przez myśl nie przeszło, żeby jej nie posłuchać. — Oddychaj głęboko. Obawiałam się, że prawda może na ciebie podziałać w taki sposób.

Srebrzysty Śnieg oddychała głęboko i równo, aż zawroty głowy i uczucie mdłości znikły. Podciągnęła swoje szaty w górę na ramionach, wdzięczna za to jak wchłaniały zimny pot, w którym zdawało się skąpane jej ciało.

— *Shan-yu* jest dziś wieczorem mocniejszy — oznajmiła. — Jeżeli wzmocnił się już po jednym posiłku...

— No to, Starsza Siostró, my... ty... od teraz musisz dla niego gotować. Rozpieszczaj go, jak gdyby był twoim jedynym wnukiem i cierpiął na biegunkę. Ja dopilnuję tego, żeby jego jedzenia nie tylko było warto skosztować, ale żeby nie zawierało już niczego, co by mu mogło zaszkodzić.

— A jeżeli Mocny Język oskarży nas o czary? — zapytała Srebrzysty Śnieg.

— Wtedy — syknęła Wierzba — niech się sama pilnuje. Ach, Starsza Siostró, gdybym tak mogła wślizgnąć się do jej namiotu, założę się, że znalazłabym tam takie rzeczy, które przyniosłyby jej szybką i bolesną śmierć!

Odtąd Srebrzysty Śnieg i jej dziewczyna gotowały dla *shan-yu*.

Zaintrygowany delikatnymi daniami i subtelnymi przyprawami, rozpromieniał się na widok swojej żony i jej służebnej i odżywiał się obficie. Nie było to też złudzenie — myślała sobie Srebrzysty Śnieg — że w następnych dniach chodził bardziej pewnie, mówił bez tego drżenia w głosie, które pojawiło się w ciągu ostatnich tygodni, zwłaszcza po posiłkach, i nawet był w stanie bez pomocy dosiadać konia. W tym nowym przypływie zdrowia jego serce ponownie zwróciło się ku Vughturoi, który każdego wieczoru wydawał się zadowolony, że siedzi i patrzy na swego ojca, który — jak Srebrzysty Śnieg dobrze wiedziała — nie spuszczał oczu z niej.

Grała i śpiewała aż za bardzo świadoma tego, że teraz gra o swoje życie. Po raz pierwszy przyłapała się na tym, że wtóruje życzeniu Brązowego Lustra i Soból, by urodziła syna. Gdyby *shan-yu* był młodszym mężczyzną — pomyślała — nie byłoby problemu. Do tego czasu na pewno już byłaby przy nadziei. Ale przecież gdyby *shan-yu* był młodszy, ani nad nim — ani nad nią — nie wisiłoby to zagrożenie od Mocnego Języka.

Pewnej nocy bardzo wystraszona Srebrzysty Śnieg przeglądała leki w skrzynce

Wierzby. *Shan-yu* był sędziwy, a jednak starzy ludzie żenili się i płodzili (lub uznawali ojcostwo) tysiące razy. Srebrzysty Śnieg przebierała palcami w ziołach, ułatwiających poczęcie, wzmacniających ciało, osłabiających wolę. Może gdyby podać *shan-yu* jakiś lekki narkotyk, a następnie znęcić go... zyskałaby swego dziedzica, swoje bezpieczeństwo.

Dokąd Mocny Język i Tadiqan pozwoliliby mu żyć! Nikt się nie dziwił, jeżeli dziecko stepów umierało w ciągu pierwszych trzech lat życia, chociaż jeżeli je przeżyło, to trzeba było gradu strzał, by go zabić. Urodzenie chłopca niczego nie odroczy. No i była sprawa poczęcia takiego dziecka. Kobieta starsza, bardziej doświadczona lub mniej skrupulatna mogła zastosować takie metody, by zapewnić sobie potomka, który był jej potrzebny. Ale jak mogła Srebrzysty Śnieg, która nigdy nie zaznała mężczyzny, wprowadzić w życie plan, wymagający sztuczek i zręczności utalentowanej kurtyzany?

Gdyby to nie *shan-yu* musiał być ojcem...

Potrząsnęła głową i chociaż świadkiem był tylko blask ognia, zrobiła się szkarłatna ze wstydu, że nawet przez jeden moment nosiła się z tą myślą. Ta myśl prowadziła nie tylko do śmierci, ale do hańby. Srebrzysty Śnieg starannie odłożyła zioła i zamknęła na klucz skrzynkę. Pochyliła się, by sprawdzić cięciwę i osądziła, że jest w porządku. Następnie otwarła inną skrzynię i znalazła nóż, którego szukała, i ukryła go przy sobie. Poprzysięgła sobie, że nigdzie się bez niego nie ruszy.

— Pani. — Wierzba obudziła ją w szarym chłodzie przedświt. Twarz dziewczyny była blada i ściągnięta, w półświatle jej rude włosy zdawały się wyprane z całego koloru, a nogą powłóczyła bardziej niż zwykle.

Srebrzysty Śnieg pozwoliła sobie na rozluźnienie palców na nefrytowej rękojeści noża, który trzymała pod swoim materacem.

— Biegałaś przez całą noc — oskarżyła Wierzbę uśmiechając się, chociaż próbowała nadać swemu głosowi surowe brzmienie. — Przypuszczam, że to oznacza, że będziesz dzisiaj przez cały dzień do niczego. Mocny Język powie, że trzeba by cię zbić.

Charakterystyczne dla Wierzby sykniecie zdenerwowania uciszyło jej panią.

— Ta oto dowiodła swej wartości niejeden raz. A nigdy więcej, niż teraz. Popatrz, Starsza Siostrze, co moi krewniacy „po futrze” mi przynieśli.

Przycupnęła niezgrabnie obok Srebrzystego Śniegu i zakołysała jakąś rzeczą,

którą trzymała tam, gdzie mogła ją zobaczyć jej pani.

— Cóż to za obrzydlistwo?! — zawołała Srebrzysty Śnieg i podniosła gwałtownie rękę, by odepchnąć znalezisko Wierzby. — Czy oni teraz przynoszą ci padło? Nigdy dotąd nie zdawałam sobie sprawy, że lis i harpia to krewniacy.

— Przypatrz się. — Głos Wierzby był cichszy, ale bardziej nieubłagany niż kiedykolwiek przedtem. U jego podstaw zdawała się leżeć część mocy, z jaką Mocny Język wydawała rozkazy — w tym momencie Wierzba była szamanką, nie służącą.

Srebrzysty Śnieg popatrzyła. To, co trzymała Wierzba, wydawało się płataniną skórzanych pasków, bardzo pogryzionych i poplamionych starą, zaschniętą krwią. Przez moment ręka jej drżała, potem uspokoiła ją tak karnie, że zaczęła przypominać posąg.

— Wygląda to na rzemienie uprzęży — zastanawiała się Srebrzysty Śnieg. — Ale... tu jest medalion, wciąż przymocowany do paska. Czeka! — odetchnęła. — To jest uzda, a ten medalion, to policzek trzgli...

Nie można było się pomylić co do wzoru wyrytego na brązie: krępa, gruba kobieta lub bogini. Ostatni raz widziała ten kawałek uprzęży na jednym z koni Basicha.

Srebrzysty Śnieg usiadła, a jej futra pościelowe opadły aż do pasa.

— Skąd to masz? — zapytała.

Przepchnęła się obok Wierzby, chwyciła swoje szaty, które wcześniej Wierzba wyłożyła w nogach jej łóżka, i zaczęła się ubierać, zanim Wierzba zdażyła jej pomóc.

— Bracia „po futrze” czekali — powiedziała Wierzba — aż biały tygrys się najadł, potem przynieśli to tutaj.

Srebrzysty Śnieg przypomniała sobie tę zimną, jasną noc, której ciszę przerywały tylko wystraszone oddechy, sporadyczne stąpnięcia i pulsowanie olbrzymiego, wrogiego serca, które słyszała, kiedy biały tygrys podkładał się pod jej namiot, a ona podkładała się do białego tygrysa. Basich nie miał takiego szczęścia. Soból będzie zawodziła; a jak Srebrzysty Śnieg miała ją pocieszyć? Jakiego zadośćuczynienia mogła zażądać? Czy w ogóle miała dowód, że brat Soból nie żył?

A co się stało z twoim listem czy jakąś odpowiedzią? — zabrzmiał ten cichy, przerażający głos, który bezustannie ganił Srebrzysty Śnieg za to, że przedkłada prywatę nad politykę. Potrzęsnęła ze złością głową. To nie było Ch'in, to były stepy — a dyplomacja była tyleż sprawą powiązań osobistych, co prawa i zwyczaju.

— Czy oni... — tu głos ją zawiódł. — Czy twoi krewniacy na równinach

odkryli jakieś ślady człowieka?

Wierzba potrząsnęła głową, ale jej oczy pod prostymi brwiami były ponure. Widząc, jak Srebrzysty Śnieg wodzi oczami za jej przerażającym łupem, owinęła go w kwadratowy kawałek jedwabiu i ukryła przed wzrokiem w skrzynce, gdzie przechowywała przyrządy do wrózenia. Czy pani Srebrzysty Śnieg wydawało się tylko, czy też dłoń Wierzby znieruchomiła na chwilę na skrzyni, kiedy już ją zamknęła?

— Mógł przeżyć, mógł jeszcze poświecić swego konia i uciec. — Ani ona, ani Wierzba nie pokładały w tym jednak zbytnej nadziei. Step był bezmiernie szeroki. Człowiek, który mógł być ranny, który był znużony i który śmiertelnie bał się białego tygrysa, który przez całe życie jeździł konno, jakże taki człowiek... Basich... miałyby odnaleźć znowu swoje plemię?

— Może — powiedziała Wierzba powoli. — Może.

— Wierzbo, powinnaś uprzedzić swoich krewniaków, by go wyglądali. — Srebrzysty Śnieg rzuciła szybkie spojrzenie na swoją dziewczynę. Wydawała się ona zasmucona zniknięciem Basicha.

Wierzba uśmiechnęła się.

— Oni umieją być czujni dla mnie i będą go mieć pod swoją opieką; powiedziałam im, że był dla mnie dobry. Wierz mi, Starsza Siostrze, oni nienawidzą i boją się białego tygrysa tak samo jak my. Dowiedzmy się tylko, kto go przeciw nam wysłał, a szybko zobaczymy polowanie nawet wspanialsze od polowań tego twojego *shan-yu!*

Rozdział osiemnasty

Na stepach wiosna ustąpiła miejsca latu, które robiło się coraz bardziej zielone i bujne. Owce się kociły, a kierdle były w kwitjącym stanie; wielkie tabuny koni zrobiły się znowu gładkie i lśniące i nawet wielbłądy wspaniale się miały, a ich podwójne garby pęczniały przez cały czas, co oznaczało obfitość jedzenia i wody. Hiung–nu jeździli, jak im serce i rozum dyktowały po bezmiarze równin, które rozciągały się jak okiem sięgnąć pod ogromnym, nieprawdopodobnie odległym nieboskłonem. Daleko niewyraźne góry wznosiły się, aż ich zwieńczonych śniegiem szczytów nie można było odróżnić od chmur, które gromadziły się tylko tam i nigdzie indziej na niebie.

Wobec takiego ogromu nawet klan rozmiaru królewskiego, wraz ze swoimi ogromnymi stadami, wydawał się niczym więcej, jak tylko kolumną mrówek, przechodzących za swoim wodzem w poprzek kawałka nefrytu. Oczy Srebrzystego Śniegu przyzwyczały się do słońca i do ogromu tej krainy; z trudem przypominała sobie czasy, kiedy po zwykłej, jednodniowej jeździe robiła się wyczerpana i obolała. Hiung–nu jechali dzień za dniem, ale ani trochę nie zbliżali się do gór, gdzie śnieg pokrywający żywy lód topił się już i spływał w dół na pola, czyniąc je zielonymi i bujnymi.

Byli jak mrówki — pomyślała Srebrzysty Śnieg — które szły nie po kawałku nefrytu, tylko w poprzek bębna. Gra polegała na tym, by przechodzić w ciszy, żeby bęben nie zadudnił i nie naraził na to, że ktoś ich odkryje. Przez całą tę wiosnę i sporą część lata miała to uczucie, które nachodziło ją kiedyś, przed laty, na Północy przed burzą: niebo mogło być jasne, a wiatr łagodny, ale wzdłuż jej nerwów drgało jakieś przecucie nadciągającej burzy, jak trawa kładąca się pod podmuchem wiatru.

Wiosna była piękna, lato jeszcze piękniejsze. Bardzo często wojownicy wyjeżdżali paść stada, zostawiając namioty pod opieką najstarszych mężczyzn i kobiet. A jednak, jeżeli Vughturoi był nieobecny, nieobecny był i Tadiqan. To była uczciwa wymiana, a w oczach Srebrzystego Śniegu urody dodawało jej to, jak *shan–yu* Khujanga witał swego młodszego syna. Zawsze pilnowała się, by mieć oczy spuszczone w odróżnieniu od kobiet Hiung–nu, które patrzyły tam, gdzie chciały i na kogo tylko chciały.

Całymi godzinami Srebrzysty Śnieg mogła jeździć, pracować i cieszyć się

swoim losem, ale wystarczyło jedno spojrzenie spode łba czy oskarżenie o zaniechanie obowiązków ze strony Mocnego Języka, która miała wiele popleczniczek wśród starszych kobiet, rządzących w wielkich namiotach, żeby gwałtownie wróciła jej świadomość zagrożenia. A przecież jeżeli Mocny Język miała swoich stronników, to miała ich i Srebrzysty Śnieg, i była szczęśliwa, kiedy zdała sobie sprawę, że z dnia na dzień liczba ich rośnie.

Niemal już zapomniała, że nigdy nie otrzymała odpowiedzi na tę pierwszą wiadomość, którą tak pośpiesznie i z takim lękiem wysłała przez Basicha. Stopniowo pogodziła się z tym, że jeżeli nawet Basich nie zginął od pazurów i kłów białego tygrysa, musiał zabić go step i list przepadł. To pogodzenie się z losem pomogło jej pocieszać Soból, która pyszniła się swą wytrzymałością, nie pozwalającą jej opłakiwać tego, co zrzucił los, ale która tym goręcej bolała nad stratą, będąc niezdolną do lamentów na oczach wszystkich. Całkiem często siadywała z nią Wierzba, przynosząc jej ulgę w smutku przez swój milczący spokój, jak jedno zwierzę opiekuje się drugim przez samą swoją obecność.

Czy to jedynie Srebrzysty Śnieg miała uczucie, że to lato było okresem ciszy pomiędzy burzami, które podnosiły się jak krótkotrwałe, okrutne nawałnice walące się w dół z wysokości? Takie burze przynosiły wodę polom, więc były mile widziane. Burze niosły ze sobą również pioruny i zagrożenie pożarem, który wiatr mógł pędzić po stepie, tak głodny, swobodny i gwałtowny jak sami Hiung–nu.

Po raz pierwszy Srebrzysty Śnieg naprawdę zrozumiała, jak bardzo ogień był święty dla Hiung–nu. W zimie strzegli ognia, bo gotował ich posiłki i ogrzewał ich jurty, w lecie musieli nad nim panować, żeby ich nie pochłonął. Srebrzysty Śnieg słyszała opowieści ludu Hu, z dalekiego zachodu, którzy uważali ogień za demona. Może i byli oni barbarzyńcami, ale zrozumiawszy lęk Hiung–nu przed płomieniem na stepie, potrafiła podzielać ich zapatrywania.

Khujanga wciąż jeszcze odznaczał się w kwitnym zdrowiem. Wydawało się, że pełna wrogość Mocnego Języka jakby przycichła, a jednak Srebrzysty Śnieg miała wciąż uczucie, jak gdyby ogromny bęben miał lada chwila odezwać się kadencją bicia olbrzymiego serca albo jakiejś bestii — powiedzmy olbrzymiego tygrysa — przyczajonego w oczekiwaniu na pierwszy nieostrożny ruch swojej ofiary.

Światło słoneczne, bardziej soczyście złote i pełniejsze przepychu niż *lung*, czyli smok haftowany na szatach Cesarza, padało ukosem na obozowisko królewskiego klanu. Wbijało lśniące szpony w wielki namiot *shan–yu*, wydobywając

nowy przepych z porozrzucanych w środku poduszek i dywanów i pozornie obracając ognisko domowe, tłące się w więzieniu swojej misy z żarem, w kilka flegmatycznych iskierek. Ponieważ dzień był taki piękny, Srebrzysty Śnieg rozkazała niektórym swoim kobietom, by przeciągnęły poduszki i dywany do klapy namiotu, żeby mogli z *shan-yu* spoglądać na świat, czekając na swój wieczorny posiłek.

Z dobiegających z głębi wielkiego namiotu głosów zorientowała się, że właśnie weszła Wierzba, by zająć się przypadającym na Srebrzysty Śnieg udziałem w gotowaniu i przy sposobności upewnić się, że Mocny Język nie będzie miała żadnej okazji, by do posiłku dodać szkodliwych ziół i liści. Spoza namiotu dobiegało ciche popiskiwanie bambusowego fletu, na którym bez wątpienia grało jakieś dziecko, zwolnione na chwileczkę z obowiązków, które dzieci stepów uczyły się spełniać od chwili, gdy tylko potrafiły chodzić i jeździć. Wiatr pochwycił piosenkę i zmieszała się ona, chwytająca za serce, słodka i gorzka zarazem, z melodią strun lutni Srebrzystego Śniegu i jej łagodnym, wysokim głosem. Stary *shan-yu* uśmiechnął się. Srebrzysty Śnieg chwilowo nabrała serca. Tego starego człowieka obok niej nazywano mężem, a nie ojcem; a jednak ułatwiając mu życie w ciągu ostatnich miesięcy, czyż nie służyła posłusznie, jak na kobietę wychowaną w czcigodnej tradycji Konfucjusza przystało?

Wiatr wydmuchiwał akompaniament do jej piosenki i przynosił zapachy jej nowego domu: ostrą woń koni, kurzu z równin, kuszące aromaty mięsa gotującego się z dodatkiem przypraw, pochodzących z jej własnych zapasów.

A potem z namiotu ciężkim krokiem wyszła Mocny Język, a w ślad za nią dyskretnie wysunęła się Wierzba. Chwilowe zadowolenie Srebrzystego Śniegu przybladło. Instynktownie rozejrzała się dookoła. Nie, Vughturoi wyjechał, żeby skontrolować stada koni i przeliczyć żrebaki: co za szkoda. Niemniej jednak może wróci dziś wieczorem, a jak nie dziś wieczorem, to jutro: był wolnym człowiekiem i mógł poruszać się zgodnie ze swoją wolą. A jednak Srebrzystemu Śniegowi pewną ulgę przynosiła świadomość, że nie dalej jak tego ranka Tadiqan również wyjechał z grupą swoich stronników, deklarując ponownie swój zamiar zastraszenia Fu Yu.

Melancholijna melodia fletu ucichła i zastąpiła ją dużo mniej dźwięczna nagana matki muzykanta, rozgniewanej leniuchowaniem dziecka. Srebrzysty Śnieg skończyła swoją piosenkę. Szczerbaty grymas Khujangi i jego śmiech zachęciły ją do rozpoczęcia następnej, tym razem wesołej piosenki pijackiej, którą kiedyś słyszała w Chang'an. Zignorowała pełne zdenerwowania westchnienie Mocnego Języka i aż zbyt wyraziste tup-tup-tup jej obutej stopy.

Jednak kiedy śpiewała, to tupanie coraz bardziej zajmowało jej świadomość. Nie ośmieliła się rzucić okiem, by zobaczyć, czy Mocny Język wyniosła ze sobą ten swój magiczny bębenek z jego nienawistnym skórzanym pokryciem, czy nie, ale z pewnością tupanie niosło ze sobą tę samą natarczywą kadencję co bębenek, ułożoną tak że pulsowała w rytm bijącego serca.

Uderzenia kopyt wyzwoliły ją spod uroku tego dźwięku i zakończyły jej piosenkę. Rzuciła okiem na Khujangę. *Shan-yu* z pewnością będzie wiedział, którego jeźdźca można było się spodziewać tego wieczoru. Naprężył się, wyraźnie zbierając siły by wstać i chwycić za włócznię. Potem skrzywił się.

— Któż to jeździ samotnie po stepie? — powiedział półgłosem.

Kiedy Srebrzysty Śnieg skupiła całą swoją uwagę na tym problemie, odgłos kopyt dał jej wiele powodów do niepokoju. Jak usłyszał *shan-yu* swoim bardziej doświadczonym uchem, w stronę obozu jechał tylko jeden człowiek. Rytm, w jakim uderzały kopyta, wskazywał, że z jego wierzchowcem było coś nie w porządku.

— Bracie! — Soból, której oczy stały się bystre od wpatrywania przez całe życie w dal, przerwała milczenie, które dotychczas zachowywała, i pomknęła naprzód tak, że powiewały jej warkocze i skórzany strój. Wierzba chwiejnie podniosła się na nogi, zrobiła niepewny krok do przodu, następnie się zatrzymała. Nigdy jeszcze Srebrzysty Śnieg nie widziała na twarzy dziewczyny takiego cierpienia, takiej nienawiści do własnego kalectwa.

Soból dotarła do ochwaconego konia w tej samej chwili co kilku starszych wojowników. Łapiąc za uzdę, pociągnęła go w stronę namiotu i *shan-yu*, który stał teraz, ściskając włócznię. Ręka Srebrzystego Śniegu zeszła z lutni i przesunęła się do noża. Ona również odwróciła się i dech jej zapało, kiedy pierwszy raz lepiej zobaczyła Basicha.

Ten niegdyś krzepki jeździec był bardzo zmieniony. Jedną stronę jego twarzy znaczyły ślady pazurów, ściągając ją w blizny, jedną rękę miał przywiązaną do piersi. Srebrzysty Śnieg przełknęła, żeby zwalczyć mdłości, kiedy zauważyła, że to okaleczone ramię kończyło się płataniną bandaży zbyt małą, by mogła to być cała dłoń.

Kiedy Basich ją zauważył, wyszarpnął rękę z rzemieni, jak gdyby chciał ją pozdrowić. Ten gest wyczerpał go i opadł w siodle, by zwalić się w mocne, wyciągnięte ramiona siostry. Srebrzysty Śnieg skoczyła do przodu, a za nią Wierzba. Soból załkała raz, po czym przełknęła łzy.

— Kto to zrobił? — zapytała swego na wpół przytomnego brata, potrząsając nim, zanim Wierzba zdążyła ją złapać za rękę i powstrzymać. — Kto?

Wierzba zgmiotła jakieś zioła pod nosem Basicha, a on ciężko odetchnął i zakrztusił się.

— Biały tygrys... — wyszeptał. — Uciekłem... wędrowałem, aż znalazłem... — Zachłysnął się, a odgłos ten skończył się złowieszczym rżeniem.

Czy przeżyje, jak myślisz? Srebrzysty Śnieg spojrzała na Wierzbę ufna, że dziewczyna zrozumie jej myśl, i pełna nadziei, że będzie mogła ją podnieść na duchu. Wierzba niemal niedostrzegalnie wzruszyła ramionami i pochyliła się, by odwinąć bandaż, które ścisnęły rękę Basicha. Jeżeli ten człowiek przeżył tak długo po ataku białego tygrysa, to rany nie mogły się rozjrzeć, chociaż powszechnie było wiadomo, jak plugawe były ukąszenia wielkich kotów. Ale jednak był słaby, zwłaszcza jak na jednego z Hiung–nu, których wytrzymałość była legendarna. Jeżeli da się Basichowi odpocząć i nie dopadnie go gorączka, i utrzyma się w nim wola życia, wtedy może uda mu się przeżyć.

— Zapytaj go, kto mu to zrobił — szepnęła nagle do Wierzby. Dziewczyna ponownie skierowała się do Basicha, a jej utykanie spowodowało, że długi, ciemny cień zatańczył niemalże z groźbą po stepie. Widząc go kilkoro z Hiung–nu zrobiło krok do tyłu, a bębenek Mocnego Języka zaczął pulsować, krótki grzmot zanim uderzy burza.

— Oni... mnie wypędzili — wychrypiał.

— Oni go torturowali! — przekazała samymi poruszeniami ust Wierzba pani Srebrzysty Śnieg, potem pochyliła się nad wojownikiem, który leżał oparty o ramię swojej siostry. — Kto cię wypędził?

— Fu Yu — jęknął, a następnie zamilkł i głowa bezwładnie opadła mu na bok. Z Soból wyrwało się zawodzenie, które tłumiała przez te wszystkie tygodnie, kiedy nie wiedziała, czy jej brat żyje, czy umarł.

— Jeszcze żyje — powiedziała jej Wierzba. — Teraz i może jeszcze przez wiele lat.

I chyba uratował nam wszystkim życie — pomyślała Srebrzysty Śnieg. Przyglądała się, jak Wierzba i Soból usiłują wygodniej ułożyć Basicha. Kiedy próbowały go unieść, żeby przenieść do namiotu Soból, oparł im się jednak, wystarczyło mu w tym momencie, że może wpatrywać się w obozowisko i znajome twarze, a porzucił już wszelką nadzieję, że jeszcze kiedyś te widoki zobaczy. A więc

to Fu Yu przyszli mu z pomocą, a potem go wypędzili. A Fu Yu to było to plemię, o które tak niepokoił się Tadiqan. Stała, bawiąc się pieczęciami u rurki na listy i na głos swojego męża aż podskoczyła, zaskoczona i zmieszana.

— To nie jest okazja do wojny — narzekał *shan-yu*. — Wezwijmy na ucztę Basich, którego opłakaliśmy jako umarłego, powrócił do nas, a mój starszy syn pomści na tych żalonych Fu Yu wszystkie krzywdy, jakie mu wyrządzili. Być może zażądam czaszki ich wodza i przerobię ją na puchar, jak to zrobiłem z czaszką tego zdrajcy Yueh-chih. Nie każdego dnia zdarza się, by jedno z moich dzieci wróciło z zaświatów. Wypijmy jego zdrowie!

Wypił... z tej okropnej czary z czaszki, zauważyła z niesmakiem Srebrzysty Śnieg. Potem zakończył swoją przemowę atakiem kaszlu, a Srebrzysty Śnieg rzuciła się do przodu, aby go podtrzymać.

— To jeszcze nie jest stypa po mnie — gderał na nią Khujanga, kiedy usilnie nakłaniała go, by udał się z powrotem w kierunku wygodnych dywanów i zasłon. A jednak u podstaw tego gderania leżało zadowolenie z tego, jak ładnie Srebrzysty Śnieg okazuje mu troskę i wyglądało na to, że z ochotą silniej opierał na swojej młodziutkiej żonie niż na swojej długiej włóczni. Czara z czaszki leżała porzucona na zewnątrz, aż Mocny Język wysłała jakieś dziecko, by się nią zajęło.

Na step padały już cienie, jak muśnięcia pędzelkiem mistrza kaligrafii, nadając zieleni odcień wieczoru, kiedy Wierzba wreszcie oświadczyła, że jest zadowolona ze stanu Basicha, a Srebrzystemu Śniegowi udało się namówić Khujangę, by zażył jeszcze trochę z malejącego zapasu wzmacniających leków, które przywiozła ze sobą z Chang'an. Były one teraz w dwójnasób cenne: kto mógł powiedzieć, czy list z prośbą o więcej eliksirów i ziół, z których Wierzbie prawdopodobnie mogłoby udać się je sporządzić, dojdzie kiedykolwiek do miejsca przeznaczenia.

Nadejdzie taki czas, miała nadzieję Srebrzysty Śnieg, kiedy zajmie się swoim przyszłym losem, ale chwilowo ci, których strzegła i którzy jej strzegli, byli bezpieczni, ona sama była bezpieczna, a Mocny Język trzymało w szachu to, że jej syn został gdzieś wysłany rozkazem *shan-yu*. Siedziała, spoglądając spode łba, pilnując jarzącego się ognia i najwyraźniej przekonana, że jego świętość zostałaaby skalana, gdyby Srebrzysty Śnieg lub Wierzba ośmieliły się nawet podejść. Albo może była to po prostu zazdrość kobiety, zastąpionej przez młodszą żonę, którą postanowiła teraz prześcignąć w gotowaniu i we wszystkim innym?

Srebrzysty Śnieg potrzęsła głową i zacisnęła usta. Kiedy Khujanga zaczął nalegać, by wyjawia mu swe smutne myśli, uśmiechnęła się i zmieniła temat. Gdyby miał dość sił, to wiedziała, że domagałby się muzyki i śpiewu. Opanowała ją melancholia na swój sposób równie straszna, jak wcześniejsze sny. Dzisiaj była bezpieczna, w tej oto godzinie mogła śpiewać dla swego pana, który był dla niej tak życzliwy, jak tylko mogła zamarzyć: ale co z jutrem? Nie śmiała nawet zwierzyć się ze swoich lęków ani swemu panu, dla którego mogłyby oznaczać zgubny wstrząs, ani jego młodszemu synowi, który mógł uznać je za brak lojalności lub oznakę słabości. Wystarczy przyznać, że te obawy istnieją, a już samo to czyniło ją podatną na gorsze ataki niż te, które już wytrzymała.

Chociaż światło na zewnątrz namiotu *shan-yu* przygasalo już wraz z zapadaniem nocy, upał dnia jeszcze nie zelżał. Nie dalej jak wczoraj Khujanga mówił o zwinięciu obozu i udaniu się w stronę najwyższych pastwisk letnich u podnóża Niebiańskich Gór, gdzie strumienie zasilane przez lód z najwyższych szczytów nigdy nie zawodziły, nawet przy najgorętszej pogodzie.

Ciągle nadjeżdżali Hiung-nu — ostro ściągali wodze swoich koni, następnie zeskakiwali — podnosząc chmury kurzu, który tańczył w świetle ognia i świetle zachodzącego na dalekim horyzoncie słońca. Co się tam znajdowało? — zastanawiała się. Nawet Hiung-nu, chociaż byli podróżnikami, nie potrafili powiedzieć na pewno.

Zakaszła, opanowała nagły impuls, by rozedrzeć zapięcie pod szyją swojej jedwabnej szaty i zakietu i zmusiła się do położenia rąk spokojnie na podołku. Z pewnością Khujanga od tego kurzu dostanie ataku kaszlu? Ale nie, po całym życiu spędzonym na stepie *shan-yu* był zahartowany, z lekka tylko zacharczał, szparki jego oczu zamknęły się, a głowa opadła naprzód, jak gdyby przysnął łatwą drzemką starego człowieka.

Starcy zawsze drzemali na słońcu — pomyślała — podczas gdy innym przypadał trud opiekowania się nimi, jak być powinno. Kto opiekował się teraz jej ojcem? — zastanawiała się. Miał znowu ziemię, bogactwo i zaszczyty, ale nie miał posłusznej córki, która by uklękała tuż przy nim, by zapewnić mu wszelkie wygody i pociechę, łącznie z mocnym oparciem w zięciu i radością z krzepkich wnuków, którzy by czcili Przodków, i z pulchnych, ładniutkich wnuczek, które by utworzyły powiązania z innymi starożytnymi rodami.

Przez moment *shan-yu*, mimo że chciał dla niej tylko dobrze, wydawał się niczym więcej, jak tylko jednym z Hiung-nu. To byli obcy, dzikusy, a ona zabłąkała

się wśród nich w bezkresnym oceanie kurzu i trawy.

Była młoda, śliczna, a jednak oddano ją bardziej jako córkę niż żonę jakiemuś zwiędniętemu barbarzyńcy, przehandlowano, chociaż zwyczaj i uprzejmość kazały nazywać to małżeństwem. Nigdy nie będzie miała dzieci, a kiedy żar jej krwi ochłodnie, kiedy jej puls w końcu spowolnieje, umrze samotnie, nie obdarzona szacunkiem. Wyczuwała teraz ten puls. Już robił się wolniejszy, a wkrótce może się zatrzyma, wyda ostatnie tchnienie i umrze, z tej samotności i kurzu, jeżeli nie z czegoś innego. Wszystkie te stare pieśni mówiły prawdę; życie mężczyzny czy kobiety z rodu Han na stepie było jałowe, gorzkie i krótkie.

Milczenie jej rozpaczę przerywało tylko coraz to wolniejsze pulsowanie. Podobnie skończonego smutku zaznała tylko raz. A wtedy — pomyślała — zapisałam moim smutkiem liść, a Wierzba przerzuciła go przez mur. I ta jedna rzecz, ten jeden błahy listek przyniósł mi taką przyjaźń, jakiej nigdy przedtem nie znałam.

Może i ten smutek stanie się źródłem takiej radości. Pulsowanie przycichło, potem ustało, ale tym razem powitała ciszę z radością. Smutek mógł stać się źródłem zadowolenia. Srebrzysty Śnieg pomyślała o słowach mistrza Konfucjusza, o miesiącach spędzonych w Zimnym Pałacu, o dużo gorszym losie, jaki bez słowa skargi znosili latami i Li Ling, i jej ojciec. Jej wygnanie przyniosło im bogactwo i cześć, a jeszcze więcej dla Ch'in. Czyż nie okrzyknięto jej królową, która przynosi pokój dla Hiung-nu? Czy chcieli takiego pokoju, czy nie, to Państwo Środka go chciało. W porównaniu z tym jaką wagę miało jej jedno małe życie? Póki życia, posłuszeństwo było jej obowiązkiem. Był to dla niej zaszczyt, że posłuszeństwo mogło przynieść jej krajowi, jej rasie i jej ukochanym tak bogaty dar.

Na tę myśl zdołała znowu uśmiechnąć się spoglądając na swego męża, który skwapliwie wykorzystywał każdą wolną chwilkę na drzemkę, co, jak wiedział każdy doświadczony wojownik, było roztropne. Jego czarka — zwyczajna, z pokrytego rytami brązu — wypadła mu z ręki. Srebrzysty Śnieg sięgnęła ostrożnie i postawiła ją, a potem odwróciła się, by popatrzeć na Wierzbę, siedzącą z Soból obok Basicha, z głową opuszczoną jak przystało na skromną dziewczynę z kraju Ch'in, i podawała mu jedzenie i picie. To był interesujący widok — pomyślała sobie Srebrzysty Śnieg — kiedy Basich śmiał się i próbował różnymi sztuczkami doprowadzić do tego, by Wierzba podniosła wzrok. Basich miał małe dzieci, nie brak było mu koni ani władzy w klanie, a wyraźnie nie pogardzał Wierzbą za to, że była kulawa i szpetna... jeżeli rzeczywiście była szpetna. Tutaj, tak daleko od Chang'an i sztywnych kanonów

piękności Świetlanego Dworu, lśniące włosy Wierzby i jej proste brwi miały jakąś swoistą urodę.

Ach, więc udało mu się zdobyć uśmiech dziewczyny, zauważyła Srebrzysty Śnieg. I pomyśleć tylko, że droczyła się z Wierzbą na temat lisiąt. No cóż, na każde stworzenie przychodzi jego pora. Może źle czyniła, trzymając dziewczynę tak blisko siebie. Gdyby udało się zaaranżować małżeństwo, byłaby to dobra wróżba. Powinnam zapytać Vughturoi. Ta myśl przemknęła przez świadomość Srebrzystego Śniegu tak szybko, że ledwie starczyło jej czasu, by się zaczerwienić.

Kiedy im się przyglądała, Basich wyciągnął się rozluźniony na dywaniku, który Wierzba przyciągnęła dla niego, odpoczywając podobnie jak jego pan przed obiecaną ucztą, nad którą w tej chwili czuwała Mocny Język.

Ależ gorące były te ognie, na których gotowano! Srebrzysty Śnieg siłą powstrzymała okrzyk i sięgnęła po swoją własną czarkę. Nawet sfermentowana kwaśność kobyłego mleka ochłodzi jej gardło i spłucze ten kurz, który pokrywał je grubą warstwą. Niemalże czuła już, jak płyn spływa po jej wyschniętym gardle wąską strużką.

— Nie, malutka! Nie pij tego!

Szorstki rozkaz padł nagle, jak grzmot, aż ręka Srebrzystego Śniegu drgnęła. Niemal natychmiast potem *shan-yu* rzucił się na nią, a od uderzenia jego ciała, które wciąż jeszcze było żyłaste od życia spędzonego w siodle, pucharek wypadł jej z ręki, a ją samą rzuciło na poduszki i dywany, z nim na wierzchu, jak gdyby byli rzeczywiście tak z ciała, jak i z przysięgi mężem i żoną.

Czarka potoczyła się po dywanach, światło padło na srebro i żółtawy odcień starej kości. Kości? Więc to wcale nie była jej czarka, tylko ta czara z czaszki, której tak nie cierpiała, że nie chciała nawet patrzeć na nią, a co dopiero z niej pić. Jak to się stało, że czarki zamieniono... i dlaczego?

Shan-yu podparł się i podniósł, z ręki zwisał mu na wpół opróżniony bukłak, z którego nalano kumysu. W chwili kiedy cicho krzyknąwszy Srebrzysty Śnieg usiłowała się podnieść, zatoczył się i sękatą dłonią złapał za jedną z podpór podtrzymujących namiot. Bukłak zagulgotał, kiedy wyteżał siły, by odzyskać równowagę, a ogień rzucał na niego bezwstydne światło. Połowa jego twarzy zdawała się płonąć, druga połowa kryła się w cieniu i wyglądała, jak gdyby była z wosku, na który jakiś niedbały rzemieślnik rozlał wrzącą wodę. Żarzące się w misie węgielki zdawały się rozpalać w jego oczach: w ich głębi tańczyły, rzucając groźne spojrzenia,

maleńkie demony.

Khujanga wyciągnął wolną rękę i przyglądał włosy Srebrzystego Śniegu, które rozsypały się od upadku.

— Będę cię strzegł, malutka — wyszeptał, a jego słowa były bełkotliwe.

Z chlupocącym w ręce buklakiem kumysu podszedł chwiejnym krokiem do ogniska i wylał kumys w płomienie, które zamigotały niesamowitymi, mieniącymi się kolorami. Następnie z sykiem ogień zgasł. Wszędzie dookoła podniosły się pełne oburzenia wrzaski kobiet na takie marnowanie dobrego jedzenia i zbezczeszczenie świętego ognia. Do zapachu spalonego jedzenia, popiołu i mięsa dołączyło się coś ostrego o woni gorzkich migdałów. Srebrzysty Śnieg pochyliła głowę, żeby powąchać plamę po rozlanym kumysie na swoich poduszkach. Ona też wydzielala ten zapach gorzkich migdałów. Wierzba, ze swymi wyostrzonymi jak u lisa zmysłami i doświadczeniem całego życia w zielarstwie, wyczułaby to natychmiast, *shan-yu*, ze swoim węchem myśliwego, także zorientował się, chociaż nie zauważył wymiany czarek.

To kobyle mleko było zatrute. Srebrzysty Śnieg starannie wytarła palce w szmatkę i odrzuciła ją, żeby jej przypadkiem znowu nie dotknąć.

Mocny Język pośpieszyła do zbezczeszczonego ogniska podobnie jak wtedy, gdy Srebrzysty Śnieg po raz pierwszy pojawiła się w namiocie *shan-yu*. Jej pokryte odciskami palce na przemian zaciskały się i rozprostowywały na ziemistej skórze, pokrywającej magiczny bębenek, który pulsował, jak gdyby miała w ręku bijące serce ludzkie. Wykonała władczy gest w kierunku kobiet zgrupowanych wokół paleniska, a one skuliły się ze strachu przed nią, bojąc się kobiety, o której powiadano, że rozumie mowę trawy i skał, a nawet samych umarłych.

— Wyrzucie te śmieci! — rozkazała szeptem. U ludzi, którzy znani byli z tego, że nigdy niczego nie marnowali, jej rozkaz wywołał szok — i natychmiastowe posłuszeństwo. To mięso musi być zatrute: czemu inaczej pozbywać się go, gdyby było tylko przypalone i umazane popiołem? Potem odwróciła się do *shan-yu*, który opanował swoje zawodzące go ciało i wyprostował się, by stawić jej czoło.

— Jesteś niezdrów, mój mężu — zaczęła Mocny Język, a jej język wyrażał opiekuńczość żony — Ta mała żmija w jedwabiach zaczarowała cię, zatrula twój umysł tak, że teraz bezczęścisz święty płomień...

— To nie mój umysł został zatruty — głos Khujangi wciąż jeszcze był nieco bełkotliwy, a chociaż próbował krzyknąć, aż żyły nabrzmiały mu na skroniach, wydał

z siebie tylko zduszone chrypienie. — To było to!

Akurat jak Srebrzysty Śnieg zrywała się na nogi, jedną ręką sięgając do swojego sztyleciku o nefrytowej rękojeści, zdecydowana stanąć u boku *shan-yu*, cisnął on bukłakiem, który zawierał to kobyle mleko, w Mocny Język. Mocny Język zręcznie usunęła się w bok, żeby nie padła na nią przypadkiem ani kropelka z tego, co zawierał bukłak, jeszcze jeden dowód na to, że wiedziała, co zawierał.

— Próbowalaś zabić moją żonę — wyszeptał. — Zabić ją i zabić...

— Tak, i zabić ciebie, stary ramolu, tak jak rozwala się głowę zwierzęciu, które je więcej, niż jest tego warte. Twoje słońce zaszło; czas, żeby władza przeszła do młodszych, śmielszych mężczyzn. Takich jak Tadiqan, którego krew nie zmieniała się w mleko, bo jakiś rozpuszczony dzieciak uśmiecha się i śpiewa przez swój szpiczasty nos!

Czy wy to słyszycie! — chciała krzyknąć Srebrzysty Śnieg; ale nie było nikogo, kto mógłby jej słuchać. Na rozkaz Mocnego Języka umknęły wszystkie kobiety. Starzy mężczyźni, tacy jak sam Khujanga, drzemali, a wojownicy dopiero teraz nadjeżdżali.

— Rozkażę, by cię stratowało stado koni! — ślubował najstarszej żonie.

— Ty? — Roześmiała się, pozornie całkiem zadowolona. — Ty będziesz leżał pod swoim kurhanem!

Znowu jej palce zaczęły poruszać się po magicznym bębenu, wybijając rytm tak szybki, że nawet serce jakiegoś młodego, żywotnego mężczyzny nie wytrzymałoby go przez dłuższy czas. Chociaż Khujanga jedną dłonią szarpał się za gardło, a twarz mu spurpurowiała i krztusił się własnym językiem, to rzucił się na nią poprzez zalane palenisko, podobnie jak przed chwilą na Srebrzysty Śnieg.

Bębenek wyleciał jej z ręki, ale stała niewzruszenie nad *shan-yu*, który leżał na twarzy, z rzadką brodą zanieczyszczoną popiołem i śliną.

Mimo upału, jaki panował tego wieczora, Srebrzysty Śnieg zadrżała i odwróciła starego człowieka rękami, które... miała takie uczucie... moczyła przez pół dnia w strumieniu zasilanym przez lód. Ciało jego wydawało się lekkie jak ciało świerszcza, a oczy już zmatowiały, zasnuł je kurz, który wypełnił je przy upadku.

Nie żył już, zanim padł na ziemię.

Umarł — pomyślała Srebrzysty Śnieg. A razem z nim umarła jej nietykalność, nawet jeżeli wąta, dla Mocnego Języka i jej złośliwego syna, który będzie rządził, jeżeli tylko Mocnemu Językowi uda się wezwać go tutaj.

— Vughturoi — powiedziała półgłosem Srebrzysty Śnieg. — Muszę go wezwać. — Kogo mogłaby wysłać po niego? Odwróciła się, wzrokiem szukając Wierzby, która śpieszyła do niej tak straszliwie niezdarnie, że każdy jej krok groził, że się przewróci.

— Wzywaj swojego obrońcę, ale przybędzie za późno — zapewniła ją Mocny Język. Chociaż starannie uważała, żeby się nie odwrócić plecami do pani Srebrzysty Śnieg, schyliła się teraz z jakąś monumentalną pewnością, by podnieść swój magiczny bębenek z płataniny dywanów, pod którą się potoczył.

Srebrzysty Śnieg mogła sobie wyobrazić jego głos, pulsujący w cichym powietrzu, wzywający do powrotu Tadiqana, by żądać tytułu, stać i władzy *shan-yu*... i samej Srebrzysty Śnieg. Żółć zalała jej usta i obawiała się, że padnie na kolana przy ognisku i zbezczesci je jeszcze bardziej, wymiotując, aż stanie się zupełnie pusta. Ale przecież była młodsza, szybsza niż Mocny Język.

Wyciągając nóż rzuciła się w stronę bębena i pchnęła napiętą na nim skórę, która wydała westchnienie, przypominające czyjeś ostatnie tchnienie. Wybacz mi — pomyślała, chociaż nie wiedziała do kogo się zwraca. Może tylko uwolniła ducha, który szarpał się w męce przez te wszystkie lata, odkąd Mocny Język wykorzystwała ludzkie ciało, by dało jej magicznemu bębnekowi głos.

Srebrzysty Śnieg dyszała podnosząc się na nogi, by stawić czoło Mocnemu Językowi. Bała się — z pewnością czuła strach, może nawet większy strach niż ten, który przeżyła czekając na atak bandytów na drodze do Chang'an albo wyslizgując się ze swego namiotu, by podkraść się do białego tygrysa. Po śmierci Khujangi tę kobietę musi uważać teraz za swego otwartego wroga. Srebrzysty Śnieg trzymała sztylet w pogotowiu.

Mocny Język skrzyżowała tylko ramiona na swoim masywnym łonie i roześmiała się. Z zuchwałą powolnością wsunęła jedną rękę w zanadrze swojej szaty i wyciągnęła postrzępiony, splamiony krwią zwitek jedwabiu, noszący pieczęcie, które Srebrzysty Śnieg rozpoznała.

— Ofiara polowania białego tygrysa — szydziła szamanka.

— Daj mi to! — zażądała Srebrzysty Śnieg. Skoczyła naprzód, by ciąć Mocny Język w rękę i wyrwać cenny list, który przynosił jej wieści i radę z Ch'in. Od jej sztyletu na rękę starszej kobiety pokazała się cienka, krwawa pręga, ale w następnej chwili silnie pchnięcie spowodowało, że przeleciała przez namiot i padła jak długa na stos poduszek.

Mocny Język podeszła i stanęła nad nią.

— Leż tak i czekaj, aż przyjdzie Tadiqan. A leżąc myśl o tym!

Rozerwała osłonki listu, które należało otwierać z szacunkiem, i pomachała pani Srebrzysty Śnieg przed nosem jedwabiem, pokrytym nadzwyczaj czystymi pociągnięciami pędzelka.

— Co on ci mówi, dziewczyno? Żebyś czule gruchała nad dzikusami — przy tym ostatnim słowie niemal splunęła — aż staniemy się tacy słabi jak wy w Państwie Środka i da się nas zwyciężyć? Czy każe ci to strzec się Fu Yu, którzy będą jak silna prawa ręka mojego syna, pomagająca odepchnąć was za wasz głupi mur, a potem zwalić go wam na głowy? I nie tylko Fu Yu. Ten, który powinien był rządzić Yueh-chih, jedzie razem z nimi i na rozkaz mojego syna zbierze armię! Przysiągł, że czaszka Vughturoi będzie mu służyła za czarę, jako zemsta za złe obchodzenie się z jego ojcem, dokąd nie zdobędzie czaszki waszego Cesarza!

— Daj mi to! — Srebrzysty Śnieg rzuciła się ponownie na Mocny Język i znowu kobieta rzuciła ją na ziemię.

— Nie próbuj na mnie swoich sił! — zawołała szamanka. Strzeliła palcami i niewolnica podała jej czarę z czaszki, która zawierała to — gdyby jej życie miało być tak gorzkie, jak miała nadzieję Mocny Język — czego może pożałuje, że nie wypić. Szamanka wytarła czarę kawałkiem skóry, następnie postawiła ją na siedzeniu Khujangi, przy którym upadła Srebrzysty Śnieg. — Leż tam i przygotuj się na powitanie mojego syna i twojego nowego pana... córko!

Pogardliwie odwróciła się plecami do mniejszej kobiety i podeszła do ognia, który wciąż jeszcze palił się jasno. Droga wypadła jej tuż przy ciele *shan-yu*, a jej szaty omiotły mu twarz. Śmiejąc się, cisnęła list z Ch'in w płomienie.

Rozdział dziewiętnasty

Starsza Siostró, Starsza Siostró! — Wierzba rzuciła się przy niej na ziemię. — Czy nic ci się nie stało?

— To teraz nieważne! — wykrztusiła Srebrzysty Śnieg. Ani współczucie, ani żadna czułość nie przywróciłyby jej sił w taki sposób, jak cała groźba, którą Mocny Język zawarła w tym jednym słowie: córko. I znowu kuliły się obydwie z Wierzbą w zniszczonym wozie, bojąc się bandytów noszących znak czerwonych brwi, wystraszone, ale zdecydowane raczej umrzeć, niż dać się zgwałcić. I znowu przed Synem Niebios stawiała czoło skorumpowanemu eunuchowi.

Okrzyknięto ją królową, która przynosi Hiung–nu pokój. Jakie to miało znaczenie, że *shan–yu*, któremu ją poślubiono, leżał martwy? Była wciąż królową Hiung–nu i, na wszystko co sobie ceniła, będzie miała coś do powiedzenia w sprawie, kto będzie jej następnym panem.

— Vughturoi — rozkazała Wierzbie. — Musimy go tu ściągnąć.

Pierwszy z książąt, który wróci i zobaczy ciało swojego ojca, odziedziczy jego tytuł: takie było prawo. Srebrzysty Śnieg zdawała więc sobie sprawę, że będzie to wyścig pomiędzy mocą Mocnego Języka a wszelkimi czarami, jakie zdoła przywołać Wierzba.

Ku jej zdumieniu Wierzba nie odczołgała się do kąta, by rozpocząć pełne męczarni spazmy przemiany z dziewczyny w lisa. Zamiast tego chwiejnie minęła tłum Hiung–nu, płacąc kuksańcem za kuksaniec, potykając się, ale jakoś utrzymując na nogach, aż drząc stanęła w półmroku. Jej usta wydały trajkoczący, szczekliwy dźwięk, na który ze wszystkich stron rozległa się odpowiedź. Jeszcze przez moment Wierzba tak stała. Potem padła na kolana i jedną wyciągniętą, dygocącą dłonią przygładziła futro olbrzymiego lisa, który ni stąd, ni zowąd pojawił się u jej stóp. Zwierzę wtuliło nos w jej rękę, szczeknęło jeszcze raz i zniknęło w mrokach nocy.

Wtedy Wierzba ruszyła powoli w dół łagodnym zboczem, na którym rozbito wielki namiot, w kierunku gdzie przedtem leżał Basich. Rozbudzony przez krzyki i tumult w wielkim namiocie, chwycił swą własną broń i śpieszył teraz w górę zbocza do Wierzby, najlepiej jak potrafił, kulejąc tak jak ona. Złapał ją za ramię i wepchnął ją pomimo jej protestów z powrotem do namiotu.

Srebrzysty Śnieg podeszła do ciała starego *shan–yu*. Próbowała sama

wcześniej obrócić go i udało jej się to tylko po części. Teraz jego oczy wpatrywały się w dach namiotu, a ramiona miał szeroko rozrzucone. Był starym człowiekiem; na swój sposób był dobrym przyjacielem Ch'in; i był życzliwy dla niej. Ani poczucie przyzwoitości, ani obowiązku nie pozwalały tak go zostawić, żeby leżał jak długi, pozbawiony godności jaką daje żałoba i czuwanie przy zmarłym. Uklękła i trzymała dłoń na jego zaszklonych oczach, z których na zawsze zniknęły spryt i cały humor, dokąd nie przestały się otwierać i wtedy zabrała rękę. Potem skrajem rękawa otarła mu z twarzy brud i zaschniętą ślinę, próbowała doprowadzić do porządku jego rzadką brodę i złagodzić wyraz jego strasznie wykrzywionej twarzy.

I właśnie wtedy bęben rozpoczął swoje natarczywe bum... bum... bum. Mocny Język nie traciła czasu, od razu naprawiła ten swój przeklęty magiczny bębenek.

A czyją skórą posłużyła się tym razem? Srebrzysty Śnieg przeszedł dreszcz. Zawsze dotąd, kiedy była w niebezpieczeństwie, Khujanga stawał w jej obronie. Jeżeli miała jeszcze jakąkolwiek nadzieję, że tylko omdlał, ta nadzieja już przepadła bez reszty. Oczy jej się zaszklily i łzy spadły na dłonie, zajęte prostowaniem jego pokręconych członków, układaniem *shan-yu* w bardziej godnej pozycji.

Krople krwi wsiąkły obok niego w zakurzony dywan. Srebrzysty Śnieg wydała cichutki okrzyk, kiedy Basich klękał koło niej. Świeże ślady na jego twarzy świadczyły, że obchodzi żałobę po swoim zmarłym wodzu zgodnie ze zwyczajem Hiung-nu, którzy wyciągali noże i rozcinali sobie policzki, by okazać swój smutek. Płakali nie łzami, ale krwią.

— Pozwól, pani. — Podniósł ciało Khujangi, zaniósł je przed miejsce, gdzie ten zwykle siadywał, i ceremonialnie złożył je na dywanach. Popatrzył na odrażającą czarę i skrzywił się.

Srebrzysty Śnieg przyciągnęła poduszkę do boku zmarłego *shan-yu*, tak samo jak robiła, kiedy żył. Nie odczuwała żadnego lęku, żadnej odrazy do zmarłego.

— Ona — wskazał brodą na Wierzbę — mówi, że zrobiła wszystko, co mogła, żeby ściągnąć tu mojego księcia. Ja także pojedę...

— Pojedziesz? — zapytała Srebrzysty Śnieg. — Przecież ty ledwo się trzymasz na nogach!

Na jego umazanej krwią twarzy lśnił smutek i coś w rodzaju chłodnej dumy.

— Zapominasz, pani. Jestem jednym z Hiung-nu, a my jeździmy niemal

zanim nauczymy się chodzić. Grzbiet mojej klaczy jest dla mnie lepszy niż łożko. Sprowadzę z powrotem mojego księcia, by nas miał w swojej opiece. — Wydał z siebie bezsłowny krzyk i chwiejnie wyszedł z namiotu.

Kobiety Srebrzystego Śniegu przysły i przycupnęły koło niej. Pierścieniem otoczyli je najstarsi mężczyźni szczepu, którzy byli zbyt starzy, by walczyć. Młodszy wojownicy, którzy nie pojechali ani z Vughturoi, ani Tadiqanem, przyglądali się, oczy mieli pożądliwe, ciekawe. Wszyscy na policzkach mieli krwawiące ciecica, wszyscy nosili ostrza lub łuki i każdy z nich był osobiście komuś oddany — Srebrzysty Śnieg zmusiła się, żeby nie zgadywać, czy *shan-yu*, który już nie żył, czy starszemu księciu, czy Vughturoi.

A gdybym tak rozkazała: „Zabijcie no tę czarownicę”? — pomyślała.

W myślach ukazała się jej twarz ojca tak wyraźnie, jak gdyby klęczała u jego stóp. Nie wolno jej wydawać rozkazów, które nie zostaną natychmiast wykonane — albo których wykonania nie potrafi sama narzucić. Była zaledwie królową po zmarłym *shan-yu* i nie urodziła żadnego dziecka; na słuchanie jej przyjdzie czas, kiedy Hiung-nu zdecydują, czy przy nowym władcy będzie również miała takie wpływy, jakimi cieszyła się przy starym.

A przecież Mocny Język próbowała mnie otruć. Ona właściwie przyznała się do tego przed... moim mężem.

Nie widział jednak tego nikt poza Khujangą. I czy jej się to podobało czy nie, Mocny Język była znajomą im władzą, była szamanką plemienia, bali się jej. Nie, oni nie wedrą się do jej namiotu, żeby ją zabić... chyba nie?

Wystarczająco już długo żyła wśród Hiung-nu, żeby wiedzieć, że warto spróbować. Vughturoi — wślizgnęła się do jej umysłu ta słodka, zdradziecka myśl. Vughturoi będzie się spodziewał, że będzie się broniła, tak jak to zawsze robiła.

— Najlepszy mężczyzna spośród was — powiedziała Srebrzysty Śnieg spokojnie — przyniesie mi głowę Mocnego Języka.

Ten, który się podniósł, nie był mężczyzną, tylko chłopcem o pełnej zapału twarzy. Schyliwszy się przed Srebrzystym Śniegiem w niezgrabnym, chociaż głębokim ukłonie, chwycił włócznię i wybiegł pędem z wielkiego namiotu do tego miejsca, gdzie, jak wiedziała Srebrzysty Śnieg, Mocny Język kazała ustawić swoją kwaterę.

Usłyszała jego przeraźliwy krzyk w tym samym momencie, kiedy z rykiem i smrodem palącego się ciała buchnął migotliwy blask światła, jak olej wylany na

ognisko o północy. Jeszcze dwóch chłopców zerwało się na nogi, na twarzach ich wściekłość walczyła z grozą, ale Srebrzysty Śnieg uniosła dłoń.

— Nie — szepnęła. — Żadnego z was już nie zaryzykuję.

Podobnie jak to było w Zimnym Pałacu, Srebrzysty Śnieg siedziała i czekała, podczas gdy noc mijała, a uderzenia bębna z namiotu Mocnego Języka stawały się coraz głośniejsze i coraz bardziej nagłaçe. Monotonny śpiew wzniósł się, opadł i znowu wzniósł się, już bardziej ochryple. Hiung–nu patrzyli, równie nieruchomi jak Khujanga, ale dużo mniej spokojni.

A Srebrzysty Śnieg klęczała tam, pozbawiona nawet tej pociechy, jaką niosła ze sobą obecność Wierzby. Czy w tym właśnie momencie kulejący lis przepychał się przez trawy ku księciu Hiung–nu? Może on go usłyszy, sięgnie od niechcenia po włócznię albo po łuk, którymi tak po mistrzowsku władał... — Nie! — Srebrzysty Śnieg objęła się ramionami i kołysała się w tył i w przód, jak gdyby lamentując w żalości nad ciałem swego męża. Soból podniosła się i przyniosła obszytą futrem opończę. Mimo że była to letnia noc, Srebrzysty Śnieg wdzięczna była, że opończa jest taka ciepła.

Podniosła wzrok i popatrzyła na tę kobietę, która pierwsza ze swego ludu podeszła do Srebrzystego Śniegu z serdecznością, a nie respektem czy ciekawością. Tej nocy może ucierpieć za tę lojalność. Wszystko zależało od tego, kto zwycięży w tym podwójnym biegu: wezwaniu przez magię i dzikiej jeździe z powrotem do namiotów królewskiego klanu. Chociaż Tadiqan przebywał wśród Fu Yu, śmiało mógł już wyruszyć w drogę powrotną; a stada, których inspekcję przeprowadzał Vughturoi, rozproszone były po wielkich obszarach stepu.

Ciemność spłowiwała w szarość, a wszystkie ogniska w namiotach wygasły. Stopniowo uderzenia w bęben i monotonny śpiew, dobiegający z namiotu Mocnego Języka, przycichły zupełnie. O świcie powróciła Wierzba, idąc bardzo powoli, jakby chroma noga dokuczała jej bardziej niż zwykle. Z bezgraniczną troskliwością usadowiła się przy swojej pani. Kiedy Srebrzysty Śnieg odwróciła się, żeby ją pozdrowić, odpowiedziała tylko westchnieniem i bladym uśmiechem wdzięczności za ofiarowaną sobie poduszkę.

Świt rozjaśnił się w bezchmurny poranek. Słońce wspinając się w stronę zenitu świeciło niemal biało, zapowiadał się gorący dzień. Może tak się stać — myślała Srebrzysty Śnieg — że żaden z książąt nie przyjedzie na czas, by zobaczyć ciało swojego ojca, którego w tym upale nie da się długo zachować. Zapadłe rysy

twarzy już zmieniały kolor, wkrótce ciało zacznie puchnąć. Srebrzysty Śnieg pociągnęła nosem, ale nie poczuła niczego poza zapachem popiołu, potu i napięcia.

Pozwoliła, by z ramion opadła jej obszyta futrem opończa. Wierzba złożyła ją i odłożyła na bok.

Jakiś cień zasłonił światło słoneczne u wejścia do namiotu. Powoli, z namaszczeniem Mocny Język przeszła przez tłum wpatrzonych w nią Hiung–nu, jak gdyby nie istnieli, zatrzymując się dopiero kiedy stanęła przed ciałem *shan–yu*. Za nią podniósł się pomruk, a mężczyźni i kobiety w namiocie zdawali się rozdzielać podobnie jak długie źdźbła trawy gną się w różnych kierunkach na silnym wietrze, zapowiadającym wściekłą burzę. Niektórzy z wojowników przypatrywali się już sobie z namysłem w oczach, zastanawiając się, po której stronie będą walczyli, gdyby Tadiqan i Vughturoi się pobili.

Nie zaszczycając spojrzeniem ani swego zmarłego pana, ani Srebrzystego Śniegu, Mocny Język również uklękła. Połączeni wspólnym niepokojem czekali. Od czasu do czasu ktoś przynosił wodę, którą popijali. Poza tym nie było żadnych białych szat, wynajętych płaczek ani wyszukanych przygotowań. Jeszcze nie. Wojownicy pokaleczyli sobie twarze, kobiety czekały. Następny *shan–yu* wyda rozkazy, jakich będzie trzeba.

Rozległ się tętent kopyt i połowa ludzi w namiocie zerwała się na nogi. Srebrzysty Śnieg ścisnęła dłonie w pięści i wbiła paznokcie w ciało. Kolory dywanów i zasłon zamazały się i zawirowały, fałdy i zmarszczki namiotu wydawały się falować w górę i dół, co groziło jej upadkiem na twarz. Nawet Mocny Język pomimo swojej ogorzalej cery zrobiła się szara z niepokoju.

Ale był to jeden z chłopców, który rzucił się z grzbietu swego konia do namiotu, gdzie padł na twarz — wykazując doskonały takt, Srebrzysty Śnieg nic nie mogła na to poradzić, że to zauważyła — w miejscu dokładnie równo odległym od niej i jej nieprzyjaciółki.

— Nadjeżdżają, o wielkie panie! — wydyszał, a z wysiłku głos mu się załamał.

— Oni, dziecko? — zapytała Srebrzysty Śnieg.

— Który z nich, chłopcze? — zapytała Mocny Język w tym samym momencie.

— Obydwaj książęta, o potężne królowe. — Chłopiec spojrział na jedną kobietę, na drugą, ukorzył się przed oboma nie robiąc miedzy nimi różnicy i umknął, najwyraźniej przedkładając groźbę rzeczywistej wojny nad bliskość tych dwóch

toczących bezdźwięczną wojnę królowych.

— Powitam nowego *shan-yu* — oznajmiła Mocny Język, która zerwała się na nogi, jak gdyby nie żywiła cienia wątpliwości, że to jej syn Tadiqan przybędzie pierwszy.

Jak ja to wytrzymam, by patrzeć na ten wyścig? — zapytała samą siebie Srebrzysty Śnieg.

A jak wytrzymam nie patrząc? — odpowiedziała sobie w chwilę potem i intensywnie zaczęła myśleć o ostatniej bitwie swojego ojca z Hiung-nu. Ona również, nie wzdragając się, stawia czoło swojemu losowi, nawet jeżeli miało to oznaczać oddanie się na łaskę jej ostrej, małej klingi. Podniosła się, wyprostowała plecy zeszywniałe po nocy i dniu spędzonych na czuwaniu przy zmarłym *shan-yu*, i ze świadomym wdziękiem wyszła na zewnątrz.

W stronę obozowiska mknęło trzech, a nie dwóch jeźdźców. Ze wschodu nadjeżdżał Tadiqan, łuk z naciągniętą cięciwą miał na plecach, jego oddział rozpaczliwie usiłował go dogonić. Na widok swojego syna Mocny Język zeszywniała. Jej surowa twarz zdawała się łowić światło słońca i uniosła swój magiczny bębenek załatany, jak zauważyła Srebrzysty Śnieg, paskiem ciemniejszej skóry. Szybko zaczęła wybijać na bębunku nagłący, władczy rytm, a koń Tadiqana przyspieszył kroku. Nawet z tej odległości Srebrzysty Śnieg widziała, jak nisko opada końska głowa. Potknął się, ale szybki, brutalny ruch jeźdźca zmusił go do dalszego biegu.

Srebrzysty Śnieg rzuciła spojrzenie na Wierzbę, która skinęła głową i wymknęła się. Lis lub kilka lisów mogło wystraszyć ten oddział jeźdźców — albo posłużyć za łatwe przypadkowe ofiary, gdyby ukryły się zbyt późno. Potem odwróciła się, by spojrzeć na jeźdźca z zachodu. Był to Vughturoi. Nawet gdyby był dwa razy dalej, Srebrzysty Śnieg przekonana była, że poznałaby go. Towarzyszył mu tylko jeden jeździec, który leżał raczej, a nie siedział w siodle, obejmując ramionami szyję swojego wierzchowca, żeby nie spaść.

— Bracie — szepnęła Soból zza Srebrzystego Śniegu.

Vughturoi był lżejszy od Tadiqana, stanowił mniejsze obciążenie dla swojego konia, a jego wierzchowiec wydawał się bardziej rzeński. Oczy Srebrzystego Śniegu wypełniły się łzami i zamrugła, żeby je rozpędzić. Kiedy znowu otworzyła oczy, zobaczyła, że koń Tadiqana szarpnął się w bok, potem potknął. Ze wspaniałą, brutalną umiejętnością księżę opanował go i zmusił do kroku, który na wpół był galopem, na

wpół zataczaniem się. I znowu koń szarpnął się w bok, jak gdyby chciał coś ominąć na swojej drodze — może lisa? — i znowu upadł. Tym razem umiejętności Tadiqana pozwoliły mu tylko odtoczyć się z padającego konia. Ruszył do przodu biegiem, w którym to sporcie Hiung–nu, będący mistrzami jazdy na koniu, nie mieli wprawy.

Srebrzysty Śnieg roześmiała się z ulgą.

— Tak myślisz, córko? — warknęła na nią Mocny Język. — Mój syn może nie być biegaczem, ale nie ma równego sobie łuczника wśród Hiung–nu.

I rzeczywiście, Tadiqan miał napięty łuk i sięgał po strzałę, a Srebrzysty Śnieg przypomniała sobie. Tadiqan w swoim kołczanie miał kilka cudownych strzał, które wydawały lecąc wrzask i gwizd. Ten dźwięk dla wszystkich jego ludzi oznaczał rozkaz, by napiąć łuki i strzelać do tego celu co ich pan. Gdyby wycelował w młodszego księcia lub jego konia, Vughturoi byłby zgubiony.

— Schyl się! — opanowanie Srebrzystego Śniegu pękło i wykrzyknęła to na cały głos. Teraz z kolei Mocny Język roześmiała się pogardliwie.

Ciszę przerwał gwizd, a Srebrzysty Śnieg przycisnęła dłoń do ust. Drugą poluzowała sztylet w pochwie. Wśród przyjaciół Vughturoi w obozowisku podniosły się wiwaty, kiedy księżę zmusił konia do wykonania ostrego kurbetu, omijając śmiertcionośny grad strzał, lecących za strzałą jego brata. Ten unik mu się udał — pomyślała Srebrzysty Śnieg. Ale jak długo może wymykać się strzałom tak szybkim i tak śmiertcionośnie celnym? Nie mógł, a zwłaszcza przy tym tempie, w jakim jechał. Musi albo zsiąść z konia, albo się ukryć; a wtedy Tadiqan do namiotów dojdzie pierwszy.

Mocny Język wymamrotała coś i na swoim zabójczym bębenu zaczęła wybijać inny rytm. Hiung–nu krzyknęli ze zgrozy i trwogi, a Srebrzysty Śnieg podążyła oczami za ich pełnym przerażenia wzrokiem. Pomiedzy obozowiskiem a księciem Vughturoi ukazała się nagle ściana ognia, uosobienie grozy dla każdego mieszkańca stepu. Tańczyła i potrzaskiwała, powietrze wokół niej wydawało się gęstsze, ścięte od żaru płomieni.

Koń Vughturoi zarżał i stanął dęba wpadając, jak cały jego rodzaj, w panikę.

— Ten ogień wymknie się spod kontroli, ogarnie równiny i zgładzi stada. Nawet te kilka zwierząt, które przeżyje, umrze z głodu! — zawołała Srebrzysty Śnieg do Mocnego Języka. — Jak możesz skazywać na zgubę tych ludzi, którymi ma rządzić twój syn?

Mocny Język odwróciła się, szydząc ze Srebrzystego Śniegu i nie przerywając

zabójczego, ponaglącego rytmu uderzeń w bębenek.

— Ty głupia — powiedziała. — To nie jest prawdziwy ogień ani nie wymknie się on spod mojej kontroli. Skończy się, gdy dotknie go jakaś żyjąca istota.

Oczywiście — dodała — ta istota z wielkim pośpiechem przestanie przechadzać się wśród żyjących; ale przecież nie możemy chcieć za wiele, prawda?

Istota, która dotknie tych płomieni, ugasi je, a Vughturoi jechał na przedzie. Dotknie ognia i umrze! Srebrzysty Śnieg pochwyciła swoje długie spódnice, przygotowując się, żeby pobiec w dół stoku w kierunku ognia, ale pomiędzy nią a wybraną przez nią ścieżkę wbiegł lis o lśniącym futrze, utykający z lekka na jedną łapę i sam pobiegł tą ścieżką.

Wierzbo, wracaj! Srebrzysty Śnieg miała przynajmniej na tyle rozsądku, żeby nie wykrzyknąć tego na cały głos, chociaż w tym momencie wrzask wściekłości i rozpacz chyba lepiej byłby jej zrobił niż srebrna czarka lodowatej wody w samo południe.

Jej krzyk echem odbił głęboki, męski głos: Basich, który ledwo się trzymał w siodle. Patrząc, jak jego pan podjeżdża coraz to bliżej do tej ściany pozornie prawdziwego ognia, zaciął konia, zmuszając go, by w ostatnim wybuchu energii przegonił ustającego wierzchowca Vughturoi i przeciął jego drogę. Nie chcąc go stratować, książę szarpnął konia w bok, a Basich pędził swojego konia coraz bliżej ściany ognia.

Jego koń rżał i walczył z nim, kiedy zbliżali się do płomieni. Przecież on chyba nie wpędzi tego biednego zwierzęcia w płomienie — miała nadzieję Srebrzysty Śnieg. W ostatnim momencie, kiedy zdawało się, że wysoka ściana ognia pochłonie i człowieka, i zwierzę, Basich rzucił się z grzbietu swego konia w ogień.

Zdażył krzyknąć tylko raz. Ogień uniósł się do góry, a potem wypalił się, nie zostało z niego nic, nawet pasmo wypalanej trawy, żeby pokazać, gdzie przeszedł. Jego koń zatoczył szerokie, dzikie koło i pobiegł na równinę.

Zaniechawszy stoickiego milczenia, które było zwyczajem Hiung–nu, Soból wydała jęk żałości. Nogi się pod nią ugięły i upadła.

— Szybko, zabierzcie ją! — rozkazała Srebrzysty Śnieg i posłuchano jej szybko, jak słucha się królowych. Żadnego małżeństwa nie zaaranżuje się już pomiędzy Wierzbą a Basichem; żaden mężczyzna nie będzie się już troszczył o dzieci owdowiałej siostry; a dzieci wojownika zostały osierocone. Wezmę je pod opiekę — pomyślała Srebrzysty Śnieg i uznała, że jest to myśl nadziei.

W następnej chwili przeszedł ją dreszcz. Co się stanie, jeżeli nawet jeszcze teraz Tadiqan wystrzeli jedną z tych zabójczych, wrzeszczących strzał i trafi swego brata w plecy? Podniósł się wrzask powitania, niemal nieodróżnialny od wrzasku grozy i ukazała się straż Vughturoi, mknąc za swoim panem, który ich dotąd wyprzedzał. Niechby Tadiqan teraz wystrzelił, a jeżeli przeżyje, będzie rządził klanem pozbawionym wojowników.

Opuścił łuk, pochylił głowę i ciężkim krokiem szedł w kierunku namiotów. Dwa razy niemal upadł, kiedy z ukrycia w trawie poderwały się jakieś zwierzęta, by gryźć go po nogach i uciekać, zanim zdążył je kopnąć, czy wyciągnąć broń.

W górę stoku, na którym rozpięto namiot *shan-yu*, jechał Vughturoi. Na jego widok pod panią Srebrzysty Śnieg ugięły się nogi, podobnie jak przedtem pod biedną Soból, ale zmusiła się, by wysoko trzymać głowę, chociaż spływające jej po plecach włosy nie były czesane przez dzień i noc.

Odwróciła się i poszła na swoje miejsce u boku zmarłego *shan-yu*. Niech Vughturoi znajdzie ją u boku swego ojca, jak przystało: Khujanga był wielkim władcą i nie powinno się go zostawiać samego. Usta i ręce jej drżały, a oddech był zbyt szybki. Mówiła sobie, że to, co odczuwa, to wdzięczność za ocalenie przed śmiercią z własnej ręki albo przed pohańbieniem z pożądlivych rąk Tadiqana.

Nadejście Vughturoi zapowiedział, zamiast zwykłej dla Hiung-nu wylewności, powitalny pomruk i grzmot setek końskich kopyt i kroków. Vughturoi, pokryty kurzem i śladami podróży, podszedł do ciała swego ojca, wyciągnął nóż i rozciął sobie policzki na znak żałoby. Potem po raz ostatni padł na twarz przed Khujanga.

Kiedy się podniósł, łyż częściowo zmyły upuszczoną przez niego krew. Srebrzysty Śnieg nie wiedziała, że Hiung-nu potrafią płakać. Jego znużone oczy napotkały na moment wzrok Srebrzystego Śniegu i wydawało się, że na jej widok zrobiły się cieplejsze. Natychmiast poczerwieniała, potem zrobiło jej się zimno. I znowu dywany i zasłony zdawały się stapiać ze sobą w jedną, zbyt jaskrawą, niemal mdlącą plamę barwnych odcieni. Wyrzuciła w bok rękę, by uchronić się przed upadkiem.

— Zajmijcie się waszą panią — rozkazał Vughturoi i Srebrzysty Śnieg poczuła, jak jakieś ramiona obejmują ją w dobrze znanym, pełnym uczucia uścisku: Wierzba! Dziewczyna pomogła jej podnieść się, podtrzymała ją. Srebrzysty Śnieg chciała teraz tylko spać, a potem może jeszcze umyć się, zanim stawi czoło temu, co

wiedziała, że teraz musi zobaczyć. A jednak na wrzawę, która podniosła się na zewnątrz namiotu, uzbroiła się w męstwo przed tym, co miało teraz nastąpić.

— To przybył mój brat, ten opieszalec — zauważył księżę Vughturoi, teraz *shan-yu*.

Odwrócił się do tronu *shan-yu* i zobaczył czarę z czaszki, która na nim spoczywała.

— Niech ktoś to zabierze i schowa w bezpieczne miejsce! — rozkazał i usiadł na siedzeniu, które teraz z prawa należało się jemu.

Kiedy dwóch z jego strażników zawahało się, niepewnych jaką szkodę mogą jeszcze wyrządzić Mocny Język i jej syn, Vughturoi klasnął w dłonie.

— Przyprowadźcie ich przed nasze oblicze! — Po raz pierwszy przemówił, jak na władcę przystało, a jego wojownicy pośpieszyli, by otworzyć przejście, którym Mocny Język i jej syn będą mogli iść, aż staną z nim twarzą w twarz.

— No? — zapytał Vughturoi.

Tadiqan zadzierał głowę, najwyraźniej przygotowany do walki na śmierć przeciw roszczeniom swojego brata do władzy ich ojca, dopóki Mocny Język nie podniosła dłoni.

— Czego chciałbyś żądać? — przemówiła ze swoim dawnym autorytetem szamanki.

— Posłuszeństwa — powiedział *shan-yu*. Wskazał dywan, na którym stała szamanka.

Podniosły się szepty, które dochodziły do Srebrzystego Śniegu, przekonujące go, by wyprawiał na tamten świat swego brata i jego zdradziecką matkę. W tym momencie ją też okrutnie ciągnęło, by przemówić za śmiercią Mocnego Języka.

— Niech Boski Król pomyśli, ile to by nam oszczędziło kłopotów — doszedł do niej głośniejszy niż inne szept starszego jeźdźca, który przez długie lata służył Khujandze.

— Tak — powiedział półgłosem Vughturoi. — Ale nie mamy dowodu, a wojownicy naszego brata zbyt są liczni, by ich doprowadzać do gniewu czy wypędzać, bo możemy stracić połowę naszych sił bitewnych.

Ponownie wskazał na dywany.

— Na twarz! — rozkazał. — Albo nasz rozkaz będzie, jaki być powinien, a nie jaki być musi. Upadek na kolana przed swoim *shan-yu* nie jest wysoką ceną do zapłacenia za wasze życie!

I znowu wyglądało na to, że Tadiqan stanie okoniem. Jeżeli raz padnie na twarz przed swoim bratem, będzie po wszystkim, już nie do odwrócenia: późniejszy bunt będzie nie tylko zdradą, ale bezbożnością. Ale ręka Mocnego Języka na jego ramieniu zmusiła go do tego, żeby najpierw uklęknął, a potem padł na brzuch, podobnie jak szamanka.

— Daleko lepiej zabić węża, niż ogrzewać go przy własnym ognisku — powiedziała półgłosem Wierzba. — Chodź, Starsza Siostró, pozwól, że się tobą zajmę.

I nagle pani Srebrzysty Śnieg wydało się, że nigdy w życiu nie słyszała czegoś bardziej cudownego niż ta propozycja. W momencie kiedy Vughturoi wydawał rozkazy, by ponownie rozpalono ogień na paleniskach i rozpoczęto przygotowania do pogrzebu jego ojca, obydwie z Wierzbą wymknęły się z wielkiego namiotu do jej własnego.

Wykąpała się, odrobinę zjadła i czekała, a Wierzba obsługiwała ją, wyczesując kurz z jej włosów i rozczesując je, aż spłynęły w dół po plecach jak jedwabna przędza. Potem naperfumowała Srebrzysty Śnieg jak na wesele i zawinęła ją w delikatne jedwabie, które miały odcienie brzoskwini i moreli. Dziewczyna była zawsze oszczędna w słowach, ale tego wieczoru jej niema cierpliwość raniła Srebrzysty Śnieg tak ostro, jak nóż Vughturoi w żalobie jego twarz. Taktownie próbowała wyciągnąć swoją dziewczynę na jakieś zwierzenia, ale to nic nie dało. Tak więc zapożyczyła taktykę od Hiung–nu i przemówiła po prostu.

— Soból boleje — powiedziała otwarcie. — Wcześniej dzisiaj myślałam, że wy dwie będziecie rzeczywiście mogły zostać siostrami, że porozmawiam z moim panem... A teraz oni obydwoj nie żyją, ten, który mnie poślubił; ten młody, który mógł poślubić ciebie.

Wierzba potrząsnęła głową z pełną znużenia cierpliwością.

— To był tylko sen, nic więcej, jak opary z czwartej czary wina, Starsza Siostró. Pozwoliłam sobie na marzenia, nic więcej.

— A czemuż by to nie miało być czymś więcej? — zapytała Srebrzysty Śnieg. — A czemu i teraz nie ma być, z in...

— Czemu teraz nie ma być?! — krzyknęła Wierzba, przerywając swojej pani po raz pierwszy przez te wszystkie lata, kiedy były razem. — Czy potrafisz patrzeć na mnie, patrzeć na tę nogę, która oznaczałaby moją śmierć, gdyby twój ojciec się nade mną nie zlitował, i naprawdę o to pytać?

Srebrzysty Śnieg przymknęła oczy, potrząsając głową ze smutkiem.

— Widzę tylko Wierzbę, która jest dla mnie jak siostra. A Hiung–nu dosiadają koni. Kiedy się jedzie, nikt nie jest kulawy.

— Starsza Siostró. — Wierzba mówiła cicho, ale z absolutną surowością. — Czy naprawdę myślisz, że zaryzykowałabym wydanie na świat dziecka tak nieszczęsnego jak ja sama? Czy naprawdę myślisz, że potrafiłabym to znieść, żeby takie dziecko porzucono, by umarło i żeby obchodzono się z nim jak ze mną? Ponieważ byłam słaba, więc przez chwilę oddałam się marzeniom. Zapłaciłam za to. Wystarczy.

Srebrzysty Śnieg wyciągnęła dłoń, wzięła swoją dziewczynę za rękę i siedziały tak obie w milczeniu, jakby badały okolicę tylko za pomocą uszu. Od czasu do czasu słyszała, jak w wielkim namiocie podnoszą się okrzyki i huczne oklaski. Potem krzyki ucichły, a z nimi ucztowanie, kiedy Hiung–nu udali się do swoich namiotów, znużeni po czuwaniu przy zmarłym i wyścigu książąt do boku ojca. Wciąż jeszcze czekała, a Vughturoi nie nadchodził.

Co zrobi, jeżeli nie przyjdzie do niej? We wszystkim czego się uczyła, nie było niczego takiego, co przygotowałoby ją na śmiałe szukanie go w jego własnych kwaterach, żeby stanęła z nim twarzą w twarz ze śmiałością kobiety Hiung–nu. Nie: w równym stopniu była damą z Ch'in, jak i królową Hiung–nu. Jako dama z Ch'in będzie czekała, żeby ją wezwano lub odwiedziono.

Wpadające ukosem do jej namiotu światło osłabło, potem zapadła noc. Zaczynało brakować jej tej energii, która ją dotąd podtrzymywała, i pomyślała, żeby udać się do łóżka. A jednak uparcie czekała. Kiedy upłynęły już całe lata, jak jej się zdawało, nagle coś sobie z uśmiechem przypomniała. Może nie będzie musiała ani czekać, ani też szukać swego nowego pana, nawet jeżeli on sam nie mógł się zdecydować, żeby zażądać tego, co do niego należało.

— Przynies mi lutnię — rozkazała Srebrzysty Śnieg Wierzbie. Nie zważając na własną melancholię, Wierzba podniosła się szybko. Srebrzysty Śnieg uśmiechnęła się na widok spojrzenia dziewczyny, pełnego wspólnej, rozradowanej przebiegłości.

Ileż to już lat musiało upłynąć od tego czasu, kiedy będąc w niełasce oddawała się smutkowi podczas wygnania do Zimnego Pałacu i pisała wiersze na liściach, które rzucone na wiatr przyniosły jej przyjaciela i nową nadzieję. I znowu musi posłużyć jej ta piosenka. Srebrzysty Śnieg szarpnęła struny lutni i zaśpiewała:

*Jakże szybko przepływa woda!
Zapomniana w komnatach niewieścich,
Dni mijają beczynnie, daremnie.
Czerwony liściu, rozkazuję ci,
Masz poszukać kogoś
W świecie mężczyzn.*

Ach! Słysząc kroki na zewnątrz namiotu, tak jak słyszała je niemal każdego wieczora podczas tej długiej podróży ślubnej do krainy Hiung–nu. Tego wieczora jednak nie umilkły one na zewnątrz, ale śmiało podeszły do wejścia... i czekały.

— Pani? — Vughturoi mógł być teraz *shan–yu*, ale głos jego bardziej pytał, niż żądał.

Srebrzysty Śnieg podeszła do wejścia namiotu.

— Ta oto — zaczęła — błaga *shan–yu*, by mógł wejść. Boski Król nie potrzebuje pytać tam, gdzie może rozkazywać.

Kiedy Vughturoi wchodził do namiotu, padła na twarz w należnym mu ukłonie.

— Nie, pani! — rozkazał. — Ty byłaś królową, zanim ja tu byłem panem. Podnieś się!

Uparcie, krnąbrnie, Srebrzysty Śnieg przyciskała twarz do barwnych jak klejnoty dywanów, darów ojca tego mężczyzny, aż poczuła jego szorstkie ręce na swoich ramionach, ciągnące ją w górę, stawiające znowu na nogi.

— Czy ta oto może zaproponować ci wino? — zapytała półgłosem.

— Popatrz na mnie, pani — rozkazał Vughturoi.

Po takim rozkazie nie miała oczywiście wyboru, musiała posłuchać. Podniosła wzrok, napotykać jego spojrzenie i poraziło ją to samo uczucie ciepła, niemal powrotu do domu, a napełniało ją ono wstydem — jak raz czy dwa razy przedtem, kiedy patrzyła na niego.

— Ty — wskazał palcem na Wierzbę. — Wynoś się! Wierzba pokuśtykała do wyjścia odwróciwszy się tylko, by uśmiechnąć się niemal zuchwale do swojej pani; a potem Srebrzysty Śnieg znalazła się sam na sam z księciem, którego wezwała, by rządził Hiung–nu i był jej wybranym panem.

— Jeździłem konno wśród naszych stad — powiedział *shan–yu* — kiedy na mojego konia zaczął czekać jakiś lis i nie chciał się oddalić. Nie taka jest natura

lisiego rodzaju. Ale przypomniałem sobie, że takie zwierzę pomagało nam przy walce z białym tygrysem i zboczyłem z mojej ścieżki, by do niego dołączyć. Wkrótce potem spotkałem Basicha, mojego... mojego... przyjaciela. — Głos Vughturoi niemal się załamał.

Srebrzysty Śnieg, zanim wiedziała, co robi, wyciągnęła do niego ręce, gotowa pocieszać tego pana, wojownika Hiung–nu, bo nawet jemu, z czego dotąd nie zdawała sobie sprawy, trzeba było pociechy. Jego ręce opadły z jej ramion, by pochwycić dłonie.

— Powiedział mi on o śmierci mojego ojca i że ty... że ty po mnie posłałaś. Tak więc posłusznie przybyłem — dodał z ironicznym uśmiechem i skrzywił się w proteście na wywołany przez ten uśmiech ból pociętej twarzy — do królowej, która przynosi pokój Hiung–nu. Znowu tak uczyniłaś.

— Nie zrobiłam nic — powiedział Srebrzysty Śnieg — wypełniłam tylko swój obowiązek, mam nadzieję.

Patrzył na nią pełen nie ukrywanego podziwu. Przeszedł ją dreszcz, usiłowała się opanować, nie udało jej się. Gdyby miała gdzieś pod ręką jakąś ciężką szatę zwierzchnią, złapałaby ją i narzuciła na siebie nawet w tym upale.

— Milczenie i posłuszeństwo, to cała ty — wyrwało się nagle *shan–yu* — wyglądasz, jakby pierwszy podmuch wiatru mógł unieść cię do Nieba, które musiało stworzyć kogoś takiego jak ty. A przecież widziałem, jak stawiałaś czoło Cesarzowi, jak ratowałaś jakąś damę, jak polowałaś na białego tygrysa. Nie wydajesz się mocna: kłaniasz się, jesteś posłuszna, naginasz się wszędzie... i zupełnie nigdzie. I przywołałaś mnie do swego boku.

— Ludziom — powiedziała Srebrzysty Śnieg. — Twoim ludziom, którzy są teraz moimi... potrzeba silnego władcy.

— A dopiero co przywołałaś mnie swoją muzyką, jak gdyby to było zaklęcie. Ale nie chciałaś się do mnie odezwać nad ciałem mego ojca, przy moich ludziach. Pani, czy był jeszcze inny powód, czy mógł być inny powód, dla którego wzywałaś mnie? — Jego słowa poplątały się, jak gdyby miał nadzieję, że ona odpowie mu „tak”. Jego ręce zacisnęły się, a następnie rozluźniły, zważając na kruchość dłoni, które ścisnął.

Nadszedł właśnie, jak wiedziała Srebrzysty Śnieg, odpowiedni moment, żeby wygłaszać te ładniutkie przemowy o wiosennych tęsknotach, nad którymi konkubiny w Chang’an wzdychały i chichotały. Takie przemowy zdawały się należeć do świata,

który dawno temu zniknął. Była równie niezdolna do ich wygłaszania jak do okiełznania dzikiego konia. Milcząc odwróciła się i podeszła do skrzyni, w której kilka miesięcy temu ukryła saszetkę na wonności, którą zrobiła z jedwabi i wspaniałych, delikatnych sobolowych futer. Podeszła znowu do Vughturoi, podając mu saszetkę leżącą na wyciągniętych dłoniach.

Uchwycił saszetkę i ręce, które ją trzymały, w swoje własne, pokryte bliznami palce.

— Pamiętam, widziałem coś takiego w Chang'an — powiedział jej.

Spuściła oczy i czekała.

— Basich — poruszył nagle Vughturoi temat, który, jak osobiście uważała Srebrzysty Śnieg, absolutnie nie miał nic do rzeczy. — Jego siostra została bez opiekuna, o jego dzieci nie ma kto zadbać. Zabiorę Soból do moich namiotów, jako jedną z niższych żon.

To miało jednak mimo wszystko coś do rzeczy — zdecydowała Srebrzysty Śnieg; ale absolutnie nie była zadowolona.

Musiała chyba skrzywić się z niesmakiem, bo w gardle Vughturoi zahuczał śmiech.

— Ale Soból zaczeka, jeżeli będzie chciała mieć mojego syna. Bo żadnej kobiety nie przedłożę nad moją królową, która zawsze będzie moją pierwszą żoną i urodzi mojego najstarszego syna. Czy rozumiesz mnie, pani?

Skinęła głową drżąc, jak gdyby było jej zimno, chociaż czuła się cudownie ogrzana i pocieszona. Pełen ognia wzrok Vughturoi nie wydawał się już taki wystraszający. Chociaż była w nim wiedza, której jej było brak, wiedziała że to już nie na długo.

— A więc powiedz to! — rozkazał.

Czemu jej po prostu nie obejmie i nie skończy z tym wszystkim? — pomyślała Srebrzysty Śnieg. Odpowiedź nie była taka prosta: chociaż prawo jego własnego ludu pozwalało mu jej żądać, zdecydował się uszanować ją, zaczekać, aż sama zdecyduje mu się oddać. Wyczuła, że nie zechce czekać długo. Ale tak było trudno, samej oddać.

Przez długą chwilę wpatrywała się w Vughturoi. Nie było wątpliwości, nie był to Han, nie był to też po prostu Hiung-nu: był sobą. Z tą myślą przebrnęła przez moment kapitulacji.

Srebrzysty Śnieg uśmiechnęła się.

— Myślę — powiedziała, uważnie rozważając każde słowo — że w granicach

rozsądku zawsze rozumieliśmy się dobrze.

Vughturoi zrobił krok do przodu i unióśł dłoń, by wziąć ją pod brodę i podnieść jej twarz, by mógł w nią spojrzeć. Srebrzysty Śnieg zdała sobie nagle sprawę, że był pogrążony w smutku, dużo bardziej znużony niż ona. Może dać mu tę pewność, której wyraźnie u niej szukał, i pozwolić mu spocząć w spokoju albo może dalej odgrywać te gry dam z Chang'an.

Uśmiechnęła się i zobaczyła, jak jego smutek i niepewność zmieniają się w swego rodzaju uniesienie. Śmiało teraz spojrzała mu w oczy. Tam gdzie chodziło o niego, skończyła ze spuszczeniem oczu. Zalała ją radość i zadrzała tak jak wtedy, kiedy wiatr przeczesywał stepy, zmieniając na wiosnę długie źdźbła w srebro.

— *Shan-yu* Khujanga — powiedziała swojemu nowemu panu — był mi bardziej ojcem niż małżonkiem. Będzie mi go brakowało. Ale nie miałam ani męża, ani syna. Jednak teraz...

— Teraz będziesz miała obydwu — przyrzekł Vughturoi i przyciągnął ją do siebie, mocno przytulając. Miał bardzo mocne ramiona, jednak wiedziała, że gdyby chciała mu się wyrwać przynajmniej na razie, dałby jej prawo do tej swobody. Może na jakiś czas; ale nie na zawsze. A nie chciała unikać jego objęć, które nie były uściskami kogoś nieznanego ani obcoplemieńca. Vughturoi był jej pierwszym orędownikiem, pierwszym z Hiung-nu, który przedłożył ją nad inną księżniczkę i karawanę jedwabi i klejnotów. Był jej pierwszym przyjacielem, jej obrońcą w czasie długiej, długiej drogi na Zachód.

A ona wykonała dla niego tę wonną saszetkę. Srebrzysty Śnieg zebrała się na odwagę i podniosła oczy. Vughturoi znowu na nią patrzył tak jak tamtej nocy, kiedy wybiegła z namiotu, okryta tylko nocnym strojem i rozpuszczonymi włosami. W jedwabiach, które miała na sobie, było jej za gorąco, ale ich pieszczota przepelniała ją jakąś tajemną rozkoszą. Po rozpalonych oczach Vughturoi poznała, że podzielał ten sekret. Ponieważ od dalszego patrzenia na niego czuła się zmieszana, pozwoliła sobie oprzeć się o tego mężczyznę, który brał ją za żonę, słuchając bicia jego serca, które w odróżnieniu od pulsowania bębenka Mocnego Języka nie groziło jej, a obiecywało siłę i trwałą lojalność na wszystkie nadchodzące dni... dni, które będą dzielić ze sobą.

Rozdział dwudziesty

Królowa, która przynosi Hiung–nu pokój, siedziała w otoczeniu swoich dam i strażników przy pustym krześle *shan–yu* i oczekiwała na jego powrót. Po tym, jak wygnano ją daleko od domu, stworzyła sobie nowy dom i siedziała teraz wśród mężczyzn i kobiet, którzy stali się jej przyjaciółmi, czekając na powrót swojego męża, Vughturoi.

Dni lata minęły zbyt szybko, jak bursztynowe paciorki nanizane na jedwabną nić. Żałowała teraz tylko, że nie może ich zachować, tak jak bursztyn zachowuje nasionko, owada czy pęcherzyk powietrza, które w nim utkwily. Dopiero teraz, z nadejściem jesieni, step stawał się szkarłatny, ale to lato, pierwsze lato jej prawdziwego małżeństwa, pozostawiło po sobie chyba niezatarte wspomnienia: jak starożytne czyny Cesarzy czy opowieści jej ojca. Zawsze dotąd Srebrzysty Śnieg miała uczucie, że jest jak te północne śniegi, od których wzięła swe imię: cicha, spokojna i bierna, zadowolająca się czekaniem, posłuszeństwem. A ponad wszystko zimna, tak bardzo zimna, że żadne wino ani żadne futra na całym świecie nie były w stanie rozgrzać jej, rozpalić w niej promiennego życia.

Myślała sobie teraz, że była pięknym posągiem, niczym więcej — dokąd nie dotknęły jej ręce Vughturoi. Jego dotknięcie, jego uśmiech przewyciężyły ten chłód, te pozy nieśmiałości. Żywa, pełna gorących uczuć istota, która teraz oczekiwała na powrót swojego męża i którą oglądała codziennie w lusterku Wierzby, była jak najdalsza od zimowego mrozu, chociaż nosiła zimowe imię. A ostatnio uważano, że to nie wszystko, co nosi.

Srebrzysty Śnieg uśmiechnęła się łagodnie do swojej dziewczyny, Wierzby, siedzącej obok Soból, pulchnej i pocącej się w bogatych haftach, przynależnych nawet pomniejszej żonie *shan–yu*. Obydwie kobiety pokiwały głowami i poszeptały coś razem, a Wierzba podeszła do niej z wachlarzem. Były dobrymi przyjaciółkami. Połączyło je najpierw służenie jej, potem smutek, a teraz pewność, że ich pani i Starsza Siostra nosiła pod swoim sercem dziecko, które połączy obydwa narody.

Nie dalej jak dzisiaj Wierzba wróżyła z gałązek krwawnika i przyrzekła jej, że to dziecko to będzie chłopiec, syn, który zapewni ciągłość jej rodu, władzy nad ludem i nad *shan–yu*, jakby trzeba jej było jeszcze jakiejś dodatkowej władzy nad nim. Srebrzysty Śnieg nigdy nie zastanawiała się, jak to będzie, kiedy będzie w ciąży.

Spodziewała się uczucia strachu czy dzikiego podniecenia, a nie tej pogodnej pewności. Kto by pomyślał, że taką radość może przynieść mąż, i to taki mąż?

Było jasne, że pocznie szybko z Vughturoi: jakżeby nie? Pomimo tłoku, panującego w wielkim namiocie, Srebrzysty Śnieg przymknęła oczy, przypominając sobie porywczą żarliwość męża, jego dbałość o nią, jego siłę. Pomyślała sobie, że pierwszą połowę dni lata spędziła oszołomiona przez noc. Mogła teraz właściwie ocenić przyciszone chichoty i szepty konkubin na Cesarskim Dworze: były jak zielony ryż w porównaniu z plonem, który teraz w sobie nosiła.

Jako matka syna księcia — nie będzie musiała ustępować nikomu na stepach. Oprócz oczywiście swojego pana; a szybko pojęła, że cieszy go najbardziej, kiedy jest sobą. Od spuszczonego oczu i ukłonów robił się poirytowany, wprawiało go to w zakłopotanie, chętnie wtedy opuszczał ściany jej namiotu, by odetchnąć świeżym powietrzem stepów.

Ale jeżeli jeździła na koniu, czy zajmowała się chorymi, grała, czy śmiała się z bystrookimi dziećmi Hiung–nu, przychodził do jej boku, kiedy tylko mógł. I znowu grała i śpiewała niemal każdego wieczoru przed *shan–yu*, ale tym razem piosenki jej były pełne szczęścia. Chociaż taka mowa przychodziła mu z trudem, Vughturoi dał jej do zrozumienia: nie pragnął odzianej w jedwabie lalki, ale tej odważnej damy w perłach i piórkach zimorodków, która stanęła przed Synem Niebios, by oskarżyć złodzieja, damy, która walczyła z białym tygrysem i która zdobyła dla niego tron. I ku jej wielkiemu zdumieniu ona też go pragnęła. Było to małżeństwo niepodobne do małżeństw, które widziała w innym, jak się teraz zdawało, życiu, po drodze do Chang’an — małżeństw zawieranych przez kobiety, które litowały się nad nią i uważały się za godne zazdrości. Była szczęśliwa. A właściwie powinna być.

Tęsknię za moim mężem — przyznała się sama przed sobą Srebrzysty Śnieg. To było zupełnie co innego nazywać go Vughturoi w ciemnym odosobnieniu nocy, ale rumieniła się wymawiając w biały dzień to imię nawet w myślach. To uczucie nawiedzało ją codziennie, odkąd wyjechał w stronę fortu Han na pograniczu stepów. Chciał, jak jej powiedział, porozmawiać z dowódcą garnizonu — który był synem oficera służącego niegdyś pod dowództwem jej ojca — o propozycji, którą jego ojciec podyktował pani Srebrzysty Śnieg na krótko przed swoją śmiercią, dotyczące ponowienia oferty, by Hiung–nu bronili wszystkiego, co okrywało niebo, od Dunhangu na wschód do Żółtej Rzeki.

Srebrzysty Śnieg przypomniała sobie ostatnią prywatną odpowiedź na tę

propozycję, jaką otrzymała: wydawało jej się, że słyszy w niej głos samego Li Linga: „Minął już ponad wiek, odkąd Wu Ti odbudował Wielki Mur. Nie jest to żadną miarą zwykły wał ziemny. W górę i w dół podąża on za ukształtowaniem terenu, podziurawiony jest jak plaster miodu tajemnymi korytarzami, najeżony ufortyfikowanymi punktami. Czy mamy pozwolić, by ta cała ogromna praca popadła w ruinę?”

Khujandze jednak Syn Niebios odpowiedział dosyć uprzejmie, że Wielki Mur wybudowano, by zatrzymywał w swym obrębie Cesarstwo, a nie by nie dopuszczał ludów z zachodu. A jednak Khujanga nie pozwolił, by na tym stanęło — podobnie jego syn. Jego synowie — przypomniawszy sobie Srebrzysty Śnieg. Dziwne, ale Tadiqanowi podobał się ten projekt.

Może odmowa Li Linga podyktowana była natchnieniem. A gdyby tak Tadiqan został *shan-yu*! Oczywiście, że padł on na twarz przed swoim bratem i przysiągł mu posłuszeństwo. Ale nie czynił żadnego sekretu z tego, jak nie cierpiał Państwa Środka ani jak bardzo pragnął je splądrować. A przysięga złożona bratu nie przeszkadzała mu w tym, żeby nadal utrzymywać swoją zwykłą świtę, złożoną z wojowników i kręgu starych ludzi, których z łatwością można było doprowadzić do utyskiwania, bo pełni byli podejrzeń, że pod rządami Vughturoi władza może przejść od nich w ręce młodszych ludzi i cudzoziemskiej żony *shan-yu* którą, jak widzieli, Vughturoi zamierzał traktować jak małżonkę, zamiast jak oznakę łask Ch'in i uroczą zabawkę.

Wbrew takim malkontentom Vughturoi również rozesłał zwiadowców by, jak mówił, nie spuszczać z oka Fu Yu, którzy w pierwszym sezonie jego rządów zachowywali się spokojnie, obserwując go. Również spadkobierca Yueh-chih nie próbował na razie spełnić swego ślubowania, że będzie używał czaszki Vughturoi jako pucharu. Jednak w zaistniałej sytuacji Srebrzysty Śnieg była przynajmniej nominalnie odpowiedzialna za obozowisko i stada. Samo ponoszenie tej odpowiedzialności poważnie wyczerpywało nie tylko wszystkie zasoby jej cierpliwości, taktu i przebiegłości, jakie posiadała, ale nawet te ich rezerwy, których istnienia sobie nie uświadamiała.

Jednak pewnego ranka zemdląca, a kobiety z obozu przymrużyły oczy (Srebrzysty Śnieg byłaby przysięgła, że ich oczy nie mogą już być węższe), patrząc na nią z zastanowieniem i udały się na poważną naradę z Soból. Odtąd jej los był nieco mniej uciążliwy, przynajmniej w stosunkach z niektórymi kobietami i ich mężami.

Inne jednak... mogłaby spoczywać w nie oznakowanym grobie, a one nadal czułyby się dotknięte samą jej obecnością w ich ziemi.

Nie, to nie był dobry moment na to, żeby Vughturoi wyjechał, chociaż nie miał wyboru, a w każdym razie tak mówił swoim ludziom. Jednak, jak wiedziała Srebrzysty Śnieg, był jeszcze inny powód, dla którego Vughturoi wyruszył w kierunku fortecy, w tę niewielką podróż, która będzie trwała od pełni do pełni i do następnego nowiu: chciał przywieźć listy od Li Linga lub jej ojca, albo nawet samego Syna Niebios. Pisała do nich po śmierci Khujangi, informując ich, że zgodnie ze zwyczajem Hiung–nu poślubiła jego następcę, błagając ich o przebaczenie, że uczyniła tak nie zwracając się do nich najpierw z uniżoną prośbą o pozwolenie. Nie było po prostu na to czasu. Vughturoi musiał zażądać miejsca swego ojca, a kiedy zażądał i jej, nawet przez myśl jej nie przeszło, żeby mu odmówić.

Będę musiała znowu do nich napisać — pomyślała. Ależ przejęty zgrozą będzie dwór! Wydawało jej się jednak, że Li Ling zrozumie. A jej ojciec? Jakże dobrze wiedział, kiedy wyjeżdżała do Chang'an, że to ich ostateczne rozstanie. Zamrugła patrząc na drobinki kurzu, które tańczyły w ukośnych promieniach słońca i zamieniały dywany w rubiny oprawne w złoto i miedź i zaczęła zastanawiać się nad szczęśliwymi imionami dla pierwszego syna i księcia.

W porównaniu z tak ważnym zadaniem jak to, wrogość Mocnego Języka wydawała jej się niczym więcej jak tylko błyskawicą na horyzoncie w upalny dzień. Bez swojego syna — och, jak dobrze teraz potrafiła zrozumieć instynkt, który Mocnemu Językowi nakazywał, by broniła krew z swojej krwi i kość z swojej kości — szamanka zdawała zapadać się w sobie, słabnąć. W tym samym czasie kiedy wyjechał jej mąż, Tadiqan zdecydował się wyjechać, by przeprowadzić jedną z wiecznie potrzebnych inspekcji i przeliczyć stada. Oczywiście błagał ją o pozwolenie; ale jego „błaganie”, jak dobrze oboje wiedzieli, było czystą formalnością. Srebrzysty Śnieg, gdyby nawet chciała, nie mogłaby go zatrzymać. Mogła jednak wysłać z nim mężczyzn, którzy byli lojalni wobec Vughturoi i którzy będą go pilnowali — i zrobiła to. Miała nadzieję, że postąpiła słusznie.

Kiedy Vughturoi powróci do swych namiotów... och, czy ma mu powiedzieć natychmiast jak wróci, czy ma poczekać, aż będą sami? Cichy, pełen nadziei śmiech Srebrzystego Śniegu wywołał tęskny uśmiech na usta Soból i pełne spekulacji i oczekiwania spojrzenia wielu Hiung–nu. Odpowiedziała im spojrzeniem łagodnym, bez wyrazu.

Każe schować ten puchar z czaszki Yueh-chih. Nie była to rzecz, na którą powinna patrzeć przyszła matka. Może powie Mocnemu Językowi również, by schowała swój magiczny bębenek. A jeżeli Tadiqan czy Mocny Język powiedzą cokolwiek, by ją zaniepokoić... niech tylko spróbują! — pomyślała uśmiechając się. Teraz ona doszła do władzy.

Z siedzenia poderwało ją, z jedną ręką na krzyżu a drugą przy ustach, coś, co brzmiało jak burza gdzieś na horyzoncie.

— Popatrzcie, co się dzieje — powiedziała do swoich kobiet samymi wargami. Soból, która miała prawo do własnych służących na posyłki, sama zerwała się i podbiegła do otworu namiotu.

— To nasz pan! — zawołała w momencie, kiedy tętent kopyt i powitalne wrzaski na modłę Hiung-nu zaatakowały ich słuch. Srebrzysty Śnieg zarumieniła się i wyciągnęła rękę, a Wierzba, zebrawszy się na odwagę, pochyliła się do przodu, by ją ująć.

— Starsza Siostrze, brzemiennie kobiecie nie wolno tak gwałtownie się zrywać! — ostrzegła. Niemniej pomogła pani Srebrzysty Śnieg podejść do drzwi namiotu.

Kochana Wierzba! Jeżeli bolała nad stratą Basicha i nad tym, co mogła z nim przeżyć, nikt by tego nie odgadł z czułości, z jaką chroniła Srebrzysty Śnieg przed ryzykiem.

— Starsza Siostrze, oprzyj się na mnie — powiedziała w momencie, kiedy Srebrzysty Śnieg roześmiała się i zaczęła udawać, że ją odpycha. Nie chodzi o to, żeby miała być chorowita, ale jako królowa musi poruszać się z godnością, poinformowała swoją dziewczynę, której udało się — zaledwie — nie roześmiać się tym krótkim, szczekliwym śmiechem, tak podobnym do głosu lisa.

Jak w tańcu wojennym Hiung-nu, mając za partnerów konie, wpadli pędem do obozu. Jak oni szybko i pięknie jechali! Niechby ludzie z Chang'an zobaczyli, jak oni jeżdżą, bez względu na to, jak okrutnie walczyli, niechby tylko to zobaczyli, a nie nazywaliby już swoich zachodnich sąsiadów barbarzyńcami — myślała Srebrzysty Śnieg.

Vughturoi zeskoczył z konia, szukając Srebrzystego Śniegu oczami, które stały się pełne ciepła na jej widok.

Ukloniła się nisko. Potem, kiedy na ramionach nie poczuła ucisku jego rąk, nalegających by się podniosła, spojrzała w górę. Vughturoi przyglądał jej się z troską,

a w ręce miał listy: pęczek drewnianych pasków od jej ojca, oszczędnego jak zawsze, dwie zapieczętowane rolki jedwabiu z dworu.

Sztywna etykieta, w jakiej została wychowana, nie pozwalała jej w tym momencie odezwać się, aż przemówi do niej *shan-yu*; nigdy jeszcze nie była tak blisko pogwałcenia jej zakazów. A potem poczuła dłonie Vughturoi na swoich ramionach, a w uszach zadudnił jej jego niski głos „Żono”.

— Witaj, och, po trzykroć witaj mi — wyszeptała, niemal tylko samymi ustami bezdźwięcznie kształtując słowa, zanim ukłoniła się znowu i powitała go, jak należy. Patrzył na nią z uwagą, oceniając jej siły, następnie wyciągnął rolki i drewniane paski gestem, jakim mógłby podawać miecz jakiemuś podrostkowi.

— Bądź moją odważną damą — rozkazał jej szorstkim głosem, nigdy jeszcze tak szorstko nie odezwał się do niej, i gestem wskazał, by otworzyła swoje listy. Od razu tutaj? Zanim zaspokoi potrzeby swego męża i jego wojowników albo usłyszysz od nich wieści? Skłoniwszy się przed rurką, zawierającą list od Syna Niebios, rozłamała ją i zaczęła czytać.

W następnej chwili wydało jej się, że świat gdzieś odpływa. Tylko mocne ręce Wierzby utrzymały ją w pozycji stojącej. Kiedy puściły ją, zatoczyła się. Słońce świeciło zbyt jasno, kolory, które jeszcze przed chwilą cieszyły jej oczy, wydały jej się krzykliwe, nieznajome... a kim byli ci wszyscy obcy? Nikt z nich oprócz Wierzby nie pochodził z Państwa Środka, nikt z nich nie zrozumie.

Yuan Ti, Syn Niebios, nie żył.

Znowu zmusiła się, by popatrzeć na wiadomość na jedwabiu, na te nienawistne, fatalne ideogramy. Oto one, nie można się co do nich pomylić: znaki imienia Syna Niebios i symbol oznaczający śmierć. W odrętwieniu przeczytała jeszcze kilka następnych kolumn. Tak jak się spodziewała, polecano jej postąpić zgodnie ze zwyczajem Hiung-nu i poślubić następcę Khujangi.

List drgał i tańczył jej przed oczami. Zdała sobie sprawę, że się porusza: Vughturoi prowadził ją do jej namiotu, obok niego szła Wierzba, łajac pod nosem jak rozwścieczony lis lub kobieta Hiung-nu głupotę, która wystawiała kobietę w ciąży na taki szok.

Nie tak miał się dowiedzieć o swoim synu — przesłała myśl swojej dziewczynie. Pomimo upału Srebrzysty Śnieg gwałtownie dygotała. Z wdzięcznością przyjęła szatę, którą Vughturoi narzucił jej na ramiona, i przyglądała się, jak Wierzba wyjmuje czarki. Jakim prawem jej namiot wyglądał tak spokojnie, tak jak zawsze,

kiedy Syn Niebios nie żył? Niemalże dochodziły do niej lamenty rytualnego oplakiwania, te artystyczne szaleństwa żałości, jakie musiały odgrywać niektóre z dam dworu. Dziwne: nie mogła sobie przypomnieć ich imion, a przecież był czas, kiedy łaska tej czy innej, tak ważnej, pełnej blasku istoty, miała tak doniosłe znaczenie dla jej powodzenia. Podejrzewała jednak, że niektórzy członkowie dworu mogą boleć szczerze. List Li Linga do niej zawierał wyrazy smutku, płynące bez wątpienia w równym stopniu z głębi serca, jak zgodne z tym co wypada, a jej ojciec z pewnością pograży się w żałobie po swoim władcy, jak na generała i człowieka przywróconego do łask przystało. Musi spróbować wzorować się na ich przykładzie.

Grobowiec Syna Niebios musi być już niemal na ukończeniu, załadowany posągami koni, wielbłądów, dworem misternie wykonanym z terakoty i cennych metali z całą umiejętnością, na jaką tylko stać rzemieślników Chang'an. Może spoczywał on już w swojej wielowarstwowej trumnie, wspaniałej od farb i klejnotów.

Czy ubrano go w tę zbroję z nefrytu, która była darem jej ojca? Srebrzysty Śnieg poświęciła jedną myśl tej drugiej zbroi, pogrzebowej zbroi dla damy, którą przywiozła ze sobą na stepy razem z innymi skarbami, będącymi jej posagiem i spóźnionym prezentem miłosnym od Syna Niebios. Na tę myśl zamrugała pełnymi łzami oczami.

W głowie jej się kręciło od sprzecznych ze sobą zwyczajów. Sięgnęła po nefrytowy uchwyt swego maleńkiego noża i wyciągnęła go, by pociąć na sobie ubranie. Musi postarać się o białe szaty; musi pościć, powinna się zamknąć w odosobnieniu i oddać Yuan Ti, swemu przybranemu ojcu, odpowiednią cześć. Już spóźniła się z wypełnieniem właściwych obrzędów. Nóż zadrzał jej w ręce na to słowo. Właściwe rytuały... na widok leżących przed nim zwłok swego ojca, Vughturoi okaleczył swoją twarz, bolejąc krwią, a nie łzami. A Srebrzysty Śnieg była teraz kobietą Hiung–nu.

Drżąc podniosła swój nóż, a Vughturoi wytrącił jej go z ręki.

— Jesteś brzemienną kobietą — krzyknął na nią — i rozkazuję ci, żebyś nie pościła, nie robiła sobie żadnej krzywdy! Ty, Wierzbo! Dopilnuj no swojej pani, strzeż jej przed nią samą, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Jeżeli nie, odpowiesz mi za to.

Nigdy dotąd na nią nie krzyczał, nigdy nie pokazał jej tej furii, którą obawy Ch'in przypisywały ludowi Hiung–nu. Chociaż na wieść o śmierci Syna Niebios poczuła się zbyt ogłuszona, by płakać, gniewne słowa Vughturoi wycisnęły jej łzy z oczu i opadła osłabła na najbliższy stos poduszek, zalewając się łzami jak słabeusz z

Wewnętrznych Dziedzińców Pałacu.

Jej mąż natychmiast znalazł się u jej stóp, chwytając ją za ręce, tuląc ją w swoich objęciach, przemawiając do niej pieszczotliwym, uspokajającym tonem — jak gdyby była żrebną klaczą — pomyślała Srebrzysty Śnieg. Hiung–nu byli łagodni dla swoich koni. Wbrew wszystkim dowodom tego lata nie podejrzewała, że ta łagodność może objąć i ją.

— Nie chciałem, żebyś się kaleczyła albo bolała tak, by naszemu dziecku stała się krzywda — powiedział jej. A więc to był ten lęk, który widziała w jego oczach? Kobiety, które znała w Chang’an, ten ogród Lilaków, Piwonii i Kwiatów Brzoskwini, kiedy raz zostały zbesztane, ociagały się i boczyły, żądały prezentów z klejnotów i futer, zanim zwróciły jaśniejszą twarz ku swoim panom, ale nie był to sposób postępowania pani Srebrzysty Śnieg. Zbiłoby to z tropu i sfrustrowało jej męża, a nie pokierowało nim (co nie było jej celem) ani go pocieszyło.

— Miałam nadzieję — powiedziała mu — że powiem ci o naszym synu w bardziej pomyślnej chwili.

Poprosi Wierzbę, żeby ułożyła pentagram z łodyżek krwawnika, a przede wszystkim napisze do Li Linga i poprosi go, żeby zasięgnął porady czarownika taoisty co do przyszłości jej dziecka. On nie może dzielić smutku po śmierci Syna Niebios.

— Niezależnie w jakiej chwili — powiedział Vughturoi z obojętnością człowieka stepów na zasadność czekania na pomyślne momenty — witam go z radością. Spadkobierca Hiung–nu! — Od jego uniesienia niemalże zafalowały jedwabie i panele ścian jej namiotu. Potem znowu ściszył głos i przytulił ją mocno.

— Nie płacz, pani — powiedział półgłosem. — Czy ja ci bronię boleć? Będziesz bolała, jeżeli musisz, ale nie wolno ci zrobić krzywdy ani sobie, ani naszemu synowi. Musisz jeść, spacerować na świeżym powietrzu, a przede wszystkim nie wolno ci cię kaleczyć. Jesteś zbyt piękna. Zostaw to mężczyznom takim jak ja. Obiecuj mi to, pani.

Skinęła głową, niezdolna do oporu. Posłuszna jak dziecko wypita to, co jej podała Wierzba, a potem pozwoliła, by dziewczyna ją rozebrała i chociaż dopiero było południe, położyła ją do łóżka. Przez jakiś czas Vughturoi siedział obok niej, pomrukując do siebie, kiedy próbował odcyfrować znaki na liście, który otwarła.

Yuan Ti nie żył. Jakie znaczenie będzie to miało dla cesarskiego pokoju z Hiung–nu? Srebrzysty Śnieg usilnie próbowała przypomnieć sobie twarz i opinie

nowego Syna Niebios, ale nie udało jej się. Był tylko jednym z całego szeregu urzędników w czapczkach i bogatych szatach, którzy swojemu poprzednikowi odpowiadali praktycznie jak chór potakiwaczy. To tylko mężczyźni tacy jak Li Ling i jej ojciec mieli odwagę wypowiadać się inaczej, niż oczekiwał Cesarz. Jej przyjaciel i jej ojciec: oni również napisali listy, w których bez żadnych wątpliwości zawierały się rady i mądre omówienia dworskich intryg i polityki, listy, które zbyt długo już czekały, żeby je przeczytała. Musi się otrząsnąć z tej słabości, musi przeczytać je swemu mężowi. Próbowwała usiąść, sięgnąć po listy, ale Vughturoi powiedział „nie teraz” i zmusił ją, by położyła się z powrotem.

Wierzba musiała dać mi jakiś środek uspokajający — pomyślała z oburzeniem. Zdążyła jeszcze tylko rzucić na swoją dziewczynę jedno pełne wyrzutu spojrzenie, zanim powieki jej opadły i światło zniknęło.

Było ciemno, gdy z głębokiego snu obudziło Srebrzysty Śnieg delikatne, ledwo dochodzące do progu świadomości bębnienie. Dwa razy próbowała przewrócić się na bok, zanim posłuchało jej ciało, wciąż w niewoli ziół, którymi napoiła ją Wierzba. Jej wyrzucona ospale w bok ręka trafiła tylko na futra. Jaka to była pora nocy? Nie mogła liczyć na to, żeby Vughturoi całą noc spędził u jej boku, nie wtedy, kiedy tak długo był nieobecny w obozie. Może pojechał gdzieś albo ucztował, naradzając się ze swymi wojownikami, których zostawił na straży swojego domu, próbując zażegnać spór z tymi starcami, dla których jego starszy brat był uosobieniem nadziei na powrót dawnych, pełnych gwałtu dni, przed pokojem z Ch'in.

Bębnienie stało się głośniejsze, pulsowało leniwie w takim rytmie, jak pulsowała jej krew.

— Wierzbo! — zawołała Srebrzysty Śnieg. Wiedziała, że powinna być zaszokowana słabością własnego głosu. — Wierzbo? — Tym razem w jej głosie więcej było siły, ale był taki żalony! Wszystko w porządku. Jeżeli jej mąż spędził jakąś część nocy razem z nią, Wierzba przeniosła się gdzie indziej. Srebrzysty Śnieg była całkiem sama, poza tym zdradliwym... nie, to bębnienie nie było zdradliwe; dlaczego ona, u licha, tak pomyślała?

Było uspokajające, pulsowało jak jej serce, uśmierzając niepokój, z którym się obudziła. Gdyby się z powrotem położyła, może jego delikatny rytm ukołysałby ją znów do snu: tym razem do uzdrawiającego, prawdziwego snu, wolnego od tych obrzydliwych ziół Wierzby.

Ale nie, kadencja bębna przyśpieszyła, wypełniając Srebrzysty Śnieg gorączkową energią, która... jakoś to wyczuwała... pochodziła spoza niej samej. Podniosła się, w duchocie namiotu narzucając na siebie luźno ubrania i wyszła na zewnątrz.

Był nów. Słabo i bardzo daleko, jak gdyby leżał po drugiej stronie pustyni, widać było wielki namiot *shan-yu*, żarzący się od ognia, które w nim płonęły. Bębnienie przyśpieszyło znowu, pobudzając Srebrzysty Śnieg do marszu. Może powinna tam pójść — pomyślała. Tak, tak będzie najlepiej. Vughturoi zobaczy, że jest chora, wezwie Soból i Wierzbę, żeby się nią opiekowały i zostały z nią — albo sam z nią zostanie.

Była tak przekonana, że śpieszy miękko stąpając bosymi stopami w kierunku swojego męża i jego wojowników, że nie w pełni zdawała sobie sprawę, że droga wiedzie ją w zupełnie innym kierunku — do ciemnej masy namiotu szamanki, z którego dochodziło bębnienie. Krzyknęła cicho, kiedy otwarła się kłapa tego namiotu, chociaż nie otworzyła jej żadna, dająca się dostrzec w ciemnościach, ludzka ręka, i próbowała się zatrzymać.

W środku przy ogniu siedziała Mocny Język, gładząc swój magiczny bębenek, pochylając się nad nim z tym samym skupieniem, z jakim Srebrzysty Śnieg podchodziła zawsze do swojej lutni. Z pochyloną głową, z uśmiechem satysfakcji płonącym czerwono w świetle małej misy z żarem u jej stóp, starsza kobieta nie widziała, jak zbliża się jej ofiara.

Nie! — bezgłośnie krzyknęła Srebrzysty Śnieg. Ale ten sam przymus, który kazał jej pójść do namiotu Mocnego Języka, podejść do wejścia, otwartego i płonącego w świetle ognia, objął teraz jej język.

Zrobiło jej się zimno. Jeżeli rzeczywiście Mocny Język wezwała ją na swoje czary, Srebrzysty Śnieg śmiało mogła umrzeć tej nocy — i kto się o tym dowie? Mogła przecież obudzić się samotnie, porzucona przez swoje wierne kobiety i — chociaż w to trudno byłoby uwierzyć — chwiejnie wyjść ze swego namiotu, by szukać pomocy, aż ją znalazła Mocny Język. Kto wie? Szamanka mogła nawet winą za jej śmierć obarczyć Wierzbę, która jedynie chciała, żeby Srebrzysty Śnieg mogła spędzić kilka intymnych chwil z mężem. Niech tylko wróci z namiotu Soból (albo po nocy spędzonej na swobodnym bieganiu po stepie), a będzie musiała stawić czoło oskarżeniu o najczarniejsze czary.

Winna była Wierzbie coś lepszego niż to, biednej Wierzbie, która służyła jej

przez całe swoje życie, która swoją pogodą ducha nauczyła ją wytrzymałości na przeciwności losu, której cichy ból po śmierci Basicha miał w sobie więcej godności, niż wszyscy eunuchowie z dworu Syna Niebios razem wzięci. Jeżeli od kogoś nauczyła się miłości, to tym kimś była Wierzba.

Jak gdyby uświadomiwszy sobie, że jej ofiara się waha, Mocny Język przyspieszyła uderzenia w magiczny bębenek. Coraz trudniej było się opierać. Niech już będzie po wszystkim — myślała Srebrzysty Śnieg. Przypomniała sobie teraz, jak tamtej nocy w obozowisku nad brzegiem rzeki, zanim jeszcze jej stopa powstała na stepie, Nefrytowy Motyl została zwabiona w kierunku rzeki, jak biernie wydawała się zgadzać na swą własną zagładę. Mocny Język zrobiłaby wszystko, by chronić swojego syna, oddałaby nawet własne życie.

Ja też mam syna, którego muszę chronić — pomyślała Srebrzysty Śnieg. Ta myśl oblała ją jak strumień zimnej wody i przekonała się, że jest w stanie zrobić jeden krok w bok, potem drugi, w rozgardiaszu na zewnątrz namiotu szamanki. Chociaż jeszcze tylko dziesięć kroków i będzie w środku. Dziewięć... osiem... nagły ból przeszył bosą stopę Srebrzystego Śniegu. Ten ból przerwał czar, który kazał jej słuchać wezwania Mocnego Języka. Z przytomnością umysłu, którą udało jej się przywołać tylko raz czy dwa razy w życiu, przygryzła wargę, żeby nie krzyknąć z bólu, i zmieniła swoje potknięcie w możliwość pochwylenia tego czegoś, na czym stanęła.

Trzymała strzałę z dziwnie uformowanym grotem, z beltem noszącym charakterystyczny znak Tadiqana. W momencie kiedy na nią patrzyła, podniósł się nocny wiatr, a z grotu strzały wydobyło się ciche gwizdanie. Była to więc jedna ze straszliwych, gwizdzących strzał, które służyły jako sygnał dla jego wiernych wojowników, by wypuścili swoje własne strzały w wybrany przez niego cel. Celem tym mogła być ona, jej mąż czy jakikolwiek inny wróg.

Za długo zachowywali się spokojnie, on i Mocny Język.

Srebrzysty Śnieg wiedziała, że miała rację żałując, że tych dwoje pozostawiono przy życiu. Będzie musiała powiedzieć Vughturoi...

— Chodź tu, dziewczyno.

Mocny Język stała w wejściu do swojego namiotu z bębenkiem pod pachą, trzymając w drugiej, wolnej, wyciągniętej ręce czarę ze srebra i kości. To, co zawierała czara, lekko parowało, a Srebrzysty Śnieg w tym samym stopniu ani nie miała ochoty wypić tego, ani wejść do środka namiotu.

Nie starczyłoby już jej sił na słowa czy opór, czy cokolwiek poza ucieczką. Odwróciła się, żeby uciekać, ale stwierdziła, że porusza się powoli. Coś ciepłego spływało z jej zranionej stopy. Czy ta strzała była nie tylko zaklęta, ale i zatruta?

— Chodź, dziewczyno. — I znowu ten rozkaz. Mocny Język ruszyła do przodu, Srebrzysty Śnieg jeszcze nigdy nie widziała, żeby była aż tak arogancka w swej mocy, która teraz na nowiu była bardzo silna. — Tadiqan przybędzie przed świtem. Chociaż nie potrafię zrozumieć, dlaczego on ciebie chce, czemu nie miałby się zabawić, zanim skończę z tobą. Chodź i czekaj na niego.

Ja również mam syna, którego muszę chronić! Ta myśl rozpałała krew Srebrzystego Śniegu, dała jej siłę, by nie ustąpić jeszcze przez chwilę, podczas gdy krew z jej stopy wsiąkała w kurz. Ale to było beznadziejne, zaczęła się obawiać. Krew miała swoją moc. Mocny Język będzie wiedziała, jak wykorzystać krew, by ją przywołać z powrotem.

Wielki lis... lisica warknęła i rzuciła się na szamankę, która zachwiała się do tyłu i odzyskała równowagę w porę, by mocno ją kopnąć. Lisica szczeknęła z bólu, a jej szczeknięcie echem rozniosło się po obozowisku. A jednak ponownie rzuciła się na Mocny Język, ale tym razem nie była sama. Dwa inne, większe lisy dołączyły do niej w nękanii szamanki. Lisica zwolniła swój uchwyt na obutej kostce szamanki, by ostro zaszczekać.

Srebrzysty Śnieg nie musiała widzieć Wierzby w jej ludzkim kształcie, by zrozumieć, co znaczyły szczeknięcia lisa.

— Uciekaj, Starsza Siostró!

Chwytając spódnicę zaczęła biec do swojego namiotu. Nagle wpadła na solidną postać kogoś idącego spieszonym krokiem i głośno krzyknęła.

— Ty, pani! Zostawiłem cię uśpioną — oskarżył ją Vughturoi. — A przecież tu się błąkasz...

Zaszokowało ją jaskrawe światło i zeszywniała w jego uścisku, kiedy zaczęło się zbliżać do niej. Vughturoi przymrużył oczy, żeby zobaczyć, kto je niesie, ale Srebrzysty Śnieg, zobaczywszy, że za każdym krokiem pochodnia się przechyla, odetchnęła z ulgą. To była Wierzba, kuśtykała śladem krwawych odcisków stóp, które zostawiła za sobą Srebrzysty Śnieg, i wolną ręką coś rozsypywała. Jej kuśtykanie było tak pełne bólu, tak wyraźne, że bez wątplenia kopniak Mocnego Języka musiał połamać jej jakieś zebra.

— Krew ma moc — mruzczała do siebie Wierzba. — Muszę zapobiec temu,

żeby Mocny Język użyła tej mocy przeciwko mojej siostrze.

— Odejdź od niej, wiedźmo! — warknął Vughturoi. Twarz mu się wykrzywiła w nagłej, niewytłumaczalnej furii, która powodowała, że obawiano się Hiung–nu wszędzie, gdzie tylko pojechali. Wepchnął Srebrzysty Śnieg za siebie i zamachnął się nożem na jej dziewczynę.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Pprzeżazona wściekłością Vughturoi Wierzba szarpnęła się w tył. Jej kulawa noga ugięła się i dziewczyna straciła równowagę. Nie zważając na ból rozciętej stopy Srebrzysty Śnieg rzuciła się z za swojego męża, by złapać Wierzbę, zanim ta upadnie: z oczami szeroko otwartymi z szoku, bólu i trwogi pani i służąca przywarły do siebie — maleńka wyspa Ch'in w morzu traw.

Vughturoi pochylił się i pochwycił pochodnię, zanim wysunęła się z osłabłej garści Wierzby. Od wielu już dni nie padał deszcz, a wszyscy Hiung–nu bali się ognia na stepie. Płomień rzucił na jego szorstkie rysy demoniczną maskę ze światła i cieni, od czego wyglądał w dwójnasób przerażająco.

Jaka była kara za czary? Jedna rzecz była wspólna dla Hiung–nu i tych z Ch'in: nienawiść do magii zastosowanej na ich szkodę. I jeszcze jedno: obydwa narody rozwinęły wysoce pomysłowe i bolesne metody karania.

Z oczami pełnymi szaleństwa Wierzba wpatrywała się w Srebrzysty Śnieg. Kiedy dziewczyna się na niej oparła, potrząsnęła lekko głową, jak gdyby nakazując jej milczenie.

Cóż z ciebie za kobieta, Srebrzysty Śniegu? — zadała sama sobie to pytanie. Przez te wszystkie lata Wierzba strzegła cię, pielęgnowała, kochała. Czy porzucisz ją teraz, ponieważ twój nowy pan nazwał ją wiedźmą?

Czy to dziś w południe pyszniła się sama przed sobą, że znalazła szczęście? Na co takie szczęście, jeżeli ceną za nie ma być zdrada zaufania starej i drogiej towarzyszki?

— Obwiniasz niewłaściwą kobietę, mężu. — Głos Srebrzystego Śniegu był ostry jak strzała, na którą stąpnęła. — Jeżeli się odważysz, oskarż o czary Mocny Język. To ona rzuciła na mnie zaklęcie, gdy byłam słaba i chora.

— To ja podałam ci lekarstwo — powiedziała Wierzba słabo.

— Ty dałaś mi zioła nasenne, i to nie po raz pierwszy. — Srebrzysty Śnieg zlekceważyła tę obiekcję. Zalała ją furia równie gorąca jak furia jej męża, wypalając zimno pozostałe po wcześniejszym zaklęciu. Nawet ból w stopie chyba zelżał. — Jesteś ślepy, mój mężu, ślepy, jeżeli karmisz w swoim obozie żmije, a grozisz mojej najdawniejszej przyjaciółce!

— Czy zaprzeczasz, że posiada ona moc, jakiej nie dano zwyczajnym

mężczyznom czy kobietom?

Wystarczy, że powie „tak”, a będzie bezpieczna, zbyt niewinna by wyczuć obecność magii w swoim własnym domu. Jednak już wcześniej żądano, by wyrzekła się Wierzby, a ona nigdy tego nie zrobiła — i przypomniawszy sobie jak jej ojciec poddał się ojcu tego mężczyzny, by zachować przy życiu swoich żołnierzy.

Kapitulacja jej ojca była słuszna i właściwa — jej kapitulacja byłaby najczarniejszą zdradą.

— Nic z tego, co robi Wierzba, nie stanowi dla mnie tajemnicy — ucięła. — Kto pomógł mi przy tej niemądrej dziewczynie nad rzeką? A jak myślisz, kto pomógł nam... nam, drogi mężu... walczyć z białym tygrysem? Powiem ci, że jeżeli ją odesłesz, jeżeli ją ukarzesz, musisz również ukarać mnie, matkę twojego jedyne go dziedzica.

Ponieważ Vughturoi twierdził, że gardzi milczącym, biernym posłuszeństwem dam z rodu Han, Srebrzysty Śnieg już wcześniej ujawniała swój charakter. Ale czy tak naprawdę było to coś innego niż forma posłuszeństwa, spełnianie jego życzeń? Po raz pierwszy usiłowała mu się przeciwstawić, narzucić... nie moją wolę, tylko to, co jest słuszne — pomyślała stanowczo. Nie płaszczenie się i manipulowanie za pomocą zręcznych sztuczek, ale właśnie to było prawdziwym posłuszeństwem i służbą, jakiej żona winna była mężowi albo poddany panu: podtrzymywać to, co było słuszne nawet w obliczu gniewu, dla dobra tego, któremu musi się służyć.

— Poddaj mnie próbom! — zawołała Wierzba. — Sprawdzaj mnie aż do samej śmierci. Umrę przysięgając, że nie zrobiłam nigdy, przez te wszystkie lata służby, żadnej krzywdy mojej Starszej Siostrze! — Głos miała ochryply od łez i gniewu, a przemawiała bezpośrednio do *shan-yu*, tak jak mogłaby to robić szamanka lub jeniec, który nic nie ma do stracenia.

Vughturoi przyglądał się swojej gniewnej pani, kiedy pomagała Wierzbie usiąść na ziemi. Nienawidziła siebie za gorące łzy, spływające jej po twarzy, chociaż były to łzy wściekłości, a nie słabości.

— Pani — odezwał się Vughturoi cicho, ale głos jego był głosem *shan-yu*, a nie pobłażliwego pana — słowo twoje jest wiążące i honorowane w naszych namiotach, ale muszę mieć dowód, zanim wystąpię przeciw szamance i księciu.

— Więc weź to! — zażądała Srebrzysty Śnieg i wyciągnęła gwizdzącą strzałę w stronę Vughturoi. — Popatrz na tę strzałę i powiedz mi, że to moja Wierzba chowa takie strzały do swego łuku, albo że ona w ogóle używa łuku!

— Nie potrzebuje tego — powiedział Vughturoi — kiedy jest mistrzynią ziół, zaklęć oraz zmiany postaci.

Gestem kazał podnieść się kobietom. Chwiejąc się, usłuchały go.

— Trzymaj to — rozkazał Wierzbie i wepchnął jej z powrotem pochodnię.

Srebrzysty Śnieg cicho krzyknęła, do jej rąk i nóg zaczęło napływać ciepło, pomimo utraty krwi, od której robiło jej się słabo.

— Jedna z tych nikczemnych gwizdzących strzał. Pani, skąd to masz?

— Stąpnęłam na nią — powiedziała mu Srebrzysty Śnieg. — Przed namiotem Mocnego Języka, kiedy stała i przyglądała mi się. Ból przerwał ten jej demoniczny wpływ na mnie i mogłam uciec.

Nocne niebo i namioty przechyliły się gwałtownie. Wyciągnęła rękę i uczuła, że obejmują ją znajome ramiona.

— A więc jest to jedyny przypadek, kiedy taka strzała wyrządziła mi przysługę. — Ponownie Srebrzysty Śnieg poczuła, że się przewraca.

— Przecież ty nie możesz utrzymać się na nogach! — głos Vughturoi przeszedł w słowa, które... Srebrzysty Śnieg była tego pewna... były przekleństwami.

— Ty — rozkazał Wierzbie. — Zabierz moją małą królową do jej namiotu i opiekuj się nią dobrze. Sprawdź, czy w tej ranie nie ma trucizny! — Odwracał się już, by odejść do wielkiego namiotu, długim i zdecydowanym krokiem człowieka, który większość swego życia spędził w siodle. — Aha, jeszcze jedno. Wiedz, że oskarżyłem cię niesłusznie i że ci to wynagrodzę.

Srebrzysty Śnieg podniosła oczy na twarz Wierzby, która odzwierciedlała jej własne zdumienie. W tych kilku zaledwie słowach Vughturoi oskarżył, osądził i uniewinnił dziewczynę, a teraz myślał o wynagrodzeniu szkody. Zagryzła wargę, żeby się nie roześmiać i zobaczyła, że Wierzba potrząsa głową. Nie po raz pierwszy jednak jej dziewczyna była bardziej bystra niż ona sama.

— Ulubieńcu niebios! — zawołała do oddalających się pleców *shan-yu*.

Vughturoi zakręcił się w miejscu, zaskoczony tonem rozkazu w głosie Wierzby. Dziewczyna podniosła pochodnię, by oświetlić poznaną krwią drogę ucieczki Srebrzystego Śniegu.

— O najszlachetniejszy *shan-yu*. — Teraz, kiedy zwróciła na siebie jego uwagę, mówiła mniej władczym głosem. — Jak bez wątpienia wie ten, który jest najświętszy pod kopułą niebios, w krwi zawarta jest wielka moc; a to jest krew twojej pani i matki twego syna. Zezwól, bym zabezpieczyła ją tak, by... by nikt nie mógł jej

użyć przeciw niej.

Vughturoi skinął głową.

— Soból! — wykrzyknął imię swojej pomniejszej żony, potem krzykiem przywołał swoich wojowników.

— Kiedy przyjdzie Soból — powiedział Srebrzystemu Śniegowi — niech odprowadzi cię z powrotem. Wystarczająco dużo zrobiłaś jak na tę jedną noc. A ty... — przemówił bezpośrednio do Wierzby — odpraw takie czary, jakie uważasz za stosowne.

— A co ty zrobisz?! — zawołała za nim Srebrzysty Śnieg. Vughturoi potrząsnął głową.

— To, co powinienem był zrobić już przedtem, ale obawiałem się naruszyć jedność klanu. Zdaję sobie teraz sprawę, że ta jedność to była tylko warstwa farby na... na zbutwiałym drewnie — szukał przenośni ze swoich dni z Chang'an i znalazł ją. — Tak więc wypalę ją ogniem... jeżeli poradzę temu. Niech towarzyszą mi twoje dobre życzenia, pani, a będę mocniejszy. — Znowu ta pozostałość po dworskiej retoryce, której nauczył się w Państwie Środka.

— Zawsze ci towarzyszą. — Srebrzysty Śnieg uśmiechnęła się do niego. — I dobrze o tym wiesz.

Wierzba wyciągnęła wolną rękę i nakreśliła znak błogosławieństwa, którego Srebrzysty Śnieg nigdy nie widziała.

Ku jej zdumieniu, Vughturoi pochylił głowę w podziękowaniu.

— Szamanko — powiedział przyznając jej tytuł Mocnego Języka.

Kiedy wyszły już na jaw jej czary, Wierzba nie korzyła się przed *shan-yu* bardziej, niż to normalnie robiła Mocny Język w czasach, kiedy była w jego łaskach. A wyglądało na to, że czasy te właśnie miały się skończyć.

Vughturoi skierował wzrok w dół na swoją rękę, w której wciąż jeszcze trzymał strzałę Tadiqana. Z okrzykiem obrzydzenia odrzucił ją od siebie.

Srebrzysty Śnieg potrząsnęła głową, następnie pożałowała i tego gestu, i popędliwości swego pana.

— Podaj mi to — poprosiła Wierzbę głosem, który zaczynał być już ochryply i słaby. — Może mu to być potrzebne jako dowód. Przechowam ją bezpiecznie schowaną pomiędzy moimi własnymi strzałami.

Zamknęła ze znużeniem oczy i otworzyła je dopiero, kiedy Soból wykrzyknęła skonsternowana i przyklękła u jej boku. Wszędzie naokoło nich rozgniewani

mężczyźni tupali i mamrotali w odpowiedzi na słowa Vughturoi. Niektórzy trzymali pochodnie, które odbijały się w ich broni i upręży lub układały niemal poziomo za mężczyznami biegnącymi do swoich koni, lub za tymi, którzy śpieszyli w stronę jurty Mocnego Języka. Od czasu do czasu migotliwe światło padało na włosy jakby z brązu i zgarbione plecy Wierzby, pochylającej się, by nagarniać ziemię na zakrwawione ślady Srebrzystego Śniegu.

A potem Soból pomagała podnieść jej się na nogi i udać się w stronę jej własnego namiotu. Srebrzysty Śnieg, osłabiona przez utratę krwi i swoje własne namiętności, pozwoliła swej świadomości dryfować. Jakie to dziwne — myślała — znaleźć się wśród tych, których każdy w Państwie Środka nazywałby dzikusami, wiedzieć, że jest kobietą najważniejszego spośród nich i mieć poczucie, że jest bardziej bezpieczna i bardziej żywa, niż kiedykolwiek miała nadzieję.

— Muszę napisać do... — wymamrotała.

— Starsza Siostrze? — zapytała Soból, pomagając Srebrzystemu Śniegowi ułożyć się na futrach jej własnego posłania. — To będzie bolało — ostrzegła, lejąc wino na rozciętą stopę Srebrzystego Śniegu.

To był najgorszy ból, jakiego kiedykolwiek w życiu zaznała, ale zagryzła wargi. Poród, kiedy już przyjdzie, będzie gorszy; nie wolno jej pohańbić ani siebie, ani swojego męża.

— Śpij teraz — nalegała Soból, kiedy już zabandażowała oczyszczoną ranę. Srebrzysty Śnieg potrząsnęła głową.

— Jestem królową — powiedziała. — Będzie mnie przy sobie potrzebował. Pomóż mi wstać i przyoblecz mnie w szaty królowej.

Na zewnątrz krzyczeli wojownicy. Srebrzysty Śnieg wyczuwała uderzenia wielu kopyt, kiedy jeźdźcy opuszczali obozowisko. Skinęła głową. Gdyby to ona była władczynią, wysłałaby swoich najbardziej zaufanych oficerów, by schwytali Tadiqana.

Kiedy Soból przedstawiła jej szaty do wyboru, odsunęła od siebie obydwie.

— Zanim się ubiorę, podaj mi jedwab, pędzelek i tusz — powiedziała jej. — Nie, nie mam gorączki, ale wymyśliłam sposób, by pomóc naszemu panu, sposób, do którego on sam by się nie poniżył. I znajdź mi kogoś, kto zawiezie wiadomość do garnizonu.

Hiung–nu mógł nazwać to poniżaniem się, ale Srebrzysty Śnieg, zanim zrobi cokolwiek innego, napisze do komendanta garnizonu, którego ojciec służył pod jej

ojcem, i będzie błagać go, by wysłał oddziały na patrol. Jeżeli będą wyglądać jak sojusznicy, zbierający się przeciw zbuntowanemu Hiung–nu, tym lepiej. Vughturoi nigdy by nie prosił o pomoc tam, gdzie miał zamiar jej udzielić, ale ona zdecydowała, że mimo wszystko przyniesie mu ona korzyść.

Twarz Soból, która już przedtem pociemniała z troski o Srebrzysty Śnieg, sposepniała jeszcze bardziej. Gdyby żył jej brat, to on byłby tym wybranym posłańcem królowej. Ale przecież nie czas na żale. Nie tak postępowali Hiung–nu.

Ręka Srebrzystego Śniegu drżała, kiedy podnosiła pędzelek. Czy trzęsała się tak, kiedy walczyłaś z bandytami czy z białym tygrysem, dziewczyno? — zapytała samą siebie. A czy pędzelek nie jest bronią, tak samo jak łuk czy klinga? Jesteś córką generała i żoną wojownika. Pisz więc i dosyć tej słabości.

Pomimo niecierpliwości pani Srebrzysty Śnieg księżyc na niebie urósł do słabego, kruchego rogalika, zanim Soból, po trzykroć czujna strażniczka Srebrzystego Śniegu, pozwoliła jej spróbować się podnieść. Ale zanim naprawdę była w stanie przejść parę kroków, księżyc zrobił się pulchny, przyjął kształt plastra kuszącego, bladego melona.

Soból podała jej rękę, żeby ją podtrzymać, ale Srebrzysty Śnieg odmówiła i opierając się na swoim łuku, przyobleczona jak na królową przystało, wykuśtykała ze swojego namiotu. Spotkała idącą w jej stronę Wierzbę i powitała ją ciepło. Nieczęsto widywała ją od dnia, kiedy odniosła obrażenia. Kiedy Vughturoi zabrakło usług Mocnego Języka, zażądał od Wierzby, by mu służyła jako jasnowidz i przy sposobności jako strażniczka szamanki, której miejsce zajęła.

Obie kobiety zrównały krok i utykając poszły w kierunku namiotu *shan–yu*. Idziemy teraz takim samym krokiem — pomyślała Srebrzysty Śnieg. Tyle że Wierzba szła bez kuli, a jej własna stopa bolała za każdym razem, kiedy stąpnęła nią na ziemię.

— Zagoi się, Starsza Siostró — powiedziała jej Wierzba, która myśli swej pani znała za dobrze, by musiała zadawać pytania. — Niedługo będziesz już chodziła bez bólu i bez utykania. Przrzekam ci, że będziesz biegała za malutkim księciem Hiung–nu i nawet nie braknie ci tchu.

— Jak się wiedzie dzisiaj mojemu panu? — zapytała Srebrzysty Śnieg Wierzbę.

Dziewczyna uniosła swoje równe brwi w zdumieniu, które zgodnie z zamierzeniem miało być humorystyczne.

— On ci nie mówi?

Srebrzysty Śnieg potrząsnęła głową.

— On mówi bardzo niewiele, wołac... a przynajmniej tak twierdzi...
odpoczywać i żebym ja odpoczywała.

To, co Srebrzysty Śnieg wiedziała i o czym nie chciała mówić Wierzbie, to była reakcja Vughturoi na jej list do komendanta garnizonu Ch'in.

— I znowu, pani, ośmielasz się robić to, czego mnie robić nie wolno! Chociaż nie mogę prosić o pomoc ani jej nie potrzebuję, z zadowoleniem zobaczę oddział żołnierzy z Ch'in pod warunkiem, że szybko wrócą na swoje właściwe miejsce.

W tym momencie Srebrzysty Śnieg rozumiała, że wtrąciła się już na tyle, na ile mogła sobie pozwolić i ukierunkowała swoje wysiłki na złagodzenie trosk *shan-yu*. To, że udowodniono mu, że nie miał racji, było ciosem dla jego wiary w siebie, a wśród Hiung-nu taki cios mógł stać się ciosem śmiertelnym. O żadnej z tych spraw nie mogła jednak nic powiedzieć Wierzbie.

Może zresztą jako szamanka już to wyczuła i na swój pełen miłości sposób poczyniła kroki, by go również uleczyć.

Kulejąc krok w krok ze swoją dziewczyną Srebrzysty Śnieg weszła do wielkiego namiotu *shan-yu*. Jak obuchem uderzyły ją gorąc, hałas, kolory i zapach kumysu oraz gotującego się mięsa i mimo woli zrobiła krok w tył, dokładnie tak jak to się stało, kiedy po raz pierwszy spotkała Khujangę. Jej gojąca się stopa trafiła na kamyk i Srebrzysty Śnieg zdusiła w sobie pragnienie, by się wzdrygnąć czy krzyknąć.

Już po chwili, w nagrodę, oczy Vughturoi rozjaśniły się na jej widok i skinął na nią, by podeszła bliżej. Nie mógł posadzić jej na swoim własnym miejscu ani podnieść się dla niej, nie spodziewała się też po nim takich nieumiarkowanych względów. A jednak dopilnował, żeby usiadła obok niego, żeby ją szybko i dobrze obsłużono i żeby posłańcy należący zarówno do stronników Vughturoi, jak i do innych klanów, którzy wjeżdżali i padali przed nim na twarz, oddawali i jej odpowiedni hołd. Równie ważne było to, że nalegał, by mężczyźni z innych klanów, wahający się czy wyjawić swoje informacje przed kobietą z rodu Han, mówili w jej obecności.

Siedziała w milczeniu, ze spuszczoneymi oczami, przybierając pozory skromności, co dawało jej czas na zastanowienie. Tak. Więc przyjaciele Tadiqana wśród Fu Yu wciągnęli w zasadzkę jego straż, a jemu samemu pozwolili jechać wolno! W takim razie musi on znajdować się teraz w drodze powrotnej do ludu, który

miał nadzieję uczynić swoim.

Tętent kopyt na zewnątrz namiotu wzniósł się nieomal do szaleństwa, jakiś koń zarżał, następnie stęknął z wyczerpania. Straż Vughturoi czujnie zerwała się na nogi z wyciągniętą bronią, kiedy do środka chwiejąc się wszedł samotny jeździec. Pokrywał go żółty i czarny kurz, a oczy miał czerwone z niewyspania. Po raz pierwszy odkąd przybyła do Hiung–nu, Srebrzysty Śnieg zobaczyła człowieka, który miał dokładnie taki wygląd, jaki lęk i ignorancja przypisywały jej przybranemu ludowi. A przecież ten człowiek był prawdopodobnie najbardziej zaufanym posłańcem., jakim po śmierci Basicha dysponował Vughturoi.

Rzucił się na ziemię, bardziej padając z wyczerpania niż kłaniając się *shan–yu* i wydyszał wieści o kolumnie posuwającej się na zachód od garnizonu Ch'in.

— A co z Fu Yu? — zapytał Vughturoi. Jego dłoń pochwyciła drzewce włóczni i zacisnęła się nagle.

Widząc to mężczyzna zamarł w bezruchu i Srebrzysty Śnieg przypomniała sobie opowieść o bladych barbarzyńcach Hu, którzy zamieszkiwali daleko na zachodzie. Powiadano, że ich władca zwykł był tracić tego, kto mu przynosił złe wieści, zamiast nagradzać go jako źródło informacji.

— To nie ma znaczenia — mówił z namysłem Vughturoi do tych swoich doradców, którzy siedzieli najbliżej niego — czego pragnie ten pretendent Yueh–chih. Tadiqan pragnie tego miejsca, tych namiotów. Nie będzie niszczył tego, czym chce rządzić. Wyjdźmy im jednak naprzeciw z tym, co najbardziej szanują.

Skinał na sługę.

— Przynies mi trofeum mojego ojca, czaszkę przywódcy Yueh–chih. — Potem odwrócił się do swoich wojowników. — Trzech z was, przyprowadzić mi tu Mocny Język.

Byli wojownikami, mieli reputację nieustraszonych, a mimo to wyglądali niepewnie. Żaden z nich nie chciał stawić czoła uwięzionej szamance, matce księcia–zdrajcy. To nie przez ignorowanie takich sygnałów zdobył sobie Vughturoi lojalność swoich ludzi. Skinął głową, zamilkł na chwilę i w końcu ze swoich poduszek popatrzył na Wierzbę, klęczącą nieco za swoją panią.

— Będzie wam towarzyszyła nowa mądra kobieta plemienia... jeżeli zechce. Dopilnujcie, by Mocny Język miała, co trzeba, żeby odbyć podróż.

A więc to będzie wygnanie? — pomyślała Srebrzysty Śnieg. Nie było to mądre, zostawiać przy życiu kogoś takiego jak Mocny Język i jej syn, ale miało swój

sens. Vughturoi również obawiał się zgładzić szamankę.

Wchodząc przed swymi strażnikami do wielkiego namiotu, Mocny Język rzucała groźne spojrzenia. Skrzyżowała ręce na swojej szerokiej piersi i niemalże zdołała nadać straży pozór gwardii honorowej dla niej, odzianej w szaty ze skór zwierząt, rzadkich skór węży i drobin błyszczącego kryształu. W zestawieniu z nią Wierzba wydawała się kimś nieistotnym; ale to w jej dłoniach spoczywał magiczny bębenek Mocnego Języka. Najbardziej jednak w postaci Mocnego Języka rzucał się w oczy pasek skóry, którym przewiązano jej usta, żeby nie mogła wykorzystać tego, od czego wzięła swoje imię, do rzucenia przekleństwa na strażników.

— Dobra robota — pochwalił cicho Vughturoi. Na jego delikatny gest Wierzba zajęła miejsce bliżej niego niż Mocnego Języka, która obrzuciła wielki namiot jednym pogardliwym spojrzeniem.

— Będziemy czekać na twojego syna — powiedział jej Vughturoi. — Nie zapomniałem jednak, że jest on równie synem mojego ojca, jak twoim. Tak więc kiedy tu przyjedzie, ponieważ przysięga jego okazała się bez wartości, będzie miał do wyboru śmierć w walce lub wygnanie z klanu, który zdradził. Twój wybór związany będzie z jego wyborem.

Szczęki Mocnego Języka zaczęły chodzić, a żyły na jej skroniach nabrzmiały, kiedy walczyła z kneblem.

— Trzymać ją! — warknął Vughturoi, a jego nieszczęśni strażnicy posłuchali.

Po ponownym tętencie kopyt i okrzyku zewnętrznych straży zebrani w wielkim namiocie zorientowali się, że zbliża się oddział Hiung–nu: ludzie Tadiqana (ci, których nie zabił za to, że mu się opierali), własne straże Vughturoi, które zostały wysłane by go sprowadzić i nawet kilku Yueh–chih.

— Spotkam się z nimi konno — powiedział *shan–yu*. — Każcie wojownikom być w pogotowiu.

Mozolnie Srebrzysty Śnieg zaczęła się podnosić. Jakże nienawidziła tej przeklętej rany, która powodowała, że ciało jej było zdrajcą dla woli!

— Ty nie pojedziesz, pani. — Vughturoi zatrzymał się przy Srebrzystym Śniegu i łagodnie pomógł jej podnieść się na nogi. — To, co nas czeka, to nie polowanie. — W jego oczach pokazał się namysł, a Srebrzysty Śnieg wstrzymała oddech.

— Nie każ mi odejść — błagała. — Gdzie tu na stepie znajdę jakieś schronienie? Najbardziej bezpieczna jestem z tobą.

Jej mąż skinął głową i chociaż był pełen napięcia przed tym, co mogło się przerodzić w walkę, uśmiechnął się do niej.

I to była prawda — myślała sobie Srebrzysty Śnieg, kiedy kuśtykała opierając się na swoim łuku za mężczyznami — nie było dla niej schronienia. To właśnie, bardziej niż cokolwiek innego, był ten kraj śmierci, o którym pisał Sun Tzu. A przecież dla kobiet każda walka była krajem śmierci, a nie grą o ziemię i honory, jak uważało wielu mężczyzn. Odważyła się spojrzeć na Mocny Język, z ogromną pogardą krocząca pomiędzy swoimi strażnikami, którym tylko w niewielkim stopniu udawało się zwolnić kroku, by dostosować się do Wierzby. Przez swe utykanie równie nie pasowała do tej grupy jak sama Srebrzysty Śnieg, ale jej blada, zacięta twarz i płonące oczy zdradziły, że skończyło się ukrywanie, skończyła się pokora. Jak lis, którego nora i młode zostały zagrożone, była rozwścieczona, a jej wściekłość była tym trwalsza, że cicha. W rękach wciąż jeszcze niosła bębenek Mocnego Języka. I to też było właściwe. Ten, którego poświęcono, by wykonać ten bębenek, również musi być tutaj świadkiem.

Żadna z kobiet nie miała złudzeń co do charakteru spotkania. Tylko mężczyźni mieli nadzieję. Kobiety chciały przygotować się na wypadek katastrofy. Wiele pojedzie za Srebrzystym Śniegiem, uzbrojone w łuki i śmiercionośne lance Hiung–nu. Najstarsze z dzieci będą razem z nimi.

— Czekaj, czekaj chwilę! — szepnęła Srebrzysty Śnieg do Soból. Jakiś impuls, którego nie potrafiła wytłumaczyć, kazał jej pochwycić tę czarę z czaszki i spowić ją w kawałek jedwabiu, który wyciągnęła ze swego obszernego rękawa. Potem pośpieszyła dołączyć do pozostałych kobiet.

To Soból przyprowadziła konia Srebrzystego Śniegu, wszyscy wojownicy byli zajęci. Z ulgą go dosiadła. Jadąc konno nie była kulawa. Kiwnąwszy z zadowoleniem głową, sprawdziła cięciwę swojego łuku, zapas strzał i nóż, który nosiła jako ostateczną broń.

Powoli, bez tradycyjnej fanfary wrzasków i popisów jeździeckich, konni wojownicy Hiung–nu zebrali się na zewnątrz obozu i czekali. Nad nimi słońce wspinało się coraz wyżej na niebo, gramoląc się ku zenitowi. Ziemia zdawała się falować od wiatru, wiejącego po usychających trawach, zabarwionych teraz kolorami jesieni. Srebrzysty Śnieg miała nadzieję, że nie spłynie ona krwią przed zachodem słońca.

— Uderz w bęben! — krzyknął Vughturoi. Srebrzysty Śnieg zaszokowało, że

powiedział to do Wierzby. Wierzba, przeobrażona w tym momencie ze sługi czy mądrej kobiety w wojownika, uderzyła w magiczny bębenek, a powietrze zdawało się drżeć od jego głosu. To też było słuszne. Ten mężczyzna czy chłopiec, którego kazała zabić Mocny Język, powinien wziąć udział w sadzie, jaki miał nadzieję odprawić dziś Vughturoi. W bębnieniu, które wzywało wrogów klanu, po raz pierwszy, odkąd Srebrzysty Śnieg go słyszała, nie było zła.

I być może bębenek spowodował, że ukazali się, oto Tadiqan i jego ludzie jechali powoli w stronę obozu. Oni również jechali w milczeniu, stanowiąc zagrożenie, które milczenie czyniło jeszcze bardziej rozmyślnym. Część z nich znała; poznawała wiele twarzy i koni. Inni jednak nosili strój i broń Fu Yu, czy nawet Yueh. Wśród nich najważniejszy był młody mężczyzna, którego oczy natychmiast zaczęły szukać Vughturoi. Spojrzenie jej padło na zawiniątko przy swoim siodle. Miała rację. Podobnie jak bęben, ta czarka, źródło bólu i tylu konfliktów, musi tu być obecna.

Tylu ich przeciwstawiało się Vughturoi! Niepokój przeszył Srebrzysty Śnieg niemal tak ostro jak strzała, na którą stąpnęła, ale zdusiła go w sobie, żeby jej syn nie wchłonął jej lęku, jeszcze zanim się urodzi.

Vughturoi głęboko wciągnął powietrze. Potem głos jego zadzwonił po stepie.

— Niech wystąpi Tadiqan, który był niegdyś moim bratem.

Rozdział dwudziesty drugi

Hung—nu utrzymali dyscyplinę i szeregi jeźdźców pozostały tam, gdzie stały. Tadiqan wysunął konia naprzód z pogardą, widoczną w każdym niespiesznym ruchu jego ciała. Podobnie, jak zauważyła Srebrzysty Śnieg, uczynił wódz Yueh—chih. Vughturoi ruszył im na spotkanie.

— Bracie — odezwał się Tadiqan, nie mając nawet na tyle przyzwoitości, by pozwolić, żeby pierwszy przemówił *shan—yu*, którego zdradził. Równie dobrze mógł splunąć. Jeden z ludzi Vughturoi wykrzyknął z oburzenia, ale Vughturoi gestem podniesionej ręki nakazał ciszę.

— Profanujesz to imię — powiedział mu Vughturoi — jak również swoją przysięgę. Kiedy zostałem wyniesiony na miejsce mego ojca, oddałeś mi pokłon. Czy to tak służysz swojemu klanowi?

— Tak! — wrzasnął Tadiqan, a twarz zrobiła mu się purpurowa z wściekłości. — Zrobisz z nas wszystkich wdzięczące się kopie, na modłę tych półludzi z Ch'in, zaprzędasz nas w niewolę za więcej jedwabiu i klejnotów. Ta dziewczyna o twarzy jak serwatka, która co noc szepce ci o wspaniałościach swojego domu, zdradzi nas wszystkich. Odsuń ją od siebie i jedź wolny! Albo na wszystko co pod czaszą niebios, ustąp i pozwól, by przywodził jakiś mężczyzna!

— Mężczyzna? — zapytał Vughturoi, a jego własny głos podniósł się w groźnym gniewie. — Mężczyzna, który chowa się za swoją matką i toczy wojny z damami? Kogoś takiego ja nazywam nie mężczyzną, ale chłopcem i zdrajcą. I takiemu daję wybór. Wygnanie lub ostateczne poddanie się, tu i teraz, na oczach naszych ludzi. A jeżeli i to zdradzisz, to wiedz, że moja zemsta może nie będzie szybka, ale będzie bolesna i absolutnie pewna.

Tym razem Tadiqan splunął naprawdę.

— Ja dostanę twoje miejsce, a mój krewniak Yueh—chih twoją głowę!

— Nie ma co zadawać się z szaleńcem — zauważył Vughturoi. —

Porozmawiamy, kiedy znowu oprzytomniejesz. Jesteś gorszy niż ci ludzie, których, jak twierdzisz, nienawidzisz. — Pogardliwie odwrócił się plecami do zdrajcy i ruszył w kierunku własnych linii.

Srebrzysty Śnieg głęboko wciągnęła oddech, całkowicie pewna, że zaraz zobaczy, jak zaczyna się wojna. Oszołomieni brawurą *shan—yu*, który plecami

odwrócił się do wroga znanego z tego, że był równie zabójczy co zdradziecki, zarówno jego ludzie, jak i ci po drugiej stronie stali jak wryci.

A potem ręce Tadiqana pomknęły do łuku, nakładając strzałę i naciągając z tą przerażającą gracją, dla której Hiung–nu obawiano się na całym świecie. Srebrzysty Śnieg wrzasnęła, zanim zdołała się opanować i pierwsza strzała chybiła.

Wydało się wtedy, że czas zwolnił bieg. Wydało się, że Srebrzysty Śnieg siedzi na koniu pośrodku pola posągów, na którym poruszało się tylko troje ludzi: Tadiqan, Vughturoi i ona. Vughturoi, który normalnie tak troszczył się o swoje wierzchowce, zawrócił z taką szybkością, że koń zarżał i stanął dęba. W tej chwili tak był zajęty opanowywaniem go, i nie miał sposobności, by wyciągnąć broń.

Zabijaj go, zanim będzie mógł się bronić! Nie stanie się tak! — poprzysięgła Srebrzysty Śnieg. Chociaż wojownik był z niej żaden, to była łowczynią o niepoślednim męstwie. Tylko że już tyle czasu minęło, odkąd ostatni raz jeździła konno ze swoim łukiem! Ale to bez różnicy. Ubolewając nad swoim brakiem wprawy, chwyciła strzałę nie patrząc na nią, nasadziła na cięciwę i strzeliła.

Strzała przeszła ramię Tadiqana. Oczy Srebrzystego Śniegu rozszerzyły się. Jakimś szczęśliwym zbiegiem okoliczności użyła tej jednej jedynej gwizdzącej strzały, którą zachowała! Tadiqan wrzasnął nie tyle z bólu, co na znak protestu i w pełnym grozy przerażeniu, kiedy z tyłu, na ten gwizd odpowiedzieli ludzie, których sam wytrenował, by strzelali, kiedy go usłyszą.

Sto strzał zaskowytało w zabójczym posłuszeństwie, od którego Tadiqan wyleciał z siodła, a koń się zwałił. Strzały przebiły człowieka i konia tak wiele razy, że niektóre brzechwy połamały się, zanim zdołały zagłębić się w ciało. Spomiędzy brzechw sączyła się krew i zbierała w kałuże na zdeptanej trawie.

Z szaleńczą odwagą Srebrzysty Śnieg zmusiła swego konia, by wysunął się do przodu.

— Szukałeś czary zrobionej z ludzkiej czaszki! — jej głos wzniósł się przenikliwie ponad tumult ludzi i zwierząt, kiedy stanęła naprzeciw Yueh–chih. — Więc weź ją!

Wyciągnęła czarę z jedwabnego spowicia i pokazała ją mężczyźnie, który zaprzysiągł zemstę, ponieważ ta czara w ogóle istniała.

— Jako lojalny syn — powiedziała mu — weź ją i pochowaj wedle zwyczajów twojego rodu. — Umieściła ją z powrotem w spowiciu i wyciągnęła, ofiarowując ją jego nagle pełnym czci rękom.

— Nie potrzeba wam jeszcze jednego takiego pucharu — dodała cicho. Oczami błagała go, żeby się z nią zgodził, mając jednocześnie nadzieję, że Vughturoi nie rzuci się do przodu i nie zabije go w jej obronie.

— Nie — powiedział, obracając w kółko węzełek w rękach. — Nie potrzeba, kiedy już odzyskaliśmy honor mojego ojca. Pani, słyszałem o tobie. Okrzyknięto cię królową, która przynosi Hiung–nu pokój, a teraz widzę, że to prawda. Tobie przysięgnę na wierność — powiedział i zsiadł z konia.

W momencie kiedy Vughturoi z rozszerzonymi oczami podjeżdżał na spienionym koniu, dawny sprzymierzeniec Tadiqana padł na kolana, a potem na twarz. Szybko wykorzystując okazję, Vughturoi skinął na swoich ludzi, by okrążyli tamtych.

Ale zza jego własnych szeregów podniósł się tumult koni, przenikliwych krzyków i w końcu śmiertelny wrzask z głębi gardła jakiegoś wojownika.

Srebrzysty Śnieg ośmieliła się obejrzeć za siebie.

— To Mocny Język! — zawołała Soból. — Udało jej się jakoś uwolnić ręce, zabić jednego ze strażników i pochwycić bęben!

Srebrzysty Śnieg słyszała, że wielka żałość lub wściekłość, lub strach mogą człowiekowi dodać nadludzkich sił. Tak się też stało z Mocnym Językiem, która teraz kroczyła naprzód, wybijając na bębnie rytm bardziej dziki i bardziej natarczywy niż wszystkie, które dotąd słyszała.

Twarzą w twarz z oszalałą z żalu i wściekłości szamanką nawet najśmielsi z Hiung–nu zbledli, a po obu stronach wielu z nich rzuciło się z koni, by przypaść twarzą do ziemi.

— Mam go! — wrzasnęła usunięta ze swego stanowiska szamanką. — I wkrótce pomszczę na was wszystkich mojego syna, ja i moje demony!

— Oszalała! — wydała zduszony okrzyk Wierzba, która leżała na ziemi jak długa. Srebrzysty Śnieg dojrzała białe obwódki wokół jej oczu, płonących grozą wobec szaleństwa, jakie nawiedza i człowieka, i zwierzę.

Wokół Mocnego Języka podniósł się wyjący wiatr. Kiedy jeden ze strażników próbował przebić go włócznią, wiatr pochwycił go i rzucił wysoko i daleko. Kiedy spadł na ziemię, usłyszeli, jak roztrzaskują się jego kości. A wiatr ciągle wzmagął się, aż zagłuszył wszystkie inne dźwięki. Usta poruszały się w modlitwie czy wołaniu, konie podrzucały głowami, rżąc w ledwo tłumionej panice; a słyhać było tylko zawodzący skowyt wiatru, miniaturowej wersji kuraburanu albo burz z głębokiej

pustyni, po tysiącokroć gorszych od gwizdzących strzał Tadiqana... dokąd nie roześmiał się pierwszy demon.

W kołującym wirze wiatru, pyłu i piachu na wpół zmaterializowały się postacie gorsze od wszelkich koszmarów z taoistycznych tekstów magicznych. Tańczyły i bełkotały, i wyciągały chciwe szpony. Mocny Język coraz bardziej dziko biła w magiczny bębenek, aż Srebrzysty Śnieg pomyślała, że niechybnie musi on się rozlecieć, na zawsze wypuszczając uwolnione demony na świat.

— To za mojego syna! — zawołała Mocny Język. Tyle udało się usłyszeć pani Srebrzysty Śnieg poprzez ryk wiatru i chichotanie zmierzających ku niej demonów.

Już czuła gorący oddech wiatru. Wiedziała, że nie ma takiego miejsca, gdzie mogłaby się schronić.

— Nie! — jęk sprzeciwu przebił odgłosy czarnej burzy, kiedy Wierzba mozolnie podnosiła się na nogi. Jej kulawa noga podwinęła się, ale dziewczyna złapała równowagę, przechyliwszy się na bok i poszukawszy oparcia w koniu.

— Starsza Siostrze, Starsza Siostrze! — zawołała i rzuciła się nie na Mocny Język, ale pomiędzy Srebrzysty Śnieg i burzę. Poszperała ręką w zanadrzu i wyciągnęła swój największy skarb, srebrne lustro z wyrytymi na nim magicznymi symbolami, które tylko ona jedna potrafiła odczytać. Lustro wydawało się nieprawdopodobnie małe, nie większe od kręgu obojętnego słońca, które lśniło teraz wysoko nad głowami, ale zabłysło światłem i odbiła się w nim w miniaturze cała furia burzy, a w jej sercu Mocny Język, która ją przywołała.

Burza wydawała się kurczyć, jak gdyby coś w lustrze miało nad nią władzę. Wierzba zachwiała się na nogach jak drzewo, od którego wzięła swoje imię. Głowa jej opadła, całe ciało obwisło, ale ręce trzymała zawzięcie w górze, jak gdyby wznosiła tarczę przeciw uderzeniom miecza niezwyciężonego przeciwnika.

Powoli burza zmieniła kierunek, w jakim wirowała wokół swojej osi. Jeszcze wolniej zawróciła w stronę Mocnego Języka, by pochłonąć tę, która ją pierwsza wywołała. Mocny Język odmownie potrząsnęła głową i załomotała w bęben magiczny, a burza ruszyła z powrotem ku Wierzbie.

Dziewczyna zadrżała, ale zmusiła się, by pokuśtykać do przodu, najpierw jeden krok, potem drugi, ciągle trzymając lustro pomiędzy burzą demonów a sobą i stojąc przed swoją ukochaną panią.

— Nie, Wierzbo — cicho krzyknęła Srebrzysty Śnieg, ale dziewczyna raz szaleńczo potrząsnęła głową, odrzucając wszelką pomoc, jaką jej mogła zaoferować

jej pani czy któryś z wojowników, jako niemożliwą. Sama Srebrzysty Śnieg rozważała, czyby nie naciągnąć łuku i nie wystrzelić w tę burzę, ale kto mógł przewidzieć, co te wiatry zrobią ze strzałą? Mogły ją posłać gdziekolwiek, nawet z powrotem do łuczniczki.

To właśnie próbowała zrobić Wierzba: odbić tę burzę z powrotem do tej, która ją posłała. Równie wyraźnie Mocny Język usiłowała pokonać swą przeciwniczkę i zmiażdżyć najpierw Srebrzysty Śnieg, a następnie obozowisko. Bębenek i lusterko szły ze sobą w zawody, a pomiędzy nimi szalała burza.

A potem, jak gdyby przez te wszystkie lata bębenek czekał tylko na najwłaściwszy moment, żeby się zwrócić przeciw swojej pani, pożółkła skóra na nim rozdarła się i wyrwał się z niego uwolniony wiatr, tłumiąc wrzaski Mocnego Języka. Nawet w tej chwili były to wrzaski wściekłości, nie strachu.

W następnej chwili lusterko Wierzby pękło na dwoje. Mocny Język upadła smagana wichurą, którą sama wezwała; ale dziewczyna upadła również, jak smukłe drzewko wystawione na zbyt silną dla siebie burzę.

Jakiś wojownik przyskoczył do Mocnego Języka i zamierzył się włócznią, by pchnąć ją w gardło.

— Nie zabijaj jej! — krzyknął Vughturoi ochryłym głosem.

Jakaż siła mogła pozwolić tej kobiecie przetrwać taką burzę? Większa niż siły biednej Wierzby, obawiała się Srebrzysty Śnieg. Ześlizgnęła się ze swego siodła i nie zważając na ból w stopie pobiegła w kierunku dziewczyny, która leżała bez ruchu na ziemi. Przybiegła równo z Soból, ale kiedy kobieta Hiung–nu chciała ją ochronić, Srebrzysty Śnieg przepchnęła się do przodu.

— Siostrzyczko? — zapytała cichutkim głosem. Mocny Język przetrwała tę burzę. Czy przesadą byłoby pragnienie, by przetrwała ją również Wierzba, która chciała tylko chronić, pomagać, służyć? Przecież, mimo że w swojej ludzkiej postaci była chroma, miała w sobie również żywotność lisiego rodzaju. Przyjęła na siebie cały impet burzy, żeby ją zawrócić i robiąc to ocaliła niezliczoną ilość istnień. Srebrzysty Śnieg z czułością odwróciła swoją dziewczynę. Delikatnie otarła kurz i trawę z bladej, nieruchomej twarzy. Wargi Wierzby były sine, pierś jej chyba się nie unosiła i ani nie opadała, nawet słabo. Lusterko, gdzie było jakieś lusterko? Jeżeli osadzi się na nim mgiełka, będzie to znaczyło, że to dziewczyna oddycha, żyje, będzie można ją uleczyć. Nie spuszczać ani na moment oczu z Wierzby, Srebrzysty Śnieg jedną ręką zaczęła gmerać w trawie.

Kiedy zacięła się w palec czymś ostrym, triumfalnie wyciągnęła jeden z kawałków lusterka Wierzby, odłamany jakimś trafem w kształt półkola z ciemniejszą plamą na środku. Soból podniosła drugą połowę. Yang i Yin. Na żadnym z nich, kiedy przyłożono je do warg Wierzby, nie pokazał się nawet ślad mgiełki. A potem obydwie odłamki lusterka rozwiały się.

Wargi pani Srebrzysty Śnieg zaczęły drżeć, rzuciła spojrzenie na Soból, która potrząsnęła głową i zaczęła doprowadzać do porządku ubranie Wierzby, obciągając je jak przystoi, by zakryły jej nogi, tę prostą i tę kulawą. Kiedy się przyglądała, pokręcony węzeł mięśni i ścięgien, który powodował, że kaleka noga Wierzby była krótsza, jak gdyby się rozplątał — Wierzba, za życia kulawa, po śmierci leżała cała i prosta.

Na ten widok załamało się kruche opanowanie Srebrzystego Śniegu. Złożyła głowę na znieruchomiałym łonie Wierzby i rozplakała się jak matka bolejąca po śmierci swego pierworodnego.

Vughturoi przyklęknął u jej boku.

— Powiedziała, że przetrzyma każdą próbę, aż do samej śmierci — powiedział. — Ani mi się śniło poddawać ją takiej próbie, przez myśl mi nie przeszło, by miała się okazać tak wierna, jak się okazała. — Poczowała lekkie dotknięcie na swoich włosach i spojrzawszy w górę zobaczyła, że Vughturoi się podnosi.

— Weźcie tę czarownicę — wskazał na nieprzytomne ciało Mocnego Języka — i zwiążcie ją. Zwiążcie ją dobrze, zakneblujcie i strzeżcie jej, dokąd nie zostanie przyprowadzony dziki koń.

W milczeniu Yughturoi czekał, aż spełniono jego rozkaz.

— A teraz przywiążcie ją do jego grzbietu.

Po chwili Mocny Język odzyskała przytomność, ale jej straszliwą żywotność widać było tylko w jej płonących oczach.

— Nie mogę ukarać cię, jak na to zasługujesz — powiedział jej Vughturoi. — Myślę, że w ogóle nie odważę się wymierzyć ci żadnej kary, ponieważ jesteś tym, czym jesteś, byłaś żoną mojego ojca, a przez twoje usta, dokąd się nie zwróciłaś ku złu, przemawiały duchy. Więc wypędzę cię i niech duchy, które cię znajdują, robią z tobą, co tylko zechcą. Hej–jaaa! — krzyknął i klepnął konia po zadzie.

Koń, którego do szaleństwa doprowadzał przypasany do jego grzbietu ciężar, do którego nie był przyzwyczajony, stanął dęba, dał susa, wierzgnął zadem i popędził na złamanie karku.

Srebrzysty Śnieg jak przez mgłę słyszała, kiedy Vughturoi zapraszał Fu Yu i Yueh-chih — tych, którzy nie uciekli ku wielkiemu rozbawieniu swoich towarzyszy — by zsiadli i skorzystali z jego gościnności. Wiedziała, że powinna się podnieść, powinna powitać ich jak należy, jak wypada królowej. Wiedziała również, że teraz, kiedy Wierzba już nie żyła, nie ma na to ani siły, ani ochoty.

Przymknęła oczy i zapragnęła, by ogarnęły ją ciemności. Ku jej zdumieniu jakieś ciepłe ręce podniosły i podtrzymały ją.

— Nie mogę pozwolić, byś się tak zamartwiała — powiedział do niej mąż. — Co ona powiedziała, gdyby cię zobaczyła?

Srebrzysty Śnieg przełknęła szloch.

— Zbeształaby mnie, że narażam moje dziecko na niebezpieczeństwo i dałaby mi do wypicia... dałaby mi te paskudnie niesmaczne zioła.

— A więc przez pamięć dla niej bądź posłuszna — rozkazał Vughturoi. — Ja... my... zawdzięczamy jej wszystko. Co chcesz, abyśmy zrobili? Powiedz tylko słowo, a wyprawimy jej najwspanialszy pogrzeb, jaki dotąd znały stepy.

Soból zachłysnęła się.

— Och, popatrzcie tylko!

Z ukrycia w długiej trawie wychynęły dwa duże lisy i przycupnęły brzuchem do ziemi przy Wierzbie, ocierając się o nią i trącąc ją nosami. Kiedy Wierzba nie zareagowała, szczerknęły przenikliwie, lamentując i znowu zniknęły.

Srebrzysty Śnieg przyglądała się ze smutkiem jak znikają.

— Najwspanialszy pogrzeb, jaki dotąd znały stepy? — powtórzyła słowa swojego męża jak pytanie. — Powiedzmy raczej pogrzeb księżniczki. Czy mogłabym prosić o...?

— O wszystko — powiedział Vughturoi.

— A więc niech moja Wierzba zostanie pochowana na granicy pomiędzy Ch'in i ziemiami Hiung-nu, gdzieś w pobliżu zielonych drzew i płynącej wody. Niech zostanie nad nią usypany kurhan, który zawsze będzie zielony, nawet w pełni zimy. Niech żaden myśliwy nie przychodzi do tego miejsca. Odtąd będzie sanktuarium dla wszystkich żywych istot na cześć dziewczyny, która była wierna rodom Han i Hiung-nu, rodzajowi ludzkiemu i lisemu.

— Niech twoje kobiety przygotowują ją do pogrzebu, a tak się stanie — powiedział Vughturoi. — Pojedziemy przed zimą. Może ktoś z garnizonu pojedzie również z nami. Zanim spadnie śnieg, twoja Wierzba będzie spoczywać w ciepłe. Ale

teraz chodź, musisz pójść i pomóc przypieczetować ten nowy pokój. W końcu czy nie tak cię nazwano?

Pozwoliła mu poprowadzić się w stronę wielkiego namiotu, gdzie przynajmniej na razie musi zająć się witaniem wojowników z innych plemion, których teraz trzeba pozyskać jako przyjaciół i sojuszników. Za nią podniósł się lament kobiet plemienia po Wierzbie, która po śmierci miała zostać uczczona jak nigdy za życia. Srebrzysty Śnieg zastanawiała się, co by o tym ona pomyślała.

Pożegnaj się z tobą później — powiedziała wspomnieniu przyjaciółki. Nigdy cię nie zapomnę, a kiedy nadejdzie czas mojego własnego pogrzebu, dołączę do ciebie i obydwie będziemy strzegły tych ziem, razem, na zawsze.

Zamrugła, żeby powstrzymać łzy i przechyliła głowę na bok. Nagle krzyknęła cicho, a ręce jej skierowały się do brzucha. Patrząc na nią Vughturoi zatrzymał się pełen niepokoju, a jego pokryta bliznami twarz poszarzała pod opalenizną. Srebrzysty Śnieg wiedziała, że utracił już kiedyś dzieci przez zaklęcia i trucizny Mocnego Jeżyka.

— Nic złego się nie stało — powiedziała mu. — Nasz syn mnie właśnie kopnął.

— Odziedziczył śmiałość po matce — powiedział Vughturoi. — A jego matka powinna teraz usiąść.

Srebrzysty Śnieg gotowa była przysiąc, zarówno w tamtym momencie, jak i potem, że słyszy, jak Wierzba się śmieje.

Epilog

Przed przybyciem spadkobiercy *shan-yu* do Chang'an urzędnicy na dworze miesiącami spierali się o etykietę oraz precedensy. Stanowił on również temat wielu plotek na Wewnętrznych Dziedzińcach. Powiadali nawet niektórzy, że jego matka zamieszkiwała tam przed laty, zanim wysłano ją na wygnanie na równiny.

Na wpół barbarzyńca, na wpół Han. Snuto rozkoszne domysły, że jak wszyscy inni Hiung-nu jada on surowe mięso albo że jest alchemikiem, albo że lisoduch był jego położną. Pogłoski tak się rozszalały na Wewnętrznych Dziedzińcach, że nawet kochający plotki eunuhowie musieli je w końcu tłumić. Co do jednej sprawy jednak udało im się wszystkim w końcu pogodzić. Ten książę Hiung-nu nie przybywał do Chang'an, żeby przedyskutować jakiś traktat ani żeby poślubić księżniczkę Han — przynajmniej na razie — ale żeby szkolić się w zwyczajach narodu swojej matki.

To będzie fascynujące, obserwować, czy mu się to uda — zdecydował naczelnny z eunuchów, a następnie powrócił do dużo ważniejszej sprawy łapówek. Obecnie, od czasu kiedy Mao Yen-shou stracił głowę przez tę błahą sprawę zeszepeconego portretu, człowiek musiał być o tyle bardziej dyskretny. Może ten dziki książę okaże się szczodry.

Młodzieniec, który w końcu przybył do Chang'an w towarzystwie oddziału srogich i w pełni uzbrojonych jeźdźców, nosił futra i jedwabie. Obok łuku przy jego siodle zwisała lutnia, a językiem Ch'in przemawiał elegancko i zgodnie z zasadami i regułami. Na widok wysokości i szerokości murów miasta nawet ci wojownicy, którzy z nim jechali, a których wybrano dla ich cierpliwości i stateczności (co oznaczało, że było ich niewielu, o wielu mniej, niż powinno towarzyszyć dziedzicowi *shan-yu*) zaczęli coś mamrotać. Ostrzegali ich *shan-yu*, żeby nie wyobrażali sobie Chang'an po prostu jako większego, stałego obozowiska zimowego. Wyglądało ono bardziej na pułapkę, na... to słowo to było więzienie, nieprzenośne pomieszczenie, do którego wtrącano ludzi i z którego nie mogli oni uciec. To było miasto mojej matki, kraj mojej matki, powiedział im książę, a ponieważ szanowali Srebrzysty Śnieg równie jak jej syn, skinęli głowami i pogodzili się z tym, czego zmienić nie mogli.

Przyszedł jednak taki moment, kiedy książę zbuntował się w myśli. Był wolnym człowiekiem stepu i pustyni, przyzwyczajonym żeby jeździć, gdzie chce. Jak mógł ktokolwiek spodziewać się po nim, że spędzi całe lata swego życia uwięziony w

obrzebie murów i pod dachami? Z tyłu, za nim, jego ludzie coś szemrali, a towarzyszący im żołnierze Ch'in ze srogimi minami zwarli szeregi.

Te srogie miny przywróciły mu równowagę. Błysnął ku swoim wojownikom ostrzegawczym spojrzeniem, wiedząc że wstydziliby się, gdyby musiał strofować ich w obecności ludzi z Ch'in, którzy skłonni byli uważać ich tylko za dzikusów. Jeżeli on nie zaprotestował, to im też nie wolno.

Nie zaprotestował, kiedy jego ojciec rozkazał mu jechać do Chang'an; *shan-yu* Vughturoi był wybrańcem niebios i nie do pomyślenia było, żeby mu się przeciwstawić, jak się o tym przekonał nawet jego własny brat. Czy to nie Vughturoi właśnie zjednoczył wszystkie wojujące ze sobą klany Hiung-nu?

I tak samo jak nie śmiał stanąć przed ojcem inaczej niż tylko jako posłuszny, lojalny syn, absolutnie nie mógł nie spełnić tego obowiązku, kiedy obok siedziała jego matka, w swoich szczupłych, kruchych palcach trzymając jakieś szycie, które było widać, i wodze do ojcowskiego serca, których widać nie było. Sprawienie jej zawodu było nie tylko czymś nie synowskim: było czymś niewyobrażalnym.

Była taka maleńka, jej niegdyś blada cera pociemniała po latach spędzonych wśród Hiung-nu na wolnym powietrzu pod świętym niebem, miała ciemne, myślące oczy, otoczone siecią delikatnych zmarszczek od wpatrywania się w bezkresną dal albo samych stepów, albo własnych myśli, niewiarygodnie długie warkocze, oszronione srebrzystym śniegiem, jak jej imię, które tylko *shan-yu* ośmielał się wymówić.

Wiedział o tym, że ma to dla niej ogromne znaczenie, żeby udał się w podróż do jej domu. W rozmowie wojownika z wojownikiem mógł protestować, że wysła się go do miejsca, które dla Hiung-nu oznaczało luksusowe więzienie; jego ojciec, Vughturoi, przebywał kiedyś wśród mieszkańców krainy Han i potrafił zrozumieć jego niepokój i niesmak. No dobrze, a ta pani, jego matka, która pogodziła się z wygnaniem ze swego własnego kraju? Była taka maleńka i taka krucha; ale równocześnie taka odważna. Czyż nie opowiadano mu, odkąd dorósł na tyle, by dosiąść swego pierwszego konia, jak wysunęła się przed wodza Yueh-chih i załagodziła dawny spór, który pobudził do zdrady i niemal doprowadził do nowej wojny? Jego matka była królową, która przynosiła Hiung-nu pokój; rok jego życia spędzony w obrzebie murów nie będzie wygórowaną ceną, jeżeli ma jej to sprawić przyjemność.

Przejechał przez miasto z taką samą odwagą, z jaką przystępowałby do walki,

śmiało spoglądał w oczy nie kończącym się szeregom urzędników i ostatecznie dostał tego najwyższego szczęścia, że pozwolono mu rzucić się do nóg Synowi Niebios. Kiedy się podniósł, wyciągnął rolkę jedwabiu, starannie zapieczętowaną by uchronić ją od kurzu i niepogody. Przestrzegł sam siebie, że wszystko co powie, czy zrobi, może odbić się nie tylko na Hiung–nu, ale i na damie, która opuściła te dziedzince, by im przewodzić. Wziąwszy głęboki oddech zamiast broni, która by tak dobrze leżała mu w dłoni, przygotował się do przemówienia.

— Ten oto niegodny, któremu pozwolono, by nazywał siebie Khujangą, księciem wśród Hiung–nu, błaga o pozwolenie powitania Syna Niebios — zaczął. Niektórzy urzędnicy zmarszczyli brwi na jego zuchwałość; najstarsi z nich pamiętali, że jego matka, jak mówiono, również była... niekonwencjonalna, tak można to było najbardziej taktownie wyrazić. Dama ta nauczyła go sztuki obserwowania takich ludzi kąciakiem oczu i odczytywania tych drobnych sygnałów aprobaty czy dezaprobaty, które sobie przesyłali. Był jej za to wdzięczny.

— Jego ojciec, *shan–yu* i jego matka, która przynosi Hiung–nu pokój, kłaniają się Synowi Niebios i błagają, by przyjął tego oto nieszczęsnego na swoje dziedzince, tak by zapoznał się on ze zwyczajami Państwa Środka, o najznamienitszy ze wszystkich.

Syn Niebios skinął głową i bardzo leciutko uśmiechnął się. Chociaż książę przyrzekł sobie, że nie będzie dbał o to, co taka wydelikaccona istota — ze swoimi jedwabiami, swoim sztywnym kapelusikiem, swoim Smoczym Tronem i tymi deprymującymi murami — może sobie o nim pomyśleć, westchnął wewnętrznie z ulgi.

Dwór odprężył się, a Cesarz skinął na księcia Hiung–nu, by podszedł bliżej na króciutką, cenną chwilę niemal prywatnej rozmowy. Ku zdumieniu księcia Khujangi, w mądrych, przebiegłych oczach Cesarza taίło się ciepło.

— Listy twojej matki przez te wszystkie lata informowały nas dobrze. Tak, i powiedziały nam... nawet uwzględniając matczyną przychylność... jakiego to młodego człowieka teraz witamy. Bądź w naszych progach synem. Postaramy się, by twój pobyt był miły i nie narzucał ci zbytnich ograniczeń. — Potem, jak gdyby przekazawszy zaplanowaną przez siebie wiadomość, powrócił do spraw państwowych. — Twoja matka poinformowała mnie o barbarzyńcach z zachodu.

Zaskoczyło to Khujangę, że w komentarzu tym Syn Niebios uwzględnił jego po swojej stronie: to tych z zachodu, a nie Hiung–nu, uznawał za barbarzyńców.

— Co możesz mi o nich powiedzieć i co ona jeszcze mówi?

Khujangę dokładnie przygotowano na ten moment, miał gotowe opinie o ludziach spoza Dachy Świata i ich koniach. Zanim jednak o nich zaczął mówić, winien był swojej matce przekazanie jeszcze jednej wiadomości i jeszcze jednego daru.

— Matka tego oto przesyła swoje pozdrowienia i swoje obserwacje, zawarte w tym jej liście. I błaga Syna Niebios, by przyjął tę rzecz dla tej, która ma pieczę nad jego namiotami!

Z szerokim gestem, który bardziej pasował do uczyty Hiung–nu niż do Świetlanego Dworu Chang’an, młody książę skinął i dwóch z jego ludzi postawiło przed Smoczym Tronem skrzynię. Książę sam ukląkł, by ją otworzyć.

Zawierała zbroję z nefrytów, misternie łączonych delikatnym złotym drucikiem — parę do zbroi, którą przed laty Srebrzysty Śnieg ofiarowała Synowi Niebios.

Notka historyczna

Jesteśmy bardzo szczęśliwi, że możemy się podzielić z wami naszym zafascynowaniem historią i kulturą Chin, zafascynowaniem, którego tylko ostatnią część stanowi ta książka.

„Cesarska córka”, chociaż należy do fantastyki, oparta jest na incydencie historycznym, który stał się jedną z najbardziej ulubionych opowieści chińskich i posłużył jako natchnienie dla niezliczonych wierszy i opowiadań: życie Chao Chun, konkubiny, która najpierw stała się księżniczką dynastii Han, a następnie królową *shan-yu* Hiung-nu, tego porywczego ludu nomadów, od których w znacznym stopniu pochodzą Hunowie i Mongołowie.

We wdzięcznej i użytecznej książce „Purpurowy Mur: Historia Wielkiego Muru Chińskiego” („The Purple Wall: The Story of the Great Wall of China”, Londyn, Robert Hale, Ltd., 1960), Peter Lum opisuje Chao Chun z dynastii Han jako córkę urzędnika Hupei. Podobnie jak nasza Srebrzysty Śnieg, Chao Chun, która rzeczywiście istniała, była piękna i odważna, odrzuciła propozycję skorumpowanego eunucha Mao Yen-shou i przez pewien czas żyła w odosobnieniu, zanim posłano ją, by poślubiła najpierw *shan-yu* Khujangę, a następnie jego spadkobiercę, Vughturoi.

Tyle mówi historia. Dalej historia współlistnieje z legendą. W niektórych dosyć romantycznych relacjach o Chao Chun, rzuca się ona do Żółtej Rzeki z przesmyku pomiędzy rzeką a Wielkim Murem, bo nie może znieść rozstania z Chinami. Jej łzy są przyczyną, że trawa wzdłuż rzeki jest bardziej zielona niż gdzie indziej; a rzekę nazywają tam Rzeką Księżniczki. Wedle innych wersji „prawdziwa” Chao Chun urodziła Khujandze syna, który zmarł w 31 roku p.n.e. (rok po śmierci cesarza Yuan Ti, którą to datę po prostu zmieniliśmy dla celów tej opowieści). Później rzeczywiście wyszła za Vughturoi, rządziła jako królowa, mając jak się wydaje duży wpływ na pokojowe stosunki z Chinami, aż do 20 roku p.n.e., kiedy Vughturoi zmarł, a ona została trzydziestotrzyletnią wdową z dwoma córkami ze swego drugiego męża.

W tym punkcie opowieści historia znowu rozwiewa się w mit. Nikt nie wie na pewno, co stało się z Chao Chun. Niektórzy są zdania, że zmarła po kilku latach, inni, że zmarła z żalu, kiedy nowy *shan-yu* zamordował jej syna, jeszcze inni, że i ją, i jej syna zamordowano w 18 roku n.e. Chociaż nigdy nie powróciła do Chin, legenda utrzymuje, że prosiła, by pochować ją na pograniczu Chin i że rzeczywiście

pogrzebano ją nad brzegiem Żółtej Rzeki pod olbrzymim kurhanem, który wciąż jeszcze nazywany jest Grobowcem Kwiatowego Ogrodu Chao Chun.

Historyczne są także nefrytowe zbroje, które zostały drobiazgowo opisane i przepięknie sfotografowane w książce „Książęta nefrytu” („Princes of Jade”) Edmunda Capona i Williama McQuitty’ego (Londyn, Thomas Nelson & Sons, Ltd., 1973), opowiadającej o odkryciu 27 czerwca 1968 roku ciała księcia Liu Sheng i jego małżonki, księżniczki Tou Wan, z dynastii Han, przystrojonych w nefrytowe zbroje dokładnie takie, jakimi obdarowałyśmy Srebrzysty Śnieg.

Dużą część pozostałej historii zaczerpnęliśmy z wielu wspaniałych książek, jakie stworzyli zachodni pisarze, by przedstawić pięć tysięcy lat zdumiewająco bogatej kultury czytelnikom z zachodu, których wiedza o jednej z najstarszych cywilizacji na Ziemi zbyt często ogranicza się do „tu oto żyją smoki” na mapie lub do „jedno danie z kolumny A” na chińskim menu. Przez ostatnie trzydzieści lat zainteresowanie Chinami rozkwitło jednak, wykraczając daleko poza domenę uczonych, badaczy i nieco ekscentrycznych „kolekcjonerów chińszczyzny” z dziewiętnastego i początków dwudziestego wieku.

Dla tych czytelników, którzy chcieliby się dowiedzieć czegoś więcej o historii zarówno dynastii Han, jak i o Hiung–nu, chciałobyśmy zaproponować „Kryzys i konflikt w Chinach dynastii Han” („Crisis and Conflict in Han China”) Michaela Loewe (Londyn, Allen & Unwin, 1974), która natchnęła nas do napisania historii ojca Srebrzystego Śniegu, jak również „Codzienne życie we wczesnych Chinach Cesarskich” („Everyday Life in Early Imperial China”) Loewego (Londyn, B.T. Batsford, 1968).

Pochodząca z czwartego i piątego wieku „Sztuka wojenna” („The Art of War”) Sun Tzu, ze słowem wstępnym generała Basila Liddell Harta (Oxford University Press, 1963) przeżywa coś w rodzaju swojego własnego renesansu w ślad za obecnym zainteresowaniem wschodnimi metodami walki.

Monumentalny „Świat Hunów” („The World of the Huns”) Ottona J. Maenchen–Helfen (University of California, 1973) jest prawdopodobnie standardową pracą o Hunach i Hiung–nu, i dużo łatwiej się czyta, niż na to wygląda.

I wreszcie, wiersze do „Cesarskiej córki” wybrano spośród autentycznych wierszy dynastii Han i T’ang; zasadniczo zostały zaczerpnięte z dwóch książek i wykorzystane za zgodą: „Łódź orchidei: poetki Chin” przetłumaczył i zredagował Kenneth Rewoth i Ling Chung (New York, McGraw Hill, 1972); oraz „Tłumaczenia z

chińskiego” Arthura Waleya (Knopf, 1941)

Jesteśmy również głęboko zobowiązane dr Morrisowi Rossabi, dyrektorowi China Institute w Nowym Jorku.

Czy udacie się do Chin (jak to my chcielibyśmy zrobić), czy udacie się nie dalej niż do swojej własnej księgarni, życzymy wam radosnej i owocnej podróży.

Floryda

Nowy Jork

Andre Norton
Winter Park,

Susan Shwartz
Forest Hills,

Luty 1988